

J. GRABIEC

CZERWONA
WARSZAWA
PRZED ĆWIERĆ WIEKIEM

MOJE WSPOMNIENIA

Z LICZNYMI ILUSTRACJAMI



BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

P O Z N A Ń

WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA NAKŁADOWA KAROLA RZEPECKIEGO

1 9 2 5

L. 3510 i kw. I.

93(438)10:3K31



BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

nr. 3510

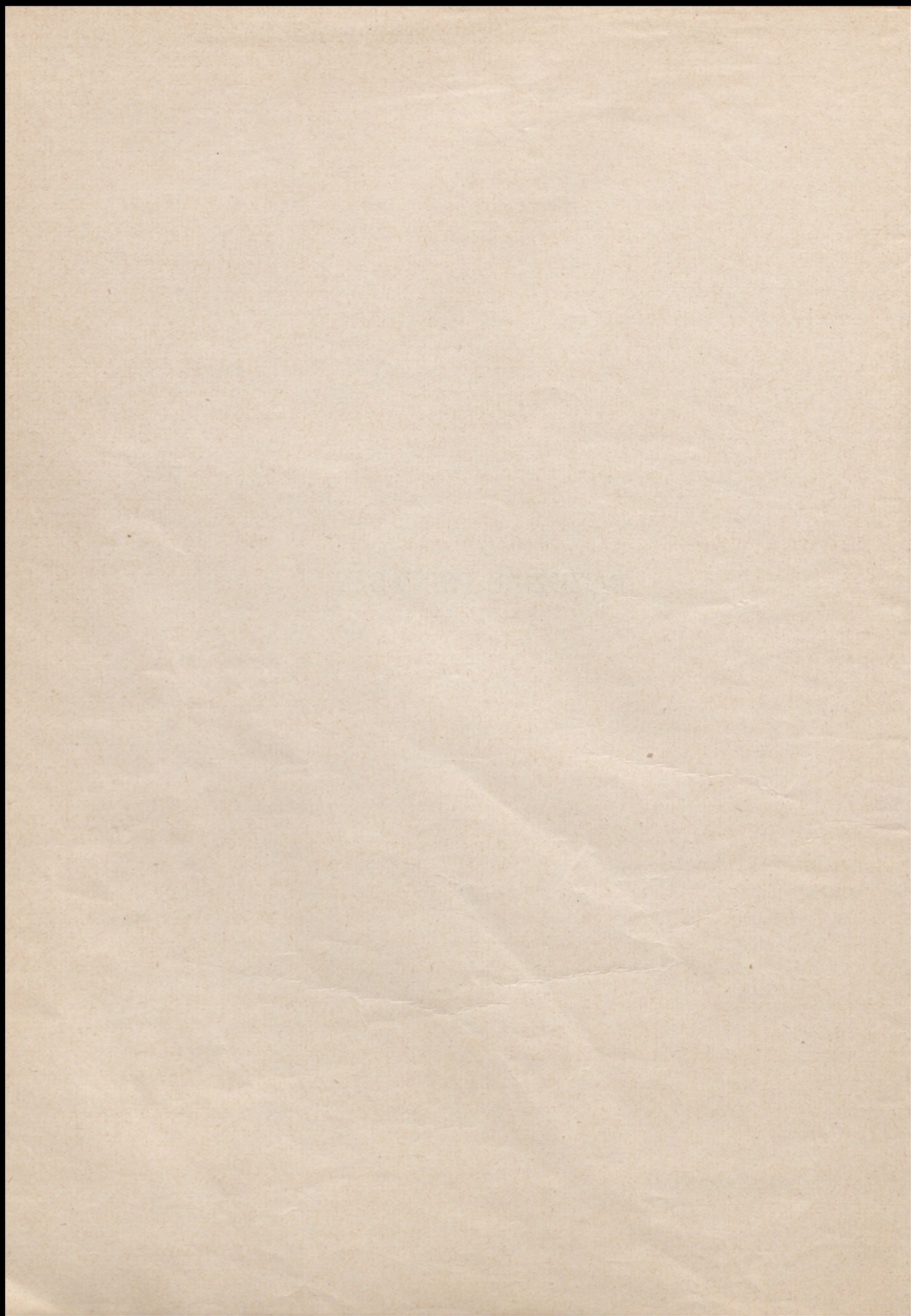
ODBITO W DRUKARNI SPÓŁKI AKCYJNEJ „OSTOJA“ W POZNANIU.

SPIS RZECZY:

	Str
Spis ilustracji	VII
Rozdział pierwszy: Młodzież uniwersytecka	1
„ drugi: „Bratniak“ i „Spójnia“	35
„ trzeci: „Czerwoni“ z przed ćwierćwiecza	69
„ czwarty: Przy „robocie“	103
„ piąty: Kuźnica nowej Polski	133
„ szósty: Ludzie i poczynania	169
Spis nazwisk	201
Errata	213

RECEIVED

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Młodzież uniwersytecka.

Zainstalowanie się w Uniwersytecie Warszawskim. „Kółka uczniowskie“ i praca w nich. Zamiary Koła Radomskiego. Stan młodzieży Uniwersyteckiej w Warszawie. Marazm ogółu. Ożywienie wśród grup ideowych. „Koło“. „Bratniak“ — „Koło litewskie“. Kółka koleżeńskie. Sympatje partyjne według gimnazjów. Łomżyniacy - ludowcy. Kielczanie - esdecy. Słabość wpływów P. P. S. wśród młodzieży. Walki o wpływy w „Bratniaku.“ „Kuchnia Studencka“. „Paczka radomska“ przystępuje do roboty. Organizowanie się „Siódemki“ i „Władek“. Wstępujemy do „Koła“ i do Zarządu „Bratniaka“. Walne zebranie „Koła“. Ludowcy występują z „Koła“. My stajemy się jego prawicą. „Ziłowszczyzna“. Zaburzenia na uniwersytecie. Sąd nad winnymi. Uspokojenie. Porażka „Koła“. „Bratniak“ reprezentacją ogółu młodzieży. Idziemy w „Bratniaku“ wspólnie z esdekami. Pyrrusowe zwycięstwo nasze przy wyborach do Prezydjum „Bratniaka“. Rozstajemy się z esdekami. Wyodrębnienie się i samodzielna polityka pepesowców. Pogrom ludowców. Afera i tragedia Stanisława Brzozowskiego.

Pewnego — jak zwykle w epokowych momentach ludzkiego żywota — pięknego sierpniowego poranku 1897 r., nasza „radomska paczka“ maturzystów po wypiciu kawy w „Nadświerzance“, gdzie był punkt zborny, rażno maszerowała Nowym Światem ku „Krakowskiemu“. Przyodziani w nowiutkie studenckie mundury, spieszyliśmy do kancelarii Uniwersytetu, aby tam załatwić ostatnie formalności przyjęcia.

Mówiąc zaś pocichu, mimo umundurowania się, wszyscy nieomal mieliśmy pewne wątpliwości, czy przypadkiem nie „wyleją nas na zbity łeb“ a limine. Sumienia bowiem czystego pod względem politycznej „blahonadiożności“¹⁾ nieomal żaden z nas nie miał. Wszystkim prawie władze gimnazjalne dawały do zrozumienia, że „coś wiedzą“. Kółko nasze gimnazjalne, dość żywo dawało się poznać w mieście, jako ośrodek

1) Prawomyślność.

„kramoly“... Każdy z poszczególnych kółkowiczów miał poza sobą jakieś zajęcia z „naczalstwem“. Dwaj zaś: „chalera dla wsiej gimnazji“,¹⁾ jak subtelnie w chwili szczerości określił dyrektor gimnazjum — indywidualność autora tych skromnych notatek, i jego najbliższy kolega — „Harasim“, dziedzicznie obciążony pochodzeniem z „opornej“ przeciw prawostawiu rodziny unickiej, osobiście zaś — doprowadzający do białej złości „naczalstwo“ niewzruszonym spokojem, rozlanym na twarzy, którą tylko w chwili największych wybuchów dyrektorskiego gniewu ożywiał ironiczny uśmiech — „dopełzł“ do matury po przez długie i ciężkie cierpienia oraz kilkakrotne „wylania“.

Przed wszystkimi zaś nami, mimo dobre stopnie na olbrzymich „atestatach dojrzałości“, stało widmo złowrogich tajnych „konduitynych żurnalów“.²⁾ Była to zamknięta na siedm pieczęci tajemnicy księga wieczysta, zawierająca krótką charakterystykę ucznia gimnazjum.

Corocznie wypełniana ręką „kłasnowo nastawnika“³⁾, uzupełniana zaś nadto przez inspektora i dyrektora, księga ta w największej konspiracyjności wysyłana była za uczniem do kancelarji uniwersyteckiej. Właściwie też ona, a nie matura, decydowała ostatecznie o przyjęciu maturzysty do wszechnicy.

Obawy jednak nasze okazały się naogół płonne. Naogół — bo nawet „Harasim“ wraz z innymi kolegami — bez żadnych kwestji otrzymał matrikułę. Natomiast ja odesłany zostałem przez sekretarza do innego stołu, gdzieś pod oknem... „Są wątpliwości“ — brzmiał jedyny komentarz.

Zrobiło mi się „mikro“. W myślach na moment zawirowały niebylejaki a daremne koszta umundurowania; świetne perspektywy „roboty“ w Warszawie oddalały się niby miraż... na pocieszenie pomyślałem sobie, że jednak będę mógł z honorem jechać na studja zagranicę..

Nadrabiając miną, idę do stołu pod oknem. „Harasim“, „Kamulinder“, „Żedzio“, „Sienio“, przybierają kondolencyjne, ale też i szczerze zaniepokojone oblicza... „Co będzie?“... „Krewa“, „Zdaje się, Cąbra odwalą“... czytam w ich oczach.

Tymczasem... Ale nie... trzeba to opowiedzieć porządnie. Było to bowiem jedno z największych moich rozczarowań w życiu. A przy tem

¹⁾ Cholera dla całego gimnazjum.

²⁾ „Dziennik konduityny“.

³⁾ Odpowiadał częściowo dzisiejszemu „wychowawcy“ w szkole średniej „gospodarz klasy“.

już wówczas na lat 25 przed Einsteinem — rozumiałem teorię względności.

Za stołem pod oknem jeszcze nie siedział nikt. Natomiast czekał już, wysłany tu przedemną po rozstrzygnięcie wątpliwości jakiś typowy „seminarzysta z lewicy“¹⁾ Świadczyły o tem długie włosy, niegolona od paru tygodni broda, wzrok pełen pogardy dla świata ...no i „kosoworotka“²⁾ wyglądająca z pod kurtki studenckiej.

Niedola ludzi zbliża. Zaczęliśmy rozmowę. Okazało się, że mój socius doloris rzeczywiście kiedyś miał zostać popem. Został jednak „iskluczony z socjalizm i niedowolstwo piszczej iz minskoj duchownoj seminarji“³⁾. Wyklęty przez klerykała-papę wziął na kiel, przyjechał do „Priwislinja“ i zdał maturę w jednym z gimnazjów Warszawskiego okręgu. Teraz znów robią mu trudności z przyjęciem. To go jednak mniej bolało, niż głupia polityka „naczalstwa“.

„Pomyślcie sami — prawit — piszą, że w Warszawie potrzeba jak najwięcej rosyjskiego żywiolu, dają ulgi... łatwo naszemu bratu o stypendjum Zapraszają nawet seminarzystów ...ciągną ich, mówię, a gdy przyjeżdżasz i, choć ty i seminarzysta, i ruski, i maturę masz, to ci „wykidywają sztuku“⁴⁾ z powodu jakiejś głupiej notatki w „konduitce“ ...

To mnie uderzyło...

...A skąd kolega wiesz, co w „konduitce“? „A ot — leżą na stole — czytaj ile chcesz i zachwycaj się mądrością“!... „Isz skolko mierzostiej na naszej Rusi!“⁵⁾ zakończył z goryczą.

Oczywiście, tajemnicza „konduitka“, wyszukana wśród kilkunastu, leżących na stole, wnet znalazła się w moim ręku. Groza tajemnicy, oczekiwanie wielkich rzeczy przysły bez śladu. Po przeczytaniu notatek uczułem się bardzo małym.

Przez lata całe byłem, jak przeczytałem w notatkach swych „klasnych nastawników“, bardzo dobrym chłopcem. Pobożny, spokojny, posłuszny władzy i, mimo bardzo małych zdolności i zapóźnionego rozwoju umysłowego, bardzo pilny i staranny. Wśród kwiatów tych jednak czaiła się żmija. W rubryce, przeznaczonej na klasę VI, odczytałem:

¹⁾ Seminarzysta-lewicowiec.

²⁾ Kolorowa koszula ze stojącym, zapinanym na boku, kołnierzem.

³⁾ Wydalony za socjalizm i narzekania na karmienie z duchownego seminarjum w Mińsku.

⁴⁾ Urządzają kawał.

⁵⁾ Ileż paskudstwa na naszej Rusi!

„zaczął okazywać „skwiernoje naprawleńje myslej“.¹⁾ Wyraziło się to, jak dalej czytałem, w „ściąganii“ od sąsiadów greckiego ćwiczenia, w skrytości wobec nauczycieli i... „zauważony był na manifestacji politycznej“. Ta ostatnia zbrodnia była podkreślona, widocznie już w kancelarii uniwersytetu, czerwonym ołówkiem i na marginesie zaopatrzona uwagą: „zasięgnąć o nim informacji, w razie przyjęcia — polecić uwadze Inspekcji“.

Na szczęście rubryki klas VII i VIII były znowu korzystne dla mnie: „mało zdolny, lecz nadrabia pilnością“, „okazuje zainteresowanie się językiem rosyjskim i historią Rosji“, „rozwija się powoli“, a wszystko jednak zakończone lapidarnym dyrektorskiem: „nie pewny“, co „uniwersytet“ znów podkreślił czerwono. Z tego jednak wszystkiego nabrałem nadziei, że słaby mój rozwój umysłowy, małe zdolności, a natomiast zainteresowanie się językiem rosyjskim, otworzą mi drogę do Almae Matris, mimo udziału w manifestacji politycznej i „niepewności“. Nabrałem więc otuchy i nie zawiodłem się.

Przybyły bowiem wkrótce urzędnik, po przejrzaniu „papierów“ moich, odesłał je wraz z fotografiami do szafy, w „konduite“ podkreślił znowu na niebiesko dla różnaitości, sąd o mej osobie, wydany przez wszechnicę warszawską i wydał mi gotową już matrykulę. Byłem więc słuchaczem Almae Matris Varsoviensis. Odetchnąłem z ulgą. Przez solidarność głęboko odsapnęli i moi koledzy, praktyczny zaś „Żedzio“, z punktu wyzyskał sytuację i postawił sprawę zasadniczo: wobec tego i ze względu, że jeszcze mamy flotę, zamiast iść na jakiś psi obiadek do „taniaka“, musimy „oblać wstąpienie do budy“ w Wodewilu, przy czym „piwo stawia Cąber“. Wniosek przyjęto.

Kwestja przyjęcia lub nieprzyjęcia naszej „paczki radomskiej“ do Uniwersytetu, była, dodam, sprawą, przekraczającą nasze osobiste interesy. Czasy to w życiu młodzieży były przełomowe. Kółka samokształcenia, które od lat kilkunastu istniały we wszystkich gimnazjach z zaboru rosyjskiego, przekształciły się już w poważną organizację konspiracyjną, obejmującą wszystkie żywiej czujące i zdolniejsze jednostki w szkole rosyjskiej. Organizacja ta posiadała własne zarządy, kasy, biblioteki i walczyła skutecznie ze szkołą rosyjską. Wśród organizacji tej, my „radomiacy“, posiadaliśmy zdawna już wyrobioną markę żywiołu radykalnego i czynnego. Od lat jednak kilku, kółko radomskie, trapione

¹⁾ Zły kierunek myślenia — specyficzny termin policyjno-rosyjski.

represjami, nie było w możności zasilać młodzieży uniwersyteckiej świeżymi siłami. Pierwszym, od lat wielu, radomskim zasilkiem była właśnie nasza „paczka“.

Przybywaliśmy też do „budy“ z jasno określonym programem działalności. Od lat już kilku ideowo związanych z P. P. S. postanowiliśmy ideologię tej partii zaszczerpić wśród młodzieży całego kraju, a przede wszystkim stworzyć organizacje partyjne wśród młodzieży na uniwersytecie i w oczekiwanej od następnego roku politechnice warszawskiej. Było to główną częścią i kośćcem całokształtu działalności, której program starannie przedyskutowaliśmy na zebraniach naszego „Koła“ jeszcze w Radomiu i która miała tworzyć przełom w politycznym życiu młodzieży radykalnej.

Wychodziliśmy w swym programie z założenia, że dotychczasowa działalność polityczna młodzieży przy olbrzymiej ilości ofiar nie wydaje należnych rezultatów. Przyczyną tego było, zdaniem naszym, zasklepienie się życia politycznego w ciasnych kołach z jednej strony, z drugiej zaś, dyktowana koniecznością w wielu razach, rabunkowa gospodarka materiałem ludzkim przez ścisłe organizacje partyjne. Młodzież nieomal bezpośrednio ze szkolnej ławy po przybyciu do uniwersytetu zaprzęmana była do roboty partyjnej. Student, jako partyjnik, zabierał się bez przygotowania do agitacji i kolportażu bibuły, oraz do prowadzenia improwizowanych bezustanku i bezustannie „sypiących się“ kótek robotniczych. Rezultaty były opłakane. Przybyli studenci z całym entuzjazmem młodości brali się do roboty na obcym, nieznanym im zupełnie gruncie — robotę agitacji politycznej „partolilili“ — a co gorsza, w bardzo krótkim czasie następowała „wsypa“. Zazwyczaj kilka miesięcy wystarczyło, ażeby taki działacz wpadał w oczy „szpiclów“. Śledzony sam „zasmarowywał“ i swoje „stosunki“, następowały rewizje masowe i likwidacja całej roboty, na dobrą sprawę nie rozpoczętej jeszcze porządnie. Zabierano całe masy „bibuły“, a ludzie, często bardzo wartościowi pod względem intelektualnym, szli do „ula“ na rok czy więcej, a następnie — na paroletnie zesłanie. Ofiary były stosunkowo ciężkie, efekt roboty — zbyt mały. Drugą, ujemną stroną takiej roboty było zaprzęganie wszystkich bez względu na usposobienie i temperament do roboty agitacyjnej w sferze robotniczej. „Marzyłem o organizowaniu rewolucji, podnoszeniu ducha, stwarzaniu nowych światopoglądów, a tu nic, psiakrew, tylko pyskują pocziwym robociarzom, którzy się nudzą, jak cholera, i całe kulaki przez dyscyplinę pakują w rozdzierające się od ucha do ucha

gęby, tę kaprawą teorię wartości. Widzę, że niejeden — człek żywy, jakiś może Bebel, czy Chałturin w przyszłości, rwie się do świata... a ja mu do nieskończoności: „towa — pieniądze — towa” — Ilość „społecznie niezbędnej pracy”... „wartość... nadwartość. A wielka już galówka, jak przyniosę bibułę w portkach!” Skarżył się jeden ze zdolniejszych moich kolegów.

O ile też jaki „szczęściarz” ocalał z pogromu w czasie kilkumiesięcznej „roboty”, zniechęcał się on zupełnie i odpadał sam. Zniechęceniu temu sprzyjały rozdźwięki partyjne. Słabiuchne wówczas partie socjalistyczne: „P. P. S.”; S. D. K. P. i L. (Polska Partja Socjalistyczna, Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy), „żarty” się między sobą nieubłagane i spory te przedewszystkiem odbijały się na wrażliwych duszach młodzieży. „P. P. S.”, — partja żywa, idąca z wymaganiem życia wchodziła w tym czasie stanowczo na drogę programu dawnych „czerwonych”, przyczem w przyszłej walce o niepodległość sprawa robotnicza miała odegrać rolę sprawy włościańskiej czasu Powstania Styczniowego. Wywolywało to gromy oburzenia prawowiernych „esdeków”. Między też młodzieżą, interesującą się żywiej socjalizmem — a do niedawna był to światopogląd ogółu „porządnym facetów” — P. P. S. popularną bynajmniej nie była. „Socjalpatryjotyzm”, „Limanowszczyzna”, „drobnomieszczańskie zabagnienie” idei i t. p. epitety nadawane skalanemu „szlacheckimi fanaberjami niepodległościowemi” programowi P. P. S., były na porządku dziennym... Niemaloz też napracować się musieli odwiedzający kolonje polskie w uniwersytetach rosyjskich pepesowcy, zanim ostrożnie i stopniowo wprowadzali hasło „nowego kursu” do światopoglądu polskiej młodzieży socjalistycznej... Koniecznością więc było, i to koniecznością, nie cierpiącą zwłoki, przystąpienie do wytwarzania, poza działaczami, jeszcze i zastępu „sympatyków” P. P. S. wśród młodzieży.

Pozostawała jeszcze jedna bolączka. Był nią niepomierne niski poziom świadomości politycznej i nastroju patryjotyczno-opozycyjnego wśród ogółu młodzieży. Młodzież — ośrodek opinii patryjotycznej i opozycji narodowej, — powoli asymilowała się z ogółem społeczeństwa, w tym czasie zdemoralizowanym politycznie doszczętnie. Na całej linii zwyciężało wówczas hasło ugody z Rosją: zaznaczała się już asymilacja państwowa „wyższych dziesięciu tysięcy”. Wprawdzie — „dni sierpniowe” — pobyt cara w Warszawie, dały asumpt do żywej dyskusji na temat: a co durnie, nie mówiłem?... Agitacja ta jednak nie miała wielkiego powodzenia. Ugodowcy bowiem słowem i drukiem dowodzili, że jednak

„coś się zmieniło“, a pozwolenie na pomnik Mickiewicza, zatwierdzenie politechniki w Warszawie i kolei kaliskiej, były ilustracją tej właśnie zmiany...

Program nasz miał zapobiedz wszystkim tym niedoborom... Najpierw mieliśmy stworzyć sui generis Centralizację. Składałaby się ona ze zdecydowanych i pozostających w stałym kontakcie z partią „pepesowców“ i miałyby odgrywać rolę motoru, oddziaływującego na wszelkie koła młodzieży. Stąd rozchodziłyby się prądy, wzmagając wśród ogółu nastrój rewolucyjno-patriotyczny, tu również ześrodkowane byłoby kierownictwo wszelkimi organizacjami ideowymi, które zakładane być miały w poszczególnych uczelniach i tam wyrabiałoby poszczególnych działaczy i sympatyków P. P. S. oraz w miarę możliwości i sił niostyby pośrednią pomoc partji. Do roboty bezpośredniej członkowie organizacji studenckich w czasie pobytu w uczelniach, szliby tylko wyjątkowo. Zadaniem tych organizacji byłoby stwarzanie nowego pokolenia działaczy, wytwarzanie opinji, zgodnej z naczelnymi zadaniami P. P. S. i przygotowaniem walki o niepodległość, oraz o radykalizowanie stosunków społecznych w Polsce. Po pewnych dyskusjach program powyższy uzyskał prawo obywatelstwa w partji. W marcu 1897 r. „Przedświt“ wydrukował bez sprzeciwu i komentarzy mój artykuł o młodzieży uniwersyteckiej, będący swego rodzaju ballon d'essai całego programu. Na jesiennym zaś zjeździe tegoż roku, kiedy już wstąpiłem do uniwersytetu, program ten został przyjęty, jako oficjalny partji. Do tego zresztą niemało przyczyniło się i parcie organizacji petersburskiej młodzieży pepesowskiej, którą w duchu programu naszego zaagitował kol. „Langsam“ — Marjan Węgleński, jedyny radomiak, jaki w tym czasie po otrzymaniu matury ruszył do „Pitra“. Petersburska zaś organizacja studencka P. P. S. była najsolidniejszą pomocą partji w tym czasie.

Sprzyjały nam dalej dwie jeszcze okoliczności. Oto niedawno Warszawa była widownią haniebnej wyspy — bardzo dobrze zapowiadającej się pepesowskiej organizacji studencko-inteligenckiej, którą odrazu wzięto do roboty¹⁾. Był to, jakby żywy przykład wadliwości samego systemu. Z drugiej zaś strony, w tym właśnie czasie P. P. S. miała do roboty agitacyjnej wśród robotników wyjątkowo dużo ludzi.

¹⁾ Aresztowani zostali studenci: Downarowicz, późniejszy woj. Brzeski, Studnicki, Kuć, Turcki, Rokita — (zwarjował w cytadeli) — Rozen, oraz inteligenci Okołowicz Józef i późniejszy działacz emigracyjny, Okołowicz Miecz., Pieńkowski — dzisiejszy endecki publicysta i kilku innych.

Ze strony więc żywiołów partyjnych nie mogło być dla naszego programu żadnego poważnego sprzeciwu. Mogliśmy z czystym sumieniem przystąpić do wprowadzenia go w życie.

Bardziej natomiast niepokojące warunki dla naszej roboty zapowiadało środowisko samej młodzieży.

Stan opinii i wyrobienia politycznego ogółu był, jak zaznaczyłem powyżej — „pod zdechłym psem“. Ruchliwsze jednak jednostki otrząsnęły się z pogromowego nastroju, jaki panował po „Silbersteinjadzie“ i „Kilińszczyźnie“,¹⁾ które tyle krwi utoczyły w r. 1894. To też rok 1896/7, zwłaszcza wiosną 1897 można nazwać przełomowym. Z pogromu ocalała garść młodszych „Kilińszczyków“, których nie deportowano do Rosji: Zaluska Jan, Podczaski Wł., Pietrasiewicz, Jaźwiński, Turski, Kuć i in. Był to „zarybek“ na przyszłość i organ łączności z przeszłością. Kółka gimnazjalne: warszawskie, kieleckie, lubelskie, wileńskie, płockie, po części radomskie — to ostatnie zresztą słabiej z powodu masowych relegacji z klas wyższych w roku 1894 — dawało rok rocznie zastęp żywszych jednostek. Powoli też organizowano opinię polityczną młodzieży — zwalczano przedostające się do niej prądy ugodowe. Do dawnego jednak ożywienia w środowisku młodzieży — było daleko. Stały oddawna ośrodek politycznego życia w Warszawie „Koło Demokratycznej Młodzieży“ znane lepiej pod skróconą nazwą „Koło“ — było nieomal martwe. W r. 1896 próbowali wskrziesić je Turski i Kuć, wraz z radomiakami — Rokitą i Downarowiczem. Słynęła wówczas wśród młodzieży kuźnica radykalizmu — mieszkanie Kucia na rogu Krakowskiego i Królewskiej — na poddaszu z oknami, zaklejonemi dla braku szyb papierem i z jedną poduszką na czterech coś współlokatorów. Usiłowania te rozbiły jednak aresztowania. W następnym roku zmagął się z apatią ogółu i niemrawością „Koła“ — zacyt. kol. „Fonar“ — Józef Kochanowski. Skupił on radykalniejsze jednostki, od czasu do czasu wydawał odezwy hektografowane, podpisane „Młodzież“ — a co ważniejsze, dla wpływów na ogół założył pierwszą „Kuchnię“ studencką (Nowy Świat 55), której usiłował nadać charakter ogniska korporacyjnego. „Koła“ jednak „Fonar“ nie zgłaszanizował.

¹⁾ „Silbersteinjada“ nazwano czysto akademickie zaburzenia, spowodowane ujawnieniem wśród młodzieży szpicla — Silbersteina. Studenci zastrejkowali, żądając usunięcia S. z uniwersytetu, przyczem S. został dotkliwie pobity. „Kilińszczyzna“ — manifestacja uliczna 17. IV. 1894 r. w rocznicę powstania Kilińskiego w Warszawie.

Natomiast rozwinęło się życie kółkami — według macierzystych kółek samokształcenia gimnazjalnych. Z takich kółek — pewną powagą zyskało prowadzone przez kol. Bolesława Słońskiego — „Koło litewskie“ — ugrupowanie maturzystów gimnazjów kresowych — o patryotyczno-radykalnem zabarwieniu. Liczną była „Calisia“, zrzeszenie dawnych kółkowiczów, a następnie i niekółkowiczów — Kaliszan. Niemiała ona żadnej barwy politycznej. Podkreślić tu muszę, że wielkim uszczerbkiem dla życia publicznego młodzieży w tym czasie był upadek wpływów kółkowiczów warszawskich, którzy dawniej trzymali prym. Teraz jednak „Warszawiacy“ nie zaznaczali się wcale, poza paru jednostkami na wyższych kursach, jak późniejszy minister skarbu Z. Jastrzębski, lub późniejszy senator St. Kasznica, wówczas — obaj prawnicy III kursu.

Te też grupy dawnych kółkowiczów gimnazjalnych były poniekąd ośrodkami i orientacji politycznych. Wyróżniały się pod tym względem w początkach roku akademickiego 1897 r. dwa gniazda, silnie zabarwione polityką. Byli to „łomżyniacy“ i „kielczanie“. Łomżyniacy (Załuska, Jan Kucharzewski, Jaźwiński, Śmiarowski, Sochaczewski, Sadzewicz — ci utkwili mi w pamięci) tworzyli gniazdo organizacji patryotyczno - ludowcowej, coraz bardziej skłaniające się ku skryształowanemu w r. 1897 Stronnictwu Demokratyczno-Narodowemu. Ku nim też grawitowali „warszawiacy“ i „Koło litewskie“. Był to równocześnie ośrodek poważnej i sympatycznej pracy oświatowej wśród ludu wiejskiego. „Kielczanie“ natomiast — Kochanowski, Wejgelt St., bracia: Wład. i Zygm. Gąsiorowscy — innych nie przypominam sobie — byli jak najbardziej nieubłaganymi zwolennikami Socjalnej Demokracji Król. Polskiego i Litwy. Z tym też kierunkiem sympatyzowali częściowo lubliniacy, jak Ulanowski, Kasperski, płocczanie, jak bracia Kempnerowie, z których zwłaszcza Rafał celował dowcipem i wyborną dyalektyką w dyskusjach. Z innych wpływowszych „esdeków“ pamiętam pracowitego niezwykle Chwalewika Edw.



Jan Kucharzewski.

oraz dwie antytezy co do wyglądu zewnętrznego: eleganckiego „barona“ Klotta i demagogicznie zaniedbanego Okuszkę. „Esdekowali“ również: St. Brzozowski, późniejszy wybitny pisarz, „Prezes farmacji“ — dyktator kolegów farmaceutów i bohater niezliczonych anegdot, zacny „Filip“ — starszy już nieco wiekiem — ojciec rodziny, ale gorącego temperamentu, idący zawsze za najkrańcowszymi hasłami, wesoły przytem bursz — Filipowicz — dziś prezes rady miejskiej w Białymstoku. Ubogo przedstawiały się natomiast bardzo wpływy P. P. S. wśród młodzieży warszawskiej. Jedynym pepesowcem, i to dla swego usposobienia, nie mającym stosunków z partją, był, niemniej od „Filipa“ znany z anegdot „Dyzio“ Bujalski — człowiek o niezwyklej ideowości, ogromnem poświęceniu, prawy, zawsze stojący na wysokim poziomie etycznym, wydatnej inteligencji, a jednocześnie żarty przez nędzę, wiecznie w długach, rzadko jadający obiady i obdarty („mundurek za dziesięć złotych można, bardzo porządny i pasujący do mnie, dostać na Wołówce“)... Wszystko to nie przeszkadzało mu brać jaknajczynniejszego udziału w życiu publicznem młodzieży i nie psuło stale pogodnego, prawdziwie szubienicznego humoru. Poza uniwersytem, dwóch jeszcze sympatyków: „Dziedzic“, imponującego kolegom poważną brodą, znacznie od nich starszego i wytrawnego korporanta z zagranicznych politechnik — J. Rożena, oraz poczciwie niedołęznego, wiecznie wyśmiewanego przez „Dyzia“, „Kielbia“, — St. Okoniewskiego, miała P. P. S. wśród uczniów szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda — zwanej wówczas „Szkołą Mittego“. Ci trzej muszkietierowie — tworzyli całą reprezentację najruchliwszej wówczas w kraju organizacji spiskowej. Ta właśnie trójka ocalonych z niedawnego pogromu pepesowców — z największem utęsknieniem czekała przybycia „radomiaków“. Obok nas do warszawskiej budy — przybywał jeszcze jeden pepesowiec z Dorpatu — popularny bardzo „Guzik“ — starszy już i wybitnie zdolny medyk — Józef Hornowski, zmarły niedawno na stanowisku dziekana wydziału medycznego Wszechnicy Warszawskiej — oraz maturzysta z Piotrkowa — „Siara“ — bardzo zdolny i dzielny, Jan Maro. Ogółem miało do Uniwersytetu wejść koło dwięćdziesięciu zdeklarowanych pepesowców.

Mieliśmy więc siły dostateczne do pracy nad uzyskaniem wpływów. Należało teraz rozejrzeć się w sytuacji i warunkach.

Do znaczenia jedynej reprezentacji młodzieży uniwersyteckiej po upadku „Koła“ wyrósł zarząd „Bratniej Pomocy“ — potocznie zwanej „Bratniakiem“, organizacji samopomocy materialnej, istniejącej w Uni-

wersytecie od niepamiętnych czasów. Dawniej „Bratniak” nie wychodził poza ramy pożyczek, zapomóg, urządzania balów, rautów dochodowych i t. d. Po upadku jednak „Koła”, siłą rzeczy narzucał się on, jako zrzeszenie młodzieży polskiej życiu uniwersyteckiemu. Wobec zaś znacznego obniżenia tego poziomu w dużej części potrzebom tego życia „Bratniak” odpowiadał. Przybierał też on stopniowo charakter korporacji ogółu młodzieży polskiej w uniwersytecie. „Bratniak” zresztą zawarł w sobie cały — z bardzo nielicznymi wyjątkami — ogół młodzieży polskiej, licząc w tym czasie przeszło 500 członków. Zorganizowany był „Bratniak” w grupach, stosownie do kursu i wydziału, a na niższych kursach, gdzie grupy były naogół liczniejsze — ponadto i stosownie do macierzystego gimnazjum... Na dorocznych zebraniach wybierano kierujących życiem grupy: delegata do Zarządu „Bratniaka”, zastępcę tegoż i skarbnika. Delegaci grup wzgl. ich zastępcy, tworzyli Zarząd korporacji całej, zbierający się w niedziele. W „Zarządzie” ześrodkowało się faktycznie kierownictwo życiem publicznym młodzieży polskiej w Warszawie i Zarząd był formalną reprezentacją jej ogółu wobec społeczeństwa. O wpływy więc w „Zarządzie” ubiegały się aspirujące o „rząd dusz” ideowe jednostki i grupy, a walka o stanowisko „prezesa Bratniaka”, t. j. przewodniczącego Zarządu, była próbą sił poszczególnych żywiołów. W początkach roku akademickiego 1897/8 — prezesem był „esdekujący” kol. Ulanowski. Ten jednak raczej parł do jaknajzupełniejszej demokratyzacji ustroju „Bratniaka”, niż do utrwalenia wpływów radykalnych. Natomiast, idący już konsekwentnie w kierunku poddania „Bratniaka” wpływom partyjnym i uczynienia zeń ekspozytury „Str. N. D.”¹⁾ względnie „L. N.”, pod którymi to inicjałami ukrywała się nabierająca rozmachu endecja, „narodowcy” obsadzili dwa bardzo wpływowe stanowiska w Zarządzie: sekretarza, który był równocześnie zastępcą przewodniczącego, oraz skarbnika. Sekretarzem został bardzo inteligentny, zręczny dyalektyk i nieporównany dyplomata na gruncie korporacyjnym — kol. medyk Krysiński, skarbnikiem zaś — kol. prawnik Majewski. Ten ostatni bardzo zręcznie potrafił stworzyć sobie wpływowy organ agitacyjny w postaci zebrań skarbników grupowych. Nadto „narodowcy” owdładnęli w tym czasie bardzo ważnym ośrodkiem życia młodzieży — kuchnią studencką, którą rozszerzono i przeniesiono do większego lokalu (Śto-Krzyska 16). Na gospodarza teje po obaleniu jej założyciela i kierownika, Kochanowskiego,

¹⁾ Inicjały Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego i Ligi Narodowej.

został obrany uprzedni prezes „Bratniaka“, „narodowiec“ i to „tem gorszy“, że nawrócony z „esdeków“ — później zasłużony działacz na polu kooperacji w Zagłębiu Dąbrowskim „kolega Pocięj“ — Wł. Podczaski.

Tak mniej więcej przedstawiały się stosunki między młodzieżą, gdy nasza „paczka“ przystąpiła do realizacji swego programu.

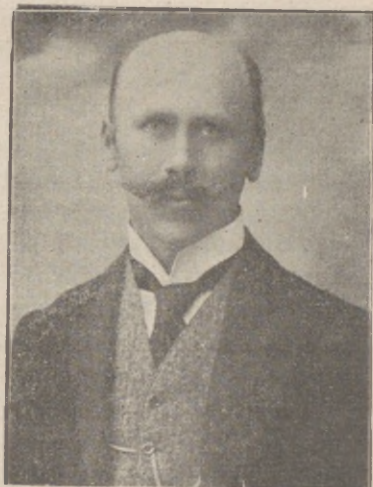
Przedewszystkiem zorganizowałem ową centralizację całego przyszłego naszego ruchu — grupę inicjatywy, a zarazem kierowniczą zamierzonymi pracami. Jako reprezentantów młodzieży uniwersyteckiej — zaprosiłem do niej Hornowskiego, Maro i „Dyzia“ — czwartym byłem ja. Przyszłą politechnikę reprezentowali radomiacy: Kamieński, późniejszy wojewoda łódzki i minister spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej, oraz wspomniani już „Harasim“ — Wacław Harasymowicz — późniejszy dzielny kierownik bojówki P. P. S. w czasie rewolucji 1905-9 roku — i organizator żandarmierji wojskowej Rzeczypospolitej.¹⁾ — Pozatem mieli wejść reprezentanci szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda, Instytutu w Puławach, oraz Szkoły Szttygarów w Dąbrowie Górniczej. Szkołę Wawelberga reprezentował Rożen — znany już czytelnikowi. Na delegata Szttygarów upatrzony był dzisiejszy reprezentant Rzeczypospolitej w Finlandji — Tytus Filipowicz. Ten jednak, zajmując już posadę, nie mógł przyjeżdżać do Warszawy. Zastąpił go więc Jan Rutkiewicz. Nie udało się zaś nam całkowicie nawiązać kontaktu z Puławami. Po niedawnych aresztowaniach wśród tamtejszych studentów²⁾ grunt dla konspiracji wśród puławskiej młodzieży polskiej — bardzo zresztą nielicznej, (niepełna 30 na kilkuset Rosjan) był bardzo niewdzięczny. Dodać przytem należy, że „puławiacy“ — w ogromnej większości synowie bogatych obywateli, nie byli wogóle podatnym materiałem na „pepesowców“.

¹⁾ Zmarł w początkach 1924 roku jako pułkownik wojsk polskich.

²⁾ Pod zarzutem szerszenia oświaty i propagandy politycznej wśród okolicznych chłopów aresztowani wówczas (rok 1896) i po przeszło rocznem więzieniu w cytadeli zesłani zostali do Rosji studenci: Dutkiewicz, bracia Duczymińscy, Galecki (późniejszy powieściopisarz Andrzej Strug), Hempel, Hummel, Hryniewiecki (zwarjował i popełnił samobójstwo w więzieniu), Pruszyński, Skowronek, Śmiechowski, Chomicz, Mączyński, Ciągłiński, Trenkner, Mickiewicz, Świeżawski, Szablowski — oraz chłopci: Poniatowski, Wójcikowie: Stefan i Filip, Sietnicki, Rejmak, Filipek, dwaj Brzeziczcy i in. Sprawa ta, głośna w tym czasie, jako „Sprawa puławskiej Oświaty Ludowej“, zasługuje na szersze omówienie, jako pierwsza, gdzie aresztowani byli pod zarzutem działalności politycznej chłopci-gospodarze. Pożądanem też byłoby, aby ktoś z uczestników napisał o niej wyczerpujące wspomnienia.

Skwitowaliśmy więc z Puław, a następnie i ze szkoły sztygarów. W tym bowiem czasie nieliczne kółko tamtejszych pepesowców — studentów (Ćwierciakiewicz, Ślaski, Rutkiewicz) wraz z Filipowiczem było ostoją i ośrodkiem całego ruchu robotniczego w Zagłębiu Dąbrowskiem. Po strejku w Hucie Bankowej, zakończonym tragicznie (strzały do robotników ze strony wojska — 7 zabitych, wielu rannych), masowe aresztowania i represje rozbiły to kółko. Rutkiewicz też musiał uciekać zagranicę, skąd po kilku latach powrócił, jako nielegalny działacz P. P. S. Odnowienie organizacji czysto studenckiej — jak to sprawdził na miejscu wysłany tam przez nas Maro — było bezcelowe i wobec tego, że warunki w szkole i po za nią nie miały wiele wspólnego z interesami czysto akademickimi. To też, po wyjeździe Rutkiewicza, biorącego zresztą w pracach naszych udział tylko dorywczy, koło nasze stało się terytorjalnym warszawskim. Uzupełnił skład jego jeszcze jeden radomiak — „Piguła“, młody aptekarz Gutwiński. Objął on „technikę“ organizacji naszej: wszelkie hektografy, mimeografy i t. d. Nadto apteka Malinowskiego na Nowym Świecie, gdzie pracował „Piguła“, stała się biurem organizacyjnym. — Tam można się było dowiedzieć o potrzebnych adresach, zostawić listy, tam była ekspedycja paczek z „bibułą“ oraz centralny punkt dla porozumienia się nas wszystkich. Pozatem Gutwiński miał swoją sferę „inteligentkich“ stosunków, które oddały nam następnie znakomite usługi przy urządzeniu własnych „składów“ bibuły, zajazdów i t. d.

Jako łącznika naszej organizacji z P. P. S. władze partyjne mianowały „tow. Władka“,¹⁾ o którym później jeszcze powiemy.



„Władek“ inż. Al. Malinowski,
czł. C. K. R. P. P. S.

¹⁾ Aleksander Malinowski.



Pierwsze zebrania naszej „Siódemki“, jak „Władek“ nazwał kółko, zeszyły na „zeszlifowaniu“ naszych poglądów. „Władek“ bowiem, acz podzielał nasz program w zasadzie, nie zachwycał się jego szczegółami. Wierzący wyłącznie w spisek i sam najbardziej konsekwentny konspirator, jakiego widziałem, sarkał on na „marnowanie“ sił, potrzebnych rewolucji, oraz powstawał na nasz udział w pracach kulturalnych, jakie wówczas przedsięwzięła inteligencja postępową w Warszawie (Krzywicki, St. Michalski, Stempowski, Heflich, Posner, Winnicki). „Władek“ uważał to za zaprzepaszczenie energii i zapалу młodzieży, która winna być wyłącznie rewolucyjna: „na kulturalne filisterstwa będzie czas na starość“ i t. d. Oczywiście, sam będąc bezkompromisowym partyjnikiem, ostro bardzo „Władek“ potępiał i naszą wspólną pracę z „esdekami“ w „Kole“, a z „narodowcami“, recte „ludowcami“, jak nazywano wówczas narodowców z pod znaku Załuski — w Tow. Oświaty Ludowej. Słowem, program nasz, przy którym jednak zwłaszcza Hornowski („wasze bhoszuhkowe kształcenie młodzieży — rzucał oburzonemu „Władkowi“ — jest niezhdhowe, trzeba bhać rzeczy głębiej“), Kamieński i ja mocno staliśmy, miał dla „Władka“ wiele stron słabych. Przeto dyskusje były zażarte. Sprawa komplikowała się jeszcze przez to, że „Władek“ — konspirator, nie znający kompromisów, unikał zebrań naszych („to tylko czcza gadanina“) i przeprowadzał dyskusje — trzeba dodać wyborne pod względem dyalektycznym — przeważnie z poszczególnymi członkami „Siódemki“. Zdarzało się więc, że często w szczegółach nawracał kogoś z nas na swoją wiarę. To znowu w składzie „Siódemki“ wywoływało tarcia, wymagające wygładzenia. Wreszcie, „zeszlifowaliśmy się“. „Władek“ skapitulował z krytyki całości naszego programu i nawet lojalnie popierał go na zjeździe partyjnym, acz długo jeszcze patrzył nań z niedowierzaniem. Myśmy zaś ustąpili na punkcie niedopuszczania młodzieży do roboty partyjnej wśród robotników. Praktycznie jednak pokierowaliśmy sprawę tak, że stało się to „prawem“, a nie „kategorycznym imperatywem“ studenta pepesowca... Z tego zaś prawa przez czas dłuższy korzystaliśmy wyłącznie: Hornowski, Rožen i ja. Inni siedzieli po uszy w „robocie“ studenckiej.

Prace podzieliliśmy odrazu. Hornowski wziął na siebie stosunki ze „społeczeństwem“. Stosunki te ułatwiało mu pokrewieństwo z czynnym bardzo i skupiającym u siebie na „Piątkach“ wszystkie żywsze jednostki Drem Bennim. Harasymowicz, Kamieński i ja, mieliśmy na głowie życie młodzieży: „Kolo“ i „Bratniak“. Rožen, będący prezesem „Bratniaka“

w szkole Mittego — agitację wśród uczniów tej szkoły. — „Dyzio“ wreszcie załatwił „wstrzykiwanie bibuły“ t.j. kolportaż wydawnictw P. P. S. Do rozpaczy też doprowadzał on gospodarza „kuchni“, kol. „Pocieją“, gdy zasiadłszy tam do herbaty — po kopiejce szklanka — spożywając niezmiernie ilości dodawanego gratis do obiadu i herbaty chleba (był to zresztą zazwyczaj cały jego obiad), na dobitkę „rozkladał kram z bibułą“ i to . . . socjalistyczną . . .

Do Zarządu „Bratniaka“ dostaliśmy się rychło, Kamieński i ja, jako delegaci grup swoich, Harasymowicz — jako zastępca. Tu, wspólnie z esdekami utworzyliśmy radykalną lewicę. Hasłem dnia naszej polityki było wyznaczanie pewnego odsetka dochodów kasy bratniackiej na więźniów politycznych, oraz opozycja przeciw już zaznaczającemu się krańcowemu nacjonalizmowi w życiu młodzieży. Wraz z częścią delegatów młodszych kursów, bardziej, jak to zwykle bywa, „gorących“, niż starsze, lewica nasza rozporządzała pokaźną liczbą głosów, zawsze mimo to pozostając w mniejszości. To jednak współnictwo nasze z „esdekami“ mocno sparaliżowało naszą robotę, jak to zresztą słusznie przewidywał „Władek“ w sferze studenckiej. Esdecy bowiem byli niezdolni do akcji pozytywnej, natomiast dostatecznie przeważali nas ilościowo, a nawet, jak na początek i jakościowo, ażeby udaremnić, względnie wyzyskać na swoją korzyść inicjatywę naszą.

Odczuliśmy to zaraz przy pierwszej próbie opanowania „Koła“ pod pozorem ożywienia jego działalności. Jako zaznaczający się wybitnie już w ruchu kółkowym (Radom wówczas w tej dziedzinie przodował prowincjonalnym gimnazjom z Królestwa), przyjęci zostaliśmy do „Koła“ od razu in gremio. Spotkaliśmy się natomiast z niespodzianką. „Esdecy“ ożyli! Z Kijowa przyjechał świeżo upieczony prawnik - esdek zawzięty, dawny zresztą kilińszczyk i jeden z przywódców „Koła“, zdolny, wybitny mówca i doskonały dyalektyk, a przytem wyrobiony partyjnie, Stanisław Koszutski.

Zastąpił on też jako przywódca grupy zacnego, całą duszą oddanego sprawie i pracowitego niezmiernie, ale zmęczonego już i „zdartego“ pracą Kochanowskiego i „zrobił ruch“. Przedewszystkiem, jeszcze przed naszym przyjęciem postanowili esdecy z jego inicjatywy właśnie, przekształcić „Koło“ na organizację młodzieży wyłącznie socjalistycznej i to przeciwstawiając wyraźnie „międzynarodowość“ — „narodowości“ a następnie opanować „Bratniaka“.

Po zmobilizowaniu wszystkich możliwie „kołowiczów“ zwołane zostało walne zgromadzenie „Koła“, na którym myśmy wystąpili poraz pierwszy. Koszutski wygłosił referat — nad którym dyskusja się zaciągnęła gorąca. Po namiętnych rozprawach, ogromną większością głosów przeszła rezolucja programowa „esdeków“, która mimo naszych poprawek nadała „Kołu“ — czysto socjalistyczny charakter. Wówczas „ludowcy“: Żaluska, Sochaczewski, Sadzewicz, Kuśnierczyk i kilku jeszcze innych, opuścili zebranie, występując z „Koła“. Nam pepesowcom pozostała bardzo niewdzięczna rola prawicy narodowej i to w znacznej mniejszości (10 na 50 kilku). Zaledwie też z wielką trudnością dostaliśmy się we dwóch: Hornowski i ja — do Zarządu „Koła“, w którym większość tworzyli esdecy: Koszutski, Kochanowski, Chwalewik, Wejgelt, oraz „esdekujący“ Ulanowski.

Praca też nasza w „Kole“ nie była wdzięczną. Wszelkie wnioski praktyczne, zmierzające ku moralnej i materialnej pomocy P. P. S., czy nawet „ruchowi robotniczemu“, były utracane, tak samo, jak kolportaż „Robotnika“, „Przedświtu“, „Światła“ i t. d. Większość bowiem Zarządu — wiernie stała na stanowisku zdecydowanej opozycji przeciwko „drobnomieszczańskiemu socjalpatriotyzmowi“ i propagowała międzynarodowe braterstwo proletariatu, idealizowała nieistniejący wówczas rewolucyjny ruch rosyjski i czekała wznowienia organizacji „S. D.“.

Natomiast „Koło“, nawet i w ówczesnym swoim składzie, miało duże zasługi na polu organizowania ruchu umysłowego wśród młodzieży. Wykłady, wchodzące w zakres latającego Uniwersytetu, o którym powiemy dalej obszernie — L. Krzywickiego, Mahrburga, Ign. Matuszewskiego — były wypełniane przez „kołowiczów“, którzy też czynny brali udział w tym osobliwym „Uniwersytecie“.

Dalej — nie można również odmówić dużych zasług „kołowiczom“ — a zwłaszcza Kochanowskiemu, Rudzkiemu, Chwalewikowi — przy zorganizowaniu zaczątków dzisiejszej „Biblioteki Publicznej“. Zbierali oni pracownicy książki i fundusze, obsługiwali publiczność, gdy na czas jakiś udało się pod firmą prywatną czytelnię i bibliotekę od czasu do czasu puścić w ruch. Pracowali kołowicze w czytelniach bezpłatnych W. T. D. i t. d. Czuwało też bacznie „Koło“ nad etyczną stroną publicznego życia młodzieży. Jedno z jego wystąpień w tej dziedzinie — miało bardzo doniosłe skutki w życiu młodzieży.

Jakoś, w końcu października, przeglądając w czytelni gazety rosyjskie i studując opisy uroczystości z powodu położenia kamienia węgielnego

pod pomnik Murawjewa-Wieszatela w Wilnie, wśród depesz i adresów, nadesłanych do Komitetu budowy, znalazłem jedną — „od Warszawskiego Cesarskiego Uniwersytetu, na imię Kuratora Wileńskiego Okręgu Naukowego“. Tekst depeszy, który natychmiast zanotowałem, brzmiał: „Duszą łączymy się z obecną uroczystością rozpoczęcia budowy pomnika dla wielkiego męża Rosji, hr. M. N. Murawjewa, który wyzwolił kraj Północno-Zachodni z niewoli polsko-katolickiej i utwierdził przekonanie, że kraj ten był i jest czysto rosyjski. Niech będzie błogostawiona pamięć wielkiego człowieka rosyjskiego, hr. M. N. Murawjewa“. Podpisali to orędzie profesorowie: Karskij, Smirnow, Grot, Kułakowskij, Filewicz i Ziłow. Akurat dnia tego wypadło plenarne posiedzenie „Koła“. Porozumiałem się na poczekaniu z bliższymi kolegami-radomiakami i po wyczerpaniu porządku dziennego — odczytałem odpis tej depeszy i zakomunikowałem, że w ciągu dni najbliższych wszyscy wymienieni panowie zostaną solennie obici przez grupę kolegów we własnych mieszkaniach, lub też na ulicy. Prosiłem o zatwierdzenie tej inicjatywy przez „Koło“ i o podpisanie odpowiedniej odezwy, zawierającej komunikat o „laniu“ i wyjaśniającej tegoż powody. Równocześnie zaproponowałem tekst odezwy.

Zaczęła się dyskusja. Wszyscy bez mała starsi przemawiali contra. Sam fakt depeszy uznawano za ohydny i wymagający zareagowania ze strony młodzieży. Reakcja ta jednak — jak zaznaczano — nie może nosić charakteru tak sztabacko-chamskiego, jak proponuje wnioskodawca, którego szlachetne oburzenie jest zrozumiałe zupełnie, niemniej trzeba się liczyć z powagą, z tradycjami akademickimi... i t. d. i t. d. Słowem, przy pochwałach zekpano wnioskodawcę, co się zowie. Po dłuższej wreszcie dyskusji — olbrzymią większością głosów odrzucono projekt obicia „murawjewszczyków“ — profesorów. Natomiast uchwalono wydać odezwę w imieniu ogółu młodzieży; a w odezwie tej energicznie napiętnować czyn politykujących profesorów. Redakcję odezwy powierzono kol. Ulanowskiemu, przysięgłemu autorowi wszystkich enuncjacji ze strony młodzieży. Odbiciem jej na hektografie miał się zająć Stan. Brzozowski.

Na takim proteście postanowiono zaprzestać, ani przewidując, że będzie to zawiązek całej masy skomplikowanych wydarzeń w życiu młodzieży warszawskiej.

Opuszczaliśmy zebranie „Koła“, my niedoszli „mordobójcy“, mocno skwaszeni. Przy tradycyjnym zaś „kubelku piwa“ po kielbasie z ka-

pusztą u Wróbla — niezadowolenie wybuchło w całej pełni. „No tośmy wpadli nie w swoją kompanię — wiecie co, jeżeli te esdeki będą tak dalej br... to już idźmy lepiej z patryjotami“ — perorował „Harasim“ — zawsze będący zwolennikiem „akcji czynnej“... „Co u diabła? Na święstwa mamy odpowiadać manifestem — może jeszcze wiersze zacniemy o tem pisać“? — dodawali inni i t. d.

Słowem, niezadowolenie z zamierzonej akcji protestowej, jako niedostatecznej, pozwalało wnosić, że na niej się nie skończy.

Doszło zaś ono do szczytu, gdy ukazała się odezwa. Redakcja jej i wydawcy — w dodatku palnęli kapitalne głupstwo, zamieszczając równolegle z nią rosyjski przekład, co wywołało słuszne zresztą oburzenie u „narodowców“ w „Bratniaku“. Tekst jednak odezwy, napisany ładnie i z mocą piętnujący wystąpienie sześciu profesorów, zrobił swoje. Ogół młodzieży był poruszony do głębi.

Pierwszego też dnia po przerwie na „Wszystkich Świętych“, zupełnie spontanicznie wybuchły „awantury“. Kilku kolegów, zupełnie poza „Kołem“ stojących, jak — filolog Michalski, dziś wizytator szkół, medycy: Fliski, Nelken, prawnik Lewinson, bardzo zdolny, ulubieniec wówczas prof. Struvego, który wróżył mu świetną przyszłość jako filozofowi, a następnie „tow. Andrzej“ z 1905 r., dziś — jeden z wodzów międzynarodowego bolszewizmu, i pono kilku jeszcze nawet już kołowiczów: Chwalewik, Gąsiorowski, Brzozowski wreszcie, no i oczywiście nasi „radomiacy“ zaimprovizowali manifestację. W dniu tym w jednym z większych audytorjów wypadł wykład Historji Rosji Filewicza — dla filologów i prawników I. kursu. Aula niespodzianie wypełniła się po brzegi studentami wszystkich wydziałów i kursów. Wchodzącego Filewicza powitano gwizdaniem i krzykami „Won!“, „Precz“, „Murawjewszczyk!“, „podlec“ i t. d. Moskale zaczęli walić brawo, — zagłuszone zresztą tupaniem, gwizdem, krzykami i biciem w pulpity. Wszystko jednak ma swój koniec. To też i po paru minutach tłum ruszył z okrzykami i gwizdaniem z audytorjum. Filewicz, uprzedzony zresztą przedtem o manifestacji, przybrał bohaterską pozę i z ironją patrzył na wychodzących. „Wot poslednije konfiedieraty, propawszej szlachietskoj wolnosti“¹⁾ — rozpoczął po ich wyjściu przemowę do pozostałych moskali i żydów. W przemowie tej dziękował za okazaną „dielu“²⁾ sym-

¹⁾ „Oto ostatni konfederaci zaginionej szlacheckiej swawoli“.

²⁾ Sprawie.

patję, wezwał do łączenia się i wytrwałej walki o mocne stanowisko Rosji w Priwislinskim kraju i t. d. Nie skończyło się na tem!..

Na drugi dzień poważniejsza już awantura wypadła na wykładzie Ziłowa. Z obu stron, i polskiej i rosyjskiej, przygotowywano się mocno. To też, gdy na katedrze zjawił się blady, jak trup, Ziłow — ogromne, amfiteatralnie zbudowane, audytorjum zawrzało piekielnym hałasem. Gwizd, wrzask, tupanie — okrzyki, te same, co wczoraj „na Filewicz”, zagłuszyły oklaski, któremi witali go przezornie zajmujący „ławą” pierwsze miejsca moskale i żydzi rosyjscy. Pocieszenie wyglądała w tem piekle — długa, chuda postać profesora, któremu koledzy nakazali trwać „do licznawo oskorbleńja”.¹⁾ Oczekując też jakiegoś gwałtu, nieborak, heros malgrè lui — blady, wystraszony, nerwowo zwracał twarz, to na prawo, to na lewo — łypiąc oczami i trzęsąc brodą pocieszenie. W auli tymczasem powoli harmider przeobraził się w odwieczny puszkowski „Spor sławian między soboju”²⁾ — „Podlecyc lachi do liasu!” „Zasranyje konfiedieraty” — wrzeszczał blok rosyjsko-żydowski. „Murawjew-szczyki!” — „Do Kamczatki złodzieje moskale!” — „Żydy won!” — „Zadast wam buntowszczyki, naczałstwo!” „Mordy pobijem sk... synom moskalom!” i t. p. skrzydlate hasła i zapowiedzi krzyżowały się na tle hałasu... Wreszcie — sytuacja rozwiązała się samorzutnie — Sławkowi Rudzkiemu przychodzi myśl genialna... zaczyna ściągać siedzącemu obok „Sieniowi”... kalosz z nogi. „Dam draniowi nim w mordę” — krótko rozprasza zdumienie i chęć oporu właściciela kalosza. Amatorów — jednak „sui generis” „dyskobolów” znalazło się więcej... Kalosz przechodzi z rąk do rąk ...i wreszcie „Siarą” — Janek Maro — ciska go we wroga. Efekt był natychmiastowy. Kalosz zakreśla łuk w powietrzu i pada z trzaskiem na pulpit. Ziłow, doczekawszy się snąć w swem przekonaniu nareszcie sakramentalnego „licznawo oskorbleńja” — ucho-dzi, niby wichrem zmieciony. Przez chwilę widać go, jak zgięty w pałąk, z głową, okrytą, nie tyle togą, ile mundurowym frakiem, sady pocieszniemi skokami do drzwi laboratorjum — i tam znika.

To nie wyczerpało zaimprovizowanego programu. Roznamiętnienie trwało i historyczny „spor sławian między soboju” już miał przejść w zwykły sztubacki „kops”, przyczem dobrze poszwankowanoby moskali i żydów... Nagle — na opuszczonem przez Ziłowa stanowisku ukazała

¹⁾ Do znieważenia osobiście.

²⁾ Spór sławian między sobą.

się wyniosła postać rektora. Zjawisko było tak niespodziane, że tłum buszujący zamilkł. Zenger przemówił. Mówił on długo i pięknie o powadze chramu wiedzy, obrażonego przez gwałt nad jej kapłanem, o wolności przekonań, o przeżytkach dawnych różnic, co dziś rozdzielają jeszcze społeczeństwa, spojone jednością kultury, o zdobyczach XIX wieku i t. d. i t. d.

Mowa rektora załagodziła sytuację. Przedewszystkiem dla pierwszoročzników, a z tych w $\frac{3}{4}$ składało się audytorjum, był on „władzą“, której z przyzwyczajenia słuchało się z uwagą. A przytem mówił pięknie i w formie i treści. To też rozlegające się z początku okrzyki treści zasadniczej: „Precz!“ „Dosyć!“ „Precz z Zengerem“, powoli przeszły w bardziej kompromisowe: „Przysyłaj Pan nam profesorów a nie czynowników“ — „Murawjowszczyki obrazili naukę“ — i cichły. Mniejszość narodowa audytorjum t. j. moskale i litwacy, zaczęli się ulatniać przez drzwi laboratorjum za katedrą, na której stał perorujący rektor. Ogół zaś uspokoił się zupełnie. To też „buntowszczyki“, usłyszawszy finał mowy, że wszelkie słuszne skargi na profesorów będą zawsze rozpatrzone, ale brutalne i gwałtowne wystąpienia, pociągną za sobą bolesne skutki dla samych sprawców, a nadto osłabią doniosłość ich stanowiska — pożegnali rektora gwizdaniem i opuścili audytorjum.

Czterem pozostałym „murawjowszczykom“ — filologom, a więc wykładającym w bardzo szczupłych audytorjach, i zresztą — nieznanym ogółowi zupełnie, dano spokój.

„Ziłowszczyzna“, jak nazwano odrazu opowiedziane zajście, była wydarzeniem zwrotnem w życiu młodzieży warszawskiej. Przedewszystkiem, przywróciła ona studenterji utracony po represjach, związanych z „Kilińszczyzną“, charakter ośrodka opozycji politycznej. Następnie, rozgłosem swym, zatarła nieco fatalne wrażenie „dni, sierpniowych“ Warszawy. Bądź co bądź, w stolicy zaboru rosyjskiego miała miejsce manifestacja polityczna antyrosyjska.

Tak też rozumiały charakter zajęć uniwersyteckich decydujące czynniki władz. Generał-gubernator, książę Imerietiński, nadzieja ugodowców i przedstawiciel kursu — „w rękawiczkach“, wezwał natychmiast do siebie osobistości, które zaznaczyły się w ostatnich czasach wpływem swym na społeczeństwo, zażądał wyjaśnień i polecił uspokoić młodzież. Powołani „notable“ znaleźli się bardzo przyzwolicie: odrazu przeszli do ofensywy, skarżąc się na sprowokowanie młodzieży przez politykujących profesorów. Niemniej, zobowiązali się młodzież

uspokoić i zwrócili się do Zarządu „Bratniaka“, jako do reprezentacji młodzieży. Nastąpiły układy. Młodzież przede wszystkim odrzuciła a limine wszelkie rozmowy z przedstawicielami t. zw. ugody. Natomiast odbyła cały szereg posiedzeń z przedstawicielami innych prądów, jak redaktorowie: Nowodworski, Libicki, lub Al. Świętochowski, Tadeusz Korzon.. Akcją swoją przedstawiciele społeczeństwa poprowadzili nader zręcznie. „Obrażono nasze uczucia narodowe. To ująć bezkarnie nie mogło. Młodzież zaprotestowała — cześć jej! Lecz młodzież zrobiła już swoje — teraz kolej na społeczeństwo. Ono obowiązane jest dać stypendja ofiarom represji, które niechybnie nastąpią, jako odwet za patryjotyczne wystąpienie młodzieży“.

W krótkim też czasie zebrano kilkanaście tysięcy rubli, które prze-lano do kasy „Bratniaka“, jako fundusz stypendjalny, będący w rozporządzeniu Zarządu. Utrwaliło to ostatecznie powagę „Bratniej Pomocy“, jako jedynej prawowitej reprezentacji uniwersyteckiej młodzieży polskiej, a jednocześnie dało poważny argument za uspokojeniem.

A nie było ono łatwe. „Ziłowszczyzna“ rozległa się echem donośnym wśród ówczesnej młodzieży akademickiej. Ze wszystkich kolonji polskich w Rosji, od korporacji młodzieży akademickiej z Krakowa, Lwowa i zagranicy, przychodziły adresy i słowa uznania... Adresy również przysłali studenci gruzińscy, radykalne koła rosyjskie...

Młodzież więc, podniecona uznaniem, gotowa była iść dalej, zwłaszcza, że podrażnienie przeciwko żydom-litwakom i Rosjanom nie ustawało, a na dobitkę zaczęły się represje.

W Uniwersytecie z wielką paradą, na korytarzach wszystkich bodaj gmachów, wywieszono listę wybranych na chybił-trafił winowajców, których wzywano przed oblicze sui generis „Rady Trzech“, składających Sąd Uniwersytecki. Zarząd „Bratniaka“ ułożył formułę oświadczenia dla podsądnych, w duchu właśnie dorobionej przez „narodowców“ ideologii zajść. Formułę też tę przeważnie stereotypowo powtarzali wezwani — nie udzielając żadnych wyjaśnień. Oczywiście — znaczna część ograniczała się kategorycznym oświadczeniem, że na zajściach nie była. Ci też zostali uniewinnieni. Inni urządzali kawały, wyciągając sędziów na dyskusje, do których zwłaszcza sekretarz sądu, zjadliwy i żmindowaty prof. encyklopedji prawa i prawodawstw słowiańskich, Ziegel, był chętny.¹⁾ Tym kary obostrzono.

¹⁾ Zabawny n. p. dialog poprowadził Ziegel z jednym studentem-kresowcem. „Co Pana skłoniło do protestu?“ — „Przedewszystkiem, osobista pretensja“, — „A cóż

Wyrok był salomonowy: winnymi „bez żadnych łagodzących okoliczności“ sąd uznał 128 studentów, których podzielił według lat pobytu w uniwersytecie na 3 kategorie. Należący do tych kategorii zostali wydaleny z uniwersytetu na terminy od roku do trzech. Wyrok ten jednak długo czekał na zatwierdzenie, tułając się po urzędach aż do Ministerjum. Zagrożeni zaś wydaleniem — spokojnie siedzieli w Warszawie — „społeczniując“, boć o nauce niepodobna było myśleć. Podczas tego ostrej nastroj w „uniwerku“ trwał. Zanosilo się na dalsze protesty przeciwko represjom.

Życie korporacyjne zabiło dawno niewidzianem w Warszawie tętnem. Zwłaszcza, że zajścia ostatnie wysunęły nieco świeżych jednostek, które, jako odgrywające w nich wybitniejszą rolę, zyskały od razu dużą popularność. Takimi np. byli skromni dotąd delegaci grupowi do Zarządu „Bratniaka“ — wspomniani już inicjatorowie awantur — Lewinson i Brzozowski Stanisław, którzy wnieśli w dyskusje „Bratniaka“ a następnie i „Koła“, wiele inteligencji i temperamentu.

Wzburzenie stopniowo słabło. Pracowało nad tem, zarówno „Koło“, które wszelkimi siłami starało się zapobiec „russenhecy“ i „judenhecy“ t. j. wystąpieniom antyrosyjskim i antyżydowskim na uniwersytecie, a nadto którego „międzynarodowy“ Zarząd był zaskoczony patryjotyczną manifestacją, jak i Zarząd „Bratniaka“, kierowany przez „narodowców“. Ci manifestację, jak widzieliśmy zaimprovizowaną samorzutnie — wzięli na swoje sumienie. „Młodzież nie mogła ścierpieć, zarówno prowokacyjnego wystąpienia profesorów moskali“, jak i bardziej bodaj jeszcze prowokacyjnej reakcji na to ze strony kolegów — „międzynarodowców“ którzy pozwolili sobie na wydanie rosyjskiej odezwy „w imieniu młodzieży polskiej“ — taką była geneza „Ziłowszczyzny“ w przedstawieniu historjoficznym narodowców. „Patryjotyczna młodzież polska — mówiono dalej — zareagowała na te prowokacje, patryjotyczne społeczeństwo

też Łaskawemu Panu osobiście zawinił hr. Murawjew — czy też jego pomnik?“ — „Pomnik nic — zwykły bałwan, który swego czasu będzie obalony. Ale Murawjew sporo“. — „No?“ — „Powiesił mego dziadka“. Innego znów — owego właśnie poszkodowanego na kaloszu — „Sienia“ kol. St. Sienkiewicza — zaczął przewodniczący Sądu, prof. Azarewicz, przekonywać o słuszności wysłania depeszy. „Więc dlaczego pan nie podpisał?“ pyta „Sienio“. „A dlatego — panie studencie — że o depeszy nie wiedzieliśmy, bo gdybyśmy wiedzieli, to na depeszy nie sześć, lecz sześćdziesiąt sześć podpisów byłoby. I co pan na to powie?“ „To tylko, że ani jeden uczciwy człowiek by jej nie podpisał“... Itd.

stanęło za młodzieżą, tworząc drogą podatku narodowego stypendja dla ofiar represji za protest“.

Jak widzimy, „narodowcy“ po opuszczeniu „Koła“ potrafili umiejętnie uderzyć na pozostałych w niem „międzynarodowców“ i trzeba powiedzieć, że doskonale wyzyskali ich błędy dla wzmożenia swego wpływu wśród młodzieży.

Pomocą dla nich były również represje, które spadały na „międzynarodowców“. — Opuścić musieli uniwersytet wybitniejsi członkowie „Koła“: Gąsiorowski Zygm., Kasperski, Okuszko, Brzozowski... Z wyjątkiem ostatniego, który na swoje nieszczęście pozostał w Warszawie, inni wyjechali, jako stypendyści „Bratniaka“, na studia zagraniczne. Nasze pepesowskie koła zostały nietknięte. Otrzymali coprawda wyrok banicji na 1 rok — członkowie siódemki — Harasymowicz, Kamieński i Maro, ale banicję tę złagodzano im, tak samo, jak wszystkim bez wyjątku pierwszorocznym, na „wygawor“¹⁾).

W trakcie tego wszystkiego stopniowo wyczerpywało się rozamiętnienie młodzieży, a ferje i następnie karnawał uniemożliwiły wszelkie wystąpienia. Życie akademickie weszło w swoją kolej. Po dawnemu poszła praca pokojowa w grupach bratniackich, na komisyjnych i plenarnych zebraniach „Koła“, na wykładach, podziemna robota w kółkach tajnych, różnego rodzaju, akademickich i pozaakademickich itd.

Jako jeden z zasadniczych rysów ówczesnego życia publicznego młodzieży, muszę raz jeszcze podkreślić ścieranie się w jej łonie prądów „międzynarodowego“ i „narodowego“, przyczem narodowy szedł od pozaakademickich kół, organizującej się wówczas intensywnie Narod. Demokracji i przybierał coraz bardziej charakter antyrewolucyjny. W sferę oddziaływania ideowego tego prądu wpadali coraz bardziej „ludowcy“, którzy opuścili „Koło“. Samo natomiast „Koło“, organizacja „międzynarodowców“, t. j. ściśle mówiąc socjalistycznej młodzieży, zaczęło reprezentować monopol rewolucyjnego pierwiastka w życiu młodzieży. My, pepesowcy, znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia. Zbyt słabi liczebnie i powagą („pierwszoroczne szczeniaki będą nam tu dyktować“) byliśmy na to, ażeby samodzielnie występować. Jako socjaliści i członkowie „Koła“, musieliśmy w sprawach studenckich iść razem z esdekami. Natomiast wiele robót praktycznych (oświata ludowa, kolportaż bibuły patryjotyczno-radykalnej i powstańczej i t. p.) wiązało nas z „ludowcami“. W Tow.

¹⁾ Nagana.

Ośw. Ludowej mieliśmy naszych ludzi bliżej lub dalej stojących od „siódemki“, a energią tam wyróżniał się radomiak „Żedzio“. Był to syn chłopski i ludowiec całą duszą — kol. Zasada, mający rozległe stosunki wiejskie w Radomskim. Wiele też z pośród „ludowców“ i „patrjotów“, jak Zapasiewicz, Ponikowski, Brzeziński — prowadzący robotę w szkole Mittego, Szerypo, a z poza stosunków studenckich zacni dr. Męczkowski, St. Sempołowska i Kaz. Łazarowicz, znajdowali się w stałym z nami kontakcie. Zwłaszcza zaś ceniliśmy osobiście przywódcę ludowców, poważnego medyka — Zaluskę, z którym kontakt podtrzymywałem w sprawach nielegalisztyny osobiście.

Mimo to wszystko, związani z „Kotem“ organizacyjnie i przegłosowywani, zarówno w Zarządzie, jak w plenum, w sprawach polityki akademickiej, szliśmy razem i razem braliśmy w skórę. Zawsze jednak jeszcze „Kolo“ było w ofenzywie, dążąc do opanowania życia publicznego młodzieży i wydarcia steru opinji studenckiej z rąk poza uniwersyteckich żywiołów endeckich.

Wreszcie zasadniczy błąd „Kola“, który w rezultacie „położył“ wpływy jego na życie młodzieży ostatecznie, zmusił nas do zupełnego wyemancypowania się naszej grupy ze stowarzyszenia i umożliwił pójście właściwą drogą, na którą wstąpiliśmy o dobrych kilka miesięcy zapóźno i wiele musieliśmy odrabiać. Powodem usunięcia się naszego od prac „Kola“ była jego taktyka podczas wyborów prezydium „Bratniaka“ — wiosną 1898 roku.

W Zarządzie „Bratniaka“ kołowicze wraz z nami mieli znaczną mniejszość. Lecz również większości nie mieli i „narodowcy“, skupieni przeważnie na wyższych kursach. Decydowały więc żywioły bezbarwne, nienależące do żadnego obozu i mało wogóle krytyczne. Pozycja narodowców przy nadchodzących wyborach była osłabiona nieco dwulicową ich polityką po „Ziłowszczyźnie“. W początkach propagowali oni dalszą walkę i protesty przeciw represjom, następnie jednak — pod wpływem żywiołów partyjnych z poza młodzieży — zupełnie zresztą słusznie — opowiedzieli się za spokojem. Nie chcąc więc na razie zbyt ryzykować, narodowcy postawili jako kandydata na prezesa — ówczesnego del. III kursu prawa, dziś senatora — St. Kasznicę. Była to kandydatura kompromisowa. Myśmy również byli za kompromisową kandydaturą, wysuwając delegata IV kursu medycyny — St. Kozłowskiego. Był to starszy już kolega, skończony przyrodnik petersburski, energiczny i wyborny korporant, radykał-patrjoła bezpartyjny. Jednak większość



Grupa wybitniejszych działaczy „Koła” w r. 1897.

Górny rząd: St. Wejgelt, Wł. Gańtorowski, J. Hornowski, J. Kochanowski, St. Koszutski, P. Rudzki, J. Maro.
 Dolny rząd: E. Chwałewik, Z. Gańtorowski, K. Kasperski, J. Klodt, J. Meyer.

„Koła“ postanowiła opanować całkowicie prezydium, nie wdając się w żadne kompromisy. Większość ta była tak przeważająca, że nasz wniosek nie był nawet szerzej omawiany. Dzięki też bardzo umiejętnej agitacji wśród bezpartyjnych delegatów, niewielką większością przeszli po uporczywej walce: na prezesa St. Wejgelt, na sekretarza zaś — Edw. Chwalewik, obaj członkowie zarządu „Koła“ i firmowi „esdecy“. Skutki tego zwycięstwa były dość opłakane. Zacny, inteligentny, lecz jako przewodniczący zebrań — niedołączny Wejgelt, nie był w możności poradzić sobie ze złośliwą i niezmiernie umiętną opozycją umiarkowanego odłamu. Z drugiej zaś strony we wszystkich grupach szła agitacja przeciw „zalachom na narodowy charakter „Bratniej pomocy“ ze strony „międzynarodowców i żydów“. Dość, że po paru tygodniach kilkunastu delegatów wniosło votum nieufności dla prezydium — jako nieudolnie prowadzącego sprawę korporacji. Wejgelt i Chwalewik podali się do dymisji. Na nowych wyborach przeszła kompromisowa kandydatura St. Brzozowskiego.

Ten wybór okazał się, niestety — jeszcze nieszcześniejszym. Po kilku miesiącach ujawniło się, że prezes zdefraudował pieniądze korporacyjne — wybuchł skandal.

Mieliśmy już dosyć tego nieudolnego machiawelizmu na gruncie polityki studenckiej. Zresztą, już teraz czuliśmy się dość silni na to, ażeby wyzwolić się z pod supremacji starszych kolegów „esdeków“, i wystąpić samym z polityką własną na gruncie młodzieży. Wpływ naszych ludzi w „Bratniaku“ wzrastał, skupił się zastęp sympatyków, z obozu esdeckiego przechodziły do nas żywsze jednostki, jak np. Nelken — późniejszy „tow. Otton“, Rudzki — bardzo zasłużony w pracy oświatowej, w czytelnich W. T. D. oraz jeden z założycieli Biblioteki Naukowej — zawiązku późniejszej Biblioteki Publicznej i kilku innych. W tymże czasie zaszła zmiana i w stosunku naszej Siódemki do partji.

W początkach r. 1898 zmuszony był opuścić Warszawę „Władek“, nasz łącznik z Centralnym Komitetem Robotniczym P. P. S. Miejsce jego zająłem ja, pozostawiając w swych rękach i kierownictwo robotą studencką. Dla prac naszych było to bardzo korzystne. Zyskiwaliśmy bezpośredniość stosunków ze „szczytami“ partji, a nadto ustawały dawne tarcia. „Władek“, konspirator nieco starszej daty szkoły rosyjskiej, był, o ile chodziło o robotę studencką, wymagającą „szerszego gestu“, przesadnie ostrożnym. Jak ognia też bał się masowego kolportażu bibuły, którą wydzielał nam osobiście i to bardzo skąpo — a przymem

z obawy przed „zabagnieniem ideowym“ — często stawiał przeszkody pracom „kulturalnickim“, zazdrośnie odbierał lub też lekceważył stwarzane przez naszych ludzi „stosunki inteligenckie“ przedewszystkiem zaś, co było wobec poziomu inteligencji i wyrobienia naszych ludzi anachronizmem, zachowywał przesadną konspiracyjność w sprawach publicznych.

Teraz nasza „Siódemka“ i pozostające pod jej kierownictwem koła młodzieży stały się zupełnie odrębną i samodzielną w swych sprawach gałęzią P. P. S. Utworzyliśmy własne składy „bibuły“, własne mieszkania konspiracyjne i zajazdy, kasowość, wpłacając do kasy partyjnej ryczałty i regulując należność za bibułę, czy też wpływy na partję większemi sumami. Następnie zaś, wprowadzenie w życie całości naszej taktyki, dało możność szerszej pracy agitacyjnej i propagandy etycznej w kołach młodzieży. Szybko też wytwarzał się zastęp młodzieży radykalno-patryjotycznej o orientacji niepodległościowo-rewolucyjnej. Wśród tego zaś zastępu dojrzewały jednostki żywsze, przygotowujące się do roboty partyjnej. Efekt był bardzo dodatni. W całej zaś pełni ujawnił się on później, gdy po swym pogromie w roku 1900 — P. P. S. znalazła przygotowane rezerwy, któremi wybornie mogła wypełniać luki organizacyjnie przez cały okres lat 1901—1905, a następnie przeżyć ciężką rewolucję. Narazie jednak zaznaczał się on przedewszystkiem wzrostem dochodów partji z Warszawy, których lwią część plynęła przy pomocy młodzieży, oraz ożywieniem życia akademickiego. W życiu tem jednak, w tym właśnie czasie (początek roku akademickiego 1898/9) spotkał nas cios dotkliwy przez masowe aresztowanie mohikanów patryjotyczno-rewolucyjnego ruchu. Było to „Koło Oświaty Ludowej“, prowadzone doskonale przez dzisiejszego posła Jana Załuskę.¹⁾ Skupieni tam „Ludowcy“, aczkolwiek już wciągnięci do organizacji N. D. i w stosunkach

¹⁾ „Wsywa“ ta nastąpiła wskutek aresztowania a następnie i „rozklejenia się“ młodego lekarza Grzegorzewskiego. Aresztowani wówczas zostali: Załuska, Hirszowski, Jaźwiński, Sochaczewski, Sądzewicz, Bizozowski, Ulanowski, Szacillo, Szudejko, Słoński, Zapasiewicz, Psarski, Zasała, Matraszek, Pomper, Jastrzębski, Kasznica, Egerszdorf, Podczaski, Pulke, Rudnicki, Majewski, Kuśmierczyk, Chelstowski, Fusecki, Truszkowski, Krysiński, Zajewski, Kowalski — wszystko studenci uniwersytetu — poza tem zaś ucz. szkoły Mittego — Kraszewski, ucz. szk. handl. Dmochowski, ucz. gimn. Grabowski, kleryk Ossowski, nauczyciele: Pieczynis, Sokołowski, Sosiński, urzędnicy prywatni: Hirszel i Mieczyski — a nadto stud. uniwersytetu w Dorpacie — Hagmajer. Tych przynajmniej mam zanotowanych — więcej przypomnieć sobie nie mogę.

studenckich idący w duchu jej wskazań, nie mniej dzięki swej praktycznej robocie konspiracyjnej byli nam bliscy. Wielu też z ludzi, objętych naszymi stosunkami, pracowało w „Oświacie“, a wszystkie bez wyjątku skupienia młodzieży gimnazjalnej i akademickiej lub też inteligentki, na które wywieraliśmy wpływ, robotę oświatową popierały gorąco. Późniejsza też wspólna praca z „ludowcami“ nie była wykluczona z naszych zamiarów. Na razie zaś, jak już zaznaczałem, utrzymywaliśmy przyjazne stosunki. To też sprawa „Oświaty“ dotknęła i nas bezpośrednio: aresztowani zostali wchodzący w nasze stosunki: Mieczynski, Matraszek i Pomper — dwaj ostatni — dawni „kółkowicze“ gimnazjum Radomskiego. Najdotkliwszą jednak stratą było dla nas aresztowanie „Żedzia“ — Władka Zasady, na którym pokładaliśmy wielkie nadzieje — jako na przyszłym działaczu chłopskim P. P. S., do czego i sam on rwał się i wykazywał wydatne zdolności. Wsypa „Oświaty“ była fatalna, aresztowani bowiem wszyscy nieomal otrzymali wyroki zesłania do Rosji i uniwersytet musieli opuścić.

Z „wsypą“ tą ściśle połączona jest smutna „afera szpiegowska“ Stanisława Brzozowskiego, najwybitniejszego bez kwestji umysłu z naszego pokolenia. Wiele już o niej pisano. Niemniej, może nie będzie zbytecznem dorzucić kilka szczegółów do wyjaśnienia tej straszliwej tragedji człowieka o wybitnym intelekcie, ale niezwykle słabym charakterze.

Syn „wysadzonego z siodła“, t. j. pozbawionego majątku, obywatela wiejskiego z Lubelskiego, Brzozowski — zdaje się i obciążony nieco dziedzicznie — rósł w nędzy i w warunkach jak najnienormalniejszych. Kształcił się w gimnazjum początkowo w Lublinie, a następnie bodaj w Nieżynie. Wstąpił bardzo młodo na wydział przyrodniczy w Warszawie. Niezmiernie sympatyczny osobiście, najlepszy kolega, a przytem zdolny niezwykle, stał się bardzo szybko popularnym wśród młodzieży. W obcowaniu z nim uderzało przesiąknięcie kulturą rosyjską. Cytował całe strony Uspieńskiego, Sołowjowa, Sieczenowa, Pisarewa i zachwycał się rosyjskiem życiem. Z przekonania był krańcowym socjalistą, co zresztą nie przeszkadzało mu należeć do kół patriotycznych. Po bliższem poznaniu, uważnego obserwatora nieco raziły: jego nałóg kłamania, często bez potrzeby, obok wybryków bardzo niesympatycznych na tle n. p. zdobywania pieniędzy.

Były to jednak rzeczy, nieznanne ogółowi kolegów, dla których „Brzoza“ był jedną z najsympatyczniejszych jednostek z pośród studenterji.

Zaznaczywszy się wybitnie w czasie Ziłowszczyzny, B. zwykły członek Zarządu Bratniaka, zostaje wybrany prezesem. Na tem stanowisku spotkała go katastrofa, o której wspomniałem już wyżej. Miał on wysyłać miesięczne raty stypendjum studjującym w Paryżu kol. Gąs. i Kasp. i raty te systematycznie defraudował. Był wówczas w strasznych opatach materialnych. Nędza w domu, który utrzymywał on z korepetycji. Ojciec, umierający na raka w gardle... Pamiętam, gdy po aresztowaniu jego, przyniosłem rodzinie zapomogę z Tow. Więżn. Pol., byłem wręcz wstrząśnięty obrazem nędzy, jaką tam zastałem. Defraudacja wykryła się. Brzozowski ustąpił z prezydium w „Bratniaku“ i został oddany pod sąd koleżeński. Zdefraudowaną sumę pokryli bliżsi koledzy natychmiast. W przeddzień ogłoszenia wyroku, Brzoz. zostaje aresztowany; znajdując u niego rękopis owej dwujęzycznej odezwy, wydanej przed Ziłowszczyzną, wraz z hektografem. Żandarmerja bierze się na sposób. Proponuje Brzozowskiemu uwolnienie natychmiastowe wzamian za wydanie autorów odezwy i referat ogólny o nastrojach oraz organizacjach wśród młodzieży. Brzoz. przystaje — wydaje Ulanowskiego, jako autora odezwy, no i składa słynne swoje, ogłoszone następnie przez endecję drukiem, zeznania. Jako znający dobrze stosunki ówczesne, zaznaczam, że szkodliwość tych zeznań była mocno przesadzona. Były one oczywiście zdradą, zwłaszcza względem kilku osób, przedewszystkiem zaś — Ulanowskiego, który dzięki nim rok przeszło spędził w X. pawilonie, jednak Brzoz. składał je oględnie. Wyśpiewał wszystko, co wiedział o Bratniaku, o ogólnych prądach, natomiast ukrył wszystko, co było rzeczywiście „konspiracją“ antyrządową. Nie znalazłem n. p. nic o „Kole“, o tajnej organizacji nar. demokratycznej wśród studenterji, o organizacji kolportażu bibuły, o czem wszystkiem Brzoz. był doskonale poinformowany i o co napewno pytano go. Niemniej, ton zeznań był nikczemny, zdrada oczywista. Upadek też moralny „Brzozy“ Ochrań umiała doskonale wykorzystać. Już bowiem w r. 1900 do organizacji partyjnej P. P. S. doszło, że Brzoz. często bywa w Ochrań, że przyjmowany jest zaraz po przybyciu. Nie zwrócono na to wielkiej uwagi w partji, jako że B. usunięty był z życia publicznego młodzieży wyrokiem sądu i do partji żadnej nie należał. Natomiast w „Ochrań“ zaczęły zjawiać się wybornie opracowane referaty o prądach umysłowych w społeczeństwie polskim, o ideologii poszczególnych grup, bez żadnych zresztą denuncjacji osobistych, co tutaj mocno podkreślałem.

Po stylu i sposobie ujęcia, ludzie, którym odpisy tych referatów wpadły w ręce, poznawali bezwzględnie autorstwo Brzoz. Dodam, że

ludzie ci nic wspólnego z partją nie mieli i o znanych jej stosunkach Brzoz. z Ochroną nic nie wiedzieli. W tym czasie Brzoz. wyjechał za granicę i tam stał się sławnym, wybił się, jako autor „Legendy Młodej Polski“, wysoko ponad poziom współczesnych, porywał młodzież wykładami swemi... Ogłoszone przez Dem. Nar. zeznania były pierwszym strasznym dla niego ciosem, później przybyły rewelacje Burcewa, na komunikacie nawróconego szpicla Bakaja oparte. Burza, jaką w jego obronie wszczęli fanatyczni wielbicieli, nie wiele mu pomogła. Opinia publiczna z zaciekłością kamieniowała autora „Legendy Młodej Polski“, którą niedawno rozchwytywano. W oczach ludzi, orientujących się w stosunkach konspiracyjnych, dobił Brzozowski kobotniczy sąd partyjny w jego sprawie. Nieprzebaczalnym był brak taktu i zrozumienia przyzwoitości ludzi, którzy uzależnili rehabilitację, lub ostateczne potępienie jednego z największych umysłów Polski ówczesnej od świadectwa moskiewskiego szpicla... Wstrząsała zaś do głębi beznadziejna walka szarpiącego się w obronie swej czci i goniącego resztką sił niedawnego bożyszczka młodzieży z cynicznym, spokojnym o wstrętnej, bladej, wyniszczzonej twarzy szpiegiem. Oczami, zakrytymi czarnymi szklami, patrząc w ziemię, zeznawał on napewno z zabójczą dokładnością. Smutna też prawda dla nas, obcujących kiedyś bliżej z nieszczęsnym „Brzozą“ i znających warunki życia konspiracyjnego, była, niestety, oczywista.

Była to jednak już przeszłość. Inny też zgoła obraz miałem wówczas przed oczami.

... Mieszkanko dwupokojowe gdzieś na Chmielnej. Nędza okropna wyziera z każdego kąta. Matka „Brzozy“ z twarzą, jak gdyby skamieniałą z bólu, łkając, opowiada mi szczegóły aresztowania „Stasia“¹⁾ i rewizji. Od czasu do czasu odzywa się charczenie okropne starego Brzozowskiego, już wówczas beznadziejnie chorego... Monotonnie drga jęk kobiety: „Ostatnie pieniądze, zarobione przez „Stasia“, wyszły przed kilku dniami... Dla męża wyżebrałam u sąsiada-stolarza rosół“... „Ciągłe wołają do żandarmów — powiadają, że Staś skompromitowany bardzo“. Proszę pana, czy jego aby nie stracą“?...

W tym samym czasie — w cyadeli taki sam, jak później na sądzie, cyniczny, spokojny szpicel kusił „Brzozowskiego“. Obiecywał natychmiastową wolność, przedstawiając nędzę rodziny — bagatelność zeznań...

¹⁾ Zarzucano między innymi B. zmianę imienia. Zaznaczam, że imienia „Leopold“ poza oficjalnymi listami młodzieży, B. nigdy nie używał.

„Wiemy przecież wszystko... formalności jednak muszą być zalatwione. Człowiek zapierający się, nie może być zwolniony... My i bez pańskiego zeznania wiemy wszystko... Pański ojciec umiera...

Po wypuszczeniu z cytadeli, w której zresztą po złożeniu zeznań bardzo krótko siedział — Brzozowski — napiętnowany sprawą o defraudację pieniędzy koleżeńskich, stracił lekcje, które były jedynym utrzymaniem jego i rodziców... Zimno się robi na przypuszczenie, z jakiego źródła ten wówczas niespełna 19-letni chłopiec zmuszony był wydostać pieniądze na pogrzeb Ojca, zmarłego w tym właśnie czasie, tudzież na wyżywienie siebie i matki.

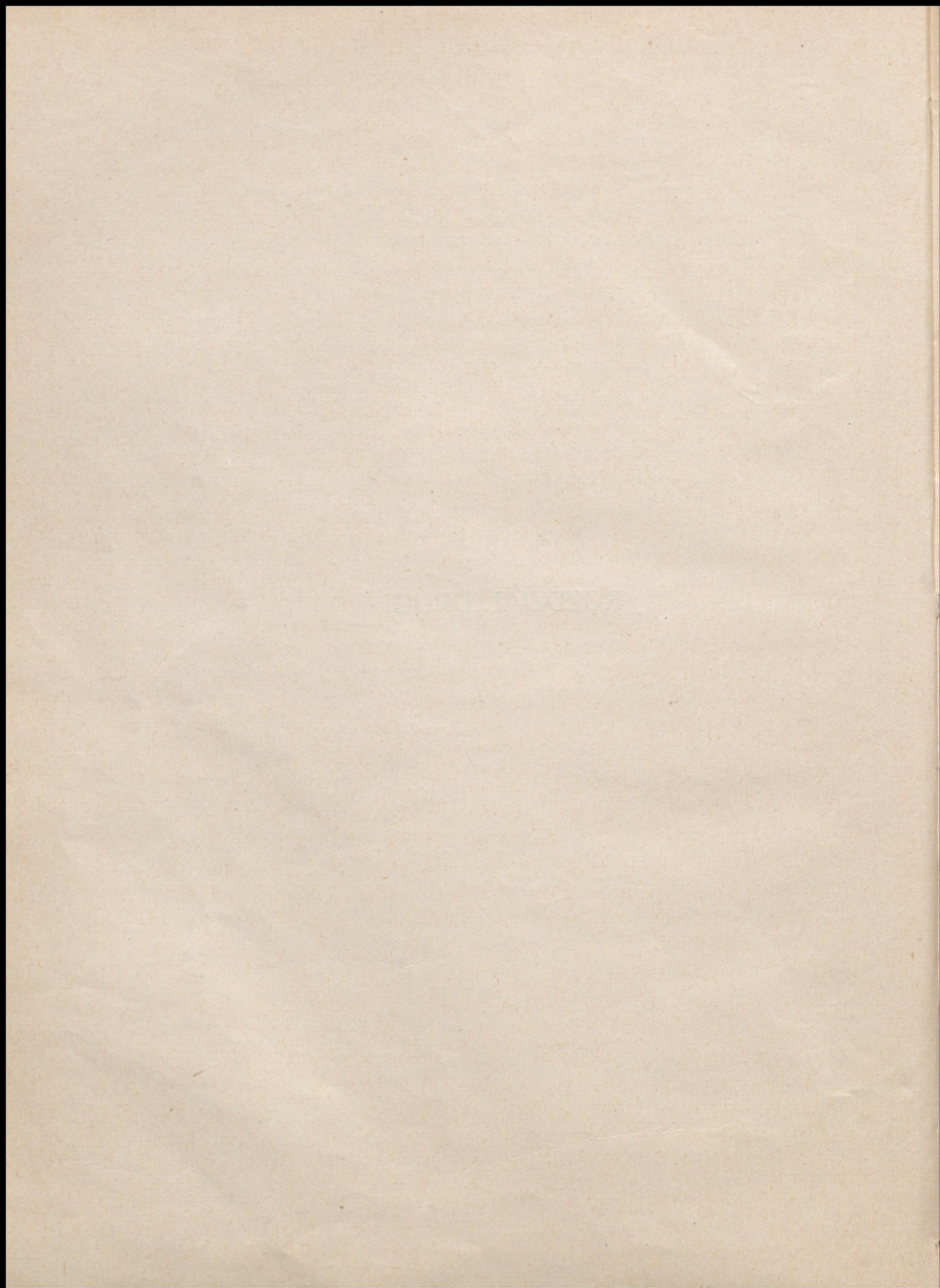
W rok przeszło potem, Brzozowski na ulicy spotkał świeżo uwolnionego z cytadeli zdradzonego przez siebie Ulanowskiego. Rozplakał się jak małe dziecko. Ulanowski go uspokajał, tłumaczył, że ma jeszcze przed sobą całe życie, że — ludzie zapomną... Nie zapomnieli.

Dziesięć rubli, które przezemnie rodzinie Brzozowskiego posłała konspiracyjna instytucja, rozporządzająca szczupłymi, z groszowych ofiar studenckich i robotniczych zebraniami funduszami — to była cała pomoc, jaką społeczeństwo polskie, kamienujące Brzozowskiego w lat kilka później bez litości, dało przysłemu autorowi „Legendy Młodej Polski“ w krytycznej chwili jego życia. Później nieco pieniędzy ofiarowała okradziona przezeń z nędzy „Pomoc Bratnia“.

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

1875
Wm. H. & C. Co. N.Y.

ROZDZIAŁ DRUGI



„Bratniak“ i „Spójnia“.

Konsolidowanie się prądów politycznych w społeczeństwie. Ugodowcy demokratyzują politykę i upadają. „N. D.“ i „P. P. S.“ walczą o spadek po ugodowcach. Obóz niepodległościowy różniczkuje się. Narodowa opozycja pozbywa się rewolucyjnego i socjalistycznego balastu. Wpływ tego na życie młodzieży. Wpływy P. P. S. już ugruntowane wśród młodzieży. Przystępujemy do robót konkretnych. Nasze prace. Centralne Koło Uczniowskie. Kółka wykładowe robotnicze. Kolportaż bibuły. „Zjednoczenie“ na politechnice. Tarcia w „Bratniaku“. Nar. Demokr. dąży do opanowania „Bratniaka“ i „wytrzebieńnięcia kąkolu“. Odłamy rewolucyjny i pokojowy. Uroczystości Mickiewiczowskie 1898 r. Pogrzeb Bol. Słońskiego. Relegacje. Wrzenie wśród młodzieży z tego powodu. Wiece w kuchni i audytorjach. Wybuch strejku studenckiego w Rosji. Echa w Warszawie. Wrzenie się wzmagają. „Ogólno studencki Komitet Manifestacyjny“. Zaburzenia w Uniwersytecie. Rozłam w „Bratniaku“. Areszty i deportacje studentów. Powstanie „Spójni“. Dalsze dzieje życia studenckiego. Charakter „Spójni“.

Unikam w niniejszych swoich wspomnieniach wszelkiej historjografii i wszelkich uogólnień syntetycznych. Niemniej, dla zrozumienia biegu ówczesnych wypadków muszę tu podkreślić zasadniczą zmianę, jaka zaszła w latach 1897/8 w życiu politycznym Królestwa. Zmianą tą było ujawnienie się i pewnego rodzaju demokratyzacja politycznego życia. Sprowadzili tę zmianę, toby to myślał?... ugodowcy. Oni bowiem stworzyli pierwsze pismo wybitnie polityczne — „Kraj“ i pierwszy popularny tani dziennik polityczny — „Kurjer Polski“. Oni wyprowadzili pierwsi od lat 35 „całą Warszawę“, ale to dosłownie „całą“ — na ulicę w „dni sierpniowe“.

Oni wreszcie spowodowali pozwolenie na postawienie w Warszawie pomnika Mickiewicza, na który fundusz zebrano drogą publicznej subskrypcji, co poruszyło prowincję i którego odsłonięcie stało się głośną

manifestacją narodową. Szereg zjazdów podczas tej manifestacji, urządzony przez konspiracyjne koła — wywołał przewrót w samej robocie politycznej. Nastąpił dalszy krok w rozwoju polityki narodowej. Ugodowcy politykowanie z zamkniętych kół przenieśli do ogółu — uroczystości Mickiewiczowskie robotę polityczną w duchu patriotycznym zbliżyły do mas prowincjonalnych. Kółka konspiracyjne przestały być zamkniętymi na siedm pieczęci ogniskami rewolucji — stały się ośrodkami polityki i musiały przeistoczyć się w partje — względnie nawet — stronnictwa polityczne. Kół takich w tym czasie było, o ile chodzi o poważniejszy wpływ na ogół — dwa: „Liga Narodowa“, rozumiejąca wybornie sytuację i już od 1897 roku przekształcająca się na „Stronnictwo Narodowo Demokratyczne“, oraz P. P. S. Szanse oczywiście były mocno nierówne. Socjalistyczny charakter P. P. S. nie pozwalał ani na chwilę poważnie myśleć o zapanowaniu nad opinią publiczną całości narodu. Pretensje też swoje do przekształcenia się na ogólnie narodowe stronnictwo rewolucyjne — partja ta ciężko odpokutowała następnie.

Spadek po ugodowcach, którzy poruszyli ogół i musieli odejść, bo mówili zbyt wyraźnie, co jeszcze wtedy było pewną nieprzyzwoitością polityczną, mogli objąć jedynie narodowi demokraci. To też nastąpiło. Przedtem jednak musieli oni rozprawić się z serwitutem socjalistyczno-rewolucyjnym, jaki ciążył na renesansie naszego ruchu narodowego od samego jego początku. Toć w mniejszym lub większym stopniu, socjalistami — na dziesięć lat przed okresem, który opisuję, byli wszyscy działacze i wszystkie organizacje. „Koło“ warszawskie, „Ognisko“ krakowskie, zagraniczny „Związek Młodzieży“ — ośrodki idei niepodległościowej — mocno trąciły socjalizmem. Na zjeździe młodzieży w Warszawie jeszcze w 1890 r. „sam Dmowski“ nie uchylał się od śpiewania „Czerwonego Sztandaru“.¹⁾ Socjaliści zbierali na skarb narodowy i bili szyby tańczącej w czasie roku żałoby narodowej 1892 r. burżuazji. W setną rocznicę Ustawy Majowej — publikacje patriotyczne targowiczanom nadawały tytuł „kapitaliści ówczcześni“, a twórców Ustawy sławiły za to, że „wskazali radykalną zmianę stosunków społecznych, jako jedyną drogę ocalenia“ — i t. d. Otóż te wszystkie pozostałości Nar. Dem. musiała zlikwidować, jeżeli miała stać się stronnictwem polityki narodowej na szerszą zakrojonej skalę. Likwidacja zaś ta odbyła się przede-

¹⁾ Napoleon Czarnocki: Przyczynki do historii P. P. S. Księga pamiątkowa P. P. S., str. 55.

wszystkiem na gruncie młodzieży uniwersyteckiej, jako wciąż jeszcze tworzącej gros patriotycznych żywiołów społeczeństwa. Począwszy też bodaj od „Żyłowszczyzny“, narodowcy skupiają pod swym sztandarem spokojniejszą młodzież, organiczną pracę w duchu narodowym, przeciwstawiając „socjalistycznej“ i „międzynarodowej“ rewolucyjności. Zwrot ten zaznaczył się mocno zwłaszcza po zniknięciu wskutek aresztów członków „Oświaty Ludowej“ — rewolucyjno-patriotycznych żywiołów, skupionych przy tej pracy.

Na czoło „czerwonych“ żywiołów teraz wysunęliśmy się my „pepesowcy“ — już na stałe. Z początkiem akademickiego roku z naszej siódemki¹⁾ Antek Kamieński — odznaczający się wogóle talentem organizacyjnym, utworzył w nowopowstałej Politechnice korporację „Zjednoczenie“ i został obrany pierwszym jej prezesem — ja znowu zostałem wybrany do Tymczasowej Komisji, zarządzającej sprawami „Bratniaka“. Zarząd bowiem, nie zbierając się czas jakiś wskutek aresztów i szpiclowania w kotłach studenckich, funkcje swe przekazał tej właśnie Komisji Pięciu. W „Zjednoczeniu“ — zyskaliśmy odrazu trwałą podstawę do pracy. Obok Kamieńskiego, Harasymowicza i kilku jeszcze radomiaków, przybyli tam starsi już korporanci — pepesowcy z innych uczelni: Grodecki i Makowski — ukończeni przyrodnicy z Kijowa, Zywanowski — darmstadtczyk, Orłowski — lwowianin... Do uniwersytetu również przybyło sporo sił nowych — z pomiędzy maturzystów. Esdekujący z początku „wileńczycy“: zdolny prawnik i świetny mówca, późniejszy kilkakrotny minister Rzeczypospolitej — Wacław Makowski i późniejszy senator — Ba-



Roman Dmowski
w wieku młodzieńczym.

¹⁾ Dla ścisłości zaznaczę, że w składzie jej zaszły zmiany: usunęli się Hornowski, z powodu nawału pracy naukowej, oraz Gutwiński, którego zahaczyła nieco sprawa „Oświaty“. Weszli natomiast z Uniwersytetu Krakowski, z Politechniki Orłowski i od „Mittego“ Zym. Łada.

gieński, stopniowo zbliżyli się do nas: — toż samo robili przybywający z innych uniwersytetów: z Moskwy — piękny i wymowny Reybekiel, kijowiak — Rembertowicz i inni. Z Petersburga przeniósł się dawny już pepesowiec — Stefanowicz. Nieco maturzystów przybyło z gimnazjów Królestwa. Mogliśmy rozpocząć prace na szerszą skalę.

Jedną z takich prac było postawienie ponowne na nogi nieco podupadłych kółek uczniowskich. „Komitet Centralny“ tych kółek, kierujący nimi pod przewodnictwem Kochanowskiego, zastaliśmy w rozterce z „narodowcami“, których prowadził Sochaczewski. Że zaś „Komitet“ ów składał się z delegatów kółek prowincjonalnych — studentów i delegatów kółek warszawskich — uczniów, można sobie wyobrazić, co za chaos i demoralizację wywołały takie swary. Przekształcały one każde nieomal posiedzenie na programowe dyskusje o międzynarodowości i narodowości, wypełniane kłótnią o nieetyczność w postępowaniu politycznym i t. d.

Sztuba też była zdezorjentowana i zrażona do „polityki“ wogóle: zjawiały się prądy etyczno-mistyczne. Po wejściu do Komitetu udało mi się wespół z kilku delegatami spokojniejszej natury nieco temperaturę obniżyć. Powoli zaś, zwłaszcza gdy przy pierwszych wyborach w r. 1897 obrano mnie przewodniczącym na miejsce Kochanowskiego, skierowałem pracę na tory naszego programu całkowicie. Pracę w „Komitecie“ tym, którą to nieco pretensjonalną nazwę zmieniłem na „Centralne Koło Uczniowskie“, bardzo lubiłem i mogłem się poszczycić jej owocnością. „Kółka“ prowincjonalne rozwijały się bez przerwy, powstawały nowe. Zjazdy były obsyłane licznie i pracowały celowo, swary partyjne umilkły zupełnie. Natomiast, na wszystkich kółkach, obok samokształcenia, zaznaczyła się praca nad oświatą ludową, krajoznawstwem, studjowaniem ówczesnych stosunków społecznych i t. d. W samym też samokształceniu, obok literatury i historii polskiej, forsowanych przez „narodowców“, a socjologii i ekonomji politycznej, bez których nie było zbawienia dla „socjalisty“, wydatne miejsce zajmować zaczęły studja, będące zwiastunem dzisiejszej nauki o Polsce współczesnej — mój ówczesny „konik“. Z pomocą też P. P. S. zaprowadziłem regularne sprowadzanie „Promienia“, organu uczniowskiego, wydawanego we Lwowie i redagowanego niezgorzej. Wkrótce też „Promieniowi“ przybyła konkurentka „Teką“, wydawana przez Nar. Demokrację. W „Promieniu“ wydrukowałem swój większy artykuł w sprawie młodzieży, który następnie, jako odbitka, stał się pier-



Kółko centralne organizacji pepesowskiej wśród młodzieży warszawskiej w r. 1899.

Stoją: Wacł. Harasymowicz. Cz. Stefanowicz. J. Rożen. „Dyzio“ (Bujalski).

Siedzą: Fr. Krąkowski. J. Maro. J. Dąbrowski. A. Kamiński. Z. Łada. L. Orłowski.

wszą broszurą w moim dorobku literackim¹⁾. Ustępując z powodu choroby, jesienią 1899 r. z przewodnictwa „Kołu uczniowskiego“ pozosta-
wiłem organizację liczebnie potrojoną i jakościowo przedstawiającą się
bardzo korzystnie. Niestety, następca mój z „narodowcami“, stanowią-
cymi wówczas większość, tak jakoś hazardownie pokierowali sprawami,
że pierwszy zaraz zjazd uczniowski, przez nich zorganizowany „wyspał
się“ haniebnie, powodując nieco popłochu i upadek, nienadługo zresztą,
kilku organizacji. Niektórzy koledzy wymyślali mi gęsto za „bezpartyj-
ność“, skutkiem której było tak silne zagnieżdzenie się „narodowców“,
a następnie „endecji“ w ruchu uczniowskim. Wynikało to jednak cał-
kowicie wskutek pójścia po mojej linii. Ruch kółkowy w gimnazjach
uważałem za zjawisko, doniosłe samo w sobie. Z całą też energią sta-
rałem się wykorzenić tam jedynie walki partyjne i nawet agitację par-
tyjną, jednakowo popierając kolportaż „Robotnika“ i „Polaka“, „Przedświtu“
i „Przeglądu Wszechpolskiego“, protegując jedynie radykalno-patrjotyczny
„Promień“, tu się przynaję — na niekorzyść napastniczej „Teki“. Dało
to wyniki dobre nawet dla P. P. S., wyrabiając jej markę narodowego
socjalizmu, przygotowując wielu sympatyków i nawet działaczy. Znikło
natomiast całkowicie w kółkach mocne przedtem (Kielce, Siedlce, Wilno)
doktrynarstwo esdeckie, wyjaławiające młodzież intelektualnie, a demora-
lizujące, z powodu opozycyjnego i to ostro opozycyjnego tonu wzglę-
dem reprezentującej praktyczny socjalizm w kraju P. P. S., o ile chodzi
o wyrobienie działaczy. Z bardzo bowiem małymi wyjątkami student, czy
uczeń esdek, pozostawał zupełnie biernym i wsiąkał szybko w odmęt filister-
stwa. Z wielką uciechą natomiast widziałem przyjmowanie się w kół-
kach systemu, wypróbowanego przezemnie już w Radomiu: wyrabianie
się przedewszystkiem w duchu opozycyjno-patrjotycznym ogółu, a na-
stępnie, wrywanie się z tego ogółu żywszych jednostek do „roboty“
bądź kulturalno-społecznej, bądź polityczno-partyjnej. Oczywiście, jedno-
nie mogło mnie bardzo cieszyć, a mianowicie to, że większość tych
jednostek chwyciła Nar. Dem., która pracowała w kółkach intensywnie
i wreszcie — już po mojem wyjściu — dokonała rozłamu w jednolitej
dawniej organizacji kółek. Była to jednak już „konieczność“ dziejowa,
wynikająca z samej istoty ruchu uczniowskiego, jako części przełomu,
który przechodził wówczas ogół inteligencji zaboru rosyjskiego.

¹⁾ Kółkowicz: W sprawie ideologii i organizacji młodzieży szkół średnich. Lwów
1898 r.

Z innych prac naszych podkreślę przede wszystkim pomocnicze prace dla partji. W roku akademickim 1898/99 mogliśmy już skierować do kółek robotniczych koło 10 nowych wykładowców w różne stosunki. Dla wykładowców tych, nauczony doświadczeniem, urządziłem coś w rodzaju kursu przygotowawczego. Podzieliliśmy między siebie tematy, ściślej — cykle wykładów i opracowywaliśmy je wszyscy. Następnie zaś jeden miał „próbny wykład“, inni zaś krytykowali go lub uzupełniali¹⁾.

Na kurs ten przychodzili i „partyjnicy“, jako instruktorowie. Wiele cennych wskazówek dał nam n. p. Max Horwitz — „łow. Piotr“, rzeczywiście pierwszorzędny talent agitacyjny i pedagogiczny. Weszło tu również nieco i urozmaicenia. Abramowski Edward, później głośny filozof i prof. uniwersytetu warsz. zapoczątkował w czasie tym właśnie tworzenie kółek „etycznych“. Kółka te zakładano wśród robotników, już zaangażowanych partyjnie, lecz wyrabiających sobie w tych kółkach całokształt światopoglądu socjalisty. Program jednak wykładów tak tchnął anarchizmem, że odrzuciliśmy go bezwzględnie, o ile chodziło oczywiście o robotników. Młodzież bowiem przysparzała się do „Edka“ chętnie. Z pośród tych właśnie „etyków“ wykuła się później inicjatywa stworzenia w sferach robotniczych instytucji oświatowej bez domieszki partyjnej.

Były to zorganizowane biblioteczki popularne i kółka wykładowe z dziedziny przyrody, historii, socjologii, literatury, a nawet matematyki, czytanie z komentarzami i t. d. Kwestje polityczne były wyłączone z tych wykładów, które przeznaczone były dla robotników, już uświadomionych partyjnie i pracujących w partji. Miały one na celu wytworzenie zastępu „półinteligencji socjalistycznej“. Inicjatorami tego byli: starsi już działacze oświatowi: Berent i handlowiec Zand, a poparli ich zastęp „młodszej“ młodzieży z naszych stosunków (Krzczkowski, Rajchman Giejsztor, Drozdowicz, W. Dąbrowski i t. d.). Stworzona przez nich organizacja oświatowa, rozszerzała się szybko, przetrwała pogrom P. P. S.

¹⁾ Może zrobię przyjemność niektórym kolegom, a innym pomogę do zorientowania się w stosunkach ówczesnych, jeżeli przypomnę nazwiska pierwszych absolwentów tego osobliwego kursu. Byli nimi: Forelle, Krąkowski, Maro i Smużyński, studenci Uniwersytetu, Harasymowicz, Orłowski, Zywanowski — studenci Politechniki, Łada i Muszkat, „mitczaki“, oraz jedynaczka kursu — bardzo zająca i zdolna Marja Maliniakówna, późniejsza inż. Smoleńska. Z nich Muszkat przeszedł później do „Bundu“.

w 1900 r., a następnie duże oddawała usługi po wznowieniu organizacji i stała się bodaj zaczątkiem dzisiejszego T. U. R.¹⁾

Drugą robotą pomocniczą, ważną wówczas, a dokonywaną przez młodzież z naszych stosunków, było nauczanie działaczy P. P. S. robotników-żydów — języka, historii i literatury polskiej. Robota ta miała wielkie znaczenie wobec toczącej się w tym czasie walki P. P. S. z litwackim „Bundem“. Faktycznie zaś było to ścieranie się kultury polskiej z rosyjską u wyrywających się z „ghetto“ społecznych Meirów Ezołowiczów.

Popełnił bym wreszcie niesprawiedliwość, gdybym przemilczał „dochodową“ działalność naszych studentów. Dzięki niej bowiem od roku 1898/9 Warszawa zaczęła ze wszystkich stosunków najwięcej pieniędzy dawać partji. „Pompowano flotę“ serdecznie. Urządzano szereg balów, rautów, przedstawień i t. d. Celował w tem zwłaszcza zacność Litwin, uwieczniony w niezliczonej ilości anegdot, napraszający się do powieści, jako typ — Czesiek Stefanowicz, niezmordowany aranżer i organizator wszelkich „rautów ideowych“, „listopadówek“ i t. d.

W pracach tych nie mogliśmy postępować tak, jakbyśmy chcieli ze względu na ciągłe starcia z Nar. Dem., która teraz przeszła w walce o duszę młodzieży do ofensywy i zwalczała nas, jako „międzynarodowych rewolucjonistów“, na każdym kroku. Z drugiej zaś strony były to niespokojne czasy. Jesienią 1898 r. „Kóło“ już zamarło, my zaś nie kwapiliśmy się, aby je zgalwanizować. Natomiast młodzież rozpadała się wyraźnie na dwa zwalczające się odłamy; rewolucyjno-niepodległościowy, którego ośrodkiem stawała się nasza grupa oraz umiarkowany, nacjonalistyczny, z Nar. Dem. jako ośrodkiem. O ile nasz odłam wyzbył się doktrynarstwa esdeckiego zupełnie i stał się wyraźnie rewolucyjno-narodowym pod względem politycznym, krańcowo zaś radykalnym, o ile chodzi o poglądy społeczne, o tyle znowu w obozie umiarkowanym narodowym zjawiał się nowy w ruchu narodowym rys: patriotyzm antyrewolucyjny. Rewolucja traktowana tam była, jako naleciałość obca, jako poczynanie pierwiastków żydowskich, rosyjskich, czy wręcz wrogich idei narodowej żywiołów międzynarodowo-socjalistycznych.

I o dziwo, te dwa odłamy ruchu narodowego, odpowiadające mniej więcej tradycyjnemu podziałowi naszych partyj w okresie porozbiorowym na „czerwone“ i „białe“, stanęły przeciw sobie tak wrogo, jak nigdy

¹⁾ Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego.

wrogimi nie byli nawet „międzynarodowcy“ i „narodowcy“. Promieniowo przeciwne ich tendencje i taktyka występowały przy każdej sposobności i w krótkim czasie doprowadziły do rozłamu.

Pierwsze starcie nastąpiło podczas odsłonięcia pomnika Mickiewicza, będącego, jak zaznaczyłem, momentem zwrotnym wogóle w dziejach naszego życia politycznego ostatnich lat niewoli. Na dzień ten — 24. 12. 1898 roku — wszystkie czynniki polityczne szykowały się energicznie. Instytucje oświatowe i społeczne zwołały zjazdy: inteligencje, chłopskie, rzemieślnicze i t. d. do Warszawy. P. P. S. postanowiła wystąpić z manifestacją narodową. W Krakowie, w chwili, gdy w Warszawie spadną zasłony z pomnika, pochód robotniczy miał złożyć uroczyste przed tamtejszym pomnikiem wieńce od socjalistycznych organizacji zaboru rosyjskiego. W samej Warszawie miano usunąć się od oficjalnego z udziałem władz odsłonięcia pomnika, natomiast przyjść pod pomnik manifestacyjnym pochodem po jego odsłonięciu. Ponadto wydany został specjalny numer „Robotnika“, wypełniony „zakazaniami“ utworami wieszczka z jego portretem. Res. (Dr. Perl) napisał bardzo ładną broszurę okolicznościową, a C. K. R. i W. K. R.¹⁾ wydały odpowiednie odezwy. Nar. Dem., której przedstawiciele brali udział w Komitecie budowy pomnika, dała hasło do udziału wszystkich „narodowych“ żywiołów w urzędowym odsłonięciu pomnika. Program zaś tego odsłonięcia był osłonięty tajemnicą: wiadomo było jedynie, że rząd zakazał wszelkich przemów, a chodziła uporczywa pogłoska o żądaniu włączenia rosyjskiego hymnu narodowego do programu uroczystości.

Wśród młodzieży wrzało. Myśmy oczywiście stali za łączną z P. P. S. manifestacją. Natomiast w Zarządzie „Bratniaka“ endecy przeferosowali udział młodzieży w oficjalnym odsłonięciu, w kordonie policyjno-kozackim. Naszą robotę i agitację utrudniła niezręczna taktyka partji, która do końca utrzymała decyzję ostateczną i szczegóły manifestacji w tajemnicy, co uniemożliwiało nam konkretne projekty na posiedzeniach i wiecach. Dopiero na dwa dni przed samą manifestacją partja „zwalila“ nam na barki całą robotę przygotowawczą do niej. To też w najbardziej gorących chwilach, w odmęcie wieców, sporów i agitacji, myśmy zniknęli z widowni, kolportując po domach i dzielnicach warszawskich odezwy, których mieliśmy kilka tysięcy do rozniesienia po mieszkaniach. Całą wprawdzie pracę co do zjazdów, wspólnych wilji i t. d. przyjęcia

¹⁾ „Centralny Komitet Robotniczy“ — „Warszawski Komitet Robotniczy“.

przybyłych delegatów i t. d. pozostawiliśmy lojalnie kołom patryjotycznym, które wykonały to wspaniale, niemniej — byliśmy potrzebni na wiecach i obradach niezmiernie..

Agitacja bowiem narodowych dem. była zaciekła. — „Obowiązkiem młodzieży iść wraz ze społeczeństwem całym, a nie pod komendą międzynarodowego sztandaru“ było powtarzane na wszystkie możliwe tony. Dopiero w przeddzień odsłonięcia mogłem trafić na koniec wiecu w „kuchni“. Przemawiał nasz dawny kandydat na prezesa „Bratniaka“ Kozłowski. Dziś, zaagitowany widmem międzynarodowej rewolucji, stał się on endekiem. W mowie swojej z wielką swadą dowodził, że właśnie milczenie tłumów, zamkniętych kordonem kozackim, w chwili, gdy spadną zasłony i wyłoni się z nich postać wieszczca, będzie największą manifestacją. „Koledzy! mnie dreszcz przechodzi teraz, gdy oczyma wyobraźni oglądam tę potężną chwilę, owo wymowne: cum tacent, clamant“, kończy mówca.

Występuje delegat z Krakowa, dawny prezes „Bratniaka“, o sympatycznej twarzy, poważnej brodzie i długich zaczesanych w tył włosach, kol. Kuć.

„Stawiają pomnik Mickiewiczowi i słusznie. Bo — koledzy — był to byczy chłopot!“ — brzmi początek wspaniałej, będącej prawdziwym wzorem krasomówstwa wiecowo-studenckiego jego przemowy. Dalej szły obrazy, jak to młodzież, której wieszcz kazał nad poziomy ulatać, zamknęła się wespół z tymi, co carskie stopy liżą, w kordonie kozackim. „I kędyż będzie ten naród, który wieszcz ukochał cały? Niema go u stóp śpiżowego wieszczca, bo nie puszcza go doń kordon kozacki. U stóp wieszczca, tylko służalcze duchy... Czyż tam miejsce młodzieży, dla której ten dziś śpiżowy wieszcz „Do matki Polki“ i „Ode“ napisał?“

Sympatycznie, („śpiewa, psiakrew, jak syrena“ — syczy złośliwie jakiś, stojący obok mnie kol. endek) głosem nieco cichym, lecz wyraźnym i dobitnym — z akcentem kresowca, przemawia delegat „Pitra“, Michałowicz, w mundurze studenta Akademii Wojskowo-Lekarskiej z pałaszem u boku: „Nam kazano iść z ludem, bo miejsce młodzieży zawsze z pracującą rzeszą, stwarzającą przyszłość Narodu. Ludu w kordonie kozackim nie będzie, ruszy on pod pomnik swego wieszczca z Alei Jerozolimskich. My pójdziemy również w Aleje“ — była treść jego przemówienia... Konieczność manifestacji „choćby w jednego człowieka“ uzasadniał delegat Charkowa, młody zapalczywy student-technolog Belke. Wreszcie, dzięki zręcznemu wykorzystaniu chwili i zmęczenia ogółu przez gospodarza

kuchni „Pocieja“, obmyślenie szczegółów manifestacji, którą uchwalono w zasadzie, przekazano komisji. Ta zaś, niestety, urządziła pochód studencki, oddzielny od P. P. S. z punktem wyjścia przy ul. Świętokrzyskiej, odciągając od manifestacji ogólnonarodowej, którą urządziła P. P. S., niemal całą młodzież.

Z Zarządem „Bratniaka“ w kordonie stanęła bardzo nieliczna garstka studentów. Inne uczelnie „do kordonu“ nie poszły.

Dzień 24 grudnia — był wiernym odbiciem duchowego oblicza Warszawy ówczesnej. Koła konspiracyjne — garść działaczy, pragnących wykorzystać dzień ten dla prac swych — przygotowywały się poważnie.

Słowa odezwy P. P. S. „choćby krew polać się miała“... wywarły mocne wrażenie. Tajemny komitet obchodu, na którego głowie leżały wszystkie „wilje“, zebrania itd. dnia tego — wyznaczył punkt zborny o 2-ej u Kaweckiego, aby porachować tam ocalonych z pogromu. Myśmy gotowi byli na walkę uliczną, święta w cytadeli i t. d. Pamiętam, jak jeden z delegatów petersburskich, Piotrowski, człowiek głęboko wierzący, dnia tego rano odbył spowiedź i ubrał się w czystą bieliznę „do trumny“. Większość nas nie nocowała w domu: przygotowania bowiem policyjne miały charakter gotującej się olbrzymiej oblawy nocnej. Ogół zaś ludności Warszawy najlojalniej... bał się.

Rano już koło 8 byłem na ulicy. Patrole gęste krążą — przechodniów nikczemnie mało. Chodzę oglądać nastrój Warszawy coś do 9^{1/2}. Krakowskie Przedmieście, Trembacka, Czysta, Kozia i t. d. zamknięte kordonami kozackimi. Zmarznęte na kość „kozunie“ klną... Nieprzyjaciela ani widu ani slychu. Spieszą szczęśliwi posiadacze biletów, prezentują je policjantom przy kordonie...

Idę dalej, szukam „ludu“... Daremnie. Mimo że zbiegły się Wigilja Bożego Narodzenia, Narodowe Święto i szabas — na ulicach pustki. Warszawa, stolica Polski, „Żalobna Wdowa“ — stchórzyła w sposób najhaniaebniejszy. Cała robota naszej organizacji: roznoszenie kilku tysięcy odezwo po mieszkaniach zdało się na djabła... Spotykam znajomych — same hiobowe wieści. „Dyzio“ Bujalski aresztowany, opowiadają o aresztowaniach wogóle, ale poza Dyziem, nie wymieniają nikogo. „Olek“, dzielny piekarz z mego wykładowego kółka — opowiada o perfidji rządu, za pomocą której pozbawił ulicę robotniczych tłumów: w fabrykach kazano na dziś rano przenieść wypłaty... Przechodząc, mijam ul. Trębacką. Widzę z daleka pomnik już odstonięty.

Pierwsze wrażenie marne — z poza mgły — nachylona niezgrabna figura wieszczą.

Idzie kilkaset osób z pod pomnika. Czekam, może wśród nich będą znajomi... Dowiaduję się szczegółów odstonięcia. Milczenie panowało grobowe. Zwolna zdzierano zasłonę z pomnika. Muzyka zagrała „Ojciec z niebios” — modlitwę z „Halki”... Publiczność odkryła głowy. Muzyka umilkła, zebrani przedefilowali przed pomnikiem... Krąży dowcip Bolesława Prusa; „Jednak ten Mickiewicz nie był taki ładny, jak jego wiersze”. Wogóle, wracający z pod pomnika skarżą się na pustki. Urągają socjalistom, że zastraszyli ogół... Spieszę do Aleji przez Plac Warecki i Bracką. Czas już na „Zgromadzenie” w Alejach. „Puchy” i tam nikczemne. Nadchodzą jednak wkrótce ze wszystkich stron grupki niewielkie. Skład „zgromadzenia ludowego” oryginalny. Nieco studentów, w komplecie delegaci uniwersytetów rosyjskich, wśród nich i delegat lwowski, zwracający uwagę radykalnym wyglądem późniejszy pułkownik Wyrostek... Garść robotniczy nikła, sporo za to inteligencji radykalnej... Widzę wszystkie bardziej znane osobistości: St. Michalski, Heflich, Bol. Hirszfeld, Sempołowska, Dr. Radziwiłłowicz, Abramowski... Władze P. P. S.: — „Wiktor”, „Andrzej”, „Karol”, „Marja” z „dromedarkami” — w komplecie... Mróz siarczysty... Włóczymy się po trotuarach... Kiepsko... Kłapa.

Podchodzi do nas — kilkunastu studentów, spacerujących razem. — „Wiktor”. „Trzeba coś zacząć. Skupiajcie inteligentów między Bracką a Nowym Światem. Pójdziecie, wy studenci, przodem pochodu, ja zaraz napędzę Wam robotniczy”. Dictum — factum. Stajemy na rogu. Przyłączają się do nas „Olek”, „Czarny”... wykładowcy skupiają paru robotniczy, znanych im z wykładów — wpuszczamy publiczność na nasz odcinek, ku Marszałkowskiej natomiast nie puszczamy już nikogo. Powoli, gęstnieje nieco „tłum” między Bracką a Nowym Światem. Mile uderza sporo czerwonych goździków w kłapach palt u publiczności. „Czoło” pochodu już się formuje. Mizernie ono wygląda; stoi nas kilkadziesiąt osób, studentów, robotniczy i ze trzy lub cztery narzeczone... Nagle następuje początek końca. Nadjeżdża oberpolicmajster z kilkoma kozakami. Woła nerwowo: „Razojdities gaspada! Razojdities! „Gaspada, prosim pokorno rozojtis!” — wtórują kozacy, wjeżdżając „w tłum” i potrząsając manifestacyjnie nahajkami. „Tłum”, recte „czoło pochodu” nerwowo się porusza, kozacy robią błąd taktyczny, wpierając nas kupą w Bracką ku Chmielnej. Błąd ten wykorzystujemy genialnie, uciekając się do stale

zresztą stosowanego sposobu. Porzucając straconą pozycję w Alejach, idziemy Chmielną na Nowy Świat, gdzie już więcej widać było krążącego „narodu“ po trotuarach. — Maszerujemy zwartą kupą i na Nowym Świecie tworzymy kilka zwartych kordonów na trotuarze. Wchodzimy tak w tłum spacerowiczów. Po odsłonięciu pomnika ciekawość przeważała obawy: „naród“ wyległ na ulicę. Zawracamy wszystkich spotykanych. Jednych „po dobroci“, oponentów lakonicznie: „zawracaj pan, bo... w mordę!“ W krótkim czasie pchamy przed sobą tłum wszelakiego burżujstwa, zagarniający po drodze wszystkich spotkanych. Warszawiak jest z przyrodzenia gapiem, to też już od Ś-to Krzyskiej, ogół spacerowiczów idzie przed i za nami dobrowolnie. Wokoło unosi się nastrój: „Co z tego wyniknie“? Pochód wypada całkiem „grzeczny“. Nieprzyjaciel, oczywiście zaskoczony, nie stawia oporu, z wyjątkiem próby, dość zresztą nieudolnej, koło cyrkułu „pod Kopernikiem“, gdzie policja próbowała rozproszyć idących. Przechodzimy tak całe Krakowskie i dochodzimy do pomnika.

Widzimy tu nieprzyjaciela, gotowego na nasze przyjęcie. Z jednej strony pomnika szwadron żandarmów konnych, z drugiej — „mołodcy nagajeczniki“ — kozacy. Przy kracie spostrzegamy naszą inteligencję z Alei, która, odcięta tam od „czoła pochodu“, widocznie innemi drogami pośpieszyła tutaj. Jest również nieco robociarzy.

Nasze „tłumy“ zajęły teraz obserwacyjne stanowisko: demonstranci powrócili do swego przyrodzonego stanu gapiów, patrząc, co będzie.

Hasło: „Państwo pod pomnik!“ ginie bez echa. Przechodzi nas ulicą ze sto osób, nie więcej. Łączymy się ze stojącymi przy kracie i razem improwizujemy uroczystą defiladę naokoło pomnika. Czapki i kapelusze z głów, krążymy zwartą masą — ze 200 mniej więcej osób, pod okiem żandarmów, kozaków, no i chyba z 10 tys. tłumu rodaków, patrzących, jak to ci nas będą brać „do ula“. Spokój zupełny. Kilka tylko nieznacznych incydentów zakłóca uroczysty najstrój. Tu jakiś robociarz strącił łaską jakiemuś mało rozentuzjzmowanemu, czy może tylko reumatycznemu jegomościowi cylinder, tam znowu ktoś krzyknie: „Niech żyje wolność!“ ówdzie odezwie się straszliwa kakofonja, mająca imitować nutę „Czerwonego Sztandaru“. Znany mi z kółka, piekarz Wieczorek, kręci się i wciąż zapowiada: „Zaraz śpiewamy“. Śpiew jednak nie idzie.

W różnych punktach zaczynają go fałszywie, lecz zaraz milkną. Ogół nie zna nuty. Natomiast te wszystkie próby sprowadzają uro-

zmaicenie... Widzimy, jak z tłumu miesza się między nas sporo cywilów, kierując się przeważnie do miejsc, skąd słychać okrzyki... Charkowiak Belke, idący niedaleko nas, wznosi okrzyk: „Niech żyje rewolucja!“ i... zostaje momentalnie uchwycony pod rękę przez dwu cywilów, trzeci równocześnie zaczyna: „Krew naszą“... Zamieszanie — rzucający się na pomoc. Nagle do Belkego podchodzi rewirowy z dwoma stójkowymi i grzecznie salutując, coś mu mówi. Sytuacja się wyjaśnia... Wkrótce też widzimy, że nasz pochód „naszpikowany“ jest szpiclami, którzy, idąc grupami i zorganizowani, mogą w każdej chwili wziąć w swoje ręce inicjatywę w akcji i pokierować, jak zechcą, całą manifestacją. Rzucający też hasło zakończenia defilady, zwłaszcza, że nadchodzi czas odejścia pociągów na prowincję...

Manifestacja skończona.

Wieczorem odbył się szereg zebrań i uroczystych „wilji“ dla przyjezdnych ze wszystkich stron Polski delegacji. Między innymi odbyła się prześliczna wspólna wilja studencka, na której płomienną przemowę z rzetelnym natchnieniem wygłosił między innymi Gustaw Daniłowski.

Zapowiadane represje nie nastąpiły — aresztowanych na ulicach, zresztą w bardzo niewielkiej ilości, puszczono bardzo prędko. Rewizji zrobiono kilka, między innymi i u Daniłowskiego. Wogóle obawy władz, które oczekiwały nadzwyczajnych manifestacji, jeżeli nie rozruchów, okazały się płonne. Manifestacja, zaangażowana przez P. P. S. zrobiła, jak widzieliśmy, kompletne fiasko. Lepiej znacznie udało się partji w Krakowie, gdzie w godzinie uroczystości warszawskich pochód robotniczo-studencki udał się pod pomnik Mickiewicza. Tam złożono moc wieńców od socjalistycznych organizacyj zaboru rosyjskiego. Był tam również i nasz wieniec z odpowiednim napisem.

Uroczystości Mickiewiczowskie wstrząsnęły młodzieżą. Po powrocie ze świąt Bożego Narodzenia, życie korporacyjne i polityczne szło rażnie, a każdy fakt donioślejszy żywym odzywał się echem. Takim faktem n. p. była śmierć aresztowanego w sprawie Żaluski, prezesa „Koła Litewskiego“ Bol. Stońskiego. Na pogrzeb jego stawiała się cała patriotyczna i rewolucyjna inteligencja Warszawy. Młodzież Uniwersytetu, Politechniki, oraz innych wyższych uczelni, szła w ordynku. Trumnę nieśli naprzemian, to politechnicy, to uniwersanci, to znów „mitczaki“, to wreszcie panny... Wieńców bez liku, a wśród nich ogromny z napisem: „Krzewicielowi światła od Str. N. D.“, „Towarzyszowi Idei“ i t. d.

Nasze koła pepesowskie studenckie wystąpiły z wielkim wieńcem cierniowym, ozdobionym olbrzymiami i szerokimi czerwonymi wstęgami. — Mimo obecności wielkiej ilości policji, kondukt przeszedł spokojnie. Nad grobem ładnie przemówił Stefan Dziewulski, prezes Bratniej Pomocy i wschodząca wówczas gwiazda narodowców w uniwersytecie. W czasie zaś jego mowy — podniesiono do góry nasz wieńiec... Symboliczne ciernie górowały nad głowami tłumu, czerwone wstęgi rozwiewał wiatr szeroko, i wśród ciszy ogólnej dobitnie padały w tłum wygłaszane z odpowiednią intonacją słowa Dziewulskiego... „Choroba jego zaczęła się tam“!... „Śmierć przedwczesna przerwała nić działalności, której całego siebie poświęcił, lecz nam zostawił on nakaz w ostatnich słowach zawarty: do pracy, koledzy, do pracy!“

Otóż manifestację tę, niezwykle poważną, piękną i wywierającą niezatarte wrażenie na obecnych, przypląciło, niestety, relegacją czterech kolegów; wszyscy byli członkami naszej organizacji: Kamieński i Orłowski z Politechniki, a Nelken i Sienkiewicz — z Uniwersytetu. Oni to właśnie trzymali wieńiec cierniowy na cmentarzu, ale ponadto — no i ponad noty za „Ziłowszczyznę“, nic im zarzucić nie było można. Represja ta, w miesiąc coś po pogrzebie zastosowana, wywołała w obu „budach“ oburzenie. Na Zarządzie i w grupach „Bratniaka“ i „Zjednoczenia“ postawiono wniosek protestu. Zaczęły się nieskończone dyskusje, zwoływanie wieców w audytorjach, słowem — wrzenie. Wszystko to szło dość ślamazarnie. Większość demokratyczno - narodowa działała solidarnie, agitacja ich była namiętna i umiętna. Przeważnie była ona na temat: Ojczyźnie trzeba wytrwałej, skutecznej pracy, a nie wybryków burszowskich. Zwoływane też wiece kończyły się „kłapą“. Zbierało się kilkudziesięciu studentów w którymś audytorjum, zaczynało przemowy. Przychodził rektor Zenger, zabierał głos, wygłaszał obstrukcyjne mowy, i wiec się rozchodził.



Bolesław Słoński,
działacz oświatowy, prezes „Koła
Litewskiego“ młodzieży uniwersy-
teckiej w Warszawie.

Bywały też intermezza, nad wyraz komiczne. Na jednym z wieców „Dyzio“ Bujalski przysiadł kilka starannie zgnojonych i przeraźliwie śmierdzących jaj, które przygotował na Zengera, aby uniemożliwić mu przemowę. Nieborak niebacznie włożył tak spreparowane jaja do tylnych kieszeni munduru i przez zapomnienie siadł na nich z rozmachem, sporządzając demoniczny iście omelet.

Innym znów razem, wychodząc z nieudanego wiecu, widzimy kilku żydków o mocno podejrzanych gębach. Na wszelki przypadek — mogli to być szpicle — obiliśmy ich. Dla rozweselenia kolegów na drugi dzień puściłem kaczkę, że ofiarami naszymi byli niewinni farmaceuci. Tymczasem rzeczywistość przeszła wszystkie wymysły. Okazało się, że byli to przyjezdni do Warszawy „bundowcy“, działacze socjalistycznego „Bundu“. Dowiedziawszy się, że w uniwersytecie „istorja“¹⁾, przybyli, aby wyrazić swoje uznanie „gierojskiej młodocizny“²⁾ i... dostali serdeczne lanie...

Tak ślimaczyło się, i u nas, i w politechnice, przez ostatnie dni lutego aż do marca, co do rozpaczy doprowadzało naszą kierującą „robotami“ pepesowskiemi grupę, uniemożliwiło bowiem świetnie już idące pozytywne prace.

Obok wieców w audytorjach, mieliśmy nieskończone wiece w kuchni i niemożliwą ilość zebrań po mieszkaniach prywatnych. Szły spory programowe, kłótnie... osobiste, zaczęły się pojedynki. Raz poraz dowiadaliśmy się o tem, że kol. D. posłał świadków kol. N., a to znowu na Saskiej Kępie kol. Ł. porąbał kol. K... Do kuchni zjawiali się obandażowani adwersarze... Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła wieść o ogólnym strejku studentów w Rosji. Powodem było pobicie nahajkami demonstrujących studentów w Petersburgu. Wieść o tym, zwykłym dość zresztą za Caratu, fackie, jak iskra elektryczna, przebiegła rosyjskie miasta uniwersyteckie... W końcu lutego stanęły na znak protestu wszystkie wyższe uczelnie Petersburga, Moskwy, Kijowa, Odessy, Rygi, uniwersytet Dorpacki i t. d. Wszędzie odbyły się burzliwe wiece. Na wiecach po wygłoszeniu szeregu mów zapadały uchwały, zawierające postulaty autonomji akademickiej, ukrócenia administracyjnej samowoli i rezolucje, potępiające istniejący regime polityczny. Po wiecu — przerwano wykłady aż do wprowadzenia w życie reformy ustroju aka-

¹⁾ Tak nazywano w Rosji studenckie zaburzenia.

²⁾ Bohaterskiej młodzieży. „Bund“ był partją litwaków — zrusyfikowanych żydów.

demickiego. Polityki w tem było mało — raczej było to protestem przeciwko samowoli administracyjnej w uczelniach... Warszawa wypełniła się przejeżdżającymi studentami, wydalonymi z Petersburga, Rygi, Dorpatu i Kijowa — a wśród burzącej się właśnie z powodu samowoli administracyjnej młodzieży warszawskiej... prąd opozycyjny wzmógł się do zenitu.

Jakoś 4 czy 5 marca — do studenckiego mieszkania, które zajmowałem wspólnie ze Stefanowiczem i kolegą radomskim — medykiem Snużyńskim — coś koło 7-mej rano wchodzi „Dyzio“.

„Wstawajcie — o 9-tej będzie tu zebranie Komitetu — Smurjasz i Czesiek, wylewajcie się. Ty, Józek, zostań, bo jesteś w komitecie“.

„Zwarjowałeś — Dyziu, ostatecznie? co u diabła za brednie pleciesz? Co za komitet?“

„Przedewszystkiem Czesiu — bądź grzeczny — a następnie wstawaj i wnoś się — Komitet ogólno-studencki“.

„Kto u diabła go wybrał?“

„Ja“.

Stopniowo rzecz się wyjaśniła. Okazało się — że nieustające zebranie — różnych kół, kółek — grup opozycji bratniackiej i t. d. trwające do 6 z rana, uchwalilo zamach stanu. Postanowiono — wybrać „Ogólno-uniuersytecki Komitet manifestacyjny“ i jemu powierzyć dyktaturę. Komitet miał składać się z 7 członków: 5 przedstawicieli „Bratniej Pomocy“, — 1 „Kasy żydowskiej“ i 1 „Russkawo Krużka“. W ciągu dnia uczestnicy zebrania winni byli zwołać grupy „Bratniaka“ i jego „Zarząd“ oraz wielkie zgromadzenie w Kuchni dla zdecydowania kwestji, czy „Bratniak“ uznaje tę dyktaturę. Toż samo żądanie posłano do K. Ż. i „Krużka“. Przy omawianiu personalnego składu Komitetu — wynikiły przewlekłe dyskusje — głosy rozstrzeliły się. Wreszcie „Dyzio“ odczytał listę pięciu kandydatów, która zyskała ogólny aplauz zebranych i została przyjęta przez aklamację. Byli to: Hornowski, Maro, Rejbekiel (przewodniczący zebraniu), Horwitz — przyrodnik, wyróżniający się dyalektyką w dyskusjach i jeden z czynniejszych dawnych „kołowiczów“ — brat „dzisiejszego wodza komunistów, Maksa „Waleckiego“, i ja. Skład Komitetu, poza zebraniem, miał pozostać tajemnicą, kilku obecnych odrazu udało się do „elektów“, ażeby ich powiadomić o wyborze i zwołać na przedwstępne posiedzenie, które zacny „Dyzio“ na kredyt wyznaczył na godz. 9-tą u mnie.

Posiedzenie nasze nie było długie.

Czas naglił. Właśnie poprzedniego dnia stanęły „Pulawy“, „Weterynarja“ w Warszawie i „Politechnika“. W pierwszych dwu uczelniach o przewadze olbrzymiej Rosjan urządzono wiece, solidaryzujące się z wystąpieniem ogółu młodzieży „Rossijstawo Gosudarstwa“. Garstki uczących się tam Polaków (przyjmowano bardzo mały procent Polaków, tak, że n. p. w Pulawach liczba ich nie przenosiła 30 na kilkaset ogółu studenterji), nie mogły głosu zabrać zupełnie. Natomiast w Politechnice, wiec pod przewodnictwem Zywanowskiego, z powodu obstrukcji „narodowców“ trwał kilkanaście godzin.

Uchwalono na nim ogólne żądanie autonomji akademickiej, a przez oportunizm, wobec patryjotycznego gruntu — „nie solidaryzować się z Moskałami“ — „nie tonąć w morzu rosyjskiem!“, „zaznaczyć, że tu nie Rosja lecz Polska!“ i t. d. na którym stanęła opozycja, do żądań czysto akademickich, dołączono żądanie otwarcia polskich katedr. Klóciło się to z całością, było zamało, jako postulat narodowościowy, wprowadzało żywioł polityczny do spraw czysto akademickich, ale trudno. Myśmy mieli już przed sobą fakt dokonany. Trzeba zresztą było działać szybko. Uchwaliliśmy więc zwołanie na dzień następny o godzinie 10 wiecu w największym audytorjum uniwersyteckiem o z góry ułożonym porządku dziennym i podanych do wiadomości ogółu projektach rezolucji.

Do wciąż będących tematem rozpraw i wrzenia postulatów co-nięcia banicji z Uniwersytetu kol. Nelkena i Sienkiewicza, oraz ukrócenia samowoli administracyjnej, dodaliśmy, chaotycznie dość i nie powiem żeby szczęśliwie sformułowane, żądanie autonomji akademickiej, będącej właśnie hasłem dnia wszystkich uczelni wyższych.

No i znowu trzeba było wsadzić, ni przypiął, ni przyłatał, żądanie polskich katedr, brzmiące bardzo ugodowo i klójące się z całością wystąpienia.

„Z punktu“ też zredagowałem (po Ulanowskim zostałem stałym autorem odezwo radykalnych) odezwę, oraz wezwanie na wiec, które Maro natychmiast odbił na przygotowanym i już od dwu tygodni czynnym hektografie i podzieliłmiśmy role. Przewodnictwo wiecu objął obdarty mocnym głosem i „praktyk“ w rzeczach wiecowych, Rejbekiel. Hornowski i ja wzięliśmy na siebie postawienie sprawy w Zarządzie „Bratniaka“, oraz kontakt ze „społeczeństwem“ t. j. konferencję z wybitniejszymi jednostkami z poza uniwersytetu i poinformowanie ich o stanie sprawy. Odrazu też odbyłem odpowiednie konferencje z Al. Święto-

chowskim, St. Michalskim, St. Krzemińskim, redaktorami Libickim i kilku innymi. Podczas gdy Hornowski, będący wówczas zastępcą delegata grupy złożył prezydium „Bratniaka“ naszą odezwę i postulaty, Horwitz skomunikował się z „mniejszościami“ narodowymi: „Krużkiem“ i „Kasą“. Maro na stałe zajął się techniką. Następne posiedzenie, już po załatwieniu tego wszystkiego, dla wysłuchania sprawozdań z roboty, oraz stosunku korporacji do „komitetu“, wyznaczaliśmy znowu u mnie na godzinę 9 wieczorem. Zapomniałem dodać, że jako „urzędowy język“ komitetu i wszystkich jego enuncjacji ustaliliśmy polski, z prawem przemawiania delegata „Krużka“, o ile zaznaczy, że nie umie po polsku, w języku rosyjskim.

Stan rzeczy był wyraźny, jak to określiłem Al. Świętochowskiemu, do którego się udałem i który gorąco zaznaczał swoje przeciwne nam stanowisko. Sytuacja stała się bez wyjścia. Z chwilą postawienia sprawy protestu przeciw samowoli administracji w życiu akademickim w tak mocny sposób, jak strejk kilkudziesięciu tysięcy młodzieży wyższych uczelni, my nie mogliśmy cofnąć się od dalszego ciągu walki, którą z powodu relegacji kol. Sienkiewicza i Nelkena prowadzimy od dwu blisko tygodni. Zresztą, podniecenie ogółu młodzieży było tak silne, że musiało wylać się w jakimś czynie. Czyn ten ujmijemy w formy możliwe. Wiec poweźmie rezolucję i ogłosi strejk. Że zaś opozycja „narodowa“ nasza i lojalni moskale oraz żydzi wypełnią audytorja dla zaprotestowania przeciwko wiecowi, będziemy musieli zerwać siłą wykłady. W ten sposób, cała rewolucja zakończy się o 2-ej w południe i fakt będzie spełniony.

Wieczorem, na posiedzenie Komitetu zjawili się już delegaci „Krużka“ i „Kasy“. „Krużok“ robił zastrzeżenia, co do bezpieczeństwa całej akcji. Delegat zaś jego, „przyrodnik“ Rożanowicz, tłumaczył szeroko i długo o tem, jak to oni, „kwiat liberalizmu“ na pustyni rosyjskiego żywiołu w Warszawie narażają się i t. d. Na katerygiczne jednak za pytanie przewodniczącego rozprawom (był nim Hornowski), czy ostatecznie „Krużok“ dyktaturę „Komitetu“ uznaje i przyrzeka nam posłuszeństwo, R. strapiiony nieco ostrością tonu, oświadczył: „Krużok — da: no panowie ja bolsze w Komitet nie prijdu“. Delegat zaś Kasy, chłopiec sympatyczny i ładny — a przytem bardzo inteligentny (poza swoją specjalnością był to dość utalentowany literat) medyk Kohn — oświadczył, że skoro „Komitet“ daje mu gwarancję swym składem, że z drogi tolerancji i postępu nie zejdzie, on ma upoważnienie oświadczyć,

że „Kasa żydowska“ dyktaturę Komitetu bezwzględnie nad sobą uznaje. Fatalnie natomiast przedstawiła się sprawa „Bratniaka“. Stanęliśmy wobec dokonanego w nim rozłamu...

Jak zaznaczyłem, od rana odbywały się posiedzenia grup „Bratniaka“ dla wypowiedzenia się w kwestji wiecu. Ponadto — dla grup, które nie były dla jakichbądź powodów w możności urządzić zebrania, zwołany został wiec — w Kuchni. Rozpoczęło się to koło 4-ej. Stawilo się koło 200 chyba chłopca. Tłum zbity wypełnił szczerlnie cały lokal. To też kilka pokojów, zajętych na kuchnię w narożnym domu przy ulicy Ś-to Krzyskiej i ówczesnej Włodzimierskiej, przedstawiały widok jedyny w swoim rodzaju. Po oknach, z których część, mimo marca, otwarto dla przewiewu, siedziało kilkunastu zapóźnionych stołowników, „na chybcika“ i nerwowo spożywających różne potrawy — na stołach... nietknięte talerze z zupą, schabem, kartoflami — przy kasie ściśnięty i zirytowany gospodarz — Klott. Tu i owdzie grupki zawzięcie dyskutujące. Do drugiego pokoju — już przejścia nie było... Tam znowu i w herbaciarni — stoły i krzesła pod ścianą — a na nich — jak również i na podłodze tłum — głowa przy głowie... Przy miejscu prezydjalnem w komplecie Zarząd „Bratniaka“ z prezesem Dziewulskim. Przewodniczył wiecowi, o ile się nie mylę, Rejbekiel, istny męczennik w tych dniach. Głos zabierano za i przeciw „Komitetowi Manifestacyjnemu“, którego odezwy wraz z ogłoszeniem o jutrzejszym wiecu wisały na naczelnem miejscu, wśród przeróżnych ogłoszeń, odezw, biuletynów o ruchu studenckim w Rosji i t. d.

Zarząd „Bratniaka“ przybył z gotową rezolucją, ułożoną w tonie patriotycznym. Z punktu polityki narodowej rezolucja ta potępiała samowolne wystąpienie „Komitetu“ oraz udział młodzieży polskiej w ruchu „czysto rosyjskim“. Spory były gorące. Przemowy ogniste. Roznamiętanie wzrastało. Większość jednak znaczna była po stronie wiecu. Nagle ktoś z Zarządu krzyknął: „Koledzy! Bratnia Pomoc opuszcza zebranie! Kto z Bratniej Pomocy — niech wychodzi!“ Robi się rumor. Opuszczają lokal — przepychając się przez zbity tłum członkowie Zarządu z prezesem i kilkunastu kolegów. Ogół zostaje.

Fatalny ten „exodus“ Zarządu — odbił się paskudnie w życiu młodzieży warszawskiej. Przedewszystkiem przyjęto go, jako ukartowany przez „narodowców“ rozłam w „Bratniaku“. Wszystkie też popołudniowe posiedzenia grup bratniackich miały charakter rozłamowy. Zebrani dzielili się na zwolenników i przeciwników wiecu, przyczem pozostali w mniej-

szości opuszczali ostentacyjnie posiedzenie. Tak samo zresztą zakończyło się i posiedzenie Zarządu przed wieczorem.

Na wieczornem posiedzeniu Komitetu ostatecznie omówiliśmy szczegóły wiecu, oraz zerwanie wykładów, no i wyznacziliśmy na drugi dzień przed wieczorem — termin następnego zebrania dla omówienia dalszego istnienia. Z chwilą bowiem zamknięcia uniwersytetu, rolę swą uważaliśmy za skończoną, jako wybrani do przeprowadzenia manifestacji.

Wiec odbył się ściśle według programu. Nieoczekiwany incydent wywołał tylko postulat polskich katedr. Moskale prosili o skreślenie jego, jako „politycznego“ i nie wiążącego się logicznie z charakterem wiecu, inni mówcy znowu oburzali się na jego ugodowość. Nam potrzebny polski uniwersytet, a nie „katedry“. Zaczęły się nieskończone przemowy. Ktoś dał wniosek formalny: skreślić z porządku dziennego dzisiejszego wiecu sporny postulat — i przewodniczący Rejbekiel to uczynił. Tu znowu wygłosił mowę bardzo zresztą serdeczną i szczerą kol. Podymowski. Protestował on przeciwko „zignorowaniu ucisku narodowego, wobec którego“ i t. d. mówił słowem rzeczy słuszne zupełnie, ale nie wiążące się z całością. W końcu ostentacyjnie wyszedł. Że zaś przedtem znowu wyszło kilkunastu moskali, protestujących przeciw „politycznym“ mowom, na chwilę więc harmonja narad zepsuła się. Inne postulaty przyjęto przez aklamację. Zjawił się Zenger. Znowu mowa obstrukcyjna — zakończona kocią muzyką i krzykami „Dosyć!“... „Dosyć!“. Postulaty jednak Zenger przyjął, zamknięcia natomiast uniwersytetu odmówił, powołując się na przepisy i na pełne audytorja.

Ruszyliśmy tedy hurmem do audytorjów. Po drodze obiliśmy naturalnie paru pedlów, co się nasunęli pod rękę i zaczęliśmy od głównego pawilonu, mieszczącego audytorja prawników — głównej ostoi, zarówno polskiego jak rosyjskiego — protestu przeciw wiecowi. Pyszna była postać odwiecznego szwajcara Uniwersytetu, jak błądy, trzęsący się, a przytem wyciągnięty jak struna „na baczność“, trzymał szeroko roztwarte drzwi wejściowe, przez które walił się tłum rozgorączkowanej młodzieży.

Zaczęła się stereotypowo powtarzana we wszystkich audytorjach scena. Wchodziliśmy do sali tłumnie i przeważnie gwarno. Profesorowi oświadczone: „Z rozporządzenia wiecu młodzieży, uniwersytet zostaje zamknięty do czasu spełnienia przez władze wręczonych rektorowi postulatów. Prosimy wykład przerwać“. Profesorowie i słuchacze

opuszczali salę bez oporu z bardzo nielicznymi wyjątkami. Zdaje się, że w audytorjum IV kursu prawa, osławiony prof. statystyki — Simonienko — oświadczył, że ustąpi z katedry tylko na rozkaz rektora lub kuratora okręgu. Na to stojący blisko kol. Rejbekiel zakrzyknął: „Dziś obowiązuje Pana rozkaz wiecu“, a równocześnie tłum ogromnym głosem podtrzymał: „Precz z katedry! „Za drzwi“! „Won!“

„Przed siłą fizyczną ustępuję“! wyjęczał przerażony Simonienko. Natychmiast tłum z hałasem utworzył przejście od katedry do drzwi i oponent wśród gwizdu salę opuścił. Gdzieindziej znowu protest przeciwko znieważeniu „dostopocziennawo profesora“ wyrazili słuchacze filologowie.

Ten protest krótko załatwił „Dyzio“, stukając laską, zaopatrzoną w ołowianą gałkę na końcu, wśród śmiechu tłumu: „Won szczeniaki“!

Tak jak przewidywaliśmy, o godzinie 2 po południu wszystko było ukończone. Po „oczyszczeniu“ uniwersytetu, przyczem niez mordowany „Dyzio“, postukując swoją laską, obszedł wszystkie audytorja raz jeszcze, udaliśmy się do kuchni na obiad.

Na drugi dzień. Uniwersytet został zamknięty „do osobawo raspariażenia“.¹⁾

Rewolucyjna, że tak powiem, rola komitetu naszego była skończona. Manifestację, do urządzenia której nas powołano, urządziliśmy. Uniwersytet został zamknięty. Po wykonaniu też zadania, ściśle mówiąc, powinniśmy się byli rozwiązać. Niespodzianie jednak przed oczami stanęło zupełnie będące poza naszymi pełnomocnictwami zadanie twórcze: trzeba było zorganizować secesjonistów z „Bratniaka“. Rozłam wśród młodzieży uniwersyteckiej stał się bowiem faktem nie do naprawienia. Obustronne rozdrażnienie trwało, nastąpiło tak ulubione u nas w razie różnicy zdań w sprawach ogólnych zrywanie stosunków osobistych i koleżeńskich, hasła bojkotu i t. d. Oliwy do ognia dolewała akcja polityczna żywiołów postronnych z N. D., pod wpływem której znajdowała się pozostała część Zarządu. Odezwy z inicjałami „L. N.“ co zamiast „Liga Narodowa“ humor studencki tłumaczył „Libicki-Nowodworski“ od nazwisk dwu najbardziej znanych na gruncie życia akademickiego wodzów Nar. Dem., zajęciom studenckim nadały charakter zasadniczy i wybitnie polityczny. Zapoznając zupełnie właściwy charakter czysto akademicki ruchu, oraz fakt wrzenia w Warszawie, już od paru

¹⁾ Aż do specjalnego zarządzenia.

tygodni trwającego, odezwy te traktowały ostatni wiec jako robotę czysto „moskiewską“, nas zaś nazywały „targowiczami“, „zrywaczami jedności narodowej“ i t. p. Pozostała u steru część Zarządu „Bratniaka“, będąca zresztą, o ile pamiętam — większością, ogłosiła się za całość i wystąpiła w sposób nieprzejednany. W enuncjacjach swych traktowano nas, jako łamiących solidarność narodową i koleżeńską, lub też buntowników przeciwko „zdecydowanej woli ogółu kolegów-polaków i Narodu“. Na domiar złego nowy ten Zarząd zamknął kuchnię, jako ognisko buntu. Ten krok, godzący już w żołądki, ogromna większość bowiem „radykałów“ z powodu chronicznej „bryndzy“, poza kuchnią, nie miała się możliwości nigdzie stołować i zejść musiała do „taniaków“, W. T. D. przechylił czarę goryczy ostatecznie. O zgodzie nie mogło być już mowy. Miałem zresztą wówczas i mam teraz wrażenie, że do tej zgody, wywierający wówczas decydujący wpływ na Zarząd „Bratniaka“ nar. demokraci nie chcieli dopuścić rozmyślnie. Chodziło im o pozbycie się z korporacji „kąkolu“, jak miał się wyrazić wiceprezes „Bratniaka“ — Stefan Dąbrowski — dziś profesor i poseł — t. j. żywiołów radykalnych i socjalistycznych. „Komitet“ więc, jako jedyna, uznawana przez opozycję bratniacką, władza, musiał przystąpić do stworzenia drugiej korporacji polskiej. Przystąpiliśmy do tego energicznie, oczywiście w wyłącznie polskim składzie „Komitetu“. Przedstawiciele bowiem „Kasy Żydowskiej“ i „Ruskawo Krużka“ po sprawozdawczym posiedzeniu „Komitetu“, które odbyło się nazajutrz po wiecu, na dalsze posiedzenia już zapraszani nie byli.

Wypadki robotę naszą pchnęły naprzód w tempie niezmiernie szybkim. W połowie marca nastąpiły aresztowania. Wzięty został „Dyzio“, a wraz z nim kol. Brodzki Zbign., Łaski, Śmiarowski, Szczęśnowicz, medyk ostatniego kursu Makowski, mieszkający obok czynnego bardzo w tym czasie Wacława Makowskiego, prawdopodobnie zamiast właśnie jego, i wreszcie gospodarz kuchni — Klott. Oficjalny komunikat ogłosił, że aresztowany został „Komitet“ w całym składzie, mimo, iż nietylko żaden z aresztowanych do „Komitetu“ nie należał, ale nawet dwaj: Szczęśnowicz i Makowski, byli zajadłymi przeciwnikami ruchu.

Po tygodniu jeszcze nastąpiła masowa „razzia“ nocna. Do mieszkań przeszło kilkuset studentów wszystkich uczelni warszawskich, zjawily się w nocy „nariady“, t. j. niewielkie oddziały, policji.

Stropionym zazwyczaj nieco gospodarzowi mieszkania, rewirowy komunikował rozkaz wyjazdu z Warszawy w ciągu 24 godzin, dokąd

chce. Dla przypilnowania zaś tego u bardziej wątpliwych jednostek, a takich była większość, pozostawiono w mieszkaniu stójkowego, który miał studenta opuścić dopiero po odprowadzeniu go na kolej.

Z członków komitetu ten los spotkał Hornowskiego, Horwitza i Rejbekiela. Pozatem nakazano wyjazd delegatowi kasy żydowskiej Kohnowi.

Chwila była krytyczna. Na szczęście byliśmy na nią przygotowani. Od kilku dni na wypadek masowego wywożenia, które już stosowane było w Rosji, zarządziliśmy plan skoncentrowania „wygnańców” gromadami w większych miastach: Wilnie, Lublinie, Radomiu i t. d. A pozatem już były na ukończeniu układy o większą pożyczkę na fundusz zakładowy nowej organizacji. Otóż kol. Hornowski, który to właśnie układy prowadził, teraz został właśnie przypieczętowany w mieszkaniu. Dla łatwo zaś zrozumiałych względów rzecz cała, nie wyłączając nazwisk, była najściślej zakonspirowana. My reszta wiedzieliśmy tylko, że cała sprawa prowadzona jest przez stosunki „kulturalników” Świętochowskiego w banku Natansonów. Gdy więc rankiem po owej „razzji” dwaj niedobitkowie Komitetu: Maro i ja, biadaliśmy i szykowaliśmy się pójść do Hornowskiego, nagle wpada rozweselony sam „Guzik”. Od swego stróża-aniola odczepił się on genialnie. Oświadczył, że ma całą baterję tyfusu, cholery, desenterji i dżumy, które musi z wielką ostrożnością odnieść do laboratorjum i zażądał, aby mu stójkowy w tem dopomógł. Gdy ten, aczkolwiek z niechęcią, się zgodził, H. daje mu dwie próbówki, lekko zatkane watą. „No to pan poniesie dżumę, a ja tyfus, cholere i desenterję. Tylko, panie nie przechylić, bo dżuma się ulotni, będą dwa trupy i zaraza w mieście”. „Panie doktorze, ja lepiej poniosę cholere, albo tyfus, a pan resztę”. „Nie panie, nas dwu, a tego paskudztwa moc, inaczej rozdzielić nie można”. Targ w targ, stanęło na tem, że „Pan doktor” sam miał odnosić wszystkie zarazy pojedynczo, a policjant pilnować reszty. Dzięki temu Horn. uzyskał swobodę ruchów, zwłaszcza, że policjant, pozostawszy sam na sam w pokoju z „zarazami”, uznał za stosowne ulotnić się, powiadamiając Hornowskiego kartką, że stawi się przed pociągiem wieczorem.

H. natychmiast ruszył po pieniądze. A my zorganizowaliśmy ich podział. Listę wywożonych już mieliśmy. Łatwo jej udzielono w cyrkulach. Wyszukaliśmy kolegów, coby dopomogli do rozdawania floty. Samo rozdawnictwo dla braku czasu miało się odbywać na dworcach kolejowych. Na obiedzie u Wróbla, według umowy zjawił

się „Guzik“ (Hornowski). Wszystko poszło jak z płatka. Na podpisy, solidne zresztą: Bron. Natansona i Stan. Stempowskiego, ziemianina z Podola, Bank Natansonów dał trzy tysiące rubli bezprocentowej pożyczki. Tysiąc od razu przyniósł „Guzik“, a dwa mieli St. i Nat. dostarczyć na dworzec. Co można było, porozdzielaliśmy zaraz, odnotowując na liście, której odpisy wziął Hornowski dla siebie, Stemp. i Natansona.

Wieczorem zaś dnia tego Warszawa miała przedstawienie „wywożenia studentów“, ale jakżeż różne od unieśmiertelnionego w III części Dziadów!

Na dworcu kolei długimi sznurami ciągnęły doróżki, na każdej student z pakunkami, pościelą i... policja w tem. Same zaś dworce, zwłaszcza Petersburski — dziś Wileński — którym o północy bodaj odjeżdżali „banici“, co obrali sobie za przytułek Wilno, Nadwiślański, dziś Gdański, zaokupowany przez lubliniaków, radomiaków i kielczan, przedstawiały obraz kompletnej rewolucji. Tłumy „banitów“, oraz odprowadzających ich kolegów, krewnych i wreszcie panien, zajęły całkowicie wszystkie sale. Zwyczajni „porządni“ pasażerowie, pokornie usunęli się w kąt, patrząc ze strachem i podziwieniem na to, co się działo. Przemowy, toasty, śpiewy, harmider iście piekielny, wypełniały dworzec. „Gaudeamus“, to znów „Choć burza huczy wokoło nas“, to „Czerwony Sztandar“, brzmiały bez przerwy. Okrzyki: „Wracajcie!“ „Niech żyje wolność!“ „Nie dajcie się!“ i t. d. raz poraz wybuchały. Policja, mimo znacznej liczby, boć każdego „banitę“ przywiózł stójkowy, była bezsilna. To też zajęła się skwapliwie kupowaniem biletów, ekspedjowaniem bagaży, rezerwowaniem wagonów i t. d., rzucając swoich pupilów na razie na pastwę rewolucji, szalejącej w poczekalniach i salach bufetowych dworca. Wśród tego zaś wszystkiego na boku dokonywał się podział pożyczek. Stempowski bowiem i Natanson dotrzykali słowa i zjawili się z pieniędzmi już na dworcu. Każdy więc potrzebujący zapisywał się z punktu na listę. Delegowany przez nas kolega lub który z „żyrantów“ osobiście wpisywał sumę i to była cała formalność zaczątków nowej korporacji, biurem której służyły bodaj pulpity dla księgi zażaleń w poczekalniach dworca.

Pociągi wreszcie z „banitami“ przy olbrzymim wrzasku pożegnalnym wśród powiewania z rąk chustek i westchnień ulgi, zwolnionych naraz od kłopotliwego obowiązku stójkowych — odeszły.

Upojenie mija, pozostaje codzienna praca, mówiliśmy sobie z Marą, powracając z dworca do domu. Trzeba się było zająć intensywnie

teraz zorganizowaniem korporacji, która przy swem poczęciu miała 3000 długu i ani grosza dochodu, tudzież ani jednego członka.

Odrazu też na drugi dzień przystąpiliśmy do roboty, organizując Komisję z pośród nielicznych pozostałych kolegów, która miała się zająć wstępnymi krokami do utworzenia nowej korporacji. W parę dni zaś później wydaliśmy manifest abdykacyjny w imieniu Komitetu Manifestacyjnego. Uznając protest młodzieży przeciw samowoli władz za dokonany, Komitet po spełnieniu swego zadania rozwiązuje się. Taka była treść jego.

Całą energję natomiast włożyliśmy w przygotowanie kadry organizacyjnej dla nowej korporacji. Robotę ułatwił nam powrót nieomal wszystkich wygnańców po paru tygodniach wesołej dość zresztą banicji. Do pracy stanęła garść spora: Fliski, Porowski, Hercman, Gordziałkowski, Bystram i bardzo wielu, których nazwiska wypadły mi z pamięci, krzżeli się żywo. Natomiast ubył nam Maro, aresztowany w czasie „nakrytego“ zjazdu przedstawicieli młodzieży akademickiej z całej Rosji, zasiadającego w Moskwie.

Jak dla ironji, miał on tam złożyć w imieniu Warszawy oświadczenie, że Warszawa uważa rolę swą w ogólno-studenckim ruchu za ukończoną i przystępuje do walki o spolszczenie szkolnictwa wyższego w Królestwie Polskiem. Po oświadczeniu naszem identyczne mieli złożyć delegaci młodzieży gruzińskiej, a następnie Ryga i Dorpat.

Zjazd jednak wpadł zaraz po otwarciu obrad przy sprawozdaniach.

Zbliżające się egzaminy udaremniły prace inne. Ograniczyliśmy się też na zorganizowaniu spłaty długu znacnym obywatelom: Stempowskiemu i Natansonowi, którzy figurowali, jako firmanci nasi w Banku. Udało się to w zupełności. Od Świętochowskiego z „Prawdy“, Al. Heflicha, jako administratora firmy wydawniczej, już nie pamiętam jakiej, popularno-naukowej, i wreszcie Leopolda Meyeta, otrzymała młodzież sporo książek do rozprzedania z warunkiem, iż zwykły rabat księgarski pójdzie na dochód młodzieży. Wyjeżdżający na wakacje studenci brali te książki do rozprzedania, w czem dopomogło nam dużo „Zjednoczenie“. Kilka urządzonych podczas wakacji przedstawień amatorskich, balów, majówek, dopełniły reszty. Dość, że jesienią 1899, jeszcze przed wyznaczonym terminem, dług został spłacony, a nadto kasa zaczątków nowej korporacji miała, oprócz weksli na trzy przeszło tysiące rubli, kilkaset rubli w gotówce. „Wiecie, że wielkiego

wtedy nabrałem szacunku dla warszawskiego studenta“ — oświadczył mi już we dwadzieścia lat potem zacny p. Stempowski — „toć z kilkuset dłużników ani jeden nie chybił“.

Oczywiście, cała zorganizowana akcja, pośrednicząca w tej splecie w sposób powyższy, była wówczas naszym zacnym żyrantom nie znana w całości.



Tymczasowa Rada „Spójni“.

1 rząd: M. Porowski. W. Makowski. Fliski. Hercman. Mogilnicki. Jankowski.
2 rząd: W. Rembertowicz. Krąkowski. Nowierski. Dąbrowski. Gordziańkowski.

Z początkiem też roku akademickiego 1899/1900 po jeszcze jednej i znowu nieudanej próbie ugody z Bratniakiem, stanęła nowa korporacja polska w Uniwersytecie Warszawskim „Spójnia“.

Ustawę opracowaliśmy krańcowo-republikańską (brak prezesa, plenum delegatów grupowych, jako władza prawodawcza, odpowiedzialnych przed tym Zarządem, Wydział Wykonawczy jako admini-

stracja). Kuchnię otworzyliśmy wspólnie ze „Zjednoczeniem“, przyczem odrazu nadaliśmy jej cechy klubu studenckiego.

Finanse wyśmienicie postawili nieoceniony, jako administrator kol. „Daniel“, młodo później zmarły jako warszawski adwokat Wł. Danecki i przyrodnik Hercman. Reprezentacja leżała na kol. Nowierskim, Fliskim — starszych medykach i młodszych nieco, eleganckich prawnikach, kol. Porowskim, Kostro i Ładzie. Samokształceniowe komisje zorganizował niestrudzony kol. Spassowski.

Poza „secesjonistami“ zeszlatorocznymi z „Bratniaka“ do „Spójni“ przystąpiło z początku niewiele młodzieży. Z maturzystów gremjalnie zasilali „Spójnię“ tylko radomiacy, łodzianie i większość kresowców. Inne gimnazja, dzięki wytężonej agitacji przeciwko „moskiewsko-socjalistycznej“ partji, jak nas przezwano, oraz „radykalno-rewolucyjnej“ etykietce, którą nalepiono „Spójni“ od początku, poszły „kupą“ do „Bratniaka“. Niemniej „Spójnia“ rozpoczęła żywot w sile przeszło 300 członków. Z „Bratniakiem“, który przeistoczył się teraz całkowicie w ekspozyturę Nar. Dem. i stał się rozsądkiem jej ideologii na prowincji, stosunki, i to czysto formalne, zawiązaliśmy dopiero w zimie.

„Spójnię“ ogłoszono zaraz za korporację czysto socjalistyczną i międzynarodową. Był to fałsz. Od samego początku inicjatorzy jej podkreślali całkowitą bezpartyjność, zaznaczając jedynie jej wyraźnie niepodległościowy charakter. Odrazu też wprowadzone zostało wyplacanie pewnego odsetku od dochodów na więźniów politycznych, oraz na oświatę ludową, o co tak uporczywie walczyliśmy w „Bratniaku“. Na czele jednak w Zarządzie stanęli koledzy, bynajmniej nie socjalistycznych przekonań, jak Kostro, Krukowski, Fliski, Łada, Mogilnicki, Hercman, Nowierski, lub nawet o sympatjach zachowawczych, jak Gordziałkowski, Danecki, Bystram, Porowski, Głębocki. My, starsi pepesowcy, po puszczeniu w ruch korporacji, usunęliśmy się, zajęci swojemi własnymi sprawami. Tej naszej taktyki nie mieliśmy nigdy sposobności żałować. Rozumieliśmy, jak zresztą zaznaczyłem na początku, bezcelowość wciągania masowo młodzieży w sfery wpływów partyjnych, które mogą być jedynie chwilowe. Natomiast odczuwaliśmy potrzebę stworzenia mocniejszego ośrodka opinji patriotyczno-radykalnej. To też na stanowiska przodujące w korporacjach, gdzie nasze pepesowskie studenckie koła wpływ wywierały, popieraliśmy zawsze jednostki, bądź bezpartyjne zupełnie, jak większa część pierwszych działaczy „Spójni“, o których wyżej, bądź też nawet i partyjnych, ale taktownych i uczciwych

osobiście z punktu widzenia oczywiście etyki politycznej, jak np. długoletni prezes „Zjednoczenia“, partyjny wówczas demokratą narodowy, Ponikowski, późniejszy premier Rzeczypospolitej, profesor i rektor Politechniki, bądź również długoletni członek Wydziału Wykonawczego „Spójni“, pepesowiec Wacław Dąbrowski, późniejszy profesor i rektor Wyższej Szkoły Gosp. Wiejskiego.

Nie było to złe. Wytwarzały się środowiska, gdzie wykuwała się niepodległościowa szczerze i postępowo jednocześnie — polska opinia publiczna, wolna od tresury partyjnej, którą teraz na wielką skalę rozpoczęła Narodowa Demokracja.

Równocześnie stało się zupełnie zbytecznym „Koło“ i wszelkie tego rodzaju organizacje. Projekt jednolitej i wspólnej organizacji całości młodzieży polskiej, jaką miała być „Pomoc Bratnia“, nie wytrzymał próby życiowej. Przechodząca wówczas swój „Sturm u. Drang Periode“ Demokracja Narodowa, osiągnąwszy wpływy w „Bratniaku“, ujęła go w mocne kleszcze zależności partyjnej i dla młodzieży, nie dzielącej jej zasad i taktyki, miejsca w „Bratniaku“ nie było. Rozłam też był koniecznością, tak samo zresztą, jak wkrótce potem w „Zjednoczeniu Młodzieży Polskiej zagranicą“ i zresztą, jak w całym społeczeństwie. Żywioły, protestujące przeciw wyłączności endeckiej... z jednej strony, z drugiej zaś bardziej czerwone, objęła „Spójnia“. Młodzież więc otrzymała bardziej odpowiednią życiowym stosunkom organizację i reprezentację. Wpłynęło to dodatnio nawet i na tak drażliwą sprawę: jak będąca formalnym powodem rozłamu 1899 r. łączność studenterji warszawskiej z młodzieżą rosyjskich uniwersytetów, która, mówiąc nawiasem, zresztą po 1899 r. weszła masowo na drogę chronicznej rewolucji. W r. 1901 wybuchł nowy powszechny strejk studencki w całej Rosji z powodu oddania w żołdacy 180 studentów, uczestników jakiegoś lokalnego wiecu. „Spójnia“ wówczas wypowiedziała się przeciw udziałowi, zapowiadając przyszłą a niedługo już czekającą nas walkę o uniwersytet polski w Warszawie. Też samą uchwałę powzięło i „Zjednoczenie“ na politechnice. Agitacja, wzorowana na naszej z przed lat dwu, a prowadzona gorliwie przez garstkę nieprzejednanych z bardzo już wówczas podupadłym na zdrowiu, lecz wciąż ruchliwym „Dyziem“ na czele, nie miała powodzenia. „Dyzio“ jednak miał tę satysfakcję, że znowu „zamknął“ uniwersytet. Wskutek bowiem wydanych przezzeń pod pseudonimami: „Jurand, student uniwersytetu“ i „Młodzież rewolucyjna“, odezw, wzywających na wiec, władze przerwały wykłady i zamknęły uniwersytet.

Wiele do niepowodzenia tego przyczynił się i fakt, że z inicjatywą strejku wystąpili tym razem studenci Rosjanie warszawscy. Wydali oni płomienną odezwę do „kolegów Polaków“, wzywając ich do solidarności z ogółem „studienckiej siemji“. Mimo powołania się na to, że kiedyś Polacy wzywali Rosjan do walki „za wolność naszą i waszą“ i pomimo użycia, jak Warszawa Warszawa, chyba poraz pierwszy takich zwrotów w języku rosyjskim, jak „barbarzyński carat“, to włączenie młodzieży polskiej do rosyjskiej „studienckiej siemji“,¹⁾ co walczy o lepszą przyszłość Rosji, wywołało protesty i zdepopularyzowało ruch cały.

Słowem, młodzież „czerwona“ pozostała spokojna, mimo, że na wszelkich manifestacjach, jakie miały miejsce w tych czasach w Warszawie (pierwszy i trzeci maja, manifestacyjne pogrzeby: Hirszfelda, Tańskiego, stud. politechniki i wiceprezesa „Zjednoczenia“ — Żywanowskiego, zdemolowanie konsulatu niemieckiego z powodu procesu o zajścia we Wrześni) brała udział wybitny i przyplącała to ciężkimi ofiarami.

Natomiast na wielką skalę wśród młodzieży odłamu „czerwonego“ rozwijała się praca kulturalna i ruch polityczny. Lata 1900, 1901 i nast. były rozkwitem wogóle życia publicznego wśród młodzieży, który zresztą trwał i dalej i zakończył się wystąpieniem do walki o szkołę polską. O ile się tyczy naszej ściślejszej organizacji partyjnej, to właściwie stała się ona zbyteczną zupełnie. Koło setki bowiem, jeżeli nie więcej, młodzieży o przekonaniach pepesowskich, działało w szeregu pośrednio lub bezpośrednio z partją związanych instytucji („Tow. Pomocy więźniom politycznym“, „Oświata robotnicza“, „Kółka etyczne“, wspomniana już specjalna gałęź agitacji za wcieleniem w życie ideałów socjalizmu, stworzona przez Edw. Abramowskiego, kółka agitatorskie i t. d.). Pisma i wydawnictwa nielegalne krążyły w ogromnej ilości. Do sprowadzonych dawniej „Przedświtu“, „Promienia“ i „Światła“, przybyła wybornie redagowana przez Wilhelma Feldmana „Krytyka“. Książka nielegalna stała się rzeczą powszednią. Młodzież przystąpiła do własnych wydawnictw („Życie Jezusa“ Renana, „Zdobycie Chleba“ Krapotkina). Raz nawet w r. 1900, my, „spójniacy“ „puściliśmy się“ także na „Jednodniówkę 3 maja“, drukowaną we własnej drukarni tajnej, specjalnie i bardzo pomysłowo urządzonej. Dochód z tej jednodniówki przeznaczony był na więźniów politycznych.

¹⁾ Rodziny studenckiej.

3^{ci} MAJA

Naprzód i wyżej! Przez ból i męczarnie,
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje

.....
Naprzód i wyżej!...

Asnyk



WARSZAWA

1900

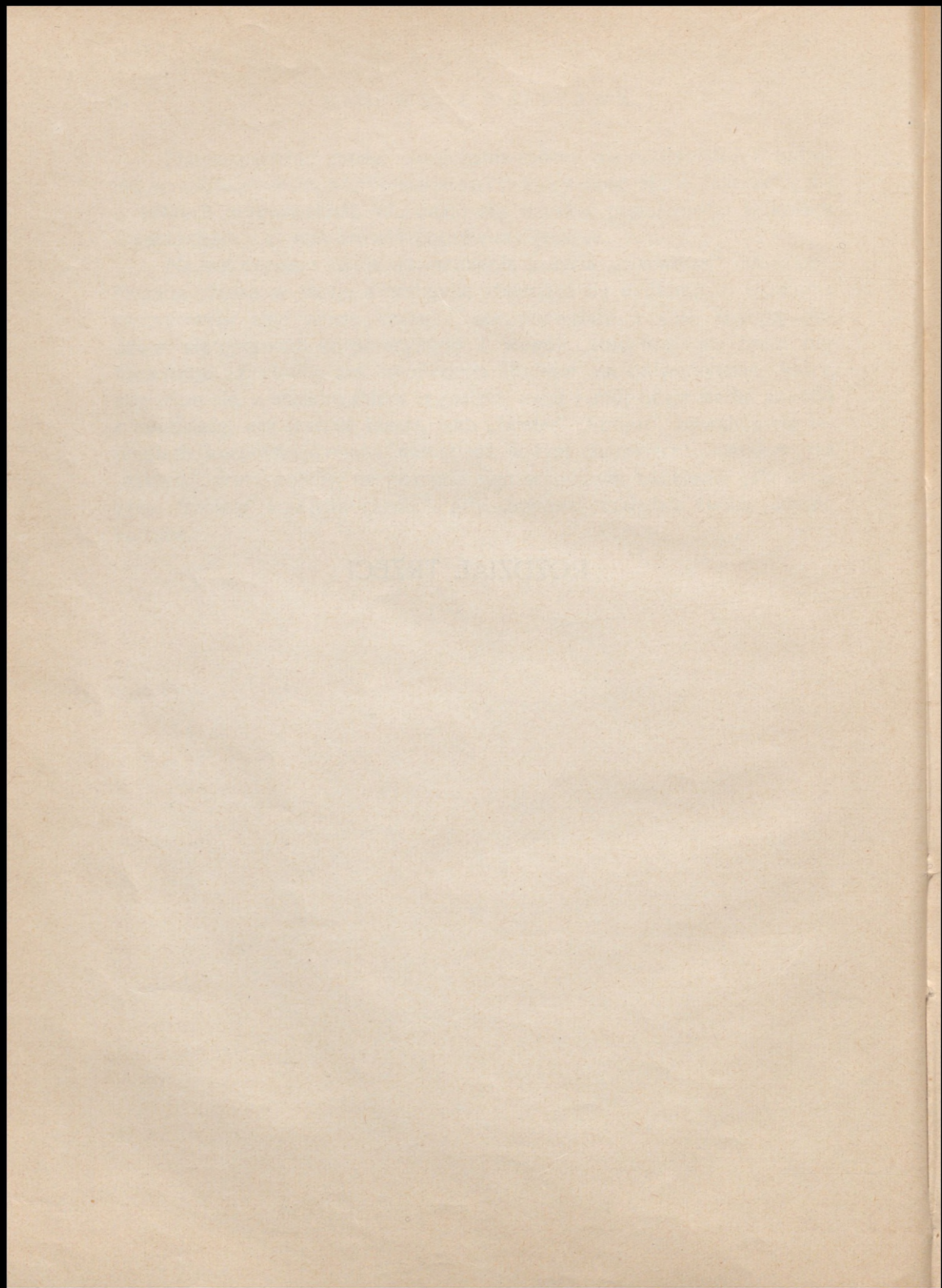
Wydawnictwo Młodzieży Polskiej.

Jednodniówka, wydana na 3. V. 1900 przez młodzież „Spójni“; odbito we własnej ad hoc urządzonej drukarni, wynalazku zecera Jandzińskiego. Redagowałem ja — autorowie artykułów wymienieni pod temiz.

Starcia partyjne ustaly. Mohikanie-esdecy nie odgrywali już żadnej roli w uniwersytecie, a „Proletarjatowi“, który dość silnie zakorzenił się w kółkach uczniowskich, nie udało się uzyskać popularności w kołach akademickich. O tem zresztą pomówimy jeszcze.

Na tem urywam swoje wspomnienia z życia „czerwonej“ młodzieży. Praca spiskowa w partji, a następnie zbliżające się dyplomowe egzamina absorbowały zbyt wiele czasu i nie pozwalały z całą energją oddawać się sprawom korporacyjnym i wogóle studenckiemu życiu publicznemu. Z chwilą zaś ukończenia studjów na uniwersytecie, który, przyznam się, z wielkim żalem żegnałem, ustał i mój bezpośredni kontakt z młodzieżą, acz jeszcze nieraz, jako „filister“ „Spójni“, bywałem na zebraniach korporacyjnych, i nawet już w tym charakterze zostałem raz „nakryty“ przez policję, na pożegnalnym wspólnym bankiecie, jaki urządziły „Spójnia“ i „Zjednoczenie“, gdy „Spójnia“ zakładała swoją własną kuchnię.

ROZDZIAŁ TRZECI



„Czerwoni“ z przed ćwierćwiecza.

Moje bliższe zetknięcie się ze „szczytami“ konspiracji. Konspiracja ówczesna. Robota Penelopy. P. P. S. przed ćwierćwiekiem robi przełom w socjalizmie polskim. Potencjalne państwo polskie, jako zasada. Dążenie do uzyskania rzeczywistego państwa, jako treść polityki narodowej. Renesans hasel powstańczych. „Cekaer“ ówczesny. Późniejsi naczelnicy R-plitej: „Wiktor“ i „Edmund“. „Władek“. Dziedzictwo Czerwonych z Powstania Styczniowego. Korona-Litwa-Ruś i dawna emigracja w C. K. R. Tow. „Mały“. Rola Emigracji w P. P. S. Charakterystyka działaczy ówczesnych. „Piękna Pani“, „Gintra“ i jej „parlament“. „Paweł“. „Andrzej“. „Zygmunt“. „Etko“. „Aniela“. „Karol“ „Piotr“ — działacze warszawscy — „Dromaderki“. „Technika“. „Dru“. „Gra“. Życie towarzyskie w podziemiach konspiracji. „Wieczornice“. Epizod z „Księciem“. Jego tragedia. „Sympatycy“. Literatura w P. P. S. ówczesnej.

... Z całością organizacji P. P. S. w Warszawie, a przynajmniej z jej szczytami, bezpośrednio zetknąłem się w styczniu 1898 r. Wówczas to, po powrocie ze świąt Bożego Narodzenia — nieco zresztą przedłużonych z powodu karnawału w rodzinnem mieście, zastałem wieść hiobową. Oto, wydelegowany przez Centralny Komitet Robotniczy (w skróceniu C. K. R.) jako łącznik naszej studenckiej organizacji pepsowskiej z partją, znany nam już „tow. Władek“, „zaszpicielował się“ poważnie. Że zaś nadto inne jeszcze względy nakazywały mu przejść na nielegalnego i opuścić Warszawę, przeto powołano na jego miejsce mnie. Zostałem więc bezpośrednim członkiem organizacji na bruku warszawskim.

Na wstępie jednak maleńka uwaga ogólniejszej treści. Nie trzeba sobie wyobrażać, żeby ówczesna konspiracja była czemś ciągłym. Pomimo te same firmy, często tych samych nawet ludzi niektórych, forma jej i treść zmieniały się ciągle. Jeżeli można użyć porównania, była to prawdziwa robota Penelopy — różniąca się jedynie od swego pierwo-

wzoru tem, że pracowicie utkane przez danych ludzi dzieło niszczyli nie oni, lecz ktoś inny. Organizacje rwały się bez ustanku. Tworzyły się, pracowały i następnie upadały pod ciosami żandarmerji. Agitacja jednak i propaganda tych organizacji, bardzo zresztą szczupłych, pozostawiała rezultaty: wyrobione nieco i zaagitowane już jednostki, czasem nawet grupy. To ułatwiało robotę nowej organizacji, według innej taktyki przez innych ludzi stworzonej, choć działającej nawet pod tą samą formą partyjną i w imię tegoż ideału, a nawet programu.

Do najbardziej trwałych konspiracji należała P. P. S., której obraz w pięcioleciu 1897—1902 — obraz bardzo ciekawy, choć pozbawiony efektów takich, jak późniejsze jej dzieje, chciałbym przedstawić w niniejszych wspomnieniach.

W początkach 1898 r., po znakomicie udanym i doniosłym w jej pracach zjeździe (listopad 1897 r.) P. P. S. była pełną zaufania w siebie i swój program. Było w tem dużo słuszności. Partja po kilkuletnim istnieniu, nietylko nie upadła, ale rozwijała się ciągle. Niepodległościowy program zyskiwał uznanie. „Stosunki“ obejmowały obszary dawnej Rzeczypospolitej, oraz kolonie studenckie w Rosji. Protegowano budzący się ruch litewski, łotewski, ukraiński, stworzono oddział żydowski. To zaś wszystko szło przy niezwykle skromnych środkach (dochody partji wynosiły niespełna 500 rb. miesięcznie) i nielicznym składzie (na zjeździe obecnych było wraz z delegatem zagranicy — 12 osób). Konkurencyjna Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy upadła zupełnie. Wewnątrz partji los spowodował zupełne wytrzebiecie różnic w poglądach. Krytycznie nieco zapatrujący się na program niepodległościowy tow. „Stefan“, (Jan Stróżecki), jeden z twórców organizacji, siedział już dawno w „ulu“, a jedyny w ściślejszem gronie zwolennik „konstytucyjnych nadziei“ — „Lolek“ (Ludwik Kulczycki), wpadł właśnie niedawno. Do Komitetu Centralnego wybrano krańcowych „niepodległościowców“: „Wiktora“ (J. Piłsudski), „Edmunda“ (St. Wojciechowski) i „Władka“ (Al. Malinowski).

Wybór był niezwykle trafny. Przy komentowaniu i wprowadzaniu w życie niepodległościowego programu, który był poniekąd rewolucją w polskiej myśli socjalistycznej, i uświadamiania masowego, co było znowu rewolucją w taktyce partyjnej¹⁾ wszyscy trzej „cekaerowcy“ uzu-

¹⁾ Zapoczątkował to zresztą „Związek Robotniczy“, partja działająca w latach 1888—92, odrzucająca politykę i propagująca walkę wyłącznie klasową.

pełniali się znakomicie. Jeżeli użyć obowiązującego w socjalizmie naukowym wzoru heglowskiego, były to doskonałe: teza, antyteza i synteza. „Wiktor“ — bujny kresowy szlachcic o umyśle i uczuciach romantyka czerwieńca czasów powstania Styczniowego, wychowany w fantazyjnej szkole konspiracji rosyjskiej — reprezentował rewolucyjną tezę, której poniekąd antytezą był warszawski akademik, długoletni prezes „Koła“ — wychowany w szkole myślowej pozytywizmu warszawskiego, narodowy socjalista z przekonań i refleksyjny z usposobienia — „Edmund“. Nikt zaś lepiej, niż skończony inżynier, „spryciarz“ życiowy i praktyk w każdym calu — „Władek“, nie potrafiłby zasad czy pomysłów taktycznych, stworzonych przez obu towarzyszków, wprowadzić w życie. Tworzył on przez to właśnie syntezę ich obu.

Praca przed tą trójką leżała ogromna. Dwaj, ocaleni z pogromu i pozostali w kraju, współtwórcy P. P. S. członkowie dawnego Związku: „Stefan“ i „Fakir“ (Kazimierz Pietkiewicz), dali podwaliny organizacji partyjnej w Królestwie. „Stefan“ ugruntował ją w Warszawie. „Fakir“ zaś, z niezwykłą pracowitością i zręcznością, pozahaczał nici organizacyjne na prowincji. Pozostawało teraz utrwalić tę organizację i dać jej program życiowy. Dokonano tego właśnie w okresie „Wiktora“, „Edmunda“ i „Władka“ w pięcioleciu 1895—1900 — zakończonem olbrzymim pogromem w tym ostatnim roku. Patrząc z oddalenia na trzydziestoletnie przeszło istnienie P. P. S., uważam ten okres za najbardziej bodaj twórczy w tem istnieniu. Hasła socjalizmu polskiego z czysto negatywnych stały się czemś pozytywnem. Robotnik polski po długich wezwaniach do protestu przeciw temu co jest — usłyszał nareszcie wygłoszony przez program partyjny rozkaz: czyń to, a to. Socjalizm polski stanął twarzą w twarz z rzeczywistym życiem politycznym i jego zadaniami konkretnymi. Zamiast koncepcji religijnej szczęścia wiecznego w przyszłym socjalistycznym raju — po jakiejś o mitologicznym charakterze rewolucji powszechnej — stanął przed nim cel wyraźny: stworzyć własne państwo i w niem zaprowadzić porządku socjalistyczne.

„Wiktor“ w r. 1898 był najstarszym pepesowcem w kraju, gdzie od powrotu z Syberji w 1893 roku bez przerwy pracował i to od początku niemal na stanowiskach naczelnych. Poza tem był to najbardziej wyraźny przedstawiciel „nowego kursu“ w P. P. S. To wszystko, obok „odbębionych“ już kilku lat Syberji, oraz bogatych stosunków z rewolucjonistami rosyjskimi, dawało „Wiktorowi“ niezależnie od cech osobistych — ogromną powagę w partji. Jako teoretyk, „Wiktor“ był

pierwszym bodaj rzecznikiem „powstańczości” — tego właśnie pozytywnego zwrotu w socjalizmie polskim. Przez tę powstańczość „Wiktor” skonkretyzował, czy też, jak chcieli przeciwnicy jego — zwulgaryzował, w każdym zaś razie — uczynił zrozumiałym i popularnym w masach program niepodległościowy P. P. S. Do tego bowiem czasu program ten, postawiony i teoretycznie, bardzo zresztą mgliście, uzasadniony przez Mendelсона i Grabskiego Stanisława¹⁾, nie umiał sobie znaleźć miejsca w ideologii socjalistycznej. Nie rozumiano go i nieraz zwalczano przez to właśnie niezrozumienie.

Teza walki zbrojnej z caratem o własne państwo polskie, w którym pracujące żywioty osiągną możliwe maximum władzy i wpływów, stawała w pojęciach robotnika sprawę polityki proletarjackiej w Polsce jasno i dobitnie. Przyszła niepodległa Polska stawała się potencjalną ojczyzną polityczną dla socjalisty, zarówno w Warszawie, jak w Wilnie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, czy na Śląsku lub... w Gdańsku. Dawała ona z jednej strony — podstawę łączności socjalistów polskich wszystkich zaborów, i pod tym względem trzeba P. P. S. przyznać wszechpolskość jeszcze przed Narod. Demokracją, z drugiej zaś strony było to prawnym tytułem do zajęcia miejsca w rozległej rodzinie międzynarodowego socjalizmu. Do zastąpienia zaś tego potencjalnego państwa polskiego przez rzeczywiste — można dojść będzie tylko drogą zbrojnego powstania. Wszystko też, co korzystne dla powstania — dobre, co w przygotowaniach do niego przeszkadza — złe. Stworzone więc zostało i kryterjum dla spraw polityki wewnętrznej. Takie schematyczne i proste ujęcie sprawy P. P. S. zawdzięcza właśnie „Wiktorowi”, ówczesnemu największemu autorytetowi partyjnemu w kraju i redaktorowi „urzędowego” „Robotnika”.

Dając jego sylwetkę, zacznę od powierzchowności. Dzisiejszy pierwszy marszałek Polski i pierwszy Naczelnik odrodzonej Rzeczypospolitej, wówczas zaś — „tow. Wiktor”, dla bliższych znajomych — „Ziuk” — a dla najbliższych, zwłaszcza zaś dla towarzyszek — oczywiście zaocznie — „Ziuczek”, był wtedy trzydziestoletnim, bardzo przy-

¹⁾ Obok Mendelсона i Grabskiego, późniejszych wodzów nacjonalizmu żydowskiego i polskiego, duże zasługi dla wprowadzenia postulatu niepodległości do programu socjalistów polskich położył Edw. Abramowski. Od samego zaś początku ruchu wymownym rzecznikiem walki o niepodległość był nestor naszego socjalizmu, Bol. Limanowski. Mendelson uzasadniał program niepodległościowy w „Przedświcie”. Grabski zaś, jako Zborowicz — w „Gazecie Robotniczej” — w r. 1892.

stojnym i zawsze starannie ubranym mężczyzną. Wzrost — więcej niż średni, sylwetka lekko pochylona, gęsta, ciemna, ostrzyżona „średnio na jeża“ i oporna wszelkim usiłowaniom grzebieniowym — czupryna, twarz, okolona gęstą, w różny sposób, przeważnie jednak na tępy szpic, strzyżoną brodą, duży, nieco nastroszony wąs, wysunięte naprzód i wciąż, jakby dmuchające wargi — to jego ówczesny portret. Przy pierwszym spotkaniu „Wiktor“ sprawiał niezwykle sympatyczne wrażenie. Przedewszystkiem uderzały jego oczy. Rozumnie i zarazem pogodnie patrzyły one z pod gęstych, zrosniętych, dziś już historycznych — brwi, osadzone



Jan Stróżecki: „Stefan“.



Kazimierz Pietkiewicz: „Fakir“.

głęboko i badające świat, jak gdyby z ukrycia. Mówił „Wiktor“ apodyktycznie i z wielką pewnością siebie i swego zdania. Celował przytem dobozem „szlagwortów“, bardzo obrazowych i jędrnych. Styl miał ładny i często wytworny; w prywatnych zaś pogawędkach jego serdeczny śmiech, jakim co chwila wybuchał, dowcipy, specjalny ich, gęsto przetykany rosyjskimi charakterystycznymi wyrażeniami, język, a przytem — proste ujmowanie każdej sprawy, usposabiały doń bardzo mile. Zawsze też w swojej „bajecznej“ karierze politycznej, a więc i wtedy, miał on fanatycznych wielbicieli, którzy daliby się za niego porąbać, myśleli jego myślami, szli za nim wszędzie, wierzyli weń ślepo i tylko jego słuchali.

U wielu z takich wielbicieli następowała reakcja: od bezgranicznego odania przechodzili następnie do niemniej bezgranicznej ku niemu nienawiści. Takim np. był „Piotr” — Max Horwitz, późniejszy zaciekły wróg „Wiktora”, a w tym właśnie czasie fanatyczny i bezkrytyczny jego zwolennik. Spotykając się z „Wiktorem”, częściej byłem zdziwiony umiejętnością, z jaką przy swej serdeczności potrafił trzymać wszystkich „à distance”. Co zaś dziwniejsze — wszyscy towarzysze uważali to za zupełnie naturalne i bynajmniej nie wpływało to ujemnie na kult, jakim „Wiktor” był otoczony. To też „parlament” — tak nazywaliśmy pokój tow. „Gintry”, gdzie zazwyczaj zbieraliśmy się, sprawiał wrażenie, które możnaby określić: Pan i dwór jego. Co do siebie, to długo nie mogłem „rozgryźć” powstańczej ideologii „Wiktora”, którą zresztą — dziś to szczerze przyznaję — niezbyt się entuzjazmowałem, zwłaszcza, gdy w r. 1901 objąłem stanowisko partyjne — bezpośredniego kierownika działalności w masach robotniczych. Ideologia ta, będąca, jak zaznaczyłem pierwiastkiem twórczym w okresie lat 1893 — może do 1900 nawet, — zaczęła później mocno na programie naszym ciążyć. Poruszyła ona masy, skupiła je pod czerwonym sztandarem... — lecz masom tym następnie trzeba było dać jakąś politykę dnia. Tej zaś ideologia powstańcza w swem „Wiktorem” wydaniu nie dawała. Nastąpiło skostnienie ideowe programu — żywe hasło zamieniło się we frazeologię nie życiową, a tu życie wołało o treść istotną. Sam „Wiktor” i jego najbliżsi, przez gorzkie doświadczenie „bojówek” doszli do renesansu wojskowości, pozostawiając socjalizm poza sobą. Masy robotnicze i partja pozostały bez widomego, konkretnego sztandaru... Stało się to tragedją P. P. S. w okresie rewolucji 1905—8 roku. Posiadając za sobą masy proletarjackie, była ona całkowicie bezsilna i, wobec najazdu, i wobec własnego społeczeństwa. Jest zaś tą samą tragedją jej i w niepodległej ojczyźnie, gdy po zwycięstwie swego programu musi robić opozycję.

Przed „ćwierkiem” na to wszystko nie zanosilo się jeszcze. Już się jednak zaznaczał, słabiuchny na razie, rozdźwięk między większością nas — pepesowych inteligentów, a „Wiktorem” na tle właśnie tej „powstańczości”. Dla nas powstanie zbrojne było w ówczesnych warunkach jedynie sui generis mitem, który uzmysławiać miał ideę niepodległości w pojęciach mas. „Wiktor” natomiast przyszłe powstanie zbrojne traktował konkretnie: obowiązkiem pokolenia było do niego dążyć i zupełnie realnie wybuch jego przygotowywać. Załamaniem się

też „Wiktor“, jako pierwiastka, w polskiej myśli politycznej — twórczego, był okres Wielkiej Wojny, gdy jego idea znalazła się w próżni.

Czy „Wiktor“, głosząc hasło powstania — wierzył w jego zwycięstwo? Sądzę, że nie. Zbyt był na to realnym politykiem. Powstanie było, zdaniem jego, obowiązkiem naszym samo w sobie, bez względu na rezultat. Takie zawsze miałem wrażenie. Wierzył on, że czyn zbrojny z fatalną siłą ciąży nad podbitym narodem historycznym, jako uzmysłowienie protestu przeciw niewoli. „Każde nasze pokolenie — odpowiedział mi na moje zarzuty programowi temu w r. 1904, a więc również w chwili „osobliwej“ — krwią swoją musi przypomnieć, że Polska żyje i z niewolą się nie pogodziła... Jeżeli więc my, choćby bardzo słabo, choćby wreszcie — tu z naciskiem odparł mój argument, że stan społeczeństwa i sił naszych pozwalają nam co najwyżej na błagę powstańczą, a nie na realny program powstańczy — choćby nawet błagą zmusimy Europę, by o nas myślała i mówiła, spełnimy swoje“.

Muszę zresztą zaznaczyć, że, jako przywódca partii socjalistycznej i redaktor urzędowego jej organu, „Wiktor“ był lojalnym względem haseł „walki klas“, „międzynarodowej solidarności proletariatu“ i t. p. Do rozpaczy jedynie doprowadzał socjalistów-ortodoksów, a do białej złości — „endeków“ stałą terminologją: „moskale, „moskiewski najazd“, „dziki carat najezdniczy“ i t. d. Krzywiono się mocno z tej strony również i na zasadnicze przemilczanie słabych zresztą bardzo w tym czasie objawów rosyjskiego ruchu rewolucyjnego.

Dodam, że w tym wodzu ówczesnego naszego socjalizmu nie było z nowoczesnego demokracji. Był to jaknajklasycyjszy pogrobowiec szlacheckiej demokracji — jakiś, na wielką zakrojony skalę — np. Zygm. Sierakowski. Samą nawet P. P. S. i jej program usiłował „Wiktor“ czasami wyprowadzić od „Tow. Demokratycznego“, emigracji polistopadowej i czerwieńców 1863 r. Jako działacz znowu, imponował mi wówczas „Wiktor“ swoją siłą woli i opanowaniem siebie. W wysokim stopniu posiadał on przytem spokój i bezwzględność w wykonywaniu swego programu, ten pierwszy i najważniejszy przymiot wodza. Polityczne posunięcia traktował, jak grę w szachy, którą namiętnie lubił. Zawiodła go jakaś kombinacja, porzucił ją od razu i nie troszczył się o nią więcej, przechodząc do innej. Ludzie byli dlań narzędziem akcji, ofiary — koniecznością zwycięstwa, a nawet samym warunkiem akcji.

Wogóle postać „Wiktora“ wywierała bardzo silne wrażenie. To też kilkakrotnie wzięta została za model dla bohaterów powieściowych w tamtych czasach¹⁾

Gdy mowa o „Wiktorze“ niepodobna pominąć i „P. P. bez S.“ — „Pięknej Pani“. Była to — p. Marja Piłsudska — ówczesna żona „Wiktora“. Bardzo szykowna, niezwykle, mimo dużej postaci, urody, inteligentna, wykształcona gruntownie i wszechstronnie a niezwykle dowcipna, „Piękna Pani“ zawsze prowadziła towarzystwo, w którym się znalazła. Przeszłość rewolucyjną miała „Piękna Pani“ bogatą. Petersburska kursistka lat siedemdziesiątych, słynna z urody córka lekarza wileńskiego — panna Koplewska, brała pewien udział w rewolucyjnym ruchu rosyjskim. Należała też, aczkolwiek — tu ujawnię ten szczegół — nigdy socjalistką nie była — wraz z Rechniewskim, Więckowskim i in. do założycieli pierwszej polskiej organizacji socjalistycznej, wyłonionej z kół rosyjskich, — do „Gminy socjalistycznej“ w Petersburgu. Z represji, jakie w tym czasie (początek lat 80-tych zeszłego wieku) rozbiły organizacje rosyjskie, „Piękna Pani“ wyszła obronną ręką, przypłaciwszy swój udział w nich jedynie krótkotrwałym kilkakrotnym aresztowaniem. Wyszła następnie zamaż bogato i świetnie za inż. Juszkiewicza — dygnitarza w ministerjum komunikacji. Teraz, dzięki urodzie i talentom towarzyskim, stała się gwiazdą salonów petersburskich i wileńskich, dokąd często w sprawach rodzinnych, a zdaje się, że i — konspiracyjnych, przyjeżdżała. Małżeństwo jednak nie było szczęśliwe i Juszkiewiczowie, mimo przyścia na świat córki — prześlicznej Wandulki — zmarłej w r. 1906, a w czasach, o których piszę, sympatycznej i rezolutnej dorastającej „gimnazistki“ — rozeszli się. „Piękna Pani“ przeniosła się do Warszawy. Tu znowu konspirowała wśród inteligencji z J. K. Potockim, Popławskim, Więckowskim i in. oraz wśród niedobitków „Proletariatu“ wespół z Marją Bohuszewiczówną. Znowu — aresztowanie i wysłanie „na rodzinu“ t. j. do Wilna. Tu stała się duszą konspiracji narodowo-socjalistycznej, komunikującej się z kolonjami polskiej młodzieży w Rosji i zagranicą. Po powrocie z wygnania popularnego z lat dawnych w Wilnie — „Ziuka“, konspiracja ta przybrała zupełnie zdecydowany charakter renesansu ideologii powstańczej.

¹⁾ Wiktor w „Z minionych dni“ Gust. Daniłowskiego. Miecz w „Chimera“ Andrzeja Struga, gdzie wybornie przedstawieni zostali oboje Piłsudscy w czasie ich pobytu w Zakopanem przed wojną.

Inicjatorem tego zwrotu, przygotowanego zresztą ogólnym nastrojem „Wileńczuków“ — był, jak mi opowiadano, właśnie „Ziuk“ — późniejszy „Wiktor“. Na zesłaniu w Tuncie zaprzyjaźnił się, a, — jak mi się zdaje, i nieco uległ wpływom jego — z Bronisławem Szwarce, członkiem Komitetu Centralnego przed Powstaniem Styczniowem. Po odcierpieniu siedmiu lat zamknięcia w „kamiennym worku“ Szlisselburskiej fortecy, najstraszniejszego więzienia caratu, Szwarce pozostał pełen zapału, temperamentu i do końca życia uważał zbrojne powstanie i program Kom. Centr. 1862 r. za szczyt polityki narodowej. W ten sposób „Wiktor“ stał się jakby łącznikiem między pokoleniami bojowników „za wolność i lud“ i wiele cech istotnych haseł Powstania Styczniowego przeniósł do programu P. P. S.

Jak już zaznaczyłem, wszechstronnym uzupełnieniem „Wiktora“ był „tow. Edmund“. W tym czasie był to chudy, wysoki, prosto trzymający się, przystojny blondyn z długą żółtą brodą i krótko ostrzyżonym rzednącym już nieco „jeżem“ na głowie. Z „Wiktorem“ były to dwa krańcowe przeciwieństwa: różnili się temperamentem, usposobieniem, wyglądem zewnętrznym, sposobem ujmowania sprawy, samem wreszcie pochodzeniem. „Wiktor“ był najtypowszym „Litwinem“, wychowanym poza granicami etnograficznej Polski, którą poznał już jako człowiek dojrzały; „Edmund“ znowu — „koroniarz“ rodowity, całe dzieciństwo i młodość, poza krótką emigracją, spędził w Królestwie. Jako dawny prezes „Koła“ studenckiego, miał mnóstwo znajomości w różnych okolicach kraju i wybornie orjentował się w stosunkach. Dzięki temu powiązał i rozwinął zapoczątkowaną przez „Fakira“ organizację prowincjonalną. W dyskusji mówił jędrnie i w sposób praktyczny ujmował kwestję. Jako mówca, „Edmund“ górował nad „Wiktorem“, który zresztą publicznie (oczywiście „publicznie“ należy rozumieć odpowiednio do warunków roboty) występował rzadko, mówił zawile, przeplatając cytataми



Marja z Koplewskich Piłsudska
zm. w Krakowie 1921 r.

ze Słowackiego... Mimo też kultu, jakim się cieszył u ogółu towarzyszków, „Wiktor“, przemawiający politycznie i działający na uczucie, nie miał powodzenia takiego, jak suchy i zimny napozór intelektualista — „Edmund“... O ile chodzi o robotę i wydawnictwa partyjne, to mam wrażenie, że „Edmundowi“ zawdzięczały one tę masę życiowości i konkretnych zagadnień z życia codziennego, któremi zaznaczał się np. dział „Robotnika“: „Z warsztatów i fabryk“, pisany przez samych robotników, a jedynie wygładzany w redakcji. Zawsze bowiem — pamiętam — „Edmund“ w przemowach, czy na konferencjach, kładł nacisk na życie codzienne, na realne ujmowanie sprawy, mniej troszcząc się o przyszłe powstanie, czy rewolucję socjalną..

Rozstał się z nami „Edmund“ w początkach 1899 r., kiedy ożenił się i wyjechał na emigrację, przerywając na dłuższy czas tak wówczas niebezpieczną, a w ćwierć wieku później — tak wspaniałą, swoją karierę polityczną. Wpadał potem do kraju na krótko, w celu uporządkowania stosunków, mocno pogmatwanych po „wsypie“ „Wiktora“ z drukarnią w Łodzi. Na stałe powrócił do kraju, ażeby postawić na nogi kooperatywę polską, dopiero po amnestji czasu rewolucji rosyjskiej lat 1905—7.

Ruś — w symbolicznej poniekąd trójce C. K. R.-u P. P. S. reprezentował „Władek“ — znany już nieco czytelnikowi ze wspomnień o „czerwonej młodzieży“ inżynier Aleksander Malinowski.

Z Powstaniem Styczniowem łączyły go tradycje rodzinne. Ojciec, późniejszy dyrektor cukrowni na Ukrainie, był partyzantem partji taraszczańskiego powiatu. Wuj, Romualda Olszańskiego, rozstrzelano, jako jednego z głównych organizatorów ruchu powstańczego na Ukrainie. Z drugiej zaś strony, warunki dzieciństwa i wczesnej młodości zaznaczyły „Władka“ w sposób dotkliwy z niedoborami ustroju społecznego. Ojciec odumarał liczną rodzinę wcześniej, nie zostawiając żadnego majątku. „Władek“ od bardzo wczesnej młodości, jeszcze jako uczeń gimnazjum w Białej Cerkwi, ciężko musiał pracować, aby wyżyć sam i choć trochę pomóc matce i młodszemu rodzeństwu.

To też „Władek“ od bardzo już dawna był rewolucjonistą. W gimnazjum stworzył bibliotekę tajną, po otrzymaniu zaś matury i wejściu do Instytutu Technologicznego w Charkowie, od razu znalazł się w konspiracji. Zajął wybitne stanowisko w tamtejszym ruchu rewolucyjnym

rosyjskim. Założył socjalistyczne koło młodzieży polskiej. Po otrzymaniu dyplomu w r. 1895, ruszył na robotę do Warszawy¹⁾

W tym czasie (r. 1897 — 8) „Władek“, dochodzący do trzydziestki bardzo jasny łysawy blondyn — z wiecznie filuternym wyrazem twarzy, zeszpeconej nieco szramami, pozostałymi po operacji gruczołów, a za to ozdobionej sumiastym białym wąsem, prowadził P. P. S. w Warszawie i parł ruch robotniczy w duchu „nowego kursu“.

Był to bodaj najbardziej typowy, jakiego znałem, konspirator. W postępowaniu „Władek“ był ostrożny do przesady, w dyskusji — nieporównany dyalektyk, poświęcony sprawie bezgranicznie, a przytem niezwykle praktyczny życiowo. Później, na emigracji, w krótkim czasie zyskał sobie poważne imię, jako firma budowlana, nie wycofując się z ruchu i nie zapierając się swych przekonań. To też zawsze „Władek“ wyróżniał się z pośród towarzyszków i górował nad nimi — wyrobieniem życiowym.

Nikt, tak jak on, nie potrafił na zebraniu przeprowadzić swego wniosku, bądź dyalektyką, doprowadzającą do rozpaczy przeciwnika, bądź też niezwykle subtelną obstrukcją względem kontr-wniośków i głosowań opozycji, która, choćby najbardziej zwarta, rozlatywała się w drzazgi, zdemoralizowana i zdeorganizowana „na szczęt“ przez „poprawki“ i „nagle wnioski“ „Władka“. Z tym geniuszem „intrygi“ dziwnie splątała się nieposzlakowana prawość, przyjacielskość i dobroć serca tego niezłomnego rewolucjonisty i urodzonego konspiratora. Jako umysłowość, „Władek“ nie był twórczym — wykonawcą zato planów sztabu partji był nieporównanym.

Do sztabu zaś tego, o ile chodzi o intelekt partji, zaliczyć należy emigrację — producentkę „Bibulę“. W Paryżu mieszkali: patriarcha socjalizmu polskiego — dzisiejszy senator Rzplitej, Bolesław Limanowski i przedwcześnie (r. 1904) zmarły, główny wówczas teoretyk partji, Kazimierz Kelles-Krauz (Michalak, Radosławski, Michał Luśnia, Elehard Esse), w Brukseli — „Wierzbą“ (Mielczarski), w Londynie zaś w Centralizacji Zw. Zagr. socjalistów polskich, przy „Przedświcie“, „Świetle“, „Arbajterze“, skupiła się zwarta garść ideologów P. P. S. Byli tam: „Jowisz“ lub „Wroński“ — dr. Witold Jodko, „Karski“ — T. Filipowicz,

¹⁾ „Władek“ uwieczniony został przez Gust. Daniłowskiego, jako Linowski — jeden z bohaterów powieści „Jaskółka“. Dane biograficzne o nim oraz wspomnienia (umarł w d. 22. XII 1922 r. w Zakopanem), zawiera zbiorowa książka pamiątkowa: Aleksander Malinowski 1869 — 1922. Kraków 1924 r., nakł. rodziny, Druk. Ludowa.

„St. Os...arz“, Leon Płochocki, „Informator“ itd. itd., wielopseudonimowy Leon Wasilewski; wszyscy trzej, dzisiejsi dyplomaci Rzplitej; „Baj“ lub „Kaniowski“ — Bol. A. Jędrzejowski, późniejszy założyciel firmy wydawniczej „Książka“ w Krakowie, „Juljusz“ lub „Res“ — dr. Feliks Perl, dziś poseł i red. „Robotnika“ i in. Do ówczesnych teoretyków P. P. S. zaliczano i dr. Stanisława Grabskiego („Zborowicz“, „Mazur“) a nawet Zygm. Balickiego („Ostoja“) — ten ostatni jednak już się znacznie oddalił. Bliskim był zato bardzo i często na łamach „Przedświtu“ zabierał głos, podpisując się niezwykle trafnie do siebie dobranym pseudonimem: „Veto“, ówczesny „tow. Wróbel“ — głośny później publicysta i działacz — Władysław Studnicki. To były, jeżeli dodamy jeszcze „rządziej wówczas pisującego — Władysława Goździkowskiego („Stanisław Dzwon“) — bodaj wszystkie teoretyczne siły ówczesnej P. P. S.

Technicznym pośrednikiem między zagranicznym intelektem partji a krajem, był wpadający od czasu do czasu do Warszawy „Mały“ — urzędnik komory w Wierzbolowie, Aleksander Sulkiewicz. Był to jeden z najstarszych pepesowców i osobistość ze wszechmiar zasługująca na pamięć. Jeżeli „Edmund“ reprezentował Koronę, „Wiktor“ — Litwę, a „Władek“ — Ruś, to „Małego“ należy uznać za echo dawnej najbardziej romantycznej emigracji — emigracji Sadyka-paszy i kozaków sultańskich. Dzieciństwo bowiem spędził w Turcji i był ideowym wychowawcą poety-emigranta i żołnierza, Karola Brzozowskiego. Całe życie — od wczesnej bardzo młodości, kiedy jako uczeń gimnazjum zakładał tajne kółka i biblioteki, aż do śmierci — padł w 1915 roku jako sierżant Legjonów nad Stochodem — poświęcił on dla sprawy. Jeżeli można krótko scharakteryzować „Małego“, było to tylko jedno wielkie, kochające ojczyznę i walkę o wolność — serce. Z pochodzenia Tatar litewski — powierzchownością, sposobem rozumowania, dobrocią niezmierną, a nawet sposobem wysławiania się przypominał Tatarów, tych bohaterów starych powieści. Świącie wierzył w program P. P. S., mimo bezbrzeżnego pesymizmu, o ile chodziło o skreślenie historycznej roli partji. „Ludzie nie powinno się ani siebie, ani innych — dowodził mi kiedyś. — My jesteśmy gnój — gnój ten użyźni trochę ziemię, w którą ktoś po nas ziarno wrzuci — ziarno to, o ile przetrzyma surową zimę — wszędzie i wyda plon, jeżeli go znów jakiś choroba grad nie wytłucze“. — Ten „gnój“ przypominałem mu w lat prawie 20 potem, przy spotkaniu na ulicach Łodzi, gdy w mundurze komisarza P. O. N. nie mógł sobie dać rady z płaczącą się szablą, którą zapomniał „po

austrjacku“ przełożyć przez kieszeń. „Ha cóż — odparł — udało się: „durakom wsiegda szcástje“¹⁾

Pozatem „Mały“ świącie wierzył w „Wiktora“. Do agitacji nie brał się zupełnie. — Z tytułu swego urzędu zajmując stanowiska po różnych komorach celnych, urządził za to wyśmienitą („móglbym szwarcować nawet fortepiany“) „gra“²⁾, t. j. przewóz transportów bibuły, drukarni i ludzi przez kordon graniczny. Owa „gra“ „Małego“ — tak samo jak „dru“, t. j. tajna drukarnia „Wiktora“ — była szczytem ówczesnej techniki konspiracyjnej i dumą P. P. S. Oba te cuda „sypnęły“ się zupełnie przypadkowo dopiero w r. 1900, po długim funkcjonowaniu.

W samej Warszawie robotą kierowała w tym czasie bardzo dzielna i dobrana „paczka“. Przedewszystkiem „Paweł“ — energiczny, o nieco semickiej, rysami przypominającej Ferdynanda Lassalla, twarzy, inż. Pękosiński, późniejszy wojewoda kielecki. Pokrewnym „Pawłowi“ typem był „Andrzej“, wiecznie posępny, poważny, ale energiczny i stanowczy, również inżynier, Władysław Adolph, moja pierwsza na bruku warszawskim władza w stosunkach robotniczych. Inżynierem również był młodszy od nich „Zygmunt“ — dziś pułk. inż. wojsk. St. Żmigrodzki. Do starszych działaczy zaliczała się „Etką“ — dr. med. E. Golde, późniejsza Janowa Stróżecka, kobieta wybitnej inteligencji, niezrównanej energii, zapału i pracowitości. — Po wypuszczeniu z Cytadeli, „Etką“ uciekła za granicę. Tam, uzyskawszy drogą fikcyjnego małżeństwa z d-rem Casparim, obywatelstwo niemieckie, prowadziła pracę na Śląsku, gdzie oddała ogromne zasługi na polu uświadczenia narodowego i społecznego robotnika polskiego. Drugą kobietą, pracującą głównie wśród robotnic, była „Aniela“, siostra „Władka“ — A. Malinowska. Najmłodszymi byli: „Piotr“ i „Karol“. „Piotr“ — dyrektor kursów rzemieślniczych dla żydów — Max Horwitz, zdolny matematyk, wszechstronnie wykształcony, inteligentny, ruchliwy, dowcipny, choć wielki gaduła i stąd wśród towarzyszy noszący prywatny, mniej estetyczny pseudonim „Mada“, przeszedł bardzo ciekawą ewolucję przekonaniową. Poznałem go, jako romantyka, przejętego sprawą niepodległości Polski przedewszystkiem, a w dodatku entuzjastę i bezkrytycznego wielbiela „Wiktora“. Prowadził wówczas stosunki żydowskie P. P. S., inten-

¹⁾ „Durnie zawsze mają szczęście“.

²⁾ Granicę.

sywnie polonizując „parchów“, jak się wyrażał. Do żydowskiego jednak „ghetto“, „Piotr“ odczuwał już wtedy sentyment. Wypominano mu często jego przemowę, w której roztkliwiał się specjalnie nad nędzą proletariusza żydowskiego, co to już, jako „nieszczęśne, biedne, rachityczne i skrofaliczne dziecię, w brudnej podartej koszulince na świat przychodzi“. — To znowu, będąc raz na wspomnianym już naszym „kursie“ dla wykładowców — oburzył nas żądaniem, ażeby uwzględnić specjalnie ucisk żydowskiego elementu, którego nie puszczają do Saskiego Ogrodu i Łazienek, gdy jest w chałacie i t. d. Aresztowany w końcu 1899 r., z Cytadeli wyszedł o zmienionych zupełnie poglądach. — Stał się jakimś nadczułym na wszelką krytykę patriotą żydowskim. Dyskusja na temat sprawy żydowskiej stała się z nim niemożliwa, a idealizacja żyda, jako działacza i przodującego w rewolucji żywiołu, dochodziła do mesjanizmu. Niemaló się z nim nadysputowałem na te tematy, odbywając wspólne rekolekcje „na Pawiaku“. Śmiejąc się, nazywaliśmy go wówczas poetą honoru Izraela. Zmianę tę przypisywano zajściu, jakie podobno miał w czasie aresztowania. Z powodu „postawienia się“ — został wówczas, jako „parszywyj jewrej“, zmaltretowany przez policję... Równocześnie z rozwojem tego mesjanizmu żydowskiego w sui generis szowinizm w „Piotrze“ — wówczas już „Wicie“, a w literaturze partyjnej — „Waleckim“, rozwijał się krytyczny stosunek do niepodległości Polski. — W okresie lat 1901 — 4 wydał parę broszur w sprawie żydowskiej, gdzie przez socjalizm widział drogę do narodowego odrodzenia żydów, ironizując sarkastycznie na temat asymilacji. — W czasie rewolucji „Piotr“ stał się wespół z „Anglikiem“, o którym później, twórcą „lewicy“ P. P. S., idącej pod komendą rosyjską. Dziś jest jednym z wybitniejszych wodzów komunizmu polskiego i przedstawicielem Polski w III międzynarodówce wraz ze wspomnianym już — autorem „Żiłowszczyzny“ — Pawłem Lewinsonem, z którym zaprzyjaźnił się blisko w czasie rewolucji. — Antysemiccy biografowie ich obu — zważywszy nadto pochodzenie ich z rodów rabinicznych od wieków, napewno zaliczą Horwitza i Lewinsona do najbliższego otoczenia „Mędrców Syonu“.

Typem, wręcz „Piotrowi“ przeciwnym, był „Karol“ — młody buchalter, Ludwik Hryniewiecki. Inteligentny i wykształcony wszechstronnie, był on krańcowym idealistą i w cichości serca — poetą. Ujmował sobie ludzi dobrocią, a przytem zaznaczał niezłomność przekonani aż do szczegółów. Zmiana też poglądów lub rewizja stano-

wiska wobec danej kwestji bywały dla „Karola“ tragedją. O charakterystycznej postaci: na niepomierne długich nogach kołyszący się i wiecznie wymachujący rękami, tułów nieproporcjonalnie znowu krótki, twarz wygolona o rozumnych i dobrych bezgranicznie oczach, poszerzona bezzębnością ust — „Karol“ często się zaszpiclowywał. Wówczas urządzał najpocieszniejsze przedstawienia ze śledzącymi go szpicłami, których na swych długich nogach wyprzedzał daleko i zmuszał następnie do kłusowania środkiem ulicy.

To były, że tak powiem, filary P. P. S. w Warszawie w okresie lat 1897 — 1900. — Prócz nich — czas jakiś pracowało kilku: „Toporek“ (Surawski), „Paderewski“ (nazwiska nie pamiętam), Zygm. Chmielewski (nie pamiętam znów pseudonimu), „Konrad“ — inż. Stan. Garlicki, jeden z najgruntowniej wykształconych i najbardziej samodzielnie myślących ludzi, jakich znałem, — dziś profesor i dziekan Politechniki, „Zośka“ — dziś również profesor Politechniki — Wysocki — późniejszy kooperatysta, burmistrz Warszawy i wice-minister rolnictwa. — „Wela“ (Ew. Wróblewska), „Ignacy“ (inż. Piotrowski) i kilku innych, którzy już mi wypadli z pamięci. Koło wiosny 1899 roku — wysunął się „Anglik“ — dr. Feliks Zaks — człowiek o wydatnej indywidualności, w przeciwieństwie do ogółu towarzyszy — zimny sceptyk. „Piętnastu ludzi nawróciłem na niepodległość Polski — siebie nie mogę“ — mawiał, już będąc nielegalnym działaczem. Był to najlepszy bodaj w partji znawca Marizmu i jedyny bodaj doktryner, absolutnie nie rozumiejący wymagań życia. Zawsze był daleki od „ziukowych fantazyj“. („Ten człowiek o 50 lat się zapóźno urodził“). W „robocie“ też zostawiał na stronie całą niepodległość, bijąc przedewszystkiem na walkę klas — wreszcie wraz z Horwitzem, w trakcie rewolucji 1905 r., rozbił P. P. S. i utworzył „Lewicę“.

Łącznikiem między działaczami różnych sfer i pokoleń P. P. S. oraz — że użyję tego wyrażenia — poniekąd gospodynią pepesowskiej Warszawy, była nieśmiertelna, znana najstarszym pokoleniom rewolucjonistów „Marja“ lub „Gintra“ — nauczycielka Marja Gertruda Paszkowska. W jej rękach była cała „technika“, a w jej mieszkaniu, co dzień popołudniu, mieściło się biuro partyjne. Przez „Marję“ jedynie można się było skomunikować z C. K. R-em, z „Tow. Pomocy Więźniom Politycznym“, które, mówiąc nawiasem — po ćwierćwieczu to już można — często miało jednego tylko członka t. j. właśnie „Marję“. — Przez „Marję“ również szła jedyna droga do wszystkich instytucji partyjnych. Ona też

pośredniczyła w komunikowaniu się działów partyjnych, przez nią dostawało się bibułę... Słowem, kiedy „Marja“ dostawała migreny — a przepracowanej niewieście zdarzało się to nieraz — stawał ruch robotniczy, a niepodległość Polski była zachwiana poważnie.

Należy się też jej dłuższa nieco uwaga. Wybitnie zaznaczająca się radykalną, na starożytny rosyjsko-rewolucyjny wzór ukształtowaną powierzchownością i zaniedbanem ubraniem (gniewała się zresztą bardzo gdy ją o to posądzano) — pysznie odmalowana przez G. Daniłowskiego w jego ładnej nowelce „Paltocik“ — „Marja“ była firmową członkinią P. P. S. na Warszawę. Co pewien czas zaczynała ją „szpiclować“. Sto pociech wówczas mieliśmy, spotykając ją „umałpioną“ (tak nazywała przebranie się) na ulicy, gdy koniecznie musiała załatwić jakąś sprawę partyjną. Często miewała rewizje, od czasu do czasu do czasu wsadzano ją do X pawilonu, lub do „Serbji“. Zawsze potrafiła się wykręcić i wypuszczano ją „bez posłedstwij“¹⁾. Czasem przypuszczaliśmy, że „ochrana“ puszcza ją na „wabia“ — ale nie. „Parlament“ — tak nazywaliśmy mieszkanie „Marji“ — był zawsze prawie „czysty“ i napróżno sprawdzaliśmy cały szereg specjalnych sygnałów bezpieczeństwa przy oknie pokoju „Marji“: odpowiednio spuszczoną roletę, w umówiony sposób otwarty lufcik, kwiat, lichtarz, z tej lub innej strony postawiony i t. p.

W „Parlamencie“ — ośrodku życia partyjnego — było bardzo miło. Dostawało się herbaty, czasem, gdy „Marja“ była w dobrym humorze — nawet z konfiturami, widziało się z towarzyszami... Zawsze zaś dyżurowały „dromaderki“.

Były to początkujące „pepesówki“, trzymane w żelaznych korbach przez „Marję“ i nieludzko przez swą „hetmanicę“ wyzyskiwane. Roznosiły one „bibułę“ lub listy konspiracyjne, doręczały zapomogi rodzinom uwięzionych robotników, zawiadamiały towarzyszków o „randkach“, „wspypach“, terminach wszelakich i t. d. Był to niezwykle ciężki nowicjat i z tego powodu wszystkie bez wyjątku „dromaderki“ były bardzo przez nas lubiane. Życzliwość tę staraliśmy się okazać na każdym kroku, przede wszystkim zaś rozweseleniem podczas nudnego czasu dyżuru w „Parlamencie“. Często „dromaderki“ przechodziły następnie do „roboty“, ale „Marja“ puszczała je z nowicjatu z wielką trudnością. Z „dromaderek“ takich wybitnie zaznaczyła się później w agitacji robotniczej „Klara“ — M. Chmieleńska, bratanica powstańców 63 roku: — Igna-

¹⁾ Bez skutków.

cego i Zygmunta, a córka generała rosyjskiego. Była to bardzo poważna i gruntownie wykształcona niewiasta. W czasie jednak „dromaderowania“ musiała narówni z młodzietkami dziewczętami dyżurować u „Marji“ i była przez nią „pyrgana“ na posyłki bez ceremonji. Najbardziej zaufaną i wyszkoloną przez „Marję“ „dromaderką“ była wpatrzona w nią, jak w obraz, bardzo miła, „Aniuta“ — spolonizowana Rosjanka, Mielnikowa¹⁾. Bezgranicznie dobra — zawsze kogoś, czy coś nieszczęśliwego musiała przygarnąć i wspomagać — wyzyskiwana zresztą często niemilosiernie przez pupilów. Zbierała bezdomne psy, koty i t. d. Jeden z takich znajdów-wychowańców, jakiś nielitościwie oparszywiony „Bobieńka“, obrzydły mops, „strasznie mądry i wierny a przytem ma oczki jak sarna“, był wiecznym tematem prześladowań swej opiekunki przez nas. Szczególniej lubiana była „Karusia“ — młodzietka i bardzo drobnej postaci — K. Pobjewska, późniejsza Rogowa, wychowana przez matkę „Babcię Pobjewską“ — rewolucjonistkę jeszcze z czasów rosyjskiego „choźdieńja w narod“ — w kulcie dla konspiracji. Bardzo zawsze poważna była „Helena“ — Prausówna, ogrodniczka z zawodu, któremu poświęciła się dla ułatwienia sobie pracy agitacyjnej. Urodą wyróżniała się bardzo miła i zgrabna, z czarującymi oczami „Janina“ — Aniela Fusiicka. Jako poważną profesorową Chmieleńską, trapiącą, niestety, „zawodową“ chorobą „dromaderek“,



Marja Gertruda Paszkowska,
„Gintra“ — „Marja“.

¹⁾ W jednym ze wspomnień z tych czasów znalazłem opowiadanie o tem, że „Aniuta“ działalność swoją dla partji polskiej uważała za ekspiację win swego ojca w czasie Powstania Styczniowego. Poetyczny ten pierwiastek muszę jednak sprostować. O ile znałem „Aniutę“, a rozmawialiśmy o ideowej i etycznej stronie konspiracji, pobudkach do udziału w niej i t. d., dość często, nigdy o tem od niej nie słyszałem, ani ja, ani nikt inny. Z drugiej zaś strony, znając dobrze epokę powstaniową, żadnych szczególnych win Mielnikowa — wówczas oficera rosyjskiego i naczelnika powiatu — nie znalazłem. Matka „Aniuty“ była Polką: to zdaje się wyczerpuje zagadkę jej polonizacji.

spowodowaną dźwiganiem pod suknią paczek z „bibułą“, spotkałem „Janinę“ później w Kaliszu. Przedsiębiorczością i energią celowała „Pola“ lub „hakatystka“ — przystojna blondyna o germańskim typie, nazwiska nie pamiętam, córka fabrykanta. Najmłodszą zaś chyba „dromaderką“ i to zaufaną, bo ku rozpaczy matki używaną do bardzo poufnych misji, była ośmioletnia Henia Rodkiewiczówna, pasierbica Stefana Żeromskiego, uczennica „Marji“. Ta jednak już dyżurów nie odbywała i „bibuły“ nie dźwigała. Za to w mieszkaniu „Marji“ znajdowały się takie skrytki, o których jedynie Henia wiedziała i miała przez „Marję“ nakazane, w razie jej aresztu, uprzątnięcie ukrytych w tych skrytkach papierów. Z dzielniejszych i starszych „dromaderek“ wyróżniała się „Wanda“, siostra „Pawła“. Zresztą było wiele przygodnych, „Marja“ bowiem nieubłagana była w wyzyskiwaniu wszystkich swoich znajomych.

Niewyczerpaną była też „Marja“ w pomysłach konspiracyjnych, które zresztą bardzo często były nieco przestarzałe i udawać się mogły wyłącznie dzięki głupocie ówczesnych „szpicłów“. Konspiracyjne jej metody, od których nie odstępowała nigdy, do rozpaczy i wściekłości nieraz doprowadzały ludzi, którym kazała ich się trzymać. Metody te — teraz nie boję się już zdradzić — stale — w największej zresztą tajemnicy przed „Marją“ — były przez nas modyfikowane. Mimo to, wychodziły często tragicomiczne sceny. Raz np. „Marja“ na jakieś bardzo pilne „dromaderowanie“ „nabrała“ sympatyka P. P. S., prof. S. Obladowany bibułą, idzie poważny geograf w skwarny dzień letni do „dromaderki“, którą znał z widzenia i pseudonimu. „Marja“ powiedziała mu jej adres, przemilczając „dla konspiracji“ nazwisko. Przychodzi — dzwoni. Drzwi się otwierają i ukazuje się w progu jakaś poważna o arystokratycznym obliczu matrona. Profesor — pyta o „panienkę, która tu mieszka“. — Jaka? która? — pyta matrona. Oczywiście odpowiedź trudna. Gość naraża się na awanturę, trzaśnięcie drzwi przed nosem i rozwścieczony wraca z bibułą do „Marji“. Nowa burza — i polecenie bezwzględного doręczenia bibuły, bo „rzecz nie cierpi zwłoki“. „Niechże mi pani powie choć imię tej panny, żebym znów nie był przyjęty jak wywiadowca złodziejski, czy donżuan!“ „A jakże? co pan sobie myśli, że ja rekonspirowuję swoje „dromaderki?“ „To ja nie pójdę, ma pani swoje paczki!“ — wybucha geograf. „O, nie, panie! Bibułę pan wziął, ona już zapisana, i musi być doręczona dziś „Gaudentemu“¹⁾, on się po nią wieczorem zjawi u „Heleny“. Pan ją musi

¹⁾ Długoletni działacz P. P. S., Dr. Henryk Sarcewicz w Białymstoku.

przed wieczorem wręczyć „Helenie“. Jak sobie biedny profesor poradził, nie wiem, ale bibulę „Gaudenty“ przed wieczorem miał. Ja również kiedyś wpadłem komicznie. Przychodzę od „Marji“ po walizę z bibulą dla Radomia. Była ona u młodej panny, dziś zresztą bardzo poważnej przełożonej gimnazjum, mieszkającej wówczas przy rodzicach, burżujach warszawskich. „Marja“ dała mi instrukcję ściśle według swego wzoru konspiracyjnego: „Marszałkowska, Nr. taki — a taki — pierwsze piętro na lewo. Zadzwońcie dwa razy — pamiętajcie — dwa... razy. Otworzą, zapytacie o „Pannę Zofję“ — ona już Was załatwi“. Idę — dzwonię dwa razy. Otwierają. — We drzwiach — pani starsza, młoda panna i młody człowiek. Pytam o „Pannę Zofję“. Widzę, że trafiłem źle. Twarze zdumione... Panna zaczyna: „Czego Pan sobie życzy“. Ja już chciałem się wycofać, boć trudno było proponować rozmowę na osobności... Sytuacja staje się, jak w komedynie z teatru amatorskiego. Jakoś wreszcie wybrnęliśmy przy pomocy zresztą „Etki“, która ze śmiechem niespodzianie wbiegła do przedpokoju i uratowała sytuację... Cóż się okazało? Oto „Panna Zofja“ — ona właśnie była tą panią w przedpokoju wraz z matką i bratem, którzy wybiegli, zaintrygowani nie tylko oryginalnym sposobem dzwonienia, ale i zapowiedzianym przybyciem, otrzymała od „Marji“ również wzorową instrukcję. „Przyjdzie po „bi“¹⁾ — blondyn — średniego wzrostu, rumiany, uczesany na jeża z bródką, (że jestem studentem — dla konspiracji przemilczała)... zadzwoni dwa razy — dwa... razy... — Odda mu pani walizkę“. Chcąc zaś upozorować przed rodziną tajemniczego „blondyna“, który zabiera z porządnego mieszkania jakąś walizkę, „Panna Zofja“ znowu naprędce powiadomiła, że wieczorem wpadnie do niej, przejeżdżający przez Warszawę kolega z Paryża, który zostawi rzeczy na dworcu i zabawi „od pociągu do pociągu“ tylko w tym celu, ażeby dla wspólnej koleżanki w Paryżu zabrać książki. Wszystko było dobrze. Mama przygotowała herbatę, czekano na tego uprzejmego paryżanina, aż tu nagle... przychodzi student warszawski w mundurze i pyta o pannę Zofję samą pannę Zofję... To też musiałem nablagować — o słabym swoim wzroku, o jarzącej się lampie, o tem, jako przenoszę się do Warszawy i przyzwyczajam się do nowej skóry, że zmieniłem zamiar i zabawię kilka dni w Warszawie, rzeczy jednak wezmę i t. d. W dodatku zaś niegodziwa „Etki“ ciągle wyciągała mnie na dyskusje medyczne, prócz paryżanina,

¹⁾ Tak skrócaliśmy słowo „bibula“.

miałem być w dodatku medykiem... Siódmymi potami opłaciłem swoją lojalność dla metod konspiracyjnych... Byłem też nadal bardziej samodzielny, za co zresztą od czasu do czasu otrzymywałem od „Marji“ wymyślanie.

Natomiast, o ile chodziło o znalezienie lokali na „składy“, „zajazdy“, „noclegi“, „randki“, na wszelakie „ideowe rauty“, urządzone przez „Marję“ na „więźniów“, „nową dru“, t. j. drukarnię, na rodziny strejkujących i t. d., to „Marja“ była genialną wręcz wyzyskiwaczką wszelkich nawiązanych dzięki mnóstwu lekcji po bogatych domach — stosunków towarzyskich i stosunków pokrewieństwa, powinowactwa czy znajomości swoich uczennic, zwłaszcza z pośród bogatej burżuazji. Wielką pomocą byli „sympatycy“ — oddani sprawie całą duszą. Takimi np. byli „Selimowie“ — redaktorstwo Bukowińscy, „Małżonkowie“ — pp. Gulińscy — ludzie, bezgranicznie oddani partji i całkowicie posłuszni „Marji“, pp. Sujkowscy, Hiszpańscy, Żeromscy, „Pani Pułkownica“ — Zajączkowska i cały szereg innych. Prawą ręką „Marji“ w stosunkach burżuazji żydowskiej była „Cecylja“, późniejsza Władysława Gumpłowiczowa, kobieta wręcz ewangelicznej dobroci. Umiejętność w wyzyskiwaniu swoich znajomości doprowadziła „Marję“ do tego, że potrafiła otworzyć stosunki z X Pawilonem. Każdy z nas, wyżej posuniętych w hierarchji partyjnej, wiedział, że w czas jakiś po dostaniu się jego „do ula“, przyjdzie do niego stary żandarmski oficer „s pokłonom ot gospozi Paszkowskiej“¹⁾. Był to długoletni intendant pawilonu, Sidielnikow, który zgodził się na pośrednictwo między „Marją“, a jej „krewnymi“. O charakterze tych krewnych oczywiście wiedział on doskonale, a pomagał wyłącznie z sympatji dla typu rewolucjonisty, jako szlachetnego pierwiastka wśród „poszławo“²⁾ społeczeństwa. Robił to nader ogłędnie. Poczta też ta trwała w ciągu lat kilkunastu, bez „wsypy“ i zakończyła się dopiero z ustąpieniem Sidielnikowa ze stanowiska.

Poza „Marją“ i jej stosunkami, których strzegła zazdrośnie, P. P. S. miała szereg sympatyków, ściślej, czy luźniej nieco z partją związanych i korzystających z pewnych przywilejów. Byli to ludzie, zajmujący wydatniejsze stanowiska w społeczeństwie, przeważnie osobiści znajomi tego czy innego działacza. Takimi byli np. ściślej związani z partją pp.:

¹⁾ Z ukłonami od pani P.

²⁾ Nikczemnego.

Grodeccy, Daniłowscy Gustawostwo, St. Stempowski, dr. Radziwiłłowicz, J. Mortkowicz i w. i. Luźniej z organizacją byli związani np. dr. Slonimski — słynny z dowcipów swoich, krążących wśród publiczności — jedna z najcharakterystyczniejszych postaci ówczesnej Warszawy, adwokaci: St. Patek, Wł. Chrzanowski i w. in.

Wielkie usługi oddawali lokalami swoimi sympatycy posiadający jakieś sklepy, kantory, biura i t. d. Bardzo np. zasłużonym miejscem „randek“ partyjnych były: biuro nauczycielskie J. Karpińskiej — na Szpitalnej bodaj — zakład fotograficzny Twardzickich na Niecałej, sklep Hiszpańskiego... — „Stacją przeladunkową“ dla bibuły i biurem adresowym znowu dla moich później stosunków robotniczych był sklep kolonialny L. Buhardta, naszego sympatyka, na ul. Złotej. Oczywiście, wymieniam jedynie tych, z którymi zetknąłem się osobiście.

Niżej szczegółowiej trochę opowiem swoje wspomnienia z dziedziny właściwej „roboty“ partyjnej — obecnie słów kilka poświęcę towarzyskim, że tak powiem, stosunkom w partji.

Były one niezmiernie dziwne. Oficjalnie nie znaliśmy się zupełnie. Z małymi wyjątkami spotkania się osobistych znajomych lub kolegów, nazwisk swoich ani sytuacji stołecznej nie znaliśmy wzajemnie. W obiegu były wyłącznie pseudonimy — zwykle z dodatkiem „towarzysz“ lub „obywatel“, względnie „towarzyszka“, „obywatelka“ — „Wiktor“ tylko stałe „dromaderki“ traktował per „pani“. Naogół panowało bezwzględne „wy“.

Mimo takiej konspiracyjności, ze stosunków tych mam jak najmiłsze wspomnienia. Humor — często szubieniczny — ale zawsze szczery, i zapał, wiara w powodzenie sprawy, a kompletna pogarda wszelkiego osobistego niebezpieczeństwa panowały wszechwładnie. Aksjomatem dla każdego z nas było, że po dwóch, trzech latach pójdzie „do ula“, pojedzie „na Jakuty“ względnie „zwieje“ zagranicę. Nie psuło to nam humoru zupełnie, mimo często trapiące niezadowolenie z samej



Ś. p. Marja z Pinków Bukowińska. Współredaktorka „Stinks“, żona poety i literata Wład. Bukowińskiego.

mieszkała
Patek b
C.K.R.

Włodzimierz

roboty. Ponadto, niezmiernie sympatyczny wśród nas panował stosunek wzajemny. Serdeczność i przyjaźń szczerą wiązały wszystkich. Pewne intrygi, swary zaczęły się dopiero później w miarę rozdźwięków na tle programowym. Miły był bardzo zwłaszcza stosunek do towarzyszek — koleżeński, nieomal braterski. Żadnych dwuznacznych flirtów nie było. Otaczaliśmy je niezmiernym szacunkiem i serdeczną sympatią. Oczywiście, jako że jeszcze Pan Zagłoba — kanclerski rozum — oświadczył, że „każda dziewczka hubka, każdy chłop — krzesiwo“, — od czasu do czasu nie obeszło się (robak się lęgnie i w bujnym kwiecie) i „bez amorów“. Kojące się pary — a muszę dodać, że „Marja“, jak zwykle Litwinki, miewała słabość do swatania — były jakby ogniskami sympatii. W czasie wymienionej kampanji partyjnej lat 1897—1900 skojarzyły się dwa małżeństwa: „Pauliny“ z „Andrzejem“, oraz „Karusi“ z „Marjanem“ — oczekującym na wyrok w tym czasie — dawnym towarzyszem A. Rogiem. „Andrzejowie“ rok jeszcze po ślubie pracowali razem w partji, poczem on został aresztowany. Po otrzymaniu wyroku przez „Andrzeja“, oboje wraz z przybyłą im w tym czasie „socjal-pokraczką“, jak nazywano maleńkie pepesiątka, wyjechali na zesłanie. „Marjan“ zdążył przed doręczeniem mu wyroku deportacji uciec zagranicę, dokąd też pojechała za nim i żona.

Warunki konspiracyjne nie pozwalały na ożywione stosunki towarzyskie między nami.

Schodziliśmy się jednak od czasu do czasu na „wieczornice“. Urządzała je „Marja“ z powodu różnych uroczystości partyjnych u kogoś z bliższych sympatyków — zazwyczaj u „Pani Pułkownicy“ na S-to Krzyskiej, lub u „Cecylji“ na Marszałkowskiej“.

Oprócz nas, czynnych w robocie, na wieczornice zjawiali się i dawni pepesowcy, oczekujący po wyspie na wyrok, lub też „odstawieni“ od roboty dla jakichś bądź powodów. Tak np. przychodził stary towarzysz, goniący ostatkami płuc suchotnik, Dłużewski. Z „podsypanych“ zaś widywaliśmy „Wele“ — Ewelinę Wróblewską, wspomnianego wyżej już „Marjana“ i „Księcia“. „Wela“ była zawsze niewzruszenie poważna — „życie traktowała serjo“. „Marjan“ nieoceniony był w improwizowanych opowieściach z „roboty“, przyczem poczciwe nasze i przebywane stałe przez nas po nocy Wola, Powiśle, czy Praga, przybierały postać, godną pióra Eugenjusza Sue lub Edgara Poe. Ciekawą osobistością był „Książę“, względnie — „Giedroyć“, Rosjanin, nazwiskiem Tatarow, syn popa warszawskiego, mimo tego dziedzicznego

obciążenia, spolonizował się całkowicie. Wielki miłośnik poezji romantycznej, zwłaszcza Słowackiego, przyjaciel Żeromskiego, którego „Ludzi Bezdomych“ przełożył na rosyjski, długi czas był najgorliwszym pepesowcem, bez zastrzeżeń pracując dla niepodległości Polski. Dodać należy, że był to piękny w całym tego słowa znaczeniu mężczyzna. Wysokiego wzrostu, blondyn z zawieszonym wąsem, o marzących oczach a rysach niezmiernie regularnych, zgrabny, wspaniale zbudowany i elegancki aż do wytworności, przytem bardzo inteligentny i wykształcony wszechstronnie poza swoją specjalnością (był on skończonym prawnikiem), „Książę“ stał się ulubieńcem towarzyszek, nie mających pojęcia o jego narodowości i związkach rodzinnych. Wsyptał się on na rok coś przed moim przyjazdem do Warszawy. Wypuszczony z cytadeli, oczekiwał właśnie wyroku, a czekał dość długo. Na jednej z takich wieczornic byłem świadkiem dziwnego zbiegu okoliczności, w których pewną rolę odegrał „Książę“.

Wieczornica była urządzona z powodu przyjazdu do Warszawy założyciela pierwszej organizacji socjalistycznej w Warszawie Landego — wówczas zaś dyrektora jednego z banków w Irkucku. Wraz z Landym przyjechał starszy już wiekiem katorżnik — sybirak za rok sześćdziesiąty trzeci i długoletni towarzysz na katordze, oraz przyjaciel Czernyszewskiego¹⁾ — Zieliński. Przybyli na wieczornicę: towarzysz Landego i współtwórca owej organizacji z przed lat 20 Waław Sieroszewski, Stefanowstwo Żeromscy, Gustawostwo Daniłowscy, no i my wszyscy w komplecie. „Pani Pułkownica“ — dała wspaniale przyjęcie. „Marja“ postawiła pyszny miód. „Wiktor“, będący wówczas w Warszawie, syptał dowcipnymi wspomnieniami z wygnania w Tunce, kórą znał i Zieliński. Słowem, nastrój był wyśmienity. Zieliński zaciekle dysputował ze mną i „Piotrem“ co do zdolności Rosjan do rewolucji. „Panowie — dowodził — wiercie mi, nie rachujcie nic na nich: ten dzisiejszy ruch — był to okres zaburzeń studenckich 1899 r. — to jedna blaga... wyskok nieobliczalny. Moskal zanadto jest niewolnikiem, ażeby był rewolucjonistą w tem znaczeniu, jak my to rozumiemy. Moskal zawsze będzie chamem zbuntowanym, i zawsze ukorzy się przed tym, co go zwali w mordę. Nie mówię tego od siebie. Ileśmy o tem nagadali się z Czernyszewskim, i nigdy nie zapomnę jego słów własnych:

¹⁾ Rewolucjonista rosyjski — jeden z pierwszych założycieli rosyjskiego socjalizmu — skazany na katorgę w roku 1862.

„Každy liberał u nas to potencjalny pompadur¹⁾ — každy rewolucjonista — potencjalny szpicel. I ja — kończył Zieliński — nigdy nie uwierzę, aby jaki bądź moskal był konsekwentnym rewolucjonistą. O ile nie zdławią go, zawsze z niego w końcu szpicel wylezie“. Siedzący obok Zielińskiego „Książę“, trącając sąsiadów — śmiał się przy tych słowach wesóło. „Panie Giedroyć“! zwrócił się Zieliński do niego — a, nota bene, widział go po raz pierwszy w życiu i poza tem, że nazywa się „Giedroyć“, nic o nim, ani o jego narodowości nie wiedział — Panie Giedroyć, Pan się o tem przekona...“

„Giedroyć“ śmiał się serdecznie. A jednak była to przepowiednia niezwykle tragiczna. Straszne bowiem i wręcz niezrozumiałe dla nas wszystkich były jego dalsze losy. W parę miesięcy po owej wieczornicy otrzymał on wyrok i straciłem go z oczu. Chodziły wieści, że przeszedł na nielegalnego. Wieści te jednak sprostował potem w rozmowie ze mną Żeromski. Zestany na Syberję Tatarów tam się ożenił z kochającą go bez pamięci kobietą, został radcą kolei Zabajkalskiej i, jako adwokat, grubo zarabiał. Raptem rzuca wszystko i wraca do rewolucji — tym razem rosyjskiej. Wraz z Sawinkowem, Gierszunim, Azewem i in. tworzy rewolucyjno-terorystyczną partję socjal-rewolucjonistów. Jako jeden z wodzów przewidywanej rewolucji, objeżdża stosunki partyjne, urządza zamachy... Późną jesienią 1905 r. niespodzianie zupełnie spadła na nas wieść o zastrzeleniu „Księcia“, jako prowokatora. Stało się to w Warszawie. Zastrzelił go przyjaciel z lat dziecińczych — głośny dziś z powodu swego przejścia do bolszewików — Sawinkow w domu rodziców na Podwalu, gdzie się przejazdem zatrzymał. Wszyscy znający go bliżej długi czas wątpili w prawdziwość posądzeń. Przypuszczaliśmy, że padł on ofiarą strasznej pomyłki lub zbrodniczej intrygi. Stosunki bowiem u „eserów“ rosyjskich były zabagnione fatalnie. Z zapalem zwłaszcza bronili pamięci „Księcia“ — „Piękna Pani“ i Żeromski.

— Co pani myśli o „Księciu“? — zapytałem w parę tygodni po jego zabójstwie „Pięknej Pani“.

— Nie wierzę i nie uwierzę nigdy — była stanowcza odpowiedź. Żeromski szedł dalej jeszcze.

— Każda rzecz ma swój powód. Powiedzcie mi, co u niego mogło spowodować taki krok, przeciwny całej jego naturze i pojęciom? Nie żądza pieniędzy, bo je miał, nie ambicja, bo prowadził partję, co trzęsie

¹⁾ Typ chama-czynownika, odmalowany w satyrach Szchedrina.

Rosją, nie chęć przygód, bo ich miał poddostatkiem, nie tchórzostwo wreszcie, boć od lat kilkunastu siedział w rewolucji. Więc co?... To jakaś tragedia stanowczo.

Po zdemaskowaniu Azewa¹⁾, mieliśmy nadzieję, że wykaże się niewinność „Księcia“. W odpowiedzi jednak na interpelację w sprawie Azewa Stołypin, niestety, z trybuny zdradę jego potwierdził. Wyliczył on mianowicie między konfidentami Departamentu Policji, „zamordowanymi przez rewolucjonistów“ i Tatarowa. Dla mnie do dziś dnia historia „Księcia“ jest nieodgadniętą zagadką psychologiczną.

Wogóle zaś na tych wieczornicach było swobodnie, miło i wesoło. Zwłaszcza „Piękna Pani“ umiała prowadzić całe towarzystwo i utrzymywać humor wytworny a jednocześnie — niewymuszony. Często wieczór urozmaicała nam muzyka „Cecylji“, pięknie grającej na fortepianie. Zdaje się, że tej muzyce zawdzięczała ona swój niebiański pseudonim. Na jednej z takich wieczornic, gdy był obecny Sieroszewski, najstarszy wówczas co do lat pracy konspiracyjnej czynny w ruchu socjalista polski, obliczaliśmy wszyscy obecni wiek nasz, zarówno co do metryki, jak co do „służby“. Okazało się, że między nim, jako najstarszym, a mną — wówczas najmłodszym — różnica wieku wynosi lat — 15. Od założenia zaś przez kółko jego pierwszej organizacji, upłynęło lat 21. „Piotr“ był nieporównanym w opowiadaniu żydowskich anegdotek, do czego dopomagał mu klasyczny aż do karykatury typ semicki i niezwykle wyrazista twarz. Wspaniałym bawidamkiem był „Książę“, bardzo mile na poważne tematy gawędził „Edek“ — Edward Abramowski, który w tym jakoś czasie wrócił do Warszawy z Paryża po paroletniej emigracji. Przedmiotem zaś ogólnej uciechy czasem bywał „Karol“. Po paru toastach miodem, podburzony zwłaszcza przez „Andrzeja“, którego wobec jego poważnej, zwykle zasępionej twarzy, nikt o takie intrygi nie podejrzewał, „Karol“ odczuwał wyrzuty sumienia. „My tak się wesoło bawimy a naokoło nędza“ i t. d. Z głośniejszych nazwisk bywali na tych wieczornicach ówczesni sympatycy nasi: Andrzej Niemojewski, Wacław Sieroszewski, Zygmunt Heryng, G. Daniłowski, St. Żeromski i in. Ustały one zupełnie po wyspach 1900 r., kiedy zresztą wykruszyło się nieomal zupełnie całe towarzystwo, z którym zaznajomiłem czytelnika.

Muszę teraz choć słów parę powiedzieć o typie, jaki dał ze siebie konspirator-pepesowiec ówczesny. Znając niezgorzej dzieje naszych

¹⁾ Słynny prowokator czasu rewolucji 1905 r.

spisków porozbiorowych, mogą operować dość rozległą skalą porównawczą. Otóż, sądząc bezstronnie, nie można powiedzieć, ażeby porównanie wychodziło na niekorzyść pepesowca. Ustępował on spiskowcowi lat dawnych pod względem czystości idealizmu. To prawda. Górował jednak nad nim bez porównania siłą woli, wytrwałością i nawet charakterem. Dość powiedzieć, że np. tak, niestety, w dawnych spiskach rzecz zwykła, jak upadek na duchu i zdrada — dla inteligenta pepesowca tych czasów była jednostkowym wyjątkiem. Wypadek „rozklejenia się“ i to wyłącznie z braku inteligencji i zaplątania się w zeznaniach, „rozklejenia się“, zresztą częściowego, pamiętam w tych czasach jeden tylko. Tarantowicze, Białostoccy, Charewicze przyszli dopiero później — w odcięciu rewolucji i rekrutowali się wyłącznie z pośród młodzieży. Dalej, brak było wśród nas typu wykolejeńca-dekadenta, który np. przepelniał rewolucję rosyjską. Konspirator ówczesny — był to z reguły człowiek mocny, który dał dowody, że i, jako człowiek zwykły — w mieszczańskim życiu dzielnie sobie dawał radę. Z bardzo też małymi wyjątkami pepesowcy zaznaczali się zazwyczaj, jako dobrzy — często nawet wybitni — fachowcy.

Żał też czasami mam do Żeromskiego lub Struga, czy Daniłowskiego, którzy, mimo dość częstego obcowania z typem działacza pepesowca, uwieczniając typ ten w literaturze, traktowali go zbyt jednostronnie. Ścisnąwszy bowiem dobrze bohatera „Bezdomnych“, „Mogily“, „Wspomnień sympatyka“, otrzymamy jakąś czułościową liryzującą cięlićinę konspiracyjną, odczuwającą swoje poniekąd upośledzenie życiowe — bezgranicznie oddaną „twardej służbie“, wciąż myślącą o swem poświęceniu się w imię „kategorycznego imperatywu“ i t. d. Piękne to postacie literackie, ale, niestety, wrażliwa dusza autora przyjmowała wyłącznie niektóre tylko rysy żywych postaci. A może działała tu także tradycja martyrologii naszych czasów porozbiorowych... Dość, że nawet najbardziej bezpośrednio związany z P. P. S. Gustaw Daniłowski — gdy w „Minionych dniach“ dał typ działacza tej partji, wzorując go całkowicie na żywej postaci, którą, mówiąc nawiasem, sportretował wybornie, dla efektu musiał swego bohatera wraz z całą rodziną umęczyć, aby nie psuć obowiązującego w literaturze kanonu.

Jedyny bodaj Sieroszewski w ówczesnych swych utworach¹⁾ dał typ żywy i wybornie odtwarzający rzeczywistość.

¹⁾ „Małżeństwo“, „Ucieczka“.

Kiedy już mowa o literaturze, muszę sobie pozwolić na plotkę literacką z tych czasów. Nie mogę bowiem pominąć zabawnego *qui pro quo*, jakiego dopuścił się Gustaw Daniłowski w powieści swojej „Z minionych dni“, napisanej po „wsypie“ „Wiktora“. Jak już wspominałem, postać jego Daniłowski wziętą za pierwowzór postaci bohatera tej powieści, którego zresztą również nazwał Wiktorem. Co jednak robić z żoną bohatera powieści — Wiktora? „Piękna Pani“ bowiem, którą Daniłowski znał dobrze i osobiście, i z pseudonimu, nie wiedząc zresztą, jak i większość nas, że to jest właśnie Pani Wiktorowa, wyspała się razem z mężem. Urzędowo też figurowali już w spisach więziennych i prasie, jako Józef i Marja Piłsudscy. Biedny autor ani rusz nie mógł sobie dać rady z bohaterką powieści. Mimo zniknięcia „Pięknej Pani“ ze stosunków, nie przyszło mu na myśl, że to właśnie była żona „Wiktora“. Śnać imponująca postawą, urodą i energią postać światowej damy nie mieściła się w ramy kanonu — gdzie całkowicie obowiązywał typ grotgerowskiego dziewczęcia... Takim też typem dziewczynki, gołębicy rozkochanej i cierpiącej, stała się „Marynia“, żona Wiktora w tej powieści. Niemal też z tego powodu mieliśmy uciechy wraz z „Marją“ i nieliczną garstką tych, co wiedzieli lub domyślali się światowego że tak powiem stosunku „Wiktora“ i „Pięknej Pani“. No, kończę plotkę i wracam do wątku swej własnej „powieści“.

Często bardzo dziś — wówczas nie przychodziło mi to do głowy — zadaję sobie pytanie, jaka była najważniejsza pobudka, co do tej „twardej służby“ nas pchała?

Rzecz prosta pomijam, jako zupełnie naturalną, t. zw. „ideowość“ — wszyscy bez wyjątku byliśmy ogarnięci wszechwładnym w tych czasach, a tak pięknie wyidealizowanym w twórczości Żeromskiego „kategorycznym imperatywem“ „walki z szatanem“. Ależ to jedno nie mogło wystarczyć ludziom energicznym, inteligentnym, mocnego charakteru i woli, i na ogół już nie młodzikom. Przeciętny wiek ówczesnego działacza był lat 25—35, a byli to ludzie niemal wszyscy z ukończonym wykształceniem wyższym, pracujący samodzielnie. — Zaznaczę brak zupełny typu fanatyka wśród ówczesnych inteligentów -pepesowców. Typ ten natomiast, wtrączę nawiasem, w tym czasie spotkałem u „esdeków“ w postaci dzisiejszego „Marata Czerwonej Rosji“ — „Zbrodniarza z oczami gazelli, a duszą szatana“ — Feliksa Dzierżyńskiego¹⁾ lub

¹⁾ Mimoходом wspomina tu tę historyczną dziś postać, wówczas najzjadliwszego wroga P. P. S. Przed ćwierć wiekiem Dzierżyński był bardzo młodym —

w „Bundzie“ żydowskim — w postaci Oguza — zażartego i bezwzględego, a przytem do karykatury jednostronnego agitatora. W typie pepesowca-inteligenta przeważał, mimo oczywiście wysokie napięcie wrażliwości uczuciowej — pierwiastek refleksyjny... Inaczej zresztą być nie mogło u ludzi, poza konspiracją zajętych pracą zarobkową. Szkodziło to czasami P. P. S., odstręczając od niej gorętszą młodzież, bardzo natomiast dodatnio odbijało się na gruntowności i metodyczności — jeżeli ten termin zastosować tu można — pracy konspiracyjnej. Dzięki też temu P. P. S. przetrwała wszelkie kryzysy i pogromy, utrwaliła swoją ideologję i tradycje organizacyjne w masach robotniczych i stworzyła odrębny typ socjalizmu polskiego w ruchu międzynarodowym. Osobiście ludziom naszym ten ich podwójny charakter nie przeszkadzał w robocie wcale. Szedł każdy z nas do niej po gruntownem przetrwaniu wszelkich „za“ i „przeciw“, wiedział, że się prędzej czy później „wsypie“ — starał się o to, żeby to stało się „później“ i robił swoje. W rozmowach przyjacielskich poruszaliśmy kwestję tych pobudek czasami. A dodam, że nie spotkałem później w życiu zespołu ludzi o rozmaitych temperamentach, inteligencji,

lat dwudziestu trzech czy czterech — i niezmiernie sympatycznym, choć po dłuższem obcowaniu — i nieznośnym — chłopcem. Po raz pierwszy widziałem go i poznałem na zjeździe organizacji młodzieży szkół średnich w r. 1895 bodaj. Reprezentował on wówczas wileńskie kółka. Krańcowy i zajadły w dyspucie — rozśmieszał nas wszystkich specyficznymi wyrażeniami („fagas“ np. w znaczeniu warszawskiego „facet“ — „daliśmy mu w ucho“ i t. d.), ale brał wszystkich serdecznością i uczciwością. W czasach mej roboty u P. P. S. spotykaliśmy się od czasu do czasu u wspólnych znajomych, dysputując programowo, lub zazwyczaj gawędząc na tematy bieżące. Nerwowy, ciągle gryzący paznogie, zaniedbany w ubraniu, był poniekąd typem z rosyjskiej rewolucji. Kulturalnie też i politycznie zusuflikowany był całkowicie. Wybitnie zdolny i inteligentny, kształcił się wyłącznie na rosyjskiej ideologii i literaturze. Szkół żadnych w całości nie skończył. Wydalony „za politykę“ z VII klasy gimnazjum — o ile pamiętam — czas jakiś kształcił się w szkole technicznej, którą opuścił i całkowicie oddał się pracy spiskowej, jako „nielegalny“ w Socj. Demokr. Król. Polskiego i Litwy. „Robota“ też była jego całkowitem życiem, w którym, być może, szukał ucieczki przed tragedjami osobistemi. Gruźlik w dodatku zagrożony ślepotą z powodu złe wyleczonej choroby oczu — stale w nędzy — przeszedł dużo w życiu osobistem. Pamiętam, jak strasznie przygnębiła go śmierć matki, którą bardzo kochał; odczuł również głęboko zerwanie z narzeczoną... O powierzchowności wydatnej: wysoki, chudy, z charakterystyczną twarzą i bardzo inteligentnymi oczami, patrzącymi zawsze jakby z zaświatów, często zaszpiclowywał się i wpadał. Uciekał i znów szedł do roboty. Do wybuchu też wojny europejskiej napewno większą część życia spędził w więzieniu. Zawsze robił wrażenie fanatyka idei rewolucji socjalnej, poza którą nie widział żadnego zbawienia.

nawet i wieku — gdzieby panowała tak bezwzględna szczerłość, jak w tem szczupłem kole pepesowców warszawskich lat 1897—1900. I to zaznaczam, jako rys charakterystyczny, a nawet — wobec stosunków konspiracyjnych, boć nawet nazwisko towarzysza ujawniało się dopiero po jego „wsypie“ — i dość dziwne zjawisko psychologiczne. W rozmowach wychodziły na jaw różne momenty indywidualne. Ten otwarcie przyznawał się, że unosi go ambicja, ów na chłodno sobie wyrozumował, że jednak życie bez działalności takiej byłoby bez porównania gorsze, inny znów robił „kajuszczawosia inteligenta“¹⁾, kobiety zazwyczaj „pracowały dla ludu“ w imię starego „wszystko dla ludu przez lud“! i t. d. Nie brakło nawet pierwiastka romantycznego. Jednego z dzielniejszych ludzi — człowieka, zresztą obcego zupełnie ideologii pepesowej w ścisłym tego słowa znaczeniu — do partji, w której pracował dzielnie i owocnie, pchnęła miłość. Chciał być razem z ukochaną — na domiar bez wzajemności — kobietą, razem z nią walczyć i razem ewentualnie cierpieć. Większość jednak szukała mimowoli ucieczki przed nieznośnymi warunkami filisterskiego życia, które dławiło czynniejsze natury, oraz ujścia kipiącej energii. Wielu również, a do tych i ja należałem — świadomie czy podświadomie — odczuwało doniosły proces, którego było się współdziałającą choć w małej części siłą. Procesem tym było przeobrażenie się Narodu w Polskę Ludową — Polskę pracy. W naszych bowiem oczach Polska ta powstawała i rosła, a widzieliśmy ją zarówno, gdy przystępując do roboty lub rozwijając „stosunki“, znajdowaliśmy jednostki i grupy robotnicze, już poruszone, już myślące samodzielnie, gotowe do ofiar i walki, jak i widząc wzrastającą wciąż liczbę robociarzy - lokatorów Cytadeli, gdzie już wówczas inteligencja tworzyła nikły odsetek. W epoce



Feliks Dzierżyński w r. 1897.

¹⁾ „Skruszony inteligent“ — typ częsty w literaturze rosyjskiej drugiej połowy XIX w.

powszechnego niemal marazmu warstw posiadających (Nar. Dem. dopiero zaczynała wypływać na szersze wody, w których zresztą utopiła niepodległościowe hasła i pierwiastek walki) tego rodzaju objaw, jak powstawanie Polski Ludowej, która żyje i walczy — był i podniecią i nagrodą zupełnie wystarczającą. Pamiętam osobiste uczucie radości i poniekąd utrwalenie pewności w swej ideologii, jak, pracując już w następnym okresie w stosunkach robotniczych warszawskich, jako kierownik roboty, mogłem komitety robotnicze dzielnicowe, czy koła fabryczne tworzyć z ludzi, którzy już przeszli Cytadelę, a niektórzy i odbyli kary administracyjnego kilkuletniego zesłania.

Robota się rwała zawsze. Nasza bowiem konspiracja wszędzie natrafiała na przeciwną sobie konspirację żandarmerji i „Ochrany“, rozporządzającą olbrzymimi środkami w ludziach i pieniądzech. Ale też roboty, choć przerywanej, choć dorywczej, skutek był widoczny dla każdego. Przywódcy ruchu robotniczego zaczęli się zjawiać już z pośród samego środowiska proletarjackiego. W okresie już lat 1897—1900 „Zbigniew“ — zecer Woszczyński, jako nielegalny, pracował samodzielnie w Zagłębiu. Po pogromie w roku 1900 ruch warszawski wznowił i zreorganizował „Leon“ — powrócony z zesłania na Syberję mularz Czarkowski — człowiek dużej inteligencji a szalonej energii i pracy. Ruch robotniczy w Radomiu — po wyjeździe przewodników jego inteligentów-kolejarzy, stał wyłącznie na robotnikach, wśród których wyróżnił się energją „Bonifacy“ — stolarz Władysław Malinowski, stryj i mistrz głośnego dziś poła P. P. S. „Wojtka“ i t. d. To też dzięki tym „namacalnym“ dowodom powodzenia naszej roboty, pisząc o nastrojach, dodać muszę jeszcze, że, mimo chwilowe rozdźwięki i zwątpienia, było nam wszystkim naogół dobrze i z życiem i ze sobą.

Rozdźwięki te zdarzały się na tle wspomnianego już na początku rozdziału kostnienia ideologii powstańczej, co dawało się już wyczuć w drugiej połowie 1899 roku „na szczytach“ w „Cekaerze“. Być może, zabrakło tam praktycznego „Edmunda“, być może, litewski, tak już dzisiaj historyczny, upór „Wiktora“ stał wpoprzek ewolucji. Dość, że nie tylko ludzie, stojący trochę z boku praktycznej roboty agitacyjnej wśród proletariatu, ale i nieomal wszyscy bezpośredni działacze warszawscy skostnienie to wyczuli. Widocznem ono stało się zresztą po ogromnym strejku powszechnym latem 1899 r., kiedy niespodzianie dla nas okazało się, że zaangażowanie socjalizmem i to w wydaniu pepesowem, stało się w Warszawie nagminnem i że stoimy u progu poważnego

ruchu robotniczego, wymagającego polityki dnia — postulatów realnych w imię głoszonego hasła niepodległości. Tego „szczyty“, jak się zdaje, obawiały się właśnie ze względu na „czystość programu“. Zwłaszcza wydało się to niebezpiecznym, gdy rząd rosyjski w tym czasie przystąpił do pewnych ustępstw, jak skrócenie dnia roboczego, „starostowie fabryczni“, i gdy na dobre rozwijała się w Rosji złowroga „Zubatowszczyzna“.¹⁾ Bano się też prawdopodobnie, że pewien oportunizm, jaki chciano wprowadzić do działalności partji, jak również zdemokratyzowanie organizacji, będą sprzyjały tym właśnie niepożądanym objawom. Do czasu „wsypy“ „Wiktora“, którego powaga jednak była dostateczną do stłumienia opozycji — o rozłamie nie było mowy. Jednak „Anglik“, który w tym właśnie czasie objął stosunki, osierocone wyspą kilku dawnych ludzi — bez ceremonji zaczął „esdekować“, nie oglądając się na kanony niepodległościowe, „Karol“ zaś i nowoprzybyły z Radomia, zasłużony w tamtym ruchu energiczny działacz i wyborny organizator tow. „Adam“ — zamordowany w czasie rewolucji przez nieznanych złoczyńców — Władysław Młocki, gorąco protestowali przeciw „jednostronności“ i „jałowej frazeologii“ programu. Rozdźwięki te wybuchły jednak z całą siłą natychmiast po aresztowaniu „Wiktora“. Wrócimy zresztą jeszcze do nich.

Zakończę jeszcze jednym słówkiem żalu do ówczesnych naszych sympatyków — literatów.

Nie miała z nich partja pociechy. Czasem tylko coś „ideowego“ dla „prasy“ napisał Andrzej Niemojewski. Na parę korespondencji dał się namówić Daniłowski. Najwięcej pisywał, niestety, w duchu dalekim od wymagań partyjnych E. Abramowski, podpisując się „Walczewski“ lub „Czajkowski“. Prasa zagraniczna wypełniana była przez emigrantów, „Rob“ — przez „Wiktera“. Korespondencje do zakordonowanych organów pisywałem ja, podpisując się „K-icz“ lub „Tomaszewski“ w „Przedświcie“, „Koroniarz“ — w „Naprzodzie“, a „K. Este“ — w „Krytyce“. Do prasy niemieckiej i francuskiej pisywał korespondencje „Piotr“. Korespondencje wysyłałiśmy zazwyczaj w listach poleconych pod adresem jakiegoś towarzysza w jakiejś zapadłej dziurze w Niemczech, czy Galicji — adresat

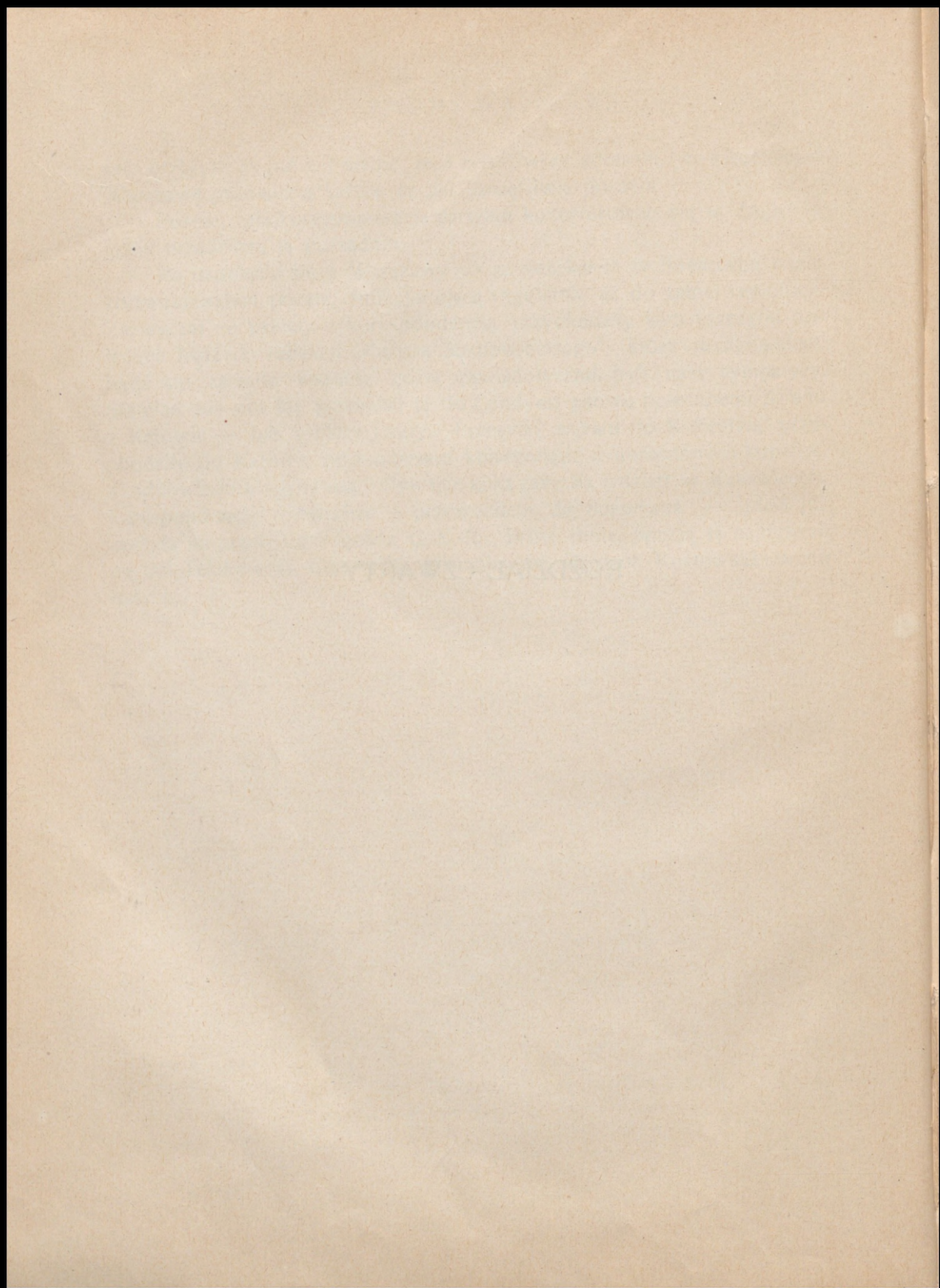
¹⁾ „Zubatowszczyzna“ — była to próba stworzenia legalnego ruchu robotniczego na podłożu walki klas ale bez politycznego charakteru, zainicjowana przez naczelnika „Ochrany“ w Moskwie, pułk. Zubatowa, i szereg nawróconych działaczy Bundu. Przyczyniła ona ogromne szkody rewolucyjnemu ruchowi — ale i sama (pop Hapon) zapoczątkowała rewolucję 1905 r.

zaś przysyłał ją już od siebie pod właściwym adresem, powiadamiając Warszawę umówioną kartką, że list szczęśliwie doszedł.

Później cała korespondencja partyjna koncentrowała się w Zagłębiu, gdzie urządziłem ją porządnie.

Po usunięciu się z Warszawy — zamieszkałem w Sosnowcu i tam zorganizowałem pocztę, funkcjonującą regularnie aż do samej rewolucji. Zazwyczaj — pakiety z korespondencją przychodziły jako przesyłki polecone bądź do redakcji „Kurjera Sosnowieckiego“, który redagowałem, bądź do zarządu kopalni, gdzie zawiadowcami byli nasi sympatycy. Stamtąd zaś oni już przysyłali je do Londynu znowu poleconymi listami z Katowic — lub z Huty Laury. Przesyłki znowu do Królestwa przychodziły do Katowic pod adresem któregoś z uproszonych kupców, z odpowiednią sygnaturą. Bywając kilka razy na tydzień w Katowicach, korespondencję odbierałem i przewoziłem do Sosnowca — gdzie już czekała na przybycie kogoś z C. K. R. Prócz mnie, pocztą tą zajmowali się inż. Telakowski, Czarnocki, Mierzejewski, Czeczot, Kozłowski i wielu innych.

ROZDZIAŁ CZWARTY



Przy „robocie“.

Robotnicze kółka wykładowe. Jak się odbywało „wykład“. Stosunek do organizacji partyjnej. Trudności wewnętrzne. „Bibuła“. Majówki — manifestacje publiczne. Pogrzeb Tańskiego. „Zgromadzenie Ludowe 1 Maja“. „Ochraha“. Prowokatorstwo. Kryzys w P. P. S. Pogrom w r. 1900. „S. D.“ „P. P. S. Proletariat“, „Leon“ i jego robota. „Warszawski komitet robotniczy“ 1901 r. Taktyka. Organizacja robotnicza w Warszawie. Kwestja terroru. „Lanie“. Sposoby na szpiclów. Ruch P. P. S. wśród żydów.

Jakoś pewnej zimowej niedzieli 1898 roku wyskoczyłem z pełną Leszkiem konnego tramwaju i wmieszałem się w tłum pobożnych, wychodzących z kościoła Karmelitów. Szedłem sobie zwolna krokiem spacerowym, tak jednak manewrując, aby „punkt jedenasta“ znaleźć się przed kościołem kalwińskim. Tu czekać mnie miał, również idąc zwolna w moją stronę, „nizki blondyn w kożuszku i maciejówce z Kurjerem Polskim za klapą, wsuniętym do połowy“. Ten zaś po wymienieniu umówionego hasła miał mnie zaprowadzić „na wykład“.

Wszystko odbyło się według ceremonjału. „Blondyn“ szedł, „Kurjer“ miał. Przywitaliśmy się, jak starzy znajomi, a gdy na pytanie „skąd“? odpowiedziałem: „od Antka“, sprawa była skończona. Poszliśmy, nie spiesząc, razem.

Na trzecim piętrze ogromnej i gęsto zaludnionej kamienicy czekało już moje audytorjum w komplecie. Było to kilkunastu czeladzi piekarskiej różnego wieku z przewagą jednak młodzieży. Zaznajomienie się poszło szybko. Mając nieco praktyki robotniczej jeszcze z Radomia, zawiązałem wesołą rozmowę ogólną, a po stopniowym ośmieleniu do siebie nieco dziczących się chłopców, rozpocząłem wykład. Po wykładzie trochę dyskusji, potem — rozmowa. Znowu konspiracyjne wyjście —

tym razem ku Nalewkom — tam skok do tramwaju. Na którejś ulicy znowu wysiadam — później znów tramwajem na Marszałkowską — znów piechotą do mieszkania, gdzie zostawiłem mundur studencki. Przebieram się i pędzę na proszony obiadek do rodziny, gdzie już przesiadziałem do szóstej. Spacer... i nareszcie do domu.

Tyle czasu i zachodu wymagała konspiracja dla załatwienia niepełna godzinnego wykładu z dziedziny ekonomii politycznej, a właściwie popularyzowania teorii Marxa. Kółko moje piekarskie było dość ważne: był to okres walki czeladników piekarskich o poprawę bytu. Strejki, załogi lokalne i ogólne były na porządku dziennym. Poruszyło to masę. Należało więc co prędzej wyrobić garść uświadomionych agitatorów, naładować w nich nieco teorii i w ten sposób utrwalić wpływ partyjny... Poza tymi piekarzami miałem jeszcze drugie, znacznie spokojniejsze, kółko, skombinowane z robotników różnych fachów i zbierające się na Starem Mieście. Tam znowu chodziłem w powszedni dzień wieczorem. Różniło się to kółko od pierwszego tem przedewszystkiem, że nie wymagało zbyt intensywnej pracy nad forsownem uświadomieniem jego uczestników, jak będący właśnie wówczas w ogniu walki — piekarze. Tam też mogłem nieco mniej bezwzględnie pakować w głowy audytorjum czystą teorię nadwartości i bardziej zwracać uwagę na „ogólne rozwijanie“ słuchaczy. W czasie mojej kariery „wykładowca“ przewinąłem się przez szereg kółek. Wykłady bowiem były najbardziej uchwytą stroną ówczesnego ruchu robotniczego. „Szpiclowano“ je też namiętnie i wykładowiec, dla uniknięcia „wsypy“ i swojej i całego audytorjum, która groziła następstwami poważnymi bez względu na treść wykładu¹⁾, musiał zmieniać kółko. Pamiętam też, poza temi dwoma pierwszymi — jeszcze kółko metalowców w stosunkach „Anglika“ v. „Jana“ na Włodzimierskiej, stolarskie na Śliskiej, skombinowane kółko na Woli tuż za budującym się wówczas kościołem, fabryczne na Pradze na Radzymińskiej i dane mi przez „Adama“ — najsympatyczniejsze, bo ze starszych już robociarzy „od Rudzkiego“ złożone, a przytem rewolucyjne z ducha, a typowo pepesowskie z pojmovania socjalizmu na gruncie naszym. Ja sam na kółku tym przekonałem się najbardziej o żywotności i prak-

¹⁾ Później nieco np. wykładowiec, kol. Hercman, za jedyny wykład anatomji, o który go prosili znajomi robociarze, „nakryty“ podczas wykładu, dostał 3 lata Syberji, słuchacze zaś po 1 i pół roku do 2 lat.

tyczności hasła niepodległości Polski, jako koniecznego ogniwa całości kształtu socjalistycznego światopoglądu polskiego robotnika.

A sprawa, tak dziś prosta, nie była wówczas łatwą. P. P. S. objęła dziedzictwo mocno zachwaszczone dotkrynerstwem swoich poprzedników, socjalistycznych działaczy lat 1880—92. Przybywali oni z rosyjskich uniwersytetów i żyli w okresie bezpośredniej reakcji przeciw powstańcemu romantyzmowi. W tradycjach też robotniczych zanikła zupełnie pamięć rewolucyjnych ruchów, wyrosłych na gruncie warszawskim (Landy, Sieroszewski, Płaskowicka, bracia Pławifnscy i in. lata 1876—8). Natomiast żywą była pamięć blankistowsko-międzynarodowego „Proletariatu“ z „narodowolcami“: Waryńskim, Kunickim na czele oraz z powieszonym wraz z robotnikami warszawskimi Ossowskim i Pietrusińskim, Rosjaninem i to sędzią pokoju z Warszawy — Bardowskim.

Całe zresztą starsze pokolenie robotników, dotykających się socjalizmu, wykształcone było na wybitnie kosmopolitycznych hasłach bibuły „Proletariatu“, i przeszło przeważnie przez organizację również zarzekającego się patriotycznych haseł „Związku Robotniczego“.¹⁾ „Socjalpatriotyczna“ więc P. P. S. „zawracająca głowy powstaniem, które, jeśli się uda, w co zresztą tylko głupiec może wierzyć, to robotnikowi da co najwyżej w dodatku do polskiego burżuazji — polskiego oberpolicmajstra i polskich żandarmów“ — jak stawiali sprawę weterani ruchu — nie była zbyt popularną w sferze starszego pokolenia socjalistów-robotniczy. A ci znowu wywierali duży wpływ na młodzież, mieli czytanie broszurowe wyborne, frazeologję o „międzynarodowej solidarności proletariatu, wobec której sprawy narodowe winny zejść z placu“, czy też o „walce ręką w rękę z bratnim proletariatem rosyjskim, który nie ścierpi (sic!) jakichś powstań w imię interesów burżuazji, szlachty i księży“ i t. d. sypali, jak z rękawa. Przedewszystkiem zaś drwiąco zestawiali oni przyszłe słabe powstanie — „boć jeżeli mówicie o niepodległości, to tylko chcecie iść z dubeltówką do lasu“ — z potężną rewolucją socjalną — owym wymarzonem panaceum na wszelkie krzywdy społeczne, ekonomiczne i — „jeżeli komu coś dolega“ — i narodowe. Opozycjoniści-weterani ci należeli przeważnie do t. zw. „pyskaczy“. Po mniej lub więcej szczęśliwym wycofaniu się z „roboty“ czynnej — „pyskacze“ ci swoją bierność maskowali tem bezwzględniejszą krytyką, no i przytem stwarzali całą

¹⁾ Na wpływy t. zw. „Drugiego Proletariatu“ (lata 1888—91), bardziej politycznego, natrafiałem rzadziej w sferze robotniczej.

mitologię dawnych „prawdziwych“ socjalistów („wobec których, co wy jesteście“?). „Wykładowiec“ więc miał pracy nie mało.

Pamiętać przytem należy, że było to na lat parę przed oportunistą Millerandem oraz przed zjawieniem się Bernstajniemu.

Czystość wiary w rewolucję socjalną była dogmatem, bez którego w socjalizmie nie było zbawienia. Naukowej literatury dla wykształcenia samych wykładowców brakło. Celem zaś teoretycznym ugruntowaniem programu P. P. S. były artykuły Mendelzona i Grabskiego, w dużej części już w tym czasie przebrzmiały. Rzeczy bowiem Michała Luśni, Daszyńskiego, Gumpłowicza i t. d., uzasadniające potrzebę niepodległości i dające trochę argumentów w dyskusji, zjawily się znacznie później.

Aczkolwiek więc „wykładowiec“ w zasadzie miał mówić tylko o teorii socjalizmu, z konieczności musiał on prowadzić dyskusję i w tych razach napociał się, biedak, niemało.

Biada mu zwłaszcza było, gdy tak na wykład „nielegalnie“ przyszedł, nie jakiś głośny w tych sferach „pyskacz“, co to „dużo gada, a nie robi“, ale „porządny facet“, znany działacz, a przytem osobiście poważany i szanowany.

Tak np. na takich wykładach „krzyż pański“ mieli wykładowcy nasi ze starym „związkowcem“, a później „esdekiem“ — Rosołem i z jego żoną. Były to typy zresztą, które zaliczam do najsympatyczniejszych, jakie spotykałem. Oboje — ideowcy do ostatniego tchu. Ofiarni, pełni poświęcenia i całą duszą oddani sprawie robotniczej. On średniego wzrostu, o sympatycznej twarzy, z długą kasztanową, nieco siwiejącą brodą, w długim surducie, robił wrażenie jakiegoś pastora metodystów, ona — typowo wygadana majstrowa warszawska. Oboje zaś wytrawni agitatorzy-międzynarodowcy, nie znający kompromisów, a przytem zacięci wrogowie P. P. S. Rosół, poza programowemi zarzutami, miał do niej i żal osobisty. (Jak nas wzięły fioły, Szanowny Towarzyszu — mówił z żalem — to P. P. S. napisała, że ani swędu z nas nie zostało... Ho, ho, poczekajcie, jeszcze wam tak w nosie zakręcimy, że do zdechu kichać będziecie!). P. P. S. też dla obojga była, ni mniej, ni więcej „ohydną zdradą socjalizmu i bałamuceniem robotnika przez patryjotyczne panienki i paniczyków“. Poza przemowami jednak, był Rosół bardzo dla przeciwników wersalski: kupował „Robotnika“ (to jeszcze ujdzie, ale „Przedświt“ oczy moje nie zniosą) i chętnie nawet dawał mieszkanie na wykłady („byle mi tu waszej bibuły nie rozdawali“). Oczywiście, z chwilą zjawienia się na bruku warszawskim jakiegoś działacza z „S. D.“,

Rosołowie z całą energią agitowali za stworzeniem nowej organizacji i odciągali kogo mogli ze znanych sobie pepesowców do niej.¹⁾

Bardziej tolerancyjnym był drugi spotykany przezemnie w okresie mych wykładów „esdek“ — dzielny robociarz i wyrobiony bardzo piekarz Wieczorek. I ten coprawda agitował, ile wlezie, za przejściem do S. D. robociarzy pepesowców w razie najbliższej możliwości odbudowania organizacji. Gdy jednak tej organizacji nie było — a trwało to od 1897 do 1900 r. bodaj — Wieczorek był najlojalniejszym członkiem P. P. S.: kolportował bibułę, agitował, rozszerzał stosunki itd. W przeciwieństwie do Rosoła — Wieczorek miał wieczny kłopot z żoną, bardzo zachowawczych poglądów, a przytem zazdrosną kobietą, przed którą musiał starannie konspirować swój socjalizm. To zresztą, doskonale posłużyło mu, gdy „wsypał się“ w czasie masowych aresztów, jako poważnie poszlakowany o najbliższe współpracownictwo ze wznowiającym organizację esdecką bodaj czy nie dzisiejszym „Maratem bolszewizmu“ — Dzierżyńskim. Nie mogąc nic z Wieczorka wydobyć, żandarmerja pozwoliła żonie na widzenie, zapowiedziawszy jej, żeby męża skłoniła do szczerych zeznań, to „będzie lepiej“. Na widzenie wprowadzają niby to znękanego, pogrążonego w ostatecznej rozpaczycy Wieczorka. A dodać trzeba, że i zazwyczaj minę miał on desperacką i „straszny upadek“ symulować mógł łatwo.

„Boże! — krzyczy małżonka — co się z tobą stało? Za co ciebie do kryminału wsadzili?“

„Wódka, moja Wikciu, wódka to ze mnie zrobiła, to i dlatego mnie do kryminału wzięli — wódka — tylko wódka mnie do tego doprowadziła“ — jęczy skruszony małżonek.

I tak — niewiasta, przekonana święcie, że złe towarzystwo, upajając męża wciągało go we wszelkie „bunty“ — zaklinała się na badaniach i stawiała na świadków wszystkich sąsiadów, jako, że mąż jest uczciwy robotnik, dobry katolik i t. d. Z drugiej znów strony, sam Wieczorek tak wspaniale grał rolę uwiedzonego głupiego robociarza-analfabety, „wódka“ była tak zręcznie wplecionym głównym motywem zeznań, że, mimo iż nań „sypały“ „prowoki“, udało się dzielnemu robociarzowi wykręcić ze sprawy dość lekkim wyrokiem.

¹⁾ Rosołowa, zresztą następnie po zesłaniu męża, jak słyszałem, nawróciła się na P. P. S. i dzielnie pracowała pod kierunkiem „Marji“ w pomocy więziennej — przy urządzaniu manifestacji i t. d.

Oprócz dyskusji programowych — a poza „esdekami“ przychodzili na nie i „patrijoci“ t. j. rzemieślnicy lub robotnicy, objęci agitacją kół N. D. — często w parady wykładowi wchodziły wątpliwości religijne, któregoś z uczestników. Z „esdekiem“ czy „patriotą“ jakoś sobie można było dać radę, a zresztą sama dyskusja niemało przyczyniała się do celu „kółka“, rozwijając umysł i poruszając zagadnienia żywotne. Natomiast, gdy, uchojaj Boże, zjawił się w kółku jaki szewc-mystyk, lub zgoła rzeźnik-antyklerykał, wówczas „zdechł pies“ z wykładem! Jak zawsze i wszędzie, spory religijne roznamiętniały i tu obecnych. Na wykładowcu zaś, jako na inteligencie, a więc poniekąd zawodowym Wolterze, leżała wielka odpowiedzialność i ryzyko utraty przez jakiś nieogłędny zwrot oportunistyczny, czy znów nazbyt krańcowy, całej powagi; każdą bowiem nieszczerłość robociarze wyczuli znakomicie.

„Kółka wykładowe“, a było w nich w tym czasie skupionych, o ile mogę dziś się zorientować, w Warszawie i okolicy co najwyżej 100 robociarzy, jednocześnie¹⁾ — były najbardziej uchwytną formą ruchu. Zaś jako szkoła „podoficerów rewolucji“ i ostoja ciągłości i przyszłości ruchu odgrywały one rolę doniosłą. Nie były jednak bez wad. Poważną bardzo trudnością w wykładach kółkowych był natomiast brak ustalonej metody i programu tychże. Każdy wykładał jak chciał i jak mógł, aby tylko móc wyciągnąć wniosek w końcu, że wszystko na świecie dzieje się z krzywdą proletariatu, doprowadzić do zrozumienia teorii nadwartości i uzasadnić, że niepodległa Polska jest rzeczą konieczną nie tylko dla polskiego, ale i dla wszechświatowego socjalizmu. Ja przeważnie później, zarzucając nielitościwie nudny i często — miałem dużo kółek rzemieślniczych — niezrozumiały dla audytorjum marxizm, przesłanki opierałem przedewszystkiem na historii, stricte zresztą przestrzegając zasady materialistycznego pojmowania dziejów. „Guzik“ znowu — Hornowski, jeden z lepszych wykładowców — rozwijał przyszłych Beblów i Burnsów, biorąc za punkt wyjścia nauki przyrodnicze. „Piotr“ wreszcie do socjalizmu i niepodległości prowadził przez odpowiedni wykład... geografii. Surowym i bezwzględny prozelitą marxizmu w kółkach wykładowych był zato „Anglik“ — późniejszy „Jan“ — sam zresztą wyborny popularyzator Marxa. Za moich już czasów zaznaczyło się wśród wykładowców kilka talentów pedagogicznych. Takim talentem np. były towarzyski:

¹⁾ Rozwój kółek, które wtedy objęły kilkuset robociarzy, rozpoczął się dopiero w r. 1899—1900 przed okresem wielkich strejków i „wsypy“ r. 1900.

„Wela“ — Ewelina Wróblewska, „Zofja“ — członkini naszej pepesowskiej organizacji studenckiej, Marja Maliniakówna, późniejsza Smoleńska, i wreszcie „Aniela“ — Malinowska, siostra „Władka“. Wybornym popularyzatorein, szalenie dowcipnym i umiejącym znajdować trafne życiowe przykłady, był również członek naszego studenckiego zespołu „Luc“ — politechnik Orłowski. Pierwszorzędnym zaś talentem, zarówno organizacyjnym, jak pedagogicznym, okazał się „Żorz“ — twórca zaczątków „Uniwersytetu Robotniczego“ — Zand. Ujął on wykłady w pewną metodę, wspólnie z innymi opracował ich program i skupił koło siebie garść bardzo dobrych wykładowców, z których wielu stało się później znanymi na niwie pedagogicznej działaczami (rektor Wacław Dąbrowski, inspektor Władysław Michalski, prof. Krzeczkowski, Szteinbok, dyr. Korolec). Pozwoliło to wreszcie oddzielić kółka wykładowe od roboty czysto politycznej i organizacyjnej, do czego dążono oddawna, ale niestety, bez rezultatu.

„Ja n. p. w początkach, acz korzystający z tytułu „nasz facet“, i przychodzący z ramienia organizacji — nie byłem uważany za przedstawiciela partji. Był nim zawsze prowadzący kółko i komunikujący się z „Andrzejem“ „Anglikiem“ czy „Toporkiem“ robociarz: „Franek“, „Daniel“, „Sierota“, „Czarny“ czy też inny. Faktycznie jednak z powodu przeładowania inteligentów-przewodników robotą — „przy sposobności“ musiałem ich od czasu do czasu wyręczać i powoli zatracalem swój czysto pedagogiczny charakter. Większość zresztą towarzyszy z W. K. R. prowadzących robotę partyjną, również urzędowała przedewszystkiem wykłady. „Karol“, „Piotr“, nawet „Andrzej“ a następnie „Klara“ mieli sporo kótek wykładowych. „Anglik“ zaś na kólkach tych oparł przedewszystkiem całą organizację.

Równolegle z kólkami wykładowymi, jako ośrodek wychowawczy mas — szedł kolportaż „bibuły“, rozwinięty przez P. P. S. na skalę, u nas chyba od powstania styczniowego nie praktykowaną, a w Rosji całej nieznaną. Od P. P. S. przejął tę taktykę i bodaj jeszcze bardziej rozwinął „Bund“ żydowski, przez który przejęła go i Socjalna Demokracja rosyjska. „Bibule“ nadto swojej, zwłaszcza perjodycznej krajowej („Robotnik“ i lokalne: „Górnik“, „Białostoczanin“, „Łodzianin“, „Radomianin“ — ten ostatni dodam z „pychą“ — redagowany przezemnie) P. P. S. nadała wybitnie praktyczny i aktualny charakter. Pod tym względem „Robotnik“ stworzył szkołę w dziedzinie perjodyki rewolucyjnej — i można powiedzieć bez przesady, że na terenie zaboru ro-

syjskiego był pierwszym pismem naprawdę robotniczym. Rzadko też które pismo miało tak, jak „Robotnik“ zamiłowanych w sobie czytelników. Uzupełniały „Roba“, który ze względów technicznych wychodzić musiał rzadko (przeciętnie raz na dwa miesiące), wydawnictwa ulotne: „Kurjerek Robotnika“, „Dodatek“ i t. p. pisma ulotne, zawierające wyłącznie korespondencję ze stosunków robotniczych. Z pism zagranicznych wśród inteligentniejszych robociarzy było lubiane popularno-naukowe „Światło“, mniej — zbyt publicystyczny, a nadmiar dość ciężki „Przedświt“. Prasa ta, puszczana w dużej ilości przez zorganizowanych kolporterów, szła już w masy, tworząc, poza członkami kół wykładowych, drugą kategorię o wiele liczniejszą, robotniczej inteligencji socjalistycznej, t. zw. „czytaków“.

Prasę uzupełniały broszury. Te nieco szwankowały. Do wyborych: „Ojca Szymona“, zresztą będącego przeróbką rosyjskiej broszury „Chitraja Mechanika“ i „Kto z czego żyje“ — najkrótszej popularyzacji teorii Marxa, przybyło niewiele. Najlepszą bodaj, o ile pamiętam, była „Sprawa robotnicza“. Wogóle zaś nie byliśmy zbyt zadowoleni z broszur. Z wielką szkodą dla interesów ruchu robotniczego, P. P. S. zaniechała wydawania broszur „fachowych“ w rodzaju „Sprawa Górnicza“, „Sprawa czeladników piwowskich“ i t. d., które cieszyły się wielkim uznaniem. Duży natomiast nacisk położono na wydawnictwa wiejskie. Z tych nieźle były zupełnie jako materiał agitacyjny: „Dobra nowina dla robotników wiejskich“, lub dla gospodarzy — Luśni: „Czy niema teraz pańszczyzny?“, Wierzby: „O czym każdy włościanin wiedzieć powinien“, tudzież apokryficzny „List ks. Ściegiennego do ludu wiejskiego“. Uboga niezwykle była rodzima literatura agitacyjna dla robotników miejskich. Poza nieśmiertelnymi: „Kto z czego żyje?“, „Sprawą robotniczą“, oraz pisanych dla wychodźstwa w Ameryce: „O co walczą robotnicy w starym kraju?“, nie przypominam sobie żadnych z naszej strony wkładów w tej dziedzinie. Wypełniały ją tłumaczenia: Liebknechta: („Wiedza to potęga“, „W obronie prawdy“), Lafargue'a: („Religja kapitału“, „Praca umysłowa wobec maszyny“), Lassalle'a: („Program robotników“, „O istocie konstytucji“, „Wypisy“), Schramma („O wytwarzaniu bogactw“), i wogóle niemieckiej agitacyjnej publicystyki („Baczność! Socjaliści idą“, Bracke'a: „Precz z Socjalistami!“) i t. d. Dużo za to było wydawnictw dla inteligencji (Marx — Pisma Pomniejsze, Engels — „Od utopji do nauki“, Marx i Engels — „Manifest komunistyczny“, Kautsky: Niepodległość Polski, z własnych: Truszkowski: „W rękach żandarmów“, Kresowiec (I. K. Potocki) — „Pro-

gram Ugody“, „Listy do ks. Uchtomskiego“ i t. d. W tym też czasie P. P. S. wydała rzecz, która wywołała dużą sensację: „Memoriał księcia Imeretyńskiego, złożony carowi w sprawie polskiej“.

Wadą wydawnictw P. P. S. był brak pewnej konsekwentnej nici przewodniej, a jeszcze bardziej brak utalentowanych autorów. Najlepszy bez kwestji teoretyk P. P. S., Michał Luśnia (Kazimierz Krauz) pisał popularne rzeczy dość ciężkim stylem i sztucznie robiona popularność psuła zazwyczaj doskonale ujęcie kwestji. Perl odzywał się w broszurze rzadko, tak samo jak Jodko, Goździkowski, Wasilewski i Jędrzejewski, wypełniający za to prasę perjodyczną partji. Dużą natomiast zasługą P. P. S. jest „zdemokratyzowanie“ nielegalnego druku. Dokonała ona tego nie tylko wśród młodzieży i robotników, ocierających się o organizację, ale i wśród ogółu. Już bowiem od 1898 r. na wielką skalę P. P. S. zaczęła przewozić poza „bibułą“ inne wydawnictwa niecenzuralne, uczyniwszy sobie z tego wcale pokaźny dochód. Nawiasowo wtrącając, że P. P. S. pierwsza na większą skalę rzuciła do Królestwa utwory Wyspiańskiego.

Poza wykładami kółkowemi i umiejętnym kolportażem „bibuły“, które dały P. P. S. zastęp półinteligencji: agitatorów i organizatorów, wielką rolę, o ile znów chodzi o poruszenie mas — odegrały manifestacje uliczne.

Rozwijały się one stopniowo i bardzo powoli, lecz stale. Zaczęło się od majówek. Kółka wykładowe z nastaniem wiosny przenosiły zazwyczaj działalność swą pod Jeziornę, Jabłonnę, Wawer, lub na Saską Kępe, gdzie zbierano się dość licznie z rodzinami i zapraszano „facetów“. Szły referaty, deklamacje... Popularnem niezwykle było „Czegoż chcą oni“? Sieroszewskiego, deklamowano również poezję, zebrane w „zbiorku“ wydanym przez P. P. S. Pozatem produkowano ideowe utwory bardziej znane z literatury ogólnej — no i mnóstwo lokalnych warszawskich. Po wykładach, posiłku i wreszcie — tańcach, wieczorem już, następował „pochód“ do kolejki lub statku. Na lasce zawieszano czerwoną poszewkę lub chustkę, która, niesiona na przodzie, imitowała sztandar, a następnie szli „pochodem“ majówkowicze, śpiewając czy to „Ludu roboczy, pokaż swą siłę!“, czy „Warszawiankę“, czy też „Czerwony Sztandar“, oczywiście niemożliwie fałszując i nutę przykrawując do swojej muzykalności. Po majówkach przyszły demonstracyjne pogrzeby. Z początku były one skromne: złożono „umarlakowi“ towarzyszowi wieniec z czerwonymi szarfami i postępowano w milczeniu. Później posunięto się dalej — za rogatkami na Brudnie, lub po poświęceniu grobu intonowano „Czer-

wony Sztandar“ — na szarfach wieńca zjawiały się napisy „Towarzyszowi idei“, „Ofierze gwałtu od towarzyszy“ i t. d.]

Wreszcie, już w r. 1898 na 1 maja, który wówczas wypadł w niedzielę, partja pod naciskiem samych robotarzy urządziła manifestację, zapowiedzianą z góry. Wezwano ogół robotniczy warszawski na tłumny spacer popołudniowy w Aleje Ujazdowskie. Spacer ten nazwano górno-lotnie na wzór galicyjski „Wielkie Zgromadzenie Ludowe“. Rezultat wyszedł dobry. Burżuazja, zawsze zapelniająca Aleje w niedzielne popołudnie, zastraszona mnóstwem zapowiedzi o „Zgromadzeniu“, rozrzuconych po mieście — znikła z Alei tym razem bez śladu i rzeczywiście osiągnięto efekt. Tłumy robotników, kobiet i studentów sporo — przeważnie z czerwonymi goździkami w klapach i przy gorsach — nadały swoisty charakter Alejom. Szarża żandarmów i zagarnięcie kilkudziesięciu osób na podwórze ówczesnego gimnazjum rosyjskiego, a dziś „królewsko-polskiego“ (pamiętka z czasów Rady Regencyjnej) gimnazjum żeńskiego królowej Jadwigi, nadała 1 majowi charakter — „nie obejdzie się bez ofiar“. Dłużej zresztą nikogo z aresztowanych nie trzymano. Naogół zadowolenie było ogólne. Manifestacja udała się. W następnym też roku już zaryzykowano pochód pod pomnik Mickiewicza. Pochód ten dopiero na rogu Królewskiej i Krakowskiego został rozbity przez policję i żandarmerję konną. W roku zaś 1900 przeciwko majowemu Zgromadzeniu już skonsygnowano dwa pułki gwardjackiej piechoty, która wraz z kozakami i żandarmerją konną stoczyły z tłumem słynną „bitwę pod Sans Souci“¹⁾, tłukąc spacerującą publiczność i zabierając około 2000 osób do niewoli. Otoczonych kordonem piechoty „jeńców“ odprowadzono do cytadeli. Począwszy od następnego roku, „Bund“, Soc. Demokracja — która wznowiła swą organizację, i nowo powstały „Proletariat“ zaczęły urządzać równocześnie z P. P.-Sowskim „Zgromadzeniem Ludowym“ w Alejach Ujazdowskich konkurencyjne „zgromadzenie“ na Marszałkowskiej, obok Dworca Wiedeńskiego.

„Ochra“ też i policja, jako środek zapobiegawczy w końcu kwietnia stale już wypełniały wszystkie areszty i więzienia warszawskie osobistościami, kiedy bądź zamieszananymi w ruchu, a zwłaszcza w manifestacjach majowych. Po kilku latach takich podejrzanych liczono na tysiące, zwłaszcza, że ten chwalebny zwyczaj przetrwał rewolucję, która ujawniła znowu mnóstwo kandydatów do „ula“ i trwał do samego końca pano-

¹⁾ Nazwa dziś nieistniejącej cukierni w Alejach Ujazdowskich.

wania moskali w Warszawie. Można więc sobie wyobrazić ścisk, jaki panował w dniu 1 maja we wszystkich kryminałach warszawskich i w kazamatach fortów cytadeli! Stopniowo też obchody „za kratą“ stały się integralną częścią święta Majowego.

Poza świętem tym — rozwijały się i inne manifestacje. Nie udała się wprawdzie — zainicjowana przez P. P. S. manifestacja w dzień odsłonięcia pomnika Mickiewicza — natomiast żywiołowo i samorzutnie wzrastały manifestacje robotnicze. Wreszcie i pogrzeby manifestacyjne zaczęły sprowadzać represje. Pierwszym pogrzebem, który je wywołał, był pogrzeb inż. Tańskiego, dawnego zasłużonego działacza w sferze robotniczej, jednego z założycieli „Związku“. Pogrzeb był cywilny — duchowieństwo bowiem odmówiło udziału w pogrzebie „radykała“. Zebrało się sporo ludzi. Ludwik Krzywicki powiadomił inteligencję i młodzież. „Czarny“ i Rosół zbrali robotników. Złożono, jak zwykle, wieńce z czerwonymi szarfami i odpowiednimi napisami. Przez miasto od szpitala na Elektorальной aż do rogatek powązkowskich, tłum szedł w ordynku — przeważnie czwórkami — w milczeniu. Z chwilą mijania rogatek zaintonowano „Czerwony Sztandar“. Na cmentarz ten osobliwy kondukt wszedł przy dźwiękach „Warszawianki“, wywołując niebywałą sensację.

W przejściu słyhać ciekawą rozmowę:

„Czyj to pogrzeb, nie wie pan czasem?“ pytała jakaś poważna matrona stróża cmentarnego.

„Ja nie wiem, proszę pani“ — odpowiada zadziwiony stróż. — „Dwadzieścia lat służę i jeszcze takiego nie widziałem: księdza niema, żydzi śpiewają“...

Traf bowiem zrządził, że wśród wieńców, na czele pochodu niesionych, na pierwszym miejscu był wieniec z ogromnymi czerwonymi szarfami, na których napis brzmiał „Od towarzyszy żydowskich“. Wieniec ten nieśli robotnicy żydzi, wyśpiewując „Czerwonego“ z zapalem. Nad grobem przemów żadnych nie było, natomiast prześpiewano cały repertuar pieśni rewolucyjnych. Brzmiały też: „Ludu roboczy poznaj swą siłę“, „Szalejcie tyrany, niech pastwi się kat“, „Żegnaj nam, żegnaj kraju“, znów „Czerwony“ i znów „Warszawianka“, aż do zasypania grobu. Przybyła policja i aresztowała przewodniczącego w manifestacji „Czarnego“ — metalowca Jasińskiego, z którym później razem pracowałem w „robotcie“, oraz — jednego z najpilniejszych moich słuchaczy na kółku piekarskim, bardzo miłego chłopca — Koperskiego. Długo mi

stały później w pamięci zastraszone i bezbrzeźnie smutne oczy biednego „Kopra“, gdy go trzech rosłych policjantów prowadziło obok mnie, a ten żałośnie wyglądał ratunku. Ratować zresztą towarzysze spróbowali. Ktoś nagle krzyknął: „Towarzysze! nie dać aresztować naszych“. Tłum momentalnie zakolysał się. Łaski poszły w górę... zadudniało... rzucono się w stronę policji. Komisarz, rewirowi, dobyli rewolwerów... policjanci stali w niepewności... wrzask się wzmagał... Sytuację, która stawała się groźną — próbował uratować „Piotr“. „Towarzysze — spokojnie!“ „Towarzysze to prowokacja!“ krzyczy kuśtykując w biegu i rzuca się między policjantów i nadbiegający tłum. „Czarny“ został jednak już odbity — „Kopra“ zaś policjanci otoczyli i szybko ciągnęli ku wyjściu — gdzie czekała pomoc — kilkunastu szpiclów i cały „nariad“ policji. Tu walka była beznadziejna, co gorsza — aresztowano przy powtórnej próbie odbicia „Kopra“, gdy go wsadzano do doróżki, znowu kilku robociarzy. Dalej wzięto studentów — „esdeka“ Drosia i wówczas narodowca — późniejszego jednak bardzo czynnego pepesowca Węglewskiego.

Wszyscy aresztowani siedzieli dość długo, wyroki jednak dano im łagodne; o ile pamiętam — tylko zakaz mieszkania w Warszawie.

Pogrzeb Tańskiego zwrócił uwagę policji, gdyż odbył się wkrótce po dużej manifestacji ogólnej na pogrzebie zasłużonego działacza oświatowego — Hirszfelda, a zresztą pogrzeby manifestacyjne, opisywane stale w Robotniku, stały się już głośne.

Manifestacji robotniczej na swoim pogrzebie doczekał się i jeden z naszej pepesowskiej organizacji studenckiej — „wykładowiec“ na kółku robotniczym, a przytem wiceprezes, czy nawet po Kamińskim prezes politechnicznego „Zjednoczenia“, „Kaziutka“ — K. Żywanowski. Na jego pogrzebie wystąpiły in corpore wszystkie stowarzyszenia studenckie z wieńcami i w szyku; robociarze zaśpiewali „Czerwonego“... Manifestacja też miała przebieg imponujący. Policja, zgromadzona w dużej liczbie, rozpoczęła represje: kazała gasić pochodnie, zakazywała nieść wieńce, aresztowano śpiących. Opór jednak manifestantów, w którym w zapale brał udział i atleta Pytłasiński — przełamał zapory. Policja ustąpiła — aresztowanych odebrano.

Rok 1899 i pierwszą połowę 1900 można uważać za zenit powodzenia P. P. S. w jej pierwszym okresie dziejów, skreślonym w broszurce sprawozdawczej „Pięciolecie P. P. S.“ Miałem to wrażenie wówczas — mam je i obecnie, patrząc na te czasy z perspektywy ćwierćwiecza.

Partja i jej ideologia zdobyły sobie zupełnie określone stanowisko w społeczeństwie. Ruch robotniczy stał się masowym, a nieuchwytność, zarówno „Robotnika“, który przeszedł już 35 numerów — cyfrę dla nielegalnie wydawanego pisma — niesłychaną, jak i kierowników partyjnych, mimo masowych aresztów, otaczały organizację nimbem jakiejś tajemniczej potęgi... Latem 1899 roku Warszawa widziała po raz pierwszy strejk powszechny fabryk metalurgicznych, który wraz z jej okolicami objął 20—30 tysięcy robotników. Liczne strejki fachowe: stolarski, kamieniarski, piekarzy, kamaszników i t. d. były prowadzone umiejętnie i zazwyczaj kończyły się zwycięsko.¹⁾

Wkrótce jednak nastąpiły lata chude. Carat do walki z rewolucją zastosował nowe metody, które w życie wprowadziła stworzona właśnie w tym czasie przez wyćwiczonego na wzorach tajnej policji zagranicznej pulk. żand. Raczkowskiego „Ochrana“. Jedną zaś z metod „Ochrany“ było, obok szpiclowania — „monstre“ masowe demoralizowanie robotników przez zaszczepienie na większą skalę w Warszawie prowokatorstwa.

Jakoś w połowie 1900 roku zaczęły dochodzić wieści o paskudnych praktykach, stosowanych w cytadeli. Celemu szeregowi bardziej zaangażowanych w ruchu robociarzy żandarmerja proponowała uwolnienie i stałą pensję²⁾ z warunkiem ostrzegania wyznaczonego osobnika, który oczywiście był agentem „Ochrany“ o zapowiadających się manifestacjach, strejkach i t. d. Innym znowu proponowano pieniądze za składanie raportów perjodycznych... Wszystkim zaś pozwolono dalej trwać w partji i nawet zakładać nowe kółka socjalistyczne. Kilku robociarzy natychmiast po uwolnieniu przyznało się, że propozycję przyjęli. Żądali oni wysłania ich zagranicę, co też partja skwapliwie uczyniła. Inni znowu — usunęli się z ruchu i wynieśli się z Warszawy... Co zaś najgorsze, że podczas śledztwa, zarządzanego w różnych „stosunkach“, można było wnosić z zakłopotanych min, wykrętów i t. d., że sporo niezłych naszych towarzyszy ma pod tym względem — niezbyt czyste sumienie. Zaczęły się też i „wsypy monstre“, dawno już w partji nieznanne — zwłaszcza w Warszawie, gdzie dzięki starannej konspiracji i ustalonej jako tako organizacji „wsypy“ zawsze były przypadkowe i lokalne. Tym razem zmieniło się wszystko: brano ludzi „na

¹⁾ Strejk stolarski np. został uchwalony większością głosów na ogólnym zebraniu czeludzi stolarskiej, prowadzonym bardzo porządnie.

²⁾ N. B. w rozmiarach przewyższających przeciętny zarobek dobrego robotnika: ofiarowano 50—100 rb. miesięcznie lub też 5 rb. dziennie dyet.

pewniaka“ i „z bagażami“, t. j. z „bibułą“ i dokumentami, „nakrywano“ zebrania, „majówki“ i wykłady. Na śledztwie żandarmi orjentowali się doskonale co do pseudonimów i roli poszczególnych ludzi. Wyraźnem było, że w „stosunkach“ zagnieździli się „szpi“ i to w liczbie pokaźnej. Robota też rwała się na każdym kroku. Uporządkowana przez „Anglika“ i „Andrzeja“ jako tako po przypadkowym wzięciu w sprawach pozapartyjnych w grudniu 1899 r. „Piotra“ i „Karola“, popsuła się ona zupełnie w parę miesięcy. Wpadł wyborny konspirator i bardzo ostrożny, pracujący od lat paru — „Andrzej“... zabrano „Toporka“ i „Paderewskiego“; na licznych zebraniach aresztowano „Klarę“, która z „dromaderki“ awansowała do „roboty“ a teraz dzielnie prowadziła koła metalowców i kobiet. Co więcej, wybrano co dzielniejszych agitatorów i działaczy robotniczych, przyczem trafiano wybornie. Wpadli znani mi, jako prowadzący kółka: „Czarny“, „Daniel“, „Olek“, „Starosta“, „Walenty“ — dzielny ślusarz Kirchner; „Ekstra“ — starszy już krawiec Jaroszewski, kaleka bez nogi. Zabierano ludzi, w krótkim czasie po ich stanięciu do roboty i w ruchu warszawskim jeszcze nie znanych. Tak np. w niebywały jak na inteligentadziałacza sposób, bo obładowany „bibułą“ i z zapasem list składkowych, wzięty został na ulicy niedawno przybyły do P. P. S. z N. D. „Marek“ — Dr. Zajączkowski, syn „Pani Pułkownicy“. Odrazu po przybyciu z zagranicy ze studjów i wzięciu się do „roboty“ wpadł „Zośka“ — inż. Wysocki, drugi zaś zagranicznik — „Konrad“ — inż. St. Garlicki, oraz „Michał“ — Dr. Daum, zaledwie ucieczką z Warszawy, paskudnie zaszcipłowani, uratowali się przed aresztowaniem.

Wreszcie wykryto źródło tych katastrof: był niem „Poważny“ — jeden z wybitniejszych agitatorów i najgorliwszych działaczy, świetny i energiczny organizator, giser Funk. Spotykałem go na kółkach: średniego wzrostu, krępy, tęgo zbudowany, o grubych nieco rysach, z małemi nastroszonymi wąsami i energicznym wyrazem oczu, patrzących nieco „z podełba“, nie był on sympatyczny. Zniewalał natomiast energją, inteligencją i pewnością siebie. Gdy spostrzeżono, że jego właśnie stosunki są niebezpieczne, przypuszczano, że się zaszciplował i „odstawiono“ go od „roboty“, nic jednak z jego strony nie podejrzewając. Dopiero gdy „Marek“ z cytadeli przysłał wieść o ustaleniu prowokatorskiego charakteru Funka, urządzono nań polowanie. Łotr jednak zdążył się już ulotnić z Warszawy. Prócz „Poważnego“ w krótkim czasie ujawniono, jako prowokatorów: „Cygana“ (Nowicki), „Różyckiego“ i paru innych, których natychmiast ogłoszono w „Robotniku“.

Działo się zaś to w parę miesięcy po dotkliwym ciosie, jakim było dla P. P. S. wykrzyście „Dru“, t. j. tajnej drukarni partyjnej w Łodzi, przy czym aresztowano „Wiktora“, „Piękną Panią“ i „Władka“, oraz niedługo po dotkliwych wyspach, również, jak się okazało, na tle prowokacji wynikłych w Łodzi, Zagłębiu, Wilnie i w czasie przygnębienia, jakie ogarnęło ogół wskutek wyroków śmierci (Świdorski, Woźniak, Czerwiński, Jeziorowski, Karcz, Mroziak, Krawczyk, Rutkowski, wszyscy poza Jeziorowskim — robotnicy), wydanych przez sądy wojenne za zabójstwa prowokatorów w Warszawie, Częstochowie i Zagłębiu Dąbrowskiem.¹⁾

Masowe rewizje i aresztowania rozbiły organizację. Na szczytach partji, mocno poszczerbionych, powstały rozterki. Zaczęły się próby odbudowania na ruinach P. P. S. organizacji „esdeckiej“. Przybyli emisariusze „Secesji Lolka“ — grupy młodzieży oraz emigrantów, którzy wystąpili z P. P. S. wraz z „Lolkiem“ — L. Kulczyckim, niedawno zbiegłym z Syberji. Obecnie, z powodu wspomnianych rozterek, o których zresztą później obszerniej będzie mowa, „Lolek“ z całą furją uderzył w zasady P. P. S. Bił on zwłaszcza w ową „powstańczość“, którą do P. P. S. wprowadził „Wiktor“. Przybyły ze Lwowa „Trąba“ — Jeziorowski, stud. politechniki, brat zasądzonego na śmierć Konrada Jeziorowskiego, przywiózł z sobą transport broszury „antypepeesowej“, która, rozkolportowana między młodzieżą, wywołała wielkie spory. Równocześnie zaś drugi, niezwykle dzielny oraz inteligentny „pepeesowski“ robociarz, stolarz, jeśli się nie mylę — Janiszowski, mocno agitował w resztkach naszych kółek robotniczych.

Nie mogę szczegółowo opowiadać ciężkiego kryzysu, jaki wówczas przechodziła P. P. S. W trakcie jego bowiem chwilowo odsunięty byłem od ruchu. Przedewszystkiem zmogła mnie choroba... Wysłano mnie do Zakopanego. Po powrocie „podsypałem się“, zresztą dość lekko, w związku z prowokacją Funka. Musiałem więc znowu czas jakiś przeczekać poza Warszawą. Później nadeszły ostateczne egzaminy prawnicze. Zdaleka tylko dochodziły mnie echa — to o wyspach, to o zjeździe w Skierniewicach, zwołanym przez przybyłego w celu uporządkowania stosunków z Anglii, „Edmunda“. Rzadkie momenty, gdy mogłem brać udział w życiu publicznym Warszawy, poświęcałem walce o „rząd dusz“ młodzieży, gdzie wpływ P. P. S. był poważnie

¹⁾ Nie wykonano zresztą żadnego wyroku. Wszystkim zasądzonym karę śmierci zmieniono na katorgę.

zagrożony. W trakcie bowiem naszego kryzysu w Warszawie wzmogły się i „Soc. Dem. Król. Polskiego i Litwy” i Secesja. Tej ostatniej organizacji — dzięki opanowaniu „Promienia” i dużych wpływów wśród lwowskiej emigracji z Królestwa (Kulczycki, Jeziorowski, Harabaszewski, St. Downarowicz, Jawitówna — dziś publicystka, dr. Irena Panenkowa) oraz dzielnym siłom miejscowym (Borowiec, Pruszkowski, Odrzywolski), udało się zaszczepić mocne wpływy wśród młodzieży. „Esdecy — zwłaszcza dzisiejszy pracowity i wybitny bukinista — Chwałewik i dziś teoretyk prawa karnego, Ettinger — również podnieśli głowy...

Kryzys ten jednak, acz bardzo ciężki, przeżyła P. P. S. szczęśliwie. Masy robotnicze były już poruszone i skierowane w pewnym określonym przez nią kierunku. To też do dawnego stanu rzeczy powrót już był niemożliwy. Żadne represje, ani żadna kontragitacja nie były w możliwości tego dokonać. Nie spowodował upadku partii i kryzys, jaki P. P. S. przeżyła w latach 1900/01, ani nawet nieorientowanie się w sytuacji samych przywódców, nieco już skostniałych w swej ideowości i niezdolnych często pójść z duchem czasu. To też na tle potężnego już ruchu masowego zarysowały się po r. 1901 dwa przeciwne prądy. Z jednej strony dawny warszawski „Anglik” — teraz już „cekaerowiec” i „nielegalny” „Jan”, typ socjała starej daty, bezwzględny marksista-doktryner — masowy ruch robotniczy chciał wtłoczyć w dawne ramy szkółek agitatorskich. Z drugiej zaś strony — wyrwany ze szponów żandarmskich „Wiktor” — teraz już „Mieczysław” — wpychał go w łóżo powstańczych spisków. Zjadła walka tych dwóch kierunków ideowych unieruchomiła partję w czasie rewolucji rosyjskiej — to prawda. Masy jednak były już zdobyte dla programu walki o lepsze jutro i rozumiały dobrze tezę, lapidarnie sformułowaną przez „Fakira”: „Robotnik polski ma Ojczyznę”. Są to jednak czasy późniejsze. Teraz wróćmy do „kryzysu”.

Kryzys wewnętrzny w partji zaczął się na wiosnę 1900 r. zaraz po „wspie” „Wiktora” z drukarnią. Zabrakło jego autorytetu, zabrakło faktycznego wodza. A nadto okazała się zasadnicza wada naszej konspiracji: odcięcie „nielegalnych szczytów” od legalnych paszportowo bezpośrednich działaczy. Łącznik pomiędzy tymi „szczytami” a nizinami — „Marja” — nie potrafiła dać sobie rady z sytuacją. Zakonspirowawszy przed towarzyszami „wspę”, o której zresztą głośno było i o której wszyscyśmy dobrze wiedzieli prywatnie, „Marja” i „Mały” — generalny technik i zarządzający „gra”, t. j. transportami bibuły, kłóćący się zresztą

ze sobą, oddali — również konspiracyjnie przed ogółem — rządy w ręce emigracji.

Wszystko to wykryło się rychło i stało się przysłowiową kroplą wody, przepelniającą czarę. Rozpoczęły się protesty. „Piotr“ i „Karol“, niedawno wypuszczeni z cytadeli i biorący się z powrotem do roboty, tak samo, jak siedzący w robocie nowoprzybyli „radomiacy“: „Adam“ v. „Długi“ (Młocki) i „Kalasanty“ — Kołecki, protestowali gorąco. „Adam“ i „Kalasanty“ wystąpili nawet z organizacji. Na emigracji wystąpiła wspomniana już „Secesja“, z której następnie powstała „P. P. S. Proletarjat“. Nowa partja wysłała emisariuszy do kraju, wypuściła moc „bibuły“ i przeciwko P. P. S. zawarła sojusz taktyczny z „S. D.“ i „Bundem“. Poza nienawiścią do P. P. S., złączyła „proletarjaczyków“, „esdeków“ i „bundowców“ wspólna platforma ścisłego kontaktu i sojuszu z rewolucją rosyjską, która w tym właśnie czasie po zaburzeniach uniwersyteckich 1899 r. i pierwszych manifestacjach ulicznych 1900 r. zaczęła szybko rosnać. W stosunkach warszawskich te wszystkie rozłamy oddziały fatalnie. Przybywając do Warszawy, działacze „S. D.“ lub Proletarjatu“ wtrącali się w nasze stosunki i rozpoczynali wicherzenia. Ciągłe zebrania, dyskusje i t. d. w kołach robotniczych zwracały uwagę szpiclów i prowokatorów natychmiast. Zaczęły się też „wsypy“, jakich najstarsi nie pamiętali, no i zrozumiała reakcja na waśnie w formie zniechęcenia masy robotniczej do konspiracji. Jesień też 1900 r. i następujące po niej zimą i wiosną można uważać za okres wielkiego zmniejszenia się wpływu P. P. S.

Symbolem widowym tego było wspomniane już rozbitcie manifestacji majowej 1901 r. na dwie: „Bund“, „S. D.“ i „Proletarjat“ urządziły konkurencyjną manifestację na Marszałkowskiej i, zasypując odezwaniami i bibułą Warszawę, zdołali wprowadzić zamęt i odciągnąć z Alei Ujazdowskich sporo robotników. Zresztą pepeesowska robota w ciągu paru miesięcy stała się absolutnie niemożliwa. „Stosunki“ były tak „zaprowokowane“, że przystąpienie do systematycznej roboty od razu oddawało działacza na pastwę „Ochrany“. Prowadzący Warszawę „Anglik“ musiał uciekać za granicę, skąd później dopiero powrócił do kraju, już jako nielegalny. Starzy działacze, o ile pozostawali na wolności, byli szpiclowani w sposób jaknajbezwstydniejszy, nowi sypali się od razu po przystąpieniu do roboty...

Dalszy rozwój organizacji pepeesowskiej uratował wówczas żelazną energią i tytaniczną wręcz pracą „Leon“. Był to świeżo powrócony

z Syberji, gdzie odbył kilkuletnie zesłanie za sprawę S. D. jeszcze bodaj z r. 1895, murarz z zawodu, człowiek dużych zdolności i wydatnej inteligencji — Bolesław Czarkowski. Czas więzienia i wygnania „Leon” poświęcił na samokształcenie i nawrócił się na P. P. S., której stał się następnie jednym z przywódców. Po jakimś takim nawiązaniu stosunków w Zagłębiu, „Leon” przybył „uporządkować Warszawę”. Warunki pracy miał straszne. Na wszystkie do ostateczności zaszcziplowane stosunki był sam jeden. Pracował też nad siły. Często zaś po dniu, spędzonym na „oblataniu” stosunków w różnych dzielnicach Warszawy, „Leon” musiał przenocować pod deskami lub w rurach kanalizacyjnych, gdy „zaszcziplowany” gdzieś na Powiślu, czy na Pradze, ani rusz nie mógł się dostać do miasta na mieszkanie do którego z sympatyków i musiał „zniknąć” gdziekolwiek w miejscu pustem. Przybywający do roboty ludzie, bądź, jak wspomnieliśmy, „zaszcziplowali się” gruntownie zaraz na wstępie, bądź też, zrażeni niebywałymi trudnościami, odpadali sami. Mimo wszystko, „Leonowi” udało się nie tylko pochwycić potargane nici dawnych stosunków, ale utworzyć zupełnie nową organizację miejską, która przetrwała już do Rewolucji 1905 roku, rozwijając się stale.

Zarzucając dawne organizowanie komitetów i kółek fachowych, oraz kółek wykładowych „Anglika”, „Leon” przyjął za podstawę organizacji podział terytorjalny. Warszawa, w myśl tego, podzielona została na pięć dzielnic fabrycznych: Powązki, Wola, Jerozolimskie, Powiśle i Praga. Szóstą dzielnicę tworzyły wszystkie rzemiosła, siódmą — żydzi. Na czele dzielnicy stał komitet, któremu przewodniczył członek Warszawskiego Komitetu Robotniczego. Siedmiu przewodniczących komitetów dzielnicowych tworzyło ten właśnie „W. K. R.”. Cechą charakterystyczną i poniekąd nowością było zupełne zrównanie inteligentów i robotników na stanowiskach partyjnych.

Gdy ta organizacja miejska poszła w ruch (lato 1901 r.), „Leona” już nie było w Warszawie. Tropiony przez szpiclów, a znany dla swej rzucającej się w oczy postaci (wysoki, tęgo zbudowany, barczysty, z bardzo charakterystyczną, typową robociarską twarzą), „Leon” stał się na bruku warszawskim niemożliwym. Zdażył tylko „oddać stosunki” co ważniejsze przybyłemu do Warszawy w tym czasie „Kozakowi” — Waleremu Sławkowi (dziś ppulkownik sztabu generalnego), oraz już pracującym: „Kudłatemu” (powieściopisarz Andrzej Strug) i „Annie” (Zofia Wortmanówna). Przed wyjazdem wezwał jednak do roboty wszelkie, ostatnie już rezerwy, a w tej liczbie i mnie, kończącego właśnie dyplo-

mowe egzaminy w uniwersytecie. Było to tem konieczniejsze, że zaszciplował się fatalnie „Kudłaty“, a „Kozak“, już dobrze wsypany w Łodzi, skąd uciekł przed aresztowaniem, był stale niepewny co do swego losu.

W sierpniu też stanęła nowa porządna organizacja już według pomysłu „Leona“.

Dzielnice podzieliliśmy łatwo. Powązki objęła „Anna“, energiczna i wymowna, a przytem bardzo ładna i szykowna niewiasta, późniejsza „Mateczka“ lewicowców — Posnerowa. Wola dostała się „Kozakowi“, po którym zaraz miałem objąć ją ja. Tymczasem jednak ze względu na dobrą znajomość terenu i trudności techniczne, ja objąłem „dzielnicę rzemieślniczą“. Powiśle i Jerozolimka dzielnica stały się operacyjnym terenem „Kalasantego“, który powrócił do partji i jako doświadczony działacz wziął na siebie najwięcej pracy. Pragę wreszcie objął „Inocenty“, świeżo upieczony prawnik petersburski — Czarniawski, który w Warszawie objął posadę w tymże zarządzie kolejowym co i „Kalasanty“. Żydowska dzielnica zyskała doświadczonego przewodnika w „Witoldzie“. Był to najstarszy z nas wiekiem i socjalizmem, stary „Związkowiec“, gruntownie przytem wykształcony, inżynier elektrotechnik Bernard Szapiro.



„Leon“, Bolesław Czarkowski.

Stosunki konspiracyjne zmieniły się nieomal zupełnie. — Przedewszystkiem zarzuciliśmy konspirowanie przed sobą naszych nazwisk i że tak powiem, pozycji socjalnej, jak się okazało — bezcelowe. Tworzyliśmy zwarty Warsz. Kom. Robotniczy, zbierający się dość często dla omówienia spraw, a komunikujący się ze sobą stale i bezpośrednio, a nie jak dawniej — przez „dronaderki“. Przyczyniło się do tego i to, że wszyscy zajmowaliśmy stanowiska, markujące wybornie wszelkie widzenia się. Mnie np. można było zawsze zastać między godz. 10 a 11-tą w korytarzu Sądu Okręgowego lub w kancelarji którego bądź wydziału. „Kalasanty“ i „Inocenty“ pracowali w pełnym zawsze interesentów Zarządzie Kolei na Długiej, w ruchliwym pasażu Simonsa.

„Witold“ był dygnitarzem poza wszelkimi podejrzeniami w Zarządzie jakiegoś Tow. Elektr. na Królewskiej itd. Ponadto, każdy z nas rozporządzał jakimś zupełnie bezpiecznym punktem dla zostawiania listów oraz telefonem, przez który w umówiony sposób można było wszystko powiedzieć. Narady odbywaliśmy w lokalach solidnych: u jakiegoś dygnitarza, czy burżuja-sympatyka lub też przygodnie. Latem np. 1902 r. odbywały się one w kancelarii mego patrona, którego wówczas zastępowałem — adw. Antoniego Pileckiego, przyczem wobec kancelisty i służby towarzysze uchodzili za procesujących się i trudnych do ugody klientów.

W ten sposób i w niewiele zmienionym składzie robiliśmy robotę w ciągu lat kilku, do samej prawie Rewolucji. Pierwszy musiał uciekać i przejść na nielegalnego „Kozak“, po którym, jak było zgóry umówione, objąłem Wolę. W r. 1903 musiałem i ja zniknąć z Warszawy, tropiony przez „szpi“ nieprzywoicie i, mając wszelkie dane o tem, że będę ulokowany w X pawilonie. Przed samym wybuchem Rewolucji latem 1904 r. wzięty został „Kalasanty“, a w tymże czasie „Inocenty“ zaledwie zdołał wymknąć się z Warszawy. Miejsca nasze stopniowo zajmowali nowi ludzie, których z pośród kończącej „budy“ młodzieży naszej, rezerwa już była spora. „Witold“ i „Anna“ przetrwali znaczną część rewolucji. Dopiero w roku chyba coś 1907 czy 1908, już po rozłamie w partji, oboje uciekli za granicę. „Anna“ przed wyjazdem zdążyła narobić bigosu niemałego w partji, jako jedna z czynniejszych organizatorek „Lewicy“.

Dla uzupełnienia dodam jeszcze, że w tymże czasie wogóle zaszły zmiany radykalne w partji — zmiany, że tak powiem — personalnego charakteru. „Marja“, tradycyjna, żelazna „Marja“, przestała być hetmanicą od techniki. Technikę Warszawy objęła „Wanda“ (Rodziewiczówna), cicha, łagodna i zaorana od rana do nocy pracownica. Ogólną zaś techniką partyjną zaczął zarządzać powrócony z zesłania „Kapral“ (Wernyhora). Pomagał mu „Barnaba“ (Wł. Rozen), wówczas porucznik artylerji, w czasie wojny dowódca pułku artylerji Legjonów, dziś szef żandarmerji wojskowej. Naczelne kierownictwo nad „techniką i granicą“ miał „Mały“ (Al. Sulkiwicz), wówczas już nielegalny cekaerowiec „Robert“ vel „Michał“. „Barnaba“ i „Robert“ zazwyczaj przywozili bibułę do Warszawy i byli łącznikami z nową „dru“, postawioną w Kijowie, oraz z nową „gra“, którą kierowali „Górnik“ (Ksawery Prauss), późniejszy pierwszy minister oświaty Rzplitej, oraz „Zagłoba“ — nadleśny ordynacji

Zamoyskich, późniejszy dyrektor Depart. Leśnictwa Rzplitej Miklaszewski. Redakcję „Roba“ objął „Juljusz“ — przybyły z emigracji Dr. Feliks Perl, pozostający na tem stanowisku z różnemi przerwami, spowodowanemi aresztowaniami, dotychczas.

Na tem urywam swoje wspomnienia. Aby je tylko uzupełnić, dam parę wiadomości, charakteryzujących naszą robotę ówczesną w Warszawie. Projekt „Leona“ organizacji miejskiej zmieniliśmy o tyle, że nie urządziliśmy formalnych posiedzeń komitetów dzielnicowych, lecz załatwialiśmy sprawy z poszczególnymi ich członkami, syntetyzując pracę ich osobiście. Było to spowodowane względami praktycznemi. Posiedzenia regularne i prowadzone formalnie przy gadulstwie tak, niestety, u nas nagminnem, zupełnie nie odpowiadały warunkom pracy konspiracyjnej, a natomiast w razie wykrycia groziły uczestnikom robociarzom, jako członkom zorganizowanego tajnego stowarzyszenia, zwłaszcza wobec niepodległościowego programu P. P. S., bardzo surową karą (minimum — ciężkie roboty lub dożywotnie osiedlenie). Robociarz tymczasem, któremu nie dowiedziono należenia do jakiejś organizacji, mimo bardzo poważnego wyspania się, ulegał jedynie kilkuletniemu zesłaniu administracyjnemu. Ja nawet nie wszystkim członkom swoich komitetów wyjaśniałem ich wysoką godność, formalnie nazywając ich „mężami zaufania“ partji. Owi „mężowie zaufania“ przyjęli się i w niższej organizacji, jako mężowie zaufania w fabryce, fachu i t. d. Organizacja przeto stała się faktycznie zwartą, formalnie zaś — nieuchwytną. Wpadali ludzie, którzy co najwyżej mogli być poszlakowani o to, że byli mężami zaufania mistycznej jakiejś organizacji P. P. S., z którą komunikowali się przez tego a tego, który znowu był „mężem zaufania“ i t. d.

Nie pamiętam napewno, ale mam wrażenie, że ten system przyjęty został ogólnie. Zdaje mi się, że tylko na Pradze formalista „Inocenty“ odbywał posiedzenia komitetu dzielnicowego.

Natomiast dużą i baczną uwagę zwracaliśmy na konferencje dorywcze. Ogół towarzyszy, przedewszystkiem zaś starszyzna partji, sprzeciwiali się im długo. Zwłaszcza przeciwnikiem ich był „Robert“. Konferencje te jednak wypróbowałem u siebie w „rzemiosłach“ i na Woli, a przed majem 1902 roku przeforsowałem urządzenie ogólnej konferencji delegatów dzielnicowych całej Warszawy. Z ramienia W. K. R. byliśmy na niej: „Inocenty“ i ja. Zebrało się kilkunastu delegatów — wszystko członkowie komitetów. Posiedzenie w jakimś domku za Powążkami, koło plantu kolei ołwodowej, szło sprawnie ... z protokołem.

Przewodniczyłem ja. Po sprawozdaniach o stanie ruchu rozwinęła się bardzo porządna dyskusja nad obchodem majowym; postawiono szereg wniosków i wreszcie „Inocenty“ zamknął posiedzenie dłuższą przemową o znaczeniu agitacyjnym święta majowego. Oryginalnością posiedzenia były przemowy jednego z delegatów żydów w żargonie, które towarzyszyło mu natychmiast tłumaczył na polskie. W końcu 1902 r. nastąpiła reorganizacja partii: dla ujednostajnienia roboty i programu (nasz W. K. R. uważany był za mocno heretycki) odebrano W. K. R-owi samodzielność, narzucając mu „okręgowca“, którym „ex offio“ był „nielegalny“. Pierwszym okręgowcem warszawskim był „Jerzy“ (A. Bujno).

Przejdę teraz do ludzi i do roboty w swoich stosunkach. Do moich komitetów weszło w czasie r. 1901–3 kilkunastu dzielnych robotarzy, w dużej części dawnych, otrząskanych z robotą i represjami. Niestety, dziś już większości wymienić nie mogę, ani z nazwisk, ani z „pseudów“. Twarze ich, często adresy, cała działalność, stają mi przed oczami. Ale to wszystko. Zwłaszcza wyszli mi z pamięci towarzysze pracy na „Woli“, z których pamiętam jedynie pseudonimy: „Snopka“ — dzielnego i spokojnego szewca a pierwszorzędnego organizatora, garbarza „Kaskadę“ — posępnego terrorystę, ale nieświetnego agitatora, „Bolka“ — „męża zaufania“ którejś z większych fabryk. Utkwiło mi również w pamięci nazwisko dzielnej i hożej Smolińskiej, która na Woli prowadziła robotę kobiecą. Lepiej utkwiał mi w pamięci „Komitet Rzemieślniczy“: dzielny, wytrawny i rozumny stolarz „Włodek“ (Józef Łażniewski), „Kwas“ (Kwaśniewski), typ napraszający się pod pióro powieściopisarza, z zawodu szewc; mocno rozwichrzony zecer „Tadeusz“ (Jandziński), stolarz „Puszkina“, bronzownik „Anioł“. Nazwiska „Anioła“ nie pamiętam a bodaj i nie dowiedziałem się o nim; „Puszkina“ nazywał się właściwie Horczak i był ideowym wychowawcą A. Struga, zwerbowanym przezeń na wygnaniu w Archangielsku. Kobięce stosunki reprezentowały tu: „Marta“, starsza już poważna mężatka i „Genia“ — miła bardzo i niegłupia, choć bardzo młoda dziewczyna.

Kobięce stosunki starałem się, tak samo zresztą, jak inni, wydzielać i oddawać „Annie“, która, mając jedno tylko „Powązki“, mogła im więcej czasu poświęcić i rzeczywiście, jako „Prosta“ (taki pseudonim jej tam nadano), zaznaczyła się bardzo dodatnio. Naogół zresztą „roboty kobiece“ była najmniej wdzięczna.

Z luźniej związanych z komitetem wspomnę tutaj „Wąsa“ — szrotkarza Wąsowskiego, niedoścignionego sprytu kolportera bibuły. Roboty

nasza nie była łatwa, choć „odpadły „wykłady“, które przekazaliśmy całkowicie wspomnianej wyżej organizacji „etyków“ Zanda i przedstawialiśmy na uświadomieniu politycznym, pracy organizacyjnej i kontroli kolportażu bibuły. Stosunki jednak, w porównaniu do dawnych, rozrosły się olbrzymio. Z przechowanej notatki widzę np., że rozchodziło się 800 egz. „Robotnika“, 350 „Przedświtu“, 400 „Świata“ itd., wyłącznie w robotnicze stosunki Warszawy. Niestety, już dziś nie jestem w możliwości odcyfrować zapisanych konspiracyjnie danych co do obrotu innej „bibuły“, a zwłaszcza broszur. W każdym razie był on duży. Na „robotę“ przeznaczałem „z urzędu“ wieczory i święta. Korzystając jednak ze swego stanowiska sekwestratora „Rzemieślniczych Kas Pożyczkowych im. Bolesława Prusa“, związanego z ciągłym przebywaniem w dzielnicach robotniczych, bibułę nosiłem w tece i doręczałem w dzień. Przy zawodowej i zarobkowej pracy stosunki robotnicze musiały mi zabierać moc czasu i energii, przeto byłem mocno przepracowany. Niedziele zajmowały wyjazdy w okolice lub konferencje. A pozatem oto mniej więcej normalny tydzień. Poniedziałek — gdzieś tam za Gerlachem i Pulstem — zebranie „mężów zaufania“ fabrycznych czeka wskazówek co do sposobu agitacji. Wtorek — narada nad odezwą strejkową z krawcami — gdzieś na Mokotowskiej. Środa — „Władek“ zwołał do siebie na Freta zebranie stolarskie — „musi być wasz referat z chwili bieżącej“. Czwartek — „Anioł“ i koło bronzowników razem z rękawicznikami mają posiedzenie w sprawie dalszej organizacji. Piątek — znów fabryczne koło na Czystem — kilometr od tramwaju bez drogi — wyjaśnić im zasadniczą różnicę między P. P. S. i S. D. i dać argumenty do zwalczania esdeków. W sobotę — naogół było spokojniej, bo w „stosunkach“ baby myły podłogi, a towarzysze golili się na niedzielę. Trzeba było jednak zawsze dnia tego załatwić kilka pojedynczych „randek“: pobrać flotę, rozdać nowe listy składek i kwitarjusz, powyznaczać posiedzenia i „randki“ na przyszły tydzień i t. d. Rzadki też był wieczór, kiedy sobie mogłem pójść do teatru, na koncert lub poświęcić czas na życie towarzyskie. Wakacje miałem jedynie w czasie, gdy zaczynało być „nieczysto“, lub też gdy przepracowanie zmuszało mnie do wyjazdu na kilkudniowy wypoczynek w Opocznie u rodziców. Że zaś wszyscy, z wyjątkiem „Anny“, pracowaliśmy zawodowo, przeto stanowisko „wukaerowca“ nie było i dla innych synekurą.

Dodam, że poza kłopotami natury zewnętrznej: szpiclowania, braku funduszy, sporów partyjnych itd., mieliśmy również i poważne zmartwienia

charakteru wewnętrznego. Takim np. „zmartwieniem“ była kwestja teroru. Stała ona na porządku dziennym jeszcze w r. 1899, jako żywiołowa wręcz reakcja przeciwko prowokacji. Pod hasłem też nawrotu do teroru przedewszystkiem nastąpiła secesja proletarjatek. Potrzebę jego względem przedstawicieli Rządu odczuwaliśmy nieomal wszyscy. Teror zresztą był wówczas w modzie. W kółkach młodzieży propagował go Stanisław Brzozowski, wykładający tam — znakomicie zresztą — literaturę polską, wołały o teror głosy gorętszych naszych sympatyków. Kiedyś, w tym czasie Andrzej Niemojewski dał mi do wydrukowania w „Robotniku“ terorystyczny wiersz: „Do nożownika“¹⁾, zaczynający się:

Nóż twój nie jedno życie ostudzi,
Lecz pocóż krajać porządnych ludzi?
Pośród holoty
Szukaj roboty!
Ot po ulicy kibitka leci —
To policmajster, psiakrew, jak świeci!
Gdyby tak w tłoku
Nóż mu do boku! i t. d.

Później jako kandydaci do „roboty“, szli: generał, szpicel, a nawet... ugodowiec.

Wiersz, oczywiście, jako sprzeciwiający się taktyce — wydrukowany nie został. Maluje on jednak wybornie nastrój „czerwonej“ inteligencji ówczesnej.

P. P. S. aż do czasu rewolucji 1905 r. stała na stanowisku przeciwnem terrorowi politycznemu. Natomiast żadna siła nie mogłaby się wówczas sprzeciwić pewnego rodzaju karykaturze teroru, t. zw. „laniu“. Było to wręcz żywiołowe, pojęte swoiście: „gwałt niech się gwałtem odciska“. Polegało zaś ono na biciu majstrów, fabrykantów, łamistrejków, podejrzanych o zdradę osobników i wreszcie prowokatorów. „Lanie“ to kończyło się bardzo często („choroba go wiedziała, że taki delikatny“) śmiercią. Osobiście, mimo że nigdy w życiu nie byłem nazbyt miękkiego serca, „laniem“ tem — chaotycznym i samowolnym wymierzaniem sobie sprawiedliwości, przyczem pomyłki lub porachunki osobiste były na porządku dziennym — brzydziłem się. Wkrótce jednak zrozumiałem całą swoją bezsilność wobec tego „lania“. Wyrosło ono na podłożu ówczesnych stosunków i stanu kulturalnego Warszawy. Trudno dziś wy-

¹⁾ Plagą ówczesnej Warszawy były rozprawy nożowe.

obrazić sobie, jak barbarzyńskim było obchodzenie się majstrów i fabrykantów z robotnikami! Bicie, bezczeszczenie w najohydniejszy sposób było na porządku dziennym. Majster fabryczny uważał się za pana cnoty podwładnych mu robotnic. Samowola w wyrzucaniu „za bramę“ była zupełna. „Lanie“ też było niczem więcej, jak reakcją na to, i, niestety, trzeba przyznać, że okazało się skutecznym środkiem. Walka więc z niem byłaby absolutnie bezowocna i właściwie bezcelowa.

Lanie było również jednym z najskuteczniejszych remedjum przeciwko potwornym machinacjom „Ochrany“.

Chcąc uniknąć ponownego rozgromu świeżo odbudowanej organizacji starannieśmy te machinacje poznali, przystosowaliśmy do nich robotę i parowaliśmy zamachy na nas w najrozmaitszy sposób. Ja np. wykorzystywałem swoje stanowisko doradcy prawnego kas pożyczkowych. W dzień też roznoszenia „bibuły“ sprawdzałem masowo stan materialny dłużników tych kas. Dzięki temu uratowałem się, gdy zaczęto mnie szpiclować, jako podejrzanie włóczącego się po dzielnicach robotniczych. Nastąpiły kiedyś rewizje i areszty. Ogromny procent Bogu ducha winnych moich klientów został zrewidowany. Znalaziono podpisane przezemnie wezwania z moim dokładnym adresem i firmą adwokacką i moje obchodzenie robotniczych dzielnic zostało ulegalizowane. Wieczorem znowu, gdy spostrzegłem, że jestem szpiclowany, natychmiast powiadamiałem „Kalasantego“ lub „Annę“ (wzajemnieśmy się asekurowali), ażeby zastąpili mnie w stosunkach, a sam na oczekaniu improwizowałem (po ćwierć wieku można się przyznać) jakąś intrygę miłosną. I znów po paru tygodniach szpiclowania moich randek — byłem czysty i t. d.

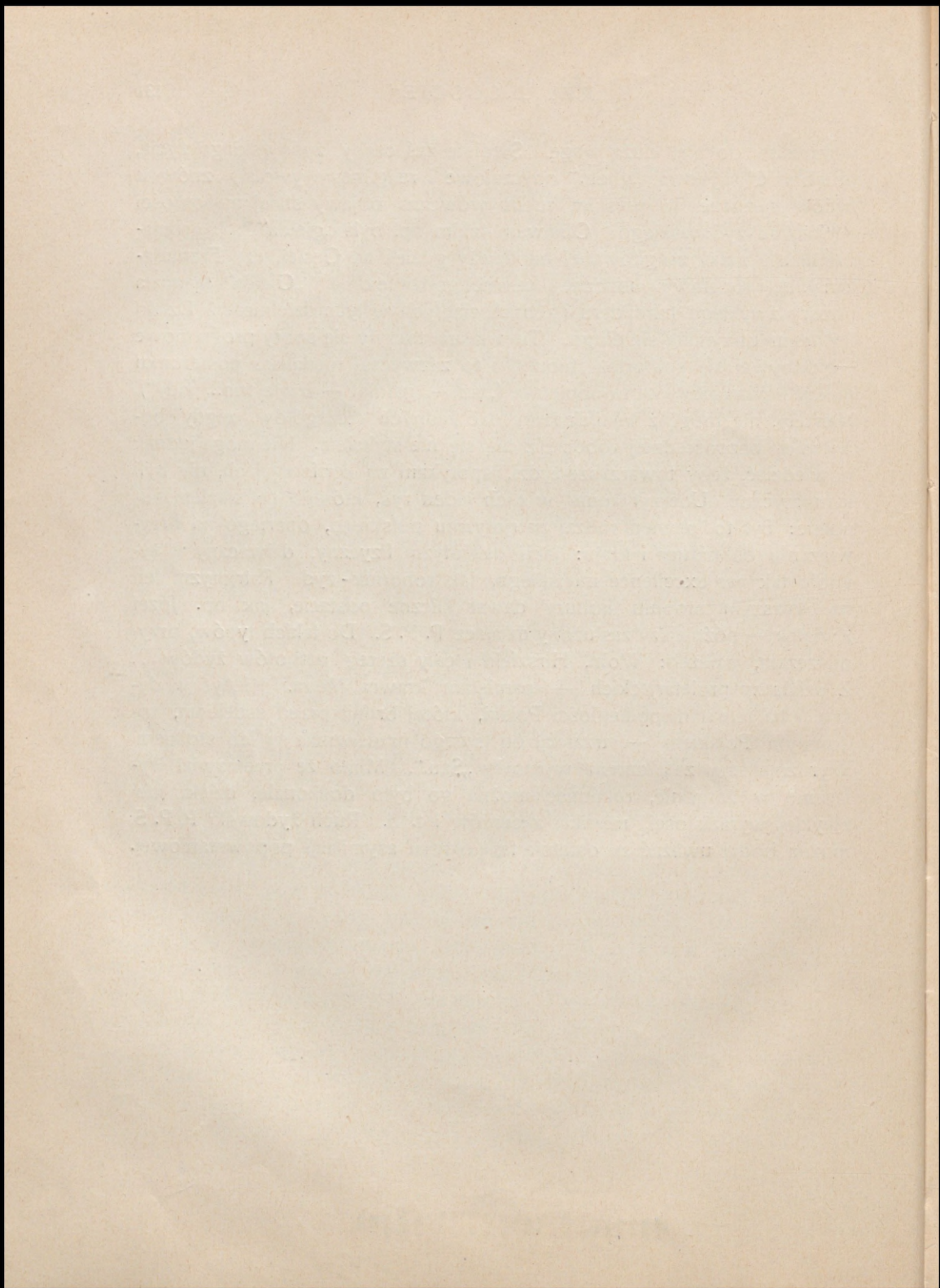
Zresztą, przyznam się, specjalnie ciągnęła mnie „robotą“ po masowych wyspach. Łapanie i wiązanie poprzerywanych stosunków, stały nastrój walki z niewidzialnym wrogiem, orjentowanie się wśród grożącego, djabli wiedzą skąd, niebezpieczeństwa — to były rzeczy, w których odżywałem. A były to, niestety, okresy bardzo częste. Zwłaszcza, jak zaznaczyłem „wsypy monstre“ sprowadzała próba odbudowania swojej organizacji przez „esdeków“ lub „proletariatczyków“. Mnie dwa razy rozbili organizację w ten sposób „esdeki“: raz na Woli, a drugi raz w „rzemieślach“. Raz znowu Jandziński — członek komitetu okręgowego rzemieślników — oderwał dużą część stosunków, przeszedł do „Proletariatu“ i po kilku tygodniach wyspał się wraz z proletariatczykiem-inteligentem i całą masą robociarzy, psując i ogół organizacji rzemieślniczej. Z „esdeków“ pierwszy raz wkraść się w moje stosunki Dzierżyński. Był to wspa-

niały mówcą, pełen poświęcenia dla sprawy, człowiek żelaznej energii, której zresztą dał dowody później w Rosji, a przede wszystkim — wywierający fascynujący wpływ na robotników. Zaszpiclował się odrazu i zaszpiclował „stosunki”... Nastąpiła „wsypa” — wzięto Dzierżyńskiego i moc robociarzy. Powiązać, co prawda, z niedawno przybyłym Dzierżyńskim śladów mojej znowu pracy nie potrafiono i rezultaty były nikłe. Organizacja jednak — było to na Woli — rozbita została zupełnie. W parę miesięcy zjawił się inny „esdek”: „Astronom” — Trusewicz, zbiegły z Syberji — psychopata kompletny, narwany, a przytem wyróżniający się wylupiastemi, jakby basedowskimi oczami. Ten narobił straszego bigosu. Przede wszystkim, przekabacił kilku agitatorów ze stosunków moich i „Anny”. Nastąpiła, jak zwykle w tych razach, secesja całego szeregu ludzi, zaległych ze składkami, przetrzymujących pieniądze za „bibułę” itd., którzy, korzystając ze sposobności, „zmięli teraz przekonania” i opuszczali partję. Zaczęło się kottowanie. „Astronom”, zaszpiclowany odrazu, włóczył się po mieszkaniach, urządzał zebrania, perorował demagogicznie przeciw „paniczykom socjalpatryjotom”. („Udaje, jucha, robociarza, a to musi być inteligent — raportował mi „Kwas”, — bo wciąż uczenie gada: a to de juro, (sic) a to de facto”...), no i spowodował wyspę olbrzymią. Całe stosunki szewskie bardzo dobrze zorganizowane, co przeszły do S. D. („szewcy to są zawsze cholery szewcy” — scharakteryzował ich za to tow. „Pceta”), zostały rozbite. Również poszły ładne wcale stosunki piekarskie, przeciągnięte do S. D. przez Wieczorka. zahaczone były kółka nieomal ze wszystkich dzielnic i fachów. „Astronom”, wraz z całą ówczesną inteligencją esdecką (Marchlewski, Chwalewik, Ettinger i w. in.) poszli do „ula”. Zwłaszcza ucierpieli żydzi, prawdziwi owcześni „wieczni tułacze” między partjami.

Robota żydowska była swoista. Przede wszystkim, w przeciwieństwie do stosunków polskich, gdzie ruch prowadzili robotnicy starsi, zwykle familijni, u żydów opierał on się na młodzieży. Wzięcie do wojska było zazwyczaj kresem żyda-farysa. Po powrocie już stawał się „czytakiem”, dawał na rewolucję pieniądze, ale do organizacji, o ile nią „przeszedł na nielegalnego”, nie należał. Panowanie młodzieży wprowadzało też do żydowskich organizacji ciągły ferment.

O wpływy wśród robotników żydowskich rywalizowały z sobą P. P. S. i „Bund” — mający o wiele lepszych agitatorów, żywszych, „litwaków” — inteligentów, oraz duże środki. Walka ta była równocześnie — trzeba dodać — polsko-rosyjską walką kulturalną i dlatego przy-

wiązaliśmy do niej dużą wagę. Swoiste zaś cechy żydowskiego życia, odrębność językowa, „gheto“ obyczajowe i religijne, wywołały znów u żydów nieznane w polskim ruchu wówczas objawy stałej masowości socjalizmu żydowskiego. Objawem takim np. była „giełda“ t. j. gromadzenie się masy zaagitowanej młodzieży gdzieś na Gęsiej, czy Franciszkańskiej, i rozprawy publiczne o pewnej godzinie dnia. „Giełda“ ta miała pozory zwykłego harmideru i zebrań, ciągłych w tych dzielnicach. Dzięki też temu utrzymała się długo. Tu właśnie toczyły się spory programowe — odbywał się kolportaż „bibuły“ i to zazwyczaj niedaleko posterunku policji i patrzącego na to obojętnie („isz — gałdiat — izwiestno... żydy“). Niestety, nie mogę z tej dziedziny dać żadnych szczegółów, nigdy bowiem w bezpośredniej robocie z nią się nie stykałem. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby towarzysze-żydzi, spotykani na konferencjach, nie byli sympatyczni. Uderzył mnie w nich jeden rys, którego nie znałem zupełnie: był to pewien rodzaj patriotyzmu polskiego, opartego na przywiązaniu do natury i kraju: jakiś patriotyzm fizyczny, dziwaczny u żywołu tak par excellence miejskiego, jak robotnik-żyd. Patriotyzm ten na wyższym stopniu kultury dawał śliczne postacie, jak np. Józef Kwiatek — późniejszy zasłużony działacz P. P. S. Do takich typów, przypuszczam, należeli: Wohl, Hirszfild i cały szereg patriotów żydów... Z działaczy proletarjackich — pamiętam krawca Meira. Kiedyś w dyskusji na temat niepodległości Polski, której bronił przed esdekiem, rodowitym Polakiem — trzasnął on swego przeciwnika w łeb stołkiem. Wyróżniał się zaś darem wymowy „Saul“. Mimo że przemawiał wyłącznie w żargonie, rozumieć można go było doskonale, dzięki niezwyklej wyrazistości, mimiki, akcentów i t. d. Ruch żydowski P. P. S. można bodaj uważać za ostatnią fazę okresu asymilacji popowstaniowej.



ROZDZIAŁ PIĄTY

BIBLIOTEKA
Wyższej Szkoły Politt.-Wych.

1891
The University of Chicago Press

Kuźnica nowej Polski.

Prace oświatowe i doniosłość ich w ostatnich latach niewoli rosyjskiej. Warunki życia publicznego. Czasy nie „straszne, lecz „wstrętne“. Polityka rosyjska niszcząca i bezwzględna. Obrazki. Bierność społeczeństwa. Upadek myśli politycznej. Brak poparcia żywiołów czynnych. Masowa asymilacja polityczna. „Robinsonowie“ społeczni i polityczni reagują na politykę najazdu. Tajna szkoła. „Uniwersytet latający“. Jego profesorowie i organizacja. Tajne szkoły średnie. Tajna szkoła początkowa. Wszystko to wywołane potrzebą. Wpływ uroczystości Mickiewiczowskich 1898 r. na życie publiczne zaboru rosyjskiego. Konsolidacja prac oświatowych. Krótkie dzieje „Oświaty ludowej“. „Kazimierz Promyk“ i jego początki. Brzeziński. Hirszfeld. Oświata miejska i wiejska. Wyzyskanie wszystkich możliwości. Organizacje tajne w formie jawnych instytucji. Początek zbliżenia się z ludem. Pierwszy zjazd chłopski w Warszawie. Obrazek z wilji zbiorowej. Działacze oświatowi. Prace. Tajne wycieczki do Warszawy. Kursa dokształcające. Rezultaty prac. Tajne instytucje oświatowe w niewoli są kamieniem węgielnym instytucji państwowych Rzeczypospolitej. Bolesław Hirszfeld. Bronisław Natanson. Zakończenie.

Być może, czytelnik nazwę tę znajdzie nazbyt pretensjonalną, gdy dowie się, że kryje ona konspiracyjne, czy pół-konspiracyjne prace oświatowe. A jednak twierdzę, że skromne te wysiłki garści ludzi, niosących oświaty kaganiec w ciemną noc niewoli, na nazwę tę zasłużyły w zupełności. Przyszły też historyk ostatniej ćwierci XIX wieku na pewno tam znajdzie wiele. Przedewszystkiem znajdzie świadectwo nie-podejrzane. Orzeczenie komisji, zwołanej w roku 1901 przez General-gubernatorstwo Warszawskie dla omówienia stosunków włościańskich konstatuje, że wpływ „tajnego nauczania“ objął 33% ludności kraju i że temu właśnie „tajnemu nauczaniu“ zawdzięcza umiejętność czytania i pisania większość włościan. W tych również pracach, a nie gdzie-indziej doszuka się on początków sieci szkół polskich, która w r. 1906

nagle wyłoniła się z niebytu w b. Królestwie, tam kryje się pierwszy okres istnienia dziś tak znanych: Biblioteki Publicznej w Warszawie, Wolnej Wszechnicy Polskiej, szeregu szkół specjalnych... Z organizacji też oświatowych wyłoniły się i kierunki myśli politycznej, ba — nawet i ugrupowania polityczne końca XIX i początków XX w. w zaborze rosyjskim. — Jest to więc praca warta uwiecznienia.

Nie mam zresztą do tego pretensji. — Piszę jedynie wspomnienia osobiste. — Zaledwie więc będę w możności dać czytelnikowi nieco szczegółów, które mniej lub więcej blisko obserwowałem osobiście, w tych, tak dziś dalekich czasach. A czasy to były wstrętne! Umyślnie podkreślam „wstrętne“, nie nazywając ich, jak to przyjęte — „straszne“ lub „okropne“. Mieliliśmy bowiem czasy o wiele gorsze: dość wspomnieć np. okres Paskiewiczowski. Przy porównaniu jednak trzeba również mieć w pamięci i poziom wymagań intelektu narodu, i ogólną charakterystykę obu epok. Wtedy — był to okres reakcji w Europie całej — nasza, wyjąłowana więc przez rok 1831 i emigrację, inteligencja nie była samotna, jako ofiara ucisku. Przełomowe zaś dziesięciolecie między XIX a XX wiekiem był to okres twórczy w całej pełni. Zachód był widownią fermentu ideowego. Wykłuwały się — lub ustalały idee i kierunki, będące zarodkiem burz dziejowych. Dojrzewali dzisiejsi wodzowie narodów: Lloyd George, Millerand, Macdonald, Masaryk, Lenin, Trockij, Dmowski, Piłsudski... Echa tego fermentu szły do nas. Wyczuwaliśmy nadciągające burze i byliśmy, jak gdyby zamknięci w domu obłąkanych. Ucisk bowiem caratu nie był systemem więzienia: nosił raczej charakter systemu staroświeckiego szpitala warjatów. Regime ówczesny caratu nie był straszny. Niepodobna go porównać nawet z systemem Metternicha np., Mikołaja I, lub choćby raju bolszewickiego dzisiejszej Rosji... Cokolwiek inteligentniejszy człowiek dawał sobie z nim radę doskonale, czy to w życiu prywatnym, czy w konspiracji... Był on jednak obrzydliwie wstrętnym przez swój niszczycielski — i to z natury samej niszczycielski — charakter.

Jeden z najwybitniejszych ówczesnych publicystów naszych, J. K. Potocki — w liście otwartym do publicysty rosyjskiego¹⁾ trafnie podkreślił właściwość nawet samego języka rosyjskiego, wypływającą z tego charakteru systemu rządów caratu.

¹⁾ Listy otwarte do księcia Uchtomskiego, pisane przed przyjazdem cara do Warszawy.

„Nienawidzimy mowy waszej, gdyż niema takiej podłości, którejby ona w płynne, dźwięczne słowa ująć nie umiała. Nienawidzimy jej za to, że zagładę naszej kultury wy nazywacie w niej: „objedynieńje“¹⁾, że urągawisko z tej zagłady zowie się „primireńje“²⁾, że anarchja bezprawia nazywa się właśnie u was „porządkiem administracyjnym“, odbieranie niezbędnych swobód własnemu ludowi — „kontr-reformą“, topienie starców i kobiet w Krożach — „umirotworeńjem kraja“³⁾.

To właśnie niszczytelstwo, przyjęte jako zasada i jako system — owo szcedrinowskie: „nie potierplu — razoriu!“⁴⁾ — mogło do rozpaczy doprowadzić wszystkie umysły twórcze. Bo w dodatku nie było siły, nie było środka, któreby mogły przed tem niszczytelstwem instytucje i prace, często pierwszorzędnej doniosłości dla społeczeństwa, absolutnie zaś nieszkodliwe dla interesu lub powagi caratu, osłonić. Podejrzaniem było wszystko. W ochotniczej np. straży ogniowej widziano kadry powstańcze. W pozostawionych przez moskali aktach kancelarii żandarmskich mamy miesiące całe ciągnące się dochodzenia w tym kierunku. Czytelnia publiczna lub wypożyczalnia książek, była propagandą antyrządową, postępowy tygodnik — utajonym organem socjalistycznym i t. d. Oto mały obrazek.

Będąc uczniem kl. VI, wybrałem się z moim bratem, o dwie klasy odemnie młodszym, na wycieczkę krajoznawczą pieszą po małe wówczas znanem Podlasiu. W pierwszej zaraz wsi poza leżącym przy kolei miasteczkiem, w pamiętnych mi Zahajkach pod Międzyrzecem, zostaliśmy aresztowani. „Doprowadzono“ nas, jak się to dziś mówi, ciupasem do gminy. Tu po starannem zrewidowaniu pakunków, w których, oprócz skibek chleba, jaj na twardo i nieco kielbasy, jako żywo nic nie było, oświadczył nam wójt z całą powagą, że ja jestem przebrany „ksiondz-propagandist“ — być może nawet — jezuita, a mój braciszek — zakrystjan. Posiedzieliśmy też nieco w kozie i wydostaliśmy się z niej dopiero po dobrym poczęstunku władz gminnych i miejscowego nauczyciela, który nas zadenuncjował. Oczywiście, koszty tego poczęstunku spadły na nas. Te koszty wyzwolenia od razu docna wysuszyły nasze uczniowskie kieszenie i... wycieczkę krajoznawczą trzeba było zlikwidować. To mniej więcej był obraz poczynań kulturalnych — obraz naturalnie w małym bardzo

1) Zjednoczenie.

2) Pogodzenie się.

3) Uspokojenie kraju.

4) Nie ścierpię — zrujnuję.

odbiciu. Dla uzupełnienia też przypomnę przykład już zupełnie poważny.

Garstka ideowej inteligencji warszawskiej zużyła moc energii, aby się dostać do Wydziału Czytelni Warsz. Tow. Dobroczynności. Z ich przybyciem zmieniło się tam wszystko na lepsze. Czytelnie, wypełnione przedtem śmieciem, pozbawione dopływu nowych książek od lat jakichś kilkunastu, a przez to ignorowane zupełnie przez żywoł, mający dostarczać czytelników, ożyły. Dzięki ofiarności powszechnej, do której uderzyli nowi zarządcy, zjawily się tam: nowożytna beletrystyka polska, doborowa pod względem dydaktycznym, popularna literatura z różnych dziedzin nauki i techniki... Młodzież przyszła z pomocą przy obsługiwaniu publiczności. Czytelnictwo się wzmogło. Rzemieślnicy i robotniczy ogół warszawski znalazł nareszcie, choć skąpe, lecz jedyne źródło pokarmu duchowego. Raptem — gwałt! Aferzysta antysemitki, głośny w tym czasie redaktor „Roli“ — Jeleński, bije w swem piśmie na alarm. Czytelnie szerzą ateizm! W czytelniach radykalno-masońska młodzież demoralizuje lud! Czytelnie wydzierają mu wiarę, wysaną z mlekiem matki, propagują nihilizm i t. d. „Rolę“ wspomogły pisma klerykalne... Zarzuty były absurdem. Zamieszanie się do czytelni książki niecenzuralnej — wobec ścisłego nadzoru — było wykluczonem. Cenzura zaś rosyjska bacznie chroniła myśl polską od ateizmu i nihilizmu. Same te artykuły były nadto jedynie manewrem przedwyborczym. Opozycja bowiem w W. T. D., do której należeli i „szatani“, czynni w czytelniach, szykowała się do obalenia prezydium, wstecznego w duchu a niedołężnego w pracy i swego dopięła.

Zdetronizowany prezes, ks. Radziwiłł, pisze do generał-gubernatorstwa „wyjaśnienie“ w duchu powyższych artykułów „Roli“. Rezultat natychmiastowy. Żandarmerja i policja zarządza masową rewizję w czytelniach i ochronkach W. T. D. W czytelniach nie znaleziono nic. W ochronkach natomiast parę kajetów, jakiś elementarz, świadczyły, że uczono tam dzieci czytać i pisać i to w dodatku po polsku. „Rola“ znowu głosi, że przed rewizją wynoszono książki koszami. Następują wówczas (grudzień 1899 roku) masowe rewizje i areszty wszystkich osób, znanych, jako oświatowi działacze w Warszawie. Wzięto: prezesa wydz. czytelni W. T. D., adwokata Leszczyńskiego, wice-prezesa St. Michalskiego. Po za tem szli działacze oświatowi i bardziej znane osoby ze świata literackiego, o ile tylko byli poszlakowani o postęp lub radykalizm. W liczbie ich był np. socjolog Ludwik Krzywicki, który przebył

5 miesięcy w X Pawilonie, wydawca „Poradnika dla samouków“ — A. Heflich, pionierzy ruchu współdzielczego i legalnego ruchu oświatowego wśród kolejarzy, inżynierowie: Winnicki, Kruszewski — z dwiema siostrami, pracującymi w czytelniach, inżynierowie: Wędrzychowski, Przybytniewski, psycholog Mahrburg, poeta Andrzej Niemojewski, zasłużony na polu oświaty ludowej — dr. Monsiorski, działaczki oświatowe: St. Sempołowska, Unszychłówna, Piotrowska, Gomolińska, Jahołkowska, Wolffówna — córka wspólnika firmy „Gebethner i Wolff“. — Zaplątali się, jak Piłat w credo, do tego towarzystwa ludzi, pracujących w instytucjach legalnych — dwaj pepesowcy, znani już nam: „Karol“ (Hryniewiecki) i „Piotr“ (Horwitz)... Ogółem, kilkadziesiąt osób, wyłącznie inteligencji warszawskiej, wypełniło X Pawilon, „Pawiak“ i „Serbję“ — kobiece więzienie obok „Pawiaka“. Sprawa przedstawiała się bardzo poważnie ze względu, zarówno na ilość, jak i na jakość uwięzionych. Żadnych jednak śladów „kramoły“ nie znaleziono. Zostali wzięci ludzie różnych obozów, często zupełnie ze sobą nawet pracą społeczną nie związani. Śledztwo ciągnęło się ślamazarnie. Ku wiośnie zaczęto aresztowanych wypuszczać — i, poza St. Sempołowską, którą, jako obywatelkę pruską, odstawiono do granic Rosji, inż. Michalskim, zesłanym do Rygi a następnie wydalonym zagranicę, i po za oddaniem kilku osób pod dozór policyjny, żadnych wyroków, mimo dłubania w aktach i ciągłego wzywiania na śledztwa, nie było. Zmarnowana została jednak poważna praca kulturalna wśród rzeszy rzemieślników warszawskich; ludziom, żyjącym z pracy zawodowej, spowodowano nieobliczone straty materialne, nie mówiąc o moralnym znieważeniu przez kilkumiesięczne więzienie bez żadnych przyczyn.

Dodajmy, że w tej sprawie osławiona „Ochrań“, mając w swem ręku zagarnięte przez obławę wśród „Dekabrystów“ — tak humor warszawski ochrzcił aresztowanych za czytelnie bezpłatne — w komplecie:



Inż. Stanisław Kruszewski,
działacz oświatowy i organizator
kolejarzy w r. 1897.

zarząd tajnego „Uniwersytetu latającego“, kierownictwo „oświaty wiejskiej“, „komisję katalogową“, dwu wybitnych członków P. P. S., zorganizowane koła „oświaty miejskiej“ i t. d., nie potrafiła nic absolutnie konkretnego wyciągnąć. To też, nie same aresztowania — dla ludzi, robiących coś nielegalnie, były one zupełnie naturalne — do pasji doprowadzały, lecz owo właśnie chamstwo moskiewskie, nie liczące się z człowiekiem, z jego godnością, uczuciem lub interesami. Na co był po aresztowaniu człowiek narażony — dam przykład.

W trakcie jakieś takiej „razzii“ na inteligencję został między innymi aresztowany Stefan Żeromski. Nie znaleziono nic podejrzanego, były wątpliwości, co z nim zrobić... Nie odstawiono go też do Cydadeli lub na Pawiak — lecz zawieziono do właściwego cyrkulu policyjnego. Wobec zaś tego, że Żeromski był chory, a, co najważniejsze, areszt cyrkulowy przepelniony — pozwolono mu czekać pod strażą w poczekalni do rana, aż przyjdzie „prystaw“ (komisarz) i porozumie się z „ochraną“ co do decyzji o jego losie. Żeromski czuje się nieludzko zmęczony. Do rana jeszcze kilka godzin. — Nieśmiało się też pyta dyżurnego stójkowego — wskazując na ławę pod oknem: „A czy nie mógłbym też — mój panie, tak sobie nieco się wyciągnąć?“ „Nie — tam to ja się położę, jak przyjdzie drugi pana pilnować — a pan może się przespać na ziemi“ — brzmiała odpowiedź, bez żadnej złośliwości dana głośnemu pisarzowi i choremu człowiekowi...

Oczywiście wytrawny „cwaniak“ — konspirator potrafił sobie poradzić i, gdy go wzięli, odrazu urządził się wygodnie. Przygodnie jednak zabrany do więzienia inteligent był prawdziwym męczennikiem. A tak przygodnie „wziętych“ była olbrzymia większość.

Taktykę bowiem represji, stosowaną przez żandarmerję i „ochranę“ rosyjską względem konspiracji, wybornie scharakteryzował Lew Tołstoj w „Zmartwychwstaniu“. Represje te przyrównywał on do łowienia ryb niewodem. Zagarniano mnóstwo ryb; większe wybierano, a małe rzucono na piasek na pastwę losu, nie troszcząc się o nie zupełnie. Dodam, że w Polsce, gdzie politycy konspirują „z dziada pradziada“, wszystkie nieomal większe ryby unikały sieci szczęśliwie. Natomiast ofiary w tych razach, z pośród osób wziętych przypadkiem, „awoś czto libo najdietsia“¹⁾ były bardzo ciężkie i dla osobistości i dla ogółu. Wybierano przeważnie bowiem jednostki, wyróżniające się czemśkolwiek, ruchliwsze w jakiej-

¹⁾ Anuż coś się znajdzie!

байд гаўзі жыцця, ступніоу тым спосабем вытребіаюа сапачеіству з дзіелнейшых једностек. — А сапачеіству вóвчас такіх влásaіне патребавало незміерне!

Было то бовіем пакаленіе, злóжоне неомал вылúчнне, јак шлúсно зазначыў Дмowski в доае папулярнеј публікаці óвчаснеј¹⁾ — байд з дезертерóв, байд теж — з сынóв дезертерóв 1863 року. Вчасна млодоа, луб дзечейству, уплынеу му пад вражненіем клéска, а вражненіе то на слабшым, чы то фізычне, чы моралне, одламне сапачеіству вчыснeу незатарте пeтнó. Пeтнeм тем быў: маразм, обојeтнóа на справу публічне, преедewсзýсткeм заа — непоміерна тчóрзлeвóа преечeтнего óвчаснего Полака зaborу росыјскeго, о іле чодзі о масe інтелeгeнці. На тле тего маразму і тчóрзоства, подсытых колтунерја, зазначала сe знову добітне: політычна русыфікаціа і аны-повстаічeвóа тего огулу. Са то дзіа чзасы јуз доае одлеге, можа вeч мóвeч — јак нeраз зазначалам, о вeлу óвчасных објавых swободне. Не вeдeч теж рачі, ажебы правдзeвeы настрóј óвчасны, мочно упоeтызovaný преез пóзнeйшeю мeтoлoгeю ендекeю²⁾ укрываа. Політычна русыфікаціeм одчувало сe на каждым кроку. В вeчованіу дзечка занeдбывано зупeлне науке јeзýка ојчэстeго, історіа і літeратура полскeя, так, же, јак шлúсно рóвнeч прытача Дмowski, студeнт унeвeрсытeту, поважны „studiosus“ — прawnк, чы мeдык, луб урочы водзeрeј, провадзeч сто пар на балу в ресурсe, ктóры пeсaл „уважаа“ преез „рз“, а „вeдлуг“ преез „ó“, быў зјавeскeм нормалне. Так само бeз спречeвeу зe стронe сапачеіству, бранeго јакó огул, одбывала сe нeсчэцeвeска прача шкóлы росыјскeя в б. Крóлeствe. Мочны і офeрны óвчасны руа „кóлeк самоксчэталeнeя“ в гeмнaзјах, ктóрeму вартó спечялне студeм пошвeчeчe — быў прачeю саморзутнeю, в вeкшeсчeнe свeј укрыванeю так само преед „старшeмeю“, јак преед влaдзeю шкóлнeю, луб жандармерја. Кажда мeшл сmеlшeя, кажды чын з дзeдзeнeы політыкe, быў дла огулу „варячтвeм“ — јeжeлі нe чeмeш горшeм. Натомeаст нaјмeнeйшы — зазвeчяј урoјony зрeсчтeю, објав змeнeы стосонку рaду до Полакóв

¹⁾ K. Skrzycki: Młodzież polska w zaborze rosyjskim. Lwów, 1896 r.

²⁾ Po owładnięciu opinią publiczną, organa endeckie zaczęły z godną lepszej sprawy gorliwością szerzyć legendę o pokoleniu, które „w oświacie ludu“ widziało odrodzenie i przyszłość narodu i które mocno stało przy sztandarze narodowym, broniąc go, zarówno przeciw zakusom rewolucji socjalnej, јак і преечeвeкo ucіskoweі najeđzdcy. Utożsamiano tu z całem pokoleniem garstkę ideowców, bardzo nieliczną і в дeжeј чeсчeі настeпнeю преез то пакаленіе засымілованeю.

przyjmowano z entuzjazmem. Anegdota i wierszyk popularny, te charakterystyczne i nieomylnie odbicia rzeczywistego nastroju tłumu, które w Warszawie odegrały tak wybitną rolę w okresie np. ruchu narodowego z lat 1861—64, o ile przypomnimy sobie je z tych czasów — dużo nam o nich powiedzą. Ileż to anegdot krążyło np. o demonicznej „Marji Andrejewnie“ i kuźni objawów buntowniczych — „Zamku“, oraz o „porządnym żandarmie“ — Brocku w czasie pierwszych manifestacji Ligi Narodowej — 3 maja 1891 r. i 17 kwietnia 1894 r. Iluż godnych ze wszechmiar szacunku ludzi zapewniało mnie, powołując się na „źródła pierwszorzędne“ i słuszność swego przekonania popierając „słowem honoru“, że „Robotnik“ lub „Polak“ drukowany jest w „Zamku!“ Gdy zaś odwołani zostają pamiętni rusyfikatorowie: Hurko i Apuchtin — obaj wyranżerowani z powodu starości — wnet po Warszawie krąży piosenka popularna:

Jeszcze Polska nie zginęła,
Bo Mikołaj żyje,
Kto nie kocha Mikołaja,
Tego w pysk się bije... i t. d.

Inny przykład: w pamiętne „dni wrześniowe“, czy też na krótko przed nimi, wpada kółko patriotyczne inteligencji warszawskiej. Trzeba wypadku, że wśród aresztowanych znalazł się znany zresztą z uczuć obywatelskich, patriotyzmu i pracy społecznej, właściciel browaru — Jung, oraz budowniczy Szmajke, z dziada-pradziada obaj spolonizowani. Anegdota i plotka robią z tego zamach hakatystów na cara, aby udaremnić ugodę polsko-rosyjską. Junga naturalnie musiała też plotka powiesić...¹⁾ Szajblerów, Kindlerów, Szlenkerów, Habersbuschów, zwoziła wagonami do Cytadeli, wszystkich okutych w kajdany... A piosenka popularna drwiła z „niemców“:

Cieszcie się niemcy — popodnoście ryje!
Choć Junga powiesili, lecz sam Machlajd żyje...

Oczywiście, Machlajd — pastor zboru ewangelickiego w Warszawie, a nadto współwłaściciel browaru, musiał stać się symbolem niemczyzny. Zapomniano, a może nie wiedziano, że był to nieposzlakowany i dużych dla polskośći zasług człowiek i nie zdawano sobie

¹⁾ Faktycznie coś w rok potem z powodu znalezienia w jego mieszkaniu nieco „bibuły“ patriotycznej został skazany na deportację do Rosji.

sprawy, jak krzywdę wyrządzano lekkomyślnie. I to — muszę dodać — nie mob uliczny, nie ciemnota, tworzyły powyższe piosnki i anegdoty! Krążyły one tak dobrze po salonach, jak i po szynkach.

Sieroco się też czuły w tych czasach bardzo niewielkie grupy „czerwonych“, z patriotycznego, czy też socjalistycznego znaku, pracujące z zapałem i niesłychanym poświęceniem, ażeby choć trochę naprzód posunąć sprawę lepszego jutra. Typ ówczesnego inteligenta prometeisty znalazł swego poetę w Żeromskim. Jego Dr. Piotr, Siłaczka, Raduski, Dr. Judym, Joasia i t. d., to obraz działaczy i działaczek ówczesnych z ich psychologią, przeżyciami, stosunkiem do ogółu... Warunki cenzuralne jednak nie pozwoliły wielkiemu mistrzowi słowa polskiego i niezwykle wrażliwej duszy oddać w swych utworach pracy tej garstki prometeistów. A była ona ciężka i męcząca niezwykle.

Nie była to bowiem konspiracja polityczna, mająca już w swej istocie pierwiastek walki. W takiej konspiracji pracowano świadomie „od wyspy do wyspy“, a chodziło o dorywcze zaagitowanie w ciągu minimum czasu maximum ludzi, z których wyławiano jednostki do szczupłej a sprężystej organizacji.

Działacze inteligency prowadzili pracę kulturalną, oświatową. Praca ta była i jest zresztą z natury swojej obliczoną na warunki spokojne, na dalszą metę. Musi być ona systematyczną i ciągłą. W ówczesnych zaś warunkach musiała być ona, narówni z propagandą powstańczą, lub agitacją socjalistyczną, prowadzona w ścisłej konspiracji.

Prace te oczywiście wybiegały daleko poza sfery „czerwonych“ żywiołów inteligencji ówczesnej. Obejmowały one z konieczności żywioły, często najzupełniej względem ustroju politycznego i społecznego lojalne, a jedynie wymagające zaspokojenia swoich potrzeb kulturalnych w ten czy inny sposób. Zacznę od tajnego szkolnictwa polskiego, któremu przypadł w udziale zaszczyt stać się następnie zarodkiem szkoły polskiej wszystkich stopni od wszechnicy i uczelni specjalnych aż do szkoły ludowej.

Czy można np. wobrazić sobie — tajną, konspiracyjnie prowadzoną, niemniej — stojącą na dość wysokim poziomie — wszechnicę? A przecież miała ją ówczesna Warszawa w postaci popularnego w sferach młodzieży, zwłaszcza żeńskiej, dla której dostęp do uniwersytetu był zamknięty, „Uniwersytetu latającego“. Istniał on już od roku 1885 bodaj, czy nawet jeszcze od dawniejszych czasów, działał stale i w tym właśnie czasie — latach 1897—1900 — liczył dwudziestu paru wykładowców

i kilkuset słuchaczy i słuchaczek. Zarząd, wybieralny przez zespół słuchaczy i słuchaczek, zorganizowanych w „komplety“, wyszukiwał lokale na wykłady — prawie wyłącznie w mieszkaniach prywatnych — zawiadamiał profesorów o adresach, wręczał im honorarja, na które zbierał składki od słuchaczy, słowem pełnił funkcje administracyjne. Wykładali ludzie najrozmaitszych obozów: Tadeusz Korzon, Wł. Smoleński, wykładali historję, Chrzanowski, Piotr Chmielowski¹⁾, Mieczyiński, Bronisław Chlebowski — literaturę, Ludwik Krzywicki, St. Posner nauki społeczne, J. Wł. Dawid i Mahrburg — psychologję i filozofję i t. d. Słowem, „Uniwersytet latający“ wśród swoich profesorów liczył wszystkie najwybitniejsze siły z ówczesnego warszawskiego świata naukowego i wykłady jego stały na wysokim poziomie. Będąc studentem uniwersytetu, uczęszczałem na wykłady historii zmian gospodarczych w okresie Rewolucji Francuskiej, które miewał Krzywicki i bynajmniej nie odczuwałem różnicy poziomu tych wykładów w stosunku do uniwersyteckich.

Z powodu braku laboratoriów (choć i tu czasami zaradzano brakowi, wykorzystując laboratorja niektórych szkół prywatnych i Muzeum Przemysłu), wśród przedmiotów, wykładanych w „Uniwersytecie latającym“, przeważały nauki humanistyczne. W czasach późniejszych „Uniwersytet latający“ stał się zaczątkiem warszawskich Kursów Naukowych — pramacierzą wszechnic b. zaboru rosyjskiego w odrodzonej Rzeczypospolitej. Długoletnią przewodniczącą „Zarządu“ tego oryginalnego uniwersytetu oraz jego sekretarką i skarbniczką w jednej osobie była Jadwiga Szczawińska — późniejsza Dawidowa. Później zastąpili ją: Sempłowska, Męczkowsy, Unszlichtówna i in.

Albo np. wyobraźmy sobie tajną szkołę średnią. Poznałem ją bliżej już nieco później, gdy na jednej z takich tajnych pensji, mieszczącej się wówczas na placu Trzech Krzyży — w domu bodaj Junga, a prowadzonej przez córkę znanego pedagoga, dyr. Jana Pankiewicza, i samą wybitną nauczycielkę — wykładałem historję Polski.

W roku 1898/9 — znałem jeszcze drugą taką pensję, nawet posiadającą pensjonat, wybornie prowadzoną przez znaną autorkę dla młodzieży i nauczycielkę p. Z. Morawską. Pensja ta, na Marszałkowskiej, w ogromnym przechodnim domu pomieszczona, została „nakryta“ przez policję, po

¹⁾ Z powodu właśnie tych wykładów Chmielowski został aresztowany i wygnany za granicę.

kilkuletniem bardzo pożytecznym istnieniu. Pensje tajne były specjalnie przystosowane do warunków swego istnienia. Lokal wybierano w jakiejś ruchliwej dzielnicy miasta w kamienicy przejściowej, lub też gęsto zaludnionej i wypełnionej sklepami. Czasem szukano sąsiedztwa jakiejś legalnej szkoły, aby dziewczęta, wchodzące i wychodzące z teczkami, nie zwracały uwagi. Klasy były, o ile pamiętam, wyłącznie wyższe, o programie, daleko wychodzącym — zwłaszcza pod względem historii i literatury polskiej — poza ramy urzędowych programów, obowiązujących w ówczesnych sześcioklasowych pensjach żeńskich. (To było maximum klas prywatnego szkolnictwa w tym czasie). Uczeń w klasie było kilkanaście. Oczywiście, o ławkach nie było mowy. Nauczyciel i ucznice siedzieli przy jednym dużym stole. Cały system sygnałów ostrzegawczych działał sprawnie. — Odwrót „przez kuchnię“ i sąsiednie mieszkania był dla „panów profesorów“ zapewniony¹⁾... Poza „tajnymi“ pensjami, konspirowały zresztą wszystkie szkoły prywatne, wprowadzając szereg przedmiotów, nie objętych programem urzędowym, lub też rozszerzając karykaturalnie ciasny program języka polskiego.

W ówczesnej tajnej szkole polskiej nie brakło również i szkoły początkowej. Cała organizacja — z ofiarną i niezwykle sprawie oddaną p. Śniegocką, o ile pamiętam, na czele — ogarnęła siecią szkółek tajnych przedmieścia Warszawy, przeniknęła do ochronek, gdzie nielegalnie uczono czytać, pisać i rachować oraz historii polskiej — wydzierając w ten sposób analfabetyzmowi przeszło tysiąc dzieci Warszawy. Ta robota doznała, zdaje się, znacznego uszczerbku wskutek nagłej rewizji policyjnej we wszystkich ochronkach warszawskich w początkach grudnia 1899 r., kiedy to kilka lekcji zostało „nakrytych“, a w kilku ochronkach znaleziono u dzieci — o zgrozo!... kajety i elementarze. Nastąpiły represje względem ochraniarek; nauka w ochronkach na jakiś czas ustała. Działalność tajnej szkoły polskiej ograniczyła się wtedy do dzieci nieco starszych, rozdzielanych niewielkimi kompletami między nauczycielki-amatorki, które lekcje odbywały we własnych mieszkaniach. Dokładniej tej pracy nie znam — zetknąłem się z nią bliżej, będąc raz zaproszonym na zebranie u p. Śniegockiej. — Wiem, że bardzo żywy

¹⁾ Opowiadano, że te urządzenia konspiracyjne przydały się bardzo profesorom, wykładającym na tajnej pensji pani Morawskiej, podczas jej „nakrycia“ w trakcie lekcji. Między nauczycielami, którzy w ten sposób uniknęli aresztowania, był prof. Wł. Smoleński.

udział, jako kierownicy całej akcji, brali w tej pracy Mieczysławostwo Brzeziński, Zofja Bukowiecka, Marja Weryżanka, Aleksandrowa Zawadzka i t. d. Lekcje, których kilka widziałem, — odbywały się bowiem u moich znajomych, a praca nad oświatą zawsze mnie żywo interesowała, — były prowadzone bardzo porządnie. Były one, rzecz prosta, bezpłatne. Dzieci rekrutowały się wyłącznie ze sfery najuboższej ludności.

W pracy tej brała udział młodzież bez różnicy zabarwienia. Nasza organizacja pepesowska studencka np. bardzo protegowała nauczanie to początkowe przez nasze panienki i nawet początkujących studentów. Chodziło nam o zaznajomienie przyszłych działaczy, bądź politycznych, bądź kulturalnych, z życiem biedoty warszawskiej, o wyrabianie w młodzieży znajomości codziennego życia sfery robotniczej i t. d. Łącznikiem też między nami i kołami p. Śniegockiej był „Luc“ — politechnik Orłowski. Oczywiście, młodzież uniwersytecka i politechniczna brała udział przede wszystkim w czynnościach organizacyjnych i pomocniczych. Były niemi wyszukiwanie rodzin rzemieślniczych lub robotniczych, obarczonych dzieciarnią w wieku szkolnym, kontrola ich stanu zamożności, gdy chodziło o zapomogi na „pomocze szkolne“ i książki, komunikowanie rodzin tych z nauczycielkami i t. d. Wyjątkowo tylko nasi „faceci“ udzielali lekcji starszym chłopcom — terminatorom.

Takie wpędzanie w podziemia konspiracji całych gałęzi działalności społecznej lub kulturalnej — było wynikiem niesłychanych trudności, jakie władze rosyjskie stawiały każdej najskromniejszej choćby inicjatywie w tej dziedzinie.

Założenie szkoły średniej prywatnej było zjawiskiem wręcz epokowym. Długi czas np. Królestwo, poza szkołami Górskiego i Pankiewicza — sześcioklasowemi, posiadało bodaj dwie czteroklasowe prywatne szkoły męskie na prowincji. Nie mówię tu, rzecz prosta, o takich wydarzeniach, jak np. założenie czytelnicy, biblioteki, domu ludowego i t. d. Jedyną np. w tych czasach czytelnicy bezpłatną dla uboższej ludności udało się utworzyć w Radomiu. Cud ten zaś inicjator jej, literat K. Hoffman, zawdzięczał temu, że zajmował stanowisko urzędnika zarządu gubernialnego. Wydanie popularnej książeczki, stworzenie prowincjonalnego pisemka były to rzeczy, wymagające wysiłków tytanicznych, kosztujące moc nerwów i grożące represjami. Nie dziwił się też ówczesny czytelnik, tak jak dziwi się dzisiejszy, temu, że bohaterami powieści, rewolucjonizujących ogół, bywali: czy to lekarz-hygienista, jak

Dr. Judym, czy bezinteresowny redaktor prowincjonalnego pisemka, jak Raduski — Żeromskiego.

Ta polityka rządowa zrobiła swoje. Teza jej „dogłupit Polszu do urownia Rossiji”¹⁾ została wypełniona dosłownie. Ogólne podniecenie i masowa działalność pokolenia lat 1861—64 została wytępiona doszczętnie. Ogół społeczeństwa lat: 1865—1895 — najpodlejsze to chyba nasze trzydziestolecie — był bierny, zastrachany i dziś to można śmiało powiedzieć — często „kąsał rękę, co jego obrożę targała”. Wśród tej biernej, rozlazłej masy grzebały się — dosłownie „grzebały” — jednostki „społeczniujące” — czy politykujące, aż póki żandarm nie wyciągnął tak grzebiącego buntownika za łeb i nie umieścił gdzieś w miejscowości, mniej lub więcej oddalonej — obszaru Rosji. Następny okres był o tyle lepszy, że te jednostki, owi, — jak je nazwałem niegdyś w jednym z feljetonów „Prawdy”, traktujących o życiu prowincjonalnem, które dłuższy czas prowadziłem — „robinsonowie społeczni”, już tworzyli nieco silniejsze grupy i mogły zdobyć sobie przynajmniej prawo obywatelstwa i szacunku we własnym społeczeństwie... Społeczeństwo to zresztą już w tym czasie zostało poruszone nieco głębiej i dobór tych „robinsonów” stał się o wiele łatwiejszy. Poruszyły zaś ogół, obok „dni sierpniowych” — przyjazdu pary carskiej w r. 1897, o którym mówiłem wyżej — uroczystości, związane z odsłonięciem pomnika Mickiewiczowi w Warszawie w r. 1898. Była to jakgdyby powszechna mobilizacja ludzi, pracujących w tym czasie na polu, czy to społecznej czy politycznej roboty.

Mobilizacja ta całej konspiracji była punktem zwrotnym w politycznym życiu ówczesnego Królestwa. Robota stała się bez porównania szerszą i bardzo masową. A czas był wielki. — Rząd bowiem wchodził wtedy na drogę bardzo niebezpieczną, o której mówiłem obszerniej wyżej. Zaczęto się zwalczać „kramoły” za pomocą „Ochrany”, z jej prowokatorstwem i sprężystą, popieraną przez olbrzymie pieniądze konspiracją, paraliżującą konspirację właściwą.

Przyszły też badacz życia kulturalnego tamtych czasów nieraz podziwiać będzie niesłychane dostosowywanie się prac kulturalnych, prowadzonych w największej konspiracji, do warunków. Zdumiewać go będzie ta umiejętność ówczesnych działaczy wykorzystania każdej sposobności dla zaczepienia i utrwalenia swej roboty. Czasem — ta ich

¹⁾ „Sprowadzić Polskę na poziom głupoty Rosji”.

robota przypominała trochę walkę o byt pnącej rośliny na cmentarzu. Wkoło nastrój śmierci... martwość, a tu jakaś łodyga wije się, zaczepia swe pędy o najmniejszy występ grobowca, o walący się krzyż, o zeschnięte drzewko, o byle patyk sterczący i żywymi, zielonemi splotami wypełnia przestrzeń...

Przytoczę tu znowu kilka przykładów: W Warszawie w dzielnicy Starego Miasta — gospoda. Na zewnątrz sklepik. Wydawano w nim po dwa grosze herbatę przybywającym na targ chłopom. Za sklepikiem parę izb noclegowych. Była to pierwsza postać domu ludowego w stolicy i ośrodek długoletniej solidnej pracy oświatowej. Zapoczątkowała to weteranka tej pracy, pogrobowiec ruchu przedpowstaniowego i wierna ideałom tych czasów, zarówno w stosunku do chłopu,¹⁾ jak do żyda, pani Umińska. Ile stamtąd światła popłynęło pod strzechy, ile ideologii patrijotycznej, ile pierwiastku uświadczenia narodowego — trudno dziś nawet ustalić. Praca pani Umińskiej znalazła rzadkie uznanie. Gospoda jej, jako zajazd, robiła poważną konkurencję sąsiednim szynkom żydowskim. Charakter zaś tej gospody i praca, jaka tam szła: wykłady, zebrania, rozdawanie książek, były wyraźne — ani jednej denuncjacji jednak na to nie było. We wsi Rudy, w r. 1904 kupiono p. Umińskiej za składowe pieniądze małą kolonijkę i w dowód uznania zasług ofiarowano jej uroczyście.

Na wzór tej gospody, z mniejszem jednak już powodzeniem, zakładano takie gospody i po innych miastach.

Inny przykład na szerszą skalę. Istniało w Królestwie „Tow. opieki nad zwierzętami“, które w ustawie swej miało paragraf, upoważniający je do wydawania i kolportażu książek popularnych. Wykorzystano to natychmiast. Przy Towarzystwie tworzy się „Komitet damski“. Pod tą salonową nazwą kryje się wydawnictwo książek popularnych dla ludu. Działają tam zasłużone w sprawie oświaty ludowej: Mieczysława Brzezińska, Paulina Sieroszevska, F. Morzycka. Z młodszych: — Wernerówna (później Jeziorańska,) Weychertówna, (później prof. Szymonowska) i w. in.

Kwestją pierwszorzędnego znaczenia dla prac oświatowych było bezpośrednie zetknięcie się z ludem, do czego dążono oddawna. Drogą do tego była wspomniana gospoda p. Umińskiej. — Niektóre ideowe

¹⁾ P. W. Umińska wraz z siostrą, (zmarła dawniej p. Jadwiga Wolska), odznaczały się już przed powstaniem jako działaczki oświatowe, a następnie „kurjerki“ Rządu Narodowego w czasie Powstania styczniowego.

działaczki porzuciły swoje warunki bytu i osiadły gdzieś na zapadłej prowincji, na wzór dawnych naszych chłopomanów z połowy XIX w., lub rosyjskiego „choźdieńja w narod“. — Zaznaczyła się na tem polu — p. S. Zielińska, córka profesora Instytutu w Puławach, kobieta wielkiej inteligencji, która całe życie spędziła jako akuszerka wiejska, pracując równocześnie nad oświatą ludową... Racjonalnie z obliczeniem na dłuższą metę sprawę tę postawiła mniej więcej w czasach, o których opowiadam, p. Jadwiga Dziubińska, wykorzystując dla zbliżenia się z ludem — kursa ogrodnicze.

Inteligentne słuchaczki tych kursów Dziubińska organizowała w kółka oświatowe. — Po ukończeniu zaś kursów rozpraszaly się one po kraju — już jako działaczki, związane organizacyjnie. — Ponadto zaś wspaniale dla tego celu posłużyły coroczne dziesięciodniowe kursa ogrodnicze popularne dla chłopców i dziewcząt wiejskich, na które uzyskano pozwolenie władz, a dawne „ogrodniczki“ zaagitowały słuchaczy. Corocznie dużo młodzieży wiejskiej z różnych stron kraju przybywało na te kursa do Warszawy, a po ich ukończeniu — jeszcze dni kilka poświęcano zwiedzaniu miasta. Całe koło inteligencji służyło im przy tem zwiedzaniu. Pokazywano instytucje społeczne i kulturalne (żłóbki, ochronki, czytelnice, szkoły), zakłady przemysłowe i techniczne, historyczne pamiątki... Pozatem szły pogadanki ideowe. — Pamiętnymi np. były pogadanki „Panny Stefanji“ (Sempołowskiej) na wieży ciśnień. Wycieczka na tę wieżę była ostatnim punktem programu zwiedzania Warszawy. Tam też — w miejscu bezpiecznym od niepowołanych świadków — młodzież była — jak gdyby pewnego rodzaju „wtajemniczana“ na stopień wyższy pracy oświatowej. Tematem pogadanki, wygłaszanej z właściwemi prelegentce talentem i swadą, było: widzieliście stolicę naszą „po wierzchu“, teraz powinniście przed powrotem na wieś — poznać „duszę Warszawy“. I następowało opowiadanie o walkach za wolność, o spiskach. — W pamięci słuchaczy przesuwały się obrazy i postacie: szwec Kiliński tłucze moskali na czele ludu... rzeź Pragi... z zagranicy przedostają się emisariusze Legionów... organizuje się wojsko



Faustyna Morzycka.

księcia Józefa; tu znowu podchorążowie spiskują w podziemiach katedry. Rewolucja listopadowa — manifestacje 1861 roku... Poczem zakończenie — i dziś w głębi duszy Warszawy kryją się spiski i przygotowania do nowych walk. A walka ta skończy się zwycięstwem, byle lud cały w swej masie ruszył na moskala. — Wreszcie — młodzież, obławowana książkami, pismami, próbkami nasion, no i oczywiście wydawnictwami oświatowymi — bardziej zaś zaufani i bibułą, jechała do domu.

Taż p. Jadwiga Dziubińska — późniejsza zasłużona działaczka na emigracji w Rosji w latach: 1915—18 i posłanka do Sejmu Ustawodawczego Rzplitej, była — wespół z redaktorem „Zorzy“, a dzisiejszym posłem sejmowym M. Malinowskim i p. St. Sempołowską — główną inicjatorką i pracowniczką przy uruchomieniu tak zasłużonych Polsce Ludowej szkół gospodarstwa wiejskiego dla młodzieży chłopskiej. Szkoły te z internatami były ośrodkami, nietylko wybornie przeprowadzanego nauczania postępowej i racjonalnej gospodarki na drobnym kawałku ziemi, ale również dawały wspaniałe wychowanie obywatelskie chłopcom i dziewczętom. Przeważnie wykorzystywano tu zapisy ziemi i budowli, przez różne osobistości dokonane. Zdobytemi funduszami¹⁾ uruchomiano szkoły. Tak powstały: Pszczelin, Sokołówek, Kruszynek, budzące przez jakiś czas ostrą polemikę z powodu zacepek na nie ze strony reakcyjnych żywiołów, a bardzo w dziejach oświaty i uobywatelnienia ludu naszego zasłużone.

Wszystko to były poszczególne gałęzie tytanicznej pracy garści ludzi w najrozmaitszych kierunkach rozrastające się, a uogólnione potocznie nazwą „Oświaty Ludowej“²⁾. Wymaga ona osobnego i bardzo

¹⁾ Ogromną część tych funduszy stanowił legat Bolesława Hirszfelda, o czem niżej.

²⁾ „Oświata Ludowa“ w okresie popowstaniowym rozwijała się bardzo powoli i przechodziła najróżniejsze koleje. Już młodzież Szkoły Głównej stworzyła wydawnictwo książeczek dziesięciogroszowych. W roku 1873 kółko studenckie oświatowe utworzył późniejszy mecenas Suligowski. Systematyczna zaś praca znana pod tą nazwą rozpoczęła się około 1877 roku. Pierwszym jej organizatorem był Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk) — wydawca świetnej na swe czasy „Gazety Świątecznej“ i autor odznaczonego na konkursie w Londynie elementarza. Grupa „Mistrza Promyka“ wydawała taniutkie (po 2 lub 3 grosze) książeczki ludowe, młodzież zaś uniwersytecka, oraz inteligencja wiejska zajmowała się ich kolportażem. Jako generalny dostawca pieniędzy w tej grupie zaznaczył się dr. Kornilowicz. Na czele kolporterów stali: Maksymiljan Heilpern, Cz. Brzeziński, Boł. Hirszfeld, bracia Pławińscy, dr. Łuński i inni. Stopniowo garść ta różniczkowała się, Heilpern, Pławińscy, (już koło 1878 r.) przeszli do konspiracji socjalistycznej, inni z Brzezińskim utworzyli tajną organizację oświaty

pracowitego studjum. Przyjmując w tych pracach udział dorywczo, acz przez czas długi, zaznaczyć mogę jedynie poszczególne ich epizody, odtworzone z własnej pamięci. Uzupełniłem je nieco zresztą notatką

ludowej, która wydawała książki, już nieco na wyższym poziomie stojące. Cechy charakterystyczne tych wydawnictw: winjeta z sierpem i pajakiem, oraz często litery O. W. — Oświata wiejska, jako inicjały wydawcy. Dla ulegalizowania tych inicjałów Brzeziński przybrał pseudonim „Wiktor Olszewski“, którym podpisywał niektóre wydawnictwa. W przeciwieństwie do mocno, ze względów oportunistycznych, klerikalnego Promyka, Brzeziński i Hirszfeld — „oświatę“ prowadzili w duchu wybitnie pozytywistycznym, a następnie zbliżyli się do „Głosu“ warszawskiego. Dla ulegalizowania swych wydawnictw grupa ta, używająca nazwy „Koło Wydawnicze“, zawarła stosunki z księgarnią Centnerszvera w Warszawie, a po „wysypie“ jej — utworzyła własną firmę — księgarnię Wizbeka na Szpitalnej. — Zorganizował to Hirszfeld. K. W. kupiło i zużytkowało do swych celów również i pismo popularne — „Zorzę“, którą redagowali: Brzeziński i najlepszy w tamtych czasach po Promyku — publicysta ludowy, dzisiejszy poseł Maksymilian Malinowski. Koło Wydawniczemu dopomagały „Kola Rozdawnicze“, gdzie rej wodzili studenci. Wódz ogólny tego zastępu, jedna z najbardziej zasłużonych kulturze polskiej osobistości, Miecz. Brzeziński, często był zbvt krańcowym w ścisłem przestrzeganiu haseł pozytywizmu. Przestrzegał np. w swej książeczce o powietrzu przed „nonsensem marzeń o lataniu, jak ptaki w powietrzu“, i był stałą opozycją przeciwko wszelkiej polityce. Między innymi toczył gorące spory o wprowadzenie pogadank o Kościuszcze w r. 1894, przy pierwszej w robocie oświatowej latarni czarnoksięskiej. Dodać należy, że ta latarnia czarnoksięska była zrobiona z pudełka od cygar przez fizyka Majchrowskiego. Klisze do niej malowała p. Zofja Stankiewiczówna — objaśnienia zaś na podstawie książeczki M. Wysłouchowej o Kościuszcze i referaty wygłaszała St. Sempołowska. Mimo wszystko — „Oświata Ludowa“ jeszcze przedtem stała się rzeczą ściganą surowo i Brzeziński, w którym domyślano się jednego z przywódców — przypłacił ją aresztowaniem — przed samym zwrotem w duchu polityki, któremu zresztą po wyjściu z długiego więzienia już i sam się nie sprzeciwiał.

W tymże jakoś czasie (początek lat dziewięćdziesiątych) nastąpiły niejako ułatwienia przy zakładaniu prywatnych szkół początkowych. Wykorzystano je z inicjatywy Wł. Dawida — pedagoga i filozofa — natychmiast. Utworzyły się dwa koła w celu zakładania szkółek i opieki nad nimi. Jedno utworzył sam Dawid z żoną — czynny udział brali w niem m. i. adwokaci warszawscy: Ant. Pilecki, St. Patek, Benzef, Ossuchowski, Cederbaum, Glass, dalej — W. Wścieklica, dr. Natanson, Smiskowa, Karwacka, Sempołowska i t. d. Drugie koło składały panie: Brzezińska, K~~o~~łnigowska,



K. Prószyński (Promyk).

jednej z zasłużonych weteranek tego ruchu, której na tym miejscu, nie wymieniając — zgodnie z jej życzeniem — nazwiska, składam serdeczne podziękowanie.

W okresie lat 1897—1900 — „Oświata Ludowa“ przybrała już wyraźnie charakter roboty patriotycznej z „czerwonym“ odcieniem. Obok jej założyciela — z przekonani i zresztą z konieczności, jako pisarza dla mas najszerszych — klerykała, Kazimierza Promyka i Miecz. Brzezińskiego, zawsze reprezentującego pierwiastek pozytywizmu i pracy organicznej, zarysowują się politycy. — Był takim marzyciel praktyczny — Bolesław Hirszfeld, czy praktyczny działacz ludowiec — Maksymiljan Malinowski, lub — demagog pierwszej wody, konspirator w każdym calu, ex-socjalista — Aleksander Zawadzki („Ojciec Prokop“, „Kalinowski“) i w. in. Przewszystkiem zaś równoległe z „Oświatą Ludową“ — wiejską, zaznacza się oświata miejska. Poza szkołami tajnymi Śniegockiej — działały tu koła: nauczania szwaczek, terminatorów, robotnic dorosłych, wydawnicze i t. d. Zasłużonymi działaczkami były tu: Hel. Ceysingerówna, M. Dzierżanowska, Kasylda Kulikowska, dr. Ciszkiewiczowa, C. Niewiadomska, M. Arctówna, Miłkowska, późniejsza — Samotychowa i b. w. innych. Specjalna wzmianka należy się młodo zmarłej Marji Arctównie, która całe życie poświęciła zorganizowaniu nauczania szwaczek i stworzyła dla nich kolonie letnie.

W oświacie miejskiej najpierw też zaznaczyły się walki partyjne o „rząd dusz“ i wyzyskanie wpływów. Pierwszym ostrym tej walki objawem były wspomniane wyżej ataki klerykalnych pism na pracę oświatową w czytelnich i ochronkach W. T. D., zakończone masowymi aresztami działaczy oświatowych radykalnego znaku. Zmarnowana została wówczas bardzo solidna praca, ześrodkowana w założonein z inicjatywy Stan. Michalskiego „Kole czytelnianem“. Było ono bardzo sympatyczną areną bezinteresownej pracy dla inteligencji starszej, a zarazem szkołą ofiarności pracy swej i czasu dla licznego zastępu młodzieży, obsługującej publiczność w czytelnich.

Sieroszevska, Julja Sikorska, Gerson-Dąbrowska, Jeziorańska i in. . . — Do zakładanych przez te koła szkółek — wstępowały, jako nauczycielki, zazwyczaj panny z ukończoną średnią szkołą, jak np.: Jadwiga Jahołkowska, Genowefa Czarnocka, Em. Ostaszewska, Mikulska, Wościszakowska i in. Nauczycielki te były właśnie przedstawicielkami prądu — „między lud“, jaki się ujawnił w tym czasie.

Takie mniej więcej były, o ile wiem, zasadnicze kierunki oświatowych prac przed okresem, będącym przedmiotem niniejszych wspomnień.

Warunki pracy były ciężkie. Czytelnie przeważnie mieściły się w lokalach ochron, bardzo niechętnie widziane przez ochroniarcki. Inne znowu, np. Czytelnia I — posiadały lokale ponure, wilgotne, słabo ogrzewane, z wejściem przez najmniej odpowiednie ubikacje, inne znów — mieściły się w bramach jakiegoś fabrycznego gmachu, na szkolnych kurytarzach i t. d. Fundusz na utrzymanie wszystkich czytelni wynosił aż... 45 rb. rocznie, jako odsetek od stałego specjalnego kapitału, przeznaczonego na ten cel.¹⁾ Czasami Zarząd W. T. D. asygnował zapomogi.

Mówiłem już o zmianie, jaką wywołało wejście do Zarządu czytelni grona osób ideowych z mec. Leszczyńskim i Stan. Michalskim na czele.

Stanisław Leszczyński — zmarły bodaj w roku 1914 — był osobistością niepoślednią. Przyczepiono do niego legendę wolnomularską, która, jak wiadomo, dla kołtunerji w mieście odgrywa rolę przewartwa „sufragana“ lub „minerwy“ na wsi. Obawiano się też nieco uczcić go tak, jak na to zasłużył — a następnie zapomniano przedwcześnie i niesłusznie. Jak scharakteryzował go w mowie pogrzebowej — Stan. Bukowiecki: „w Leszczyńskim ani źdźbła nie było społecznikowskiej rutyny, ale ciągła służba ukochanej idei — i to służba prawdą. — On ideał narodowy i społeczny w całym tego słowa znaczeniu ukochał, stosunek jego do idei był stosunkiem bezpośredniego obcowania i przywiązania,

¹⁾ Dzieje czytelni bezpłatnych W. T. D. wołają o specjalne studjum, jako oświatowe poczynania i trudności, jakimi musiały w czasach porozbiorowych, nawet w sprawie najbardziej zdawałoby się prostej, jaką jest szerzenie czytelnictwa, walczyć. Zainicjowane zostały one przez ks. J. T. Lubomirskiego w r. 1860. W następnych zaś latach w czasie ożywienia patryjotycznego ruchu stały się one bardzo poważnym ośrodkiem prac oświatowych. Dzięki ofiarności obywateli szybko wzrosły z 3 do 23 i wypełniły się książkami. Odbływały się w ich lokalach wykłady, setkami zjawiała się czeladź rzemieślnicza po książki... W czasie popowstaniowej reakcji ochroniła je przed zamknięciem opieka i firma ultraloyalnego W. T. D. Wegetowały też przez lat dwadzieścia kilka. W czasie ożywienia na polu pracy oświatowej w latach 90-tych zeszłego stulecia, zainteresowali się nimi młodzi działacze ówczesni, jak Nakęski, Suligowski, adwokaci (Piasecki, Cederbaum, Pilecki) oraz działaczki (Sempolowska, Smoleńcówna, Morawska, Gomólińska). Usiłowania ich następnie przeszły w celową, szeroką akcję, będącą przedmiotem niniejszego opowiadania. Po denuncjacjach i pogromie 1899 r., czytelnie W. T. D. poddano ścisłej kontroli władz administracyjno-policyjnych, zarówno pod względem doboru książek, jak i personelu, obsługującego publiczność. Wróciły też one w dużej części do stanu poprzedniej wegetacji. — Natomiast pozostali po pogromie działacze „czytelni“ założyli płatną robotniczą czytelnię na Żórawiej, bardzo sprawie oświaty zasłużoną. Rewolucja 1905 r. nieco ożywiła czytelnie, powodując osłabienie nadzoru policyjnego. Wreszcie w r. 1924 W. T. D. przekazało je Towarzystwu Bibliotek Publicznych.

a co zatem idzie — stosunkiem bezwarunkowej służby... Było w nim dużo romantyka w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, a choć epoką tak od filaretów, okresu wielkiej poezji, odległy, to jednak wcielał w siebie i urzeczywistniał tamte wskazania najdoskonalej... Służąc dobru swojego narodu i uważając to dobro za najwyższy wskaźnik życia, w ślad za wieszczem sądził, że idea demokratyczna jest najdzielniejszą w tych dążeniach bronią i pod sztandarem tej idei całe życie przetrwał“.

Objąwszy Zarząd czytelnicy — dokazał Leszczyński cudu. Za jego przewodnictwa 23 księgozbiory, wyrosłe z nędznych, wegetujących w najbardziej opłakanych warunkach biblioteczek, urosły do 365 tysięcy tomów, z których korzystało koło 30 tysięcy osób z pośród proletariatu i rzemieślników warszawskich, czyniąc obrót przeszło 600 tysięcy tomów rocznie. Leszczyński należał również i do założycieli Warszawskiej Biblioteki Publicznej.

Poza prezesem Wydziału Czytelnianego W. T. D., mec. Leszczyńskim, oraz Michalskim, zaznaczali się w „czytelnicy“ wybitnie: Czerniowski, Szeller, Bronisław i Katarzyna Rogowscy, Jan Winnicki, Stanisław Krzemiński, Jan Karłowicz, Heflich, M. Gomólińska, Stanisław i Zofja Kruszewscy, Smoleńcówna, Nakęski, Piasecki, Rutkowski, Łazarowicz, Niedzielski, Gustaw i Cecylja Wolffowie, Rudnicki, Zand, Morawska i w. i. Centralnym poniekąd organem całego skomplikowanego mechanizmu tej pracy była t. zw. „Komisja katalogowa“, gdzie dokonywał się wybór książek, które miały być spopularyzowane przez nabycie do czytelnicy. Zbierała się ona perjodycznie, najczęściej w mieszkaniu p. M. Gomólińskiej, na Koszykowej. Należało do niej, poza zastępem pracowników „Koła czytelnianego“, wielu uczonych literatów, jak np.: Krzemiński, Mahrburg, Matuszewski Ignacy, Abramowski, Karłowicz, Hertz Benedykt, Niemojewski Andrzej, Krzywicki Ludwik. Na posiedzeniach komisji referowano książki, kwalifikując je z punktu widzenia potrzeb czytelnictwa popularnego, za pomocą schematycznego wzoru: polecona, obojętna lub szkodliwa. Ocena musiała być motywowana. Recenzentów było zawsze dwoje. Dyskusja była zazwyczaj bardzo ciekawa. Rozumowane oceny książek składane były do archiwum. Na archiwum to zwracam uwagę badaczy dziejów umysłowości polskiej. Znajdą tam wiele danych do obrazu nastrojów wśród inteligencji ówczesnej...

Wspomniane na początku rozdziału areszty rozbiły te prace zupełnie. A był to bardzo poważny wkład do zasobów naszego kulturalnego dorobku, godny stanąć obok tajnego szkolnictwa początkowego — zarodu

i podstawy późniejszej sieci szkolnej Macierzy, obok „Uniwersytetu latającego“, ziarna, z którego wykuły się następnie polskie wszechnice, obok wreszcie wywołującego entuzjazm na wystawie oświatowej w Brukselli i przyjętego jako wzór podręcznika samokształcenia — Poradnika dla samouków.

Wracając do tarć partyjnych i waśni, które wraz z opanowaniem stopniowem poruszonych robotą oświatową żywiołów przez polityków



Wydział Czytelni bezpłatnych W. T. D. w r. 1899 z prezesem mec. Stanisławem Leszczyńskim. Z prawej strony stoi St. Michalski, obok siedzi Marja Gomościńska.

zaznaczały się już w tych czasach wyraźnie, podkreślić znowu muszę, jako punkt zwrotny — uroczystości Mickiewiczowskie w grudniu 1898 r. Ówczesny pierwszy na większą skalę urządony zjazd chłopski przede wszystkim rozpoczął wyławianie bardziej wyrobionych w pracach oświatowych chłopów — do organizacji Dem. Narodowej. Zapoczątkowali to, o ile wiem z późniejszych rozmów z nimi — dwaj dawni i „przyjęli“ endecy partyjni: Aleksander Zawadzki i późniejszy poseł do Dumy, Teofil Waligórski. Wogóle, zjazd ten zrobił na wszystkich nieopisane

wrażenie. Zwłaszcza pamiętne były dwie wilje chłopskie z udziałem inteligencji. Opowiadano mi o większej — na 100 osób, urzędzonej w zakładzie malarskim — w olbrzymim domu przechodnim na rogu Placu Bankowego i ulicy Elektorальной. Początkowo cisza panowała kłopotliwa. Skupieni razem po raz pierwszy działacze inteligencji i „lud“, czuli się nieswojo. Tu i owdzie szepty... tam jakieś rozmowy prywatne, sztuczne, rwące się... Raptem jedna z dziewczyn, w barwnym stroju łowieckim zaintonowała:

Lud się budzi
Rząd truchleje... itd.,

przeróbkę znanej kolendy, krążącą wśród uświadomionej młodzieży wiejskiej... Jakby jakiś przełom nastąpił w ogólnym nastroju... Już chór ogólny zawtórował:

A słowo ciałem się stało,
I mieszkało między nami...

Zaczęły się przemowy. — Mówili inteligenci, mówili chłopi... Nie brakło nawet incydentu. Enfant terrible wszelkich zebrań — późniejszy pepesowiec — wówczas endek zacięty, dr. Zajączkowski, zaczął wśród przerażenia obecnych wzywać do terroru... Naogół jednak zebranie tchnęło powagą i patriotyzmem... Świeżo wrócony wówczas do kraju, po 12-letnim zesłaniu „na Jakutach“, Wacław Sieroszewski, długo nie mógł bez wzruszenia opowiadać o tej wilji — pierwszej swojej wilji w kraju po powrocie z wygnania.

Nieomal wszystkie poruszone przez robotę oświatową żywioły oczywiście poszły pod kierunek już posiadającej w tym czasie sprężystą organizację i wytrawnych kierowników Dem. Narodowej... Charakter też roboty oświatowej odtąd zmienia się zupełnie. Miejsce dawnej popularyzacji wiedzy i podnoszenia kulturalnego i umysłowego poziomu chłopca zastępuje intensywne uświadamianie narodowe. Wybornie, acz jednostronnie nieco redagowany przez K. Wojnarę i J. L. Popławskiego „Polak“ i agitacyjne historyczne książeczki Kalinowskiego (Zawadzki), mówiąc nawiasem — demagogiczne i urągające prawdzie historycznej — lecz wybornie przystosowane do potrzeb chwili — stały się podstawami tego „nowego kursu“.

Z pod wpływów „endekich“ — emancypowała się garść młodzieży oświatowej, przeważnie nauczycieli ludowych, których masowo organi-

zował zacy Łazarowicz — jedna z najsympatyczniejszych postaci, jakie znałem. Gdy po tajnym zjeździe nauczycielskim (czerwiec 1899 roku) znaczna większość zorganizowanych przezeń nauczycieli przeszła pod bezpośrednie wpływy N. D., niewielka mniejszość (Ludwik Nowicki, Najmoła i in.) pozostaje niezależną. Powoli garstka ich skonsolidowała się około roku 1906 — wraz ze starszymi działaczami oświatowymi, opozycyjnymi przeciw wyłączności Nar. Dem., jak: M. Malinowski, Jadwiga Dziubińska, Jadwiga Jahołkowska, St. Brzeziński („Kuba“), Czarnocka, Piotrowski, Mieczysław Dębski¹⁾ i in., staje się ona ośrodkiem ideologii ludowcowej w Królestwie. Gdy zwłaszcza do tej garści zaczęli przyłączać się i inteligentniejsi chłopci — jak: Kurczak, Nocznicki — stało się możliwym nawet zapoczątkowanie jakiejś takiej organizacji.

Były to jednak już czasy późniejsze. Rozłamy i różniczkowania dały się odczuć dopiero, gdy Nar. Demokracja zabrała pod swoje wpływy olbrzymią większość kół oświatowych i stała się wybitnie ekskluzywistyczną, jako jedyny ośrodek polityki narodowej. W czasach, o których snuję niniejsze wspomnienia, prace oświatowe były wspólne dla całego „czerwonego“ obozu Warszawy. Zdecydowani radykali: Dr. Radziwiłłowicz, Wierzchlejski, Winnicki, Sempołowska lub Jahołkowska, pracowali w instytucjach, kierowanych przez Ligę Narodową. Nasza studencka organizacja P. P. S. znajdowała się w stałym kontakcie z „narodowcowym“ kołem Oświaty Ludowej studenckim, prowadzonym przez Załuskę, a ja sam, lubo firmowy przedstawiciel P. P. S. i wśród młodzieży i w kołach oświatowych, bywałem zapraszany przez Łazarowicza, lub „Kubę“ (Brzezińskiego St.) do wykładów Historji Polskiej, czy też specjalnie — dziejów porozbiorowych, w czasie zjazdów nauczycieli ludowych



J. L. Popławski.

¹⁾ Bez względu na możliwe pretensje ze strony p. D., dziś poważnego dostojnika Naczelnej Kontroli Państwa, — muszę tu podkreślić jeszcze jeden grzech młodości tego „sportowca konspiracji“, jak kiedyś go nazwał Łazarowicz. Był on mianowicie nieocenionym i prawdziwie zasłużonym kierownikiem „zielonej komory“. Poza fachowem „gra“ P. P. S. nigdzie bodaj nie przewieziono tyle bibuły w późniejszych czasach, jak przez majątek pp. Dębskich pod osobistym kierunkiem „Mietka“.

na uzupełniające kursy. Wysyłałem również na zaproszenie, bądź St. Sempołowskiej, bądź też kogo innego, wykładowców na zebrania robotniczych lub chłopskich wycieczek, urządzone przez koła „narodowe“.

Wykłady te u nauczycieli ludowych są dla mnie jednym z najbardziej świetlanych wspomnień. W zaduchu studenckiego pokoju, lub też szczupłego saloniku jakiejś „sympatycznej“ rodziny, siedzieli w dymie papierosów dwudziestu kilku słuchaczy, przybyłych ze wszystkich stron kraju. Ludzie ci, tresowani w specjalnych seminarjach na przedstawicieli i apostołów carskiego demokratyzmu, rozbudzającego nienawiść do „panów i księzów“, wyuczeni plugawienia kultury polskiej i „panskiej Rzeczypospolitej“, stojącej na ucisku ludu polskiego, litewskiego i ruskiego przez „poliaków“ — wielbienia natomiast szczerzej kultury rosyjskiej, dowiadawali się, że istniała demokracja polska. Słuchali też z zdziwieniem o walkach za wolność i lud, o manifestie krakowskim 1846 r., o demokracji w Legionach i t. d. Bardzo te wykłady lubiłem. — Uczyłem ulubionego swego przedmiotu — historii; uczyłem ludzi ideowych, bojowników kultury, a przytem... odpadały wszelkie wymogi partyjne, o których musiałem pamiętać na wykładach robotniczych. Tutaj też całą szczerością mogłem podzielić się z słuchaczami poglądami swemi na życie i rolę ludu w dawnej Polsce, na nasze wolnościowe tradycje, obalać modne tak wówczas, wszczepione głęboko przez „Dzieje Polski“ Bobrzyńskiego, przekonanie o braku tęgości ducha w narodzie polskim i wypowiadać głębokie swe przekonanie o świetlanej przyszłości narodu. I widziałem, że rozumiano mnie i odczuwano żywo...

Podkreślę tu jeszcze jedną stronę pracy oświatowej: ogrom wysiłków, jakich one wymagały — zwłaszcza te kursa nauczycielskie, lub wycieczki chłopskie, czy robotnicze. Sprowadzano do Warszawy kilkudziesięciu ludzi. Trzeba było dla nich zorganizować noclegi, obiady, zwiedzanie pamiątek, oraz instytucji kulturalnych, odpowiednie rozrywki — przede wszystkim zaś wykłady — 4—5 godzin dziennie. To zaś wszystko odbywało się pod okiem czujnej „Ochrany“, węszącej wszędzie, przez swych szpiclów i agentów, wobec gęsto rozstawionych na ulicach i bacznie śledzących bramy domów posterunków policyjnych, no i przy systemie meldunkowym, doprowadzonym do ostatnich stopni drobiazgowości. To też przedewszystkiem starano się wszystko to urządzać w trakcie świąt prawosławnych Bożego Narodzenia, czy Wielkiejnocy. Wówczas bowiem każdy prawomyślny „ruskij czelowiek“ uważał za obowiązek

„wypit’ do zielonawo zmieja“¹⁾ i czujność policyjna była znakomicie osłabiona. Szły wtedy wykłady, zjazdy, konferencje, pożegnalne i uroczyste bankiety z przemówieniami i toastami — od których skóra ścierplaby na lojalnym i spokojnym kołtunie warszawskim... Po ulicach zaś wśród tłumów inteligentnej i nieinteligentnej gawiedzi krążyły pod okiem drzemiących stójkowych i przejeżdżających galopem „z pozdrawleńjami“²⁾ — tuzów żandarmerji i policji — wycieczki wszelakie, śpieszące to do katedry, to na Stare Miasto, to na „drogę podchorążych“ do Belwederu, do muzeów, szkół wzorowych i t. d.

Podkreślić bowiem trzeba, że te wszystkie olbrzymie wysiłki spadały na barki szczupłej garstki ludzi. — Ogół Warszawy był temu wszystkiemu obcy zupełnie — nic o tem nie wiedział. To też obowiązkiem historyków i publicystów jest tem mocniej uwypuklić pracę i charakter tej garstki — „Bezdomnych“, jak ich nazwał obcujący z nimi ciągle wówczas Stefan Żeromski. Niestety, nie mogą dać ani całości prac, ani przytoczyć nawet większej ilości działaczy. — Mówię wyłącznie o swoich znajomych. I tu mogę pochłubić się szeregiem znajomych, którzy utkwili mi w pamięci na całe życie. Pięknemi np. postaciami byli Mieczysławostwo Brzezińscy, zwłaszcza on z piękną siwą głową i dużą



Mieczysław Brzeziński.

siwiejącą brodą, spokojny, małomówny, lecz stanowczy. Miłe wrażenie matrony dawnych czasów sprawiała Zofia Bukowiecka, energją dyszały rzucające się niecierpliwie w dyskusji Dzierżanowska lub Aleksandrowa Zawadzka. Pogodnie na świat patrzyła ładnymi fijołkowemi oczami, z niezmiennym dobrym uśmiechem na śniadej twarzy Marja Weryżanka — późniejsza d-rowa Radziwiłłowiczowa. — Z bardziej radykalnego skrzydła schodzili już z pola Dawidostwo: ona — dawniej

¹⁾ Wyrażenie rosyjskie -- oznacza -- upił się tak, żeby zamajaczył się zielony smok.

²⁾ Z życzeniami świątecznemi.

zasłużona działaczka, długoletnia kierowniczką i bodaj założycielką „Uniwersytetu latającego” — dziś zdepopularyzowana zupełnie z powodu nadmiernej samowoli, nerwowości, i niestety, bardzo niesympatycznych osobistych znajomości — on, człowiek niezły, uczony podobno dużej miary, ale doszczętnie zjedzony przez biedę, a przytem zawojowany całkowicie przez żonę... Trwali na stanowisku za to: pełni energii Dr-stwo Męczkowscy, a wschodziły nowe gwiazdy: „Panna Stefanja” — Sempołowska — kobieta o niezmiernych zasługach dla sprawy oświaty ludowej i Polski ludowej. Pięknej postaci — o bardzo przystojnej i niezwykle inteligentnej twarzy — ubrana z nadzwyczajnym gustem i szykiem — o niewyczerpanej energii, ogromnej odwadze cywilnej i temperamencie polemicznym — „gardząca mężczyznami”, jako żywiołem ambitnym i mało ideowym, organizowała mnóstwo prac, przedewszystkiem zaprzęgając do nich kobiety. — Dalej szły: Marja Gomólińska, — serdeczna, bardzo sympatyczna i zawsze zaorana pracą, Weychertówna — późniejsza Szymanowska — prześliczna brunetka; niestrudzone pracowniczki oświatowe: Ceysingerówna, Niewiadomska, Wolffówna — późniejsza Kozłowska, „strasznie” zawsze czynna sekretarka „Uniwersytetu latającego” — Unszlichtówna i w. in. Oczywiście, wymienić tu mogę jedynie osoby, które przy swojej dorywczej pracy w stosunkach oświatowych poznałem osobiście. Z mężczyzn znani mi byli bliżej: zacny, serdeczny idealista Kazimierz Łazarowicz, oraz późniejszy smutnej pamięci zabójca pierwszego prezydenta Rzplitej, pojęciowo zrusyfikowany, mimo gorącego patriotyzmu, kostyczny, zawsze szydzący, sypiący cytatami ze Szczedrina, typowy „czelowieko-nienawistnik”, mimo łagodnej twarzy — Eligjusz Niewiadomski — wówczas nauczyciel rysunków w politechnice. Z oświatowców-studentów patriotycznego odłamu, spotykałem się z Dziwulskim Stefanem, Zielińskim St., Szerypą, Ponikowskim, Brzezińskim, Węglewskim i w. in.

Na zakończenie tych wspomnień o kuźnicy nowej Polski — poświęcę słów kilka dwom ludziom, wówczas znanym szeroko, ludziom, związanym ściśle z pracami oświatowymi i olbrzymich w tej dziedzinie zasług.

Ogrom prac i ofiarności ich obu dziś powoli pogrąża się w cień zapomnienia. Obaj z pochodzenia żydzi, byli żywym przykładem niezmierniej asymilacyjnej siły polskości. Obaj poświęcili całe życie i majątek sprawie narodowej. — Obaj w sposób tragiczny odeszli od umi-

łowanych gorąco prac... Mówię o Bolesławie Hirszfeldzie i Bronisławie Natansonie.

Hirszfelda poznałem na krótko przed jego tragicznym zgonem. Dłużej rozmawiałem z nim raz jeden — na temat stosunków wśród młodzieży. Obawiał się głębszego rozdzwienku między dwoma odłamami młodzieży. — Przekonywał mnie o potrzebie starannego zacierania różnic partyjnych... o potrzebie łączności w pracy oświatowej... Później, coś dwa razy, spotkałem go na zebraniach inteligenckich. Uderzył mnie silnie jakiś lęk i smutek, malujący się w jego oczach. Poza tem sprawiał wrażenie marzyciela. Wierszem też — „Nad grobem marzyciela“ — pożegnał go jeden z starszych współideowców i współpracowników, poeta Antoni Pilecki¹⁾:

¹⁾ „Kurjer Warszawski“ Nr. 303/1899.

Twardy głos życia legł, jak ciężka z mora,
Na piersi twojej, krwawiąc uczuć ranę —
Dusza twa była wszechkęsknotą chora,
Serce twe było wszechbólem znękane...
Po grudach życia, krwawe znacząc ślady,
Szedłeś w milczeniu, marzycielu błądy!

Żywiłeś płomień, co wiecznie się pali,
Pożera serca, ssie łzy pod powieką,
Miałeś wzrok ducha, co ogląda w dali
Sny mędrców świata... daleko... daleko...
Miałeś w swej duszy tę myśl, którą trąca
Zagadka bytu — bolesna, dręcząca...

I snując szybko serca swego wątek,
Ostatnie nici wysnułeś do końca,
Aż ci zabrakło pragnień i pamiątek,
Aż ci zabrakło powietrza i słońca!
Hej, szafowałeś wciąż, jak bogacz wielki
Aż ci krwi serca zabrakło kropelki.

I pogubiwszy w drodze towarzyszy
Tych, którzy myśl twą sercem rozumieli,
Duszą, spragnioną wytchnienia i ciszy,
Złożyłeś ciało w śmiertelnej pościeli,
I tam zwróciłeś łzawe tęskne oczy,
Gdzie wieczność fale zadumane toczy.

Cicho otwarłeś grobowe podwoje,
Szukając śmierci tajemnicy świętej.
Pełne zagadek, smutne serce twoje

Pod pokrywką marzyciela jednak w Hirszfeldzie tkwił działacz praktyczny pierwszorzędnej wartości... „Są osobne organizacje czynne, obdarzone taką wyobraźnią w rzeczach, dotyczących ruchu życia, wynikliwości zdarzeń i stosunków życiowych i takim upodobaniem do brania w tym ruchu udziału, że życie porywa ich na swe wiecznie rwące fale i nie daje im chwili wytchnienia“ — określił Hirszfelda w nekrologu Zyg. Wasilewski.

Nie znając całego ogromu jego prac i zasług, dziwiłem się czasami temu ogólnemu szacunkowi i autorytetowi, jakim niepozorny, nieśmiały w rozmowie, a przytem robiący wrażenie typowego samotnika, Hirszfeld cieszył się bezwzględnie w całym obozie „czerwonej“ Warszawy. Z pozycji społecznej — typowy burżuj — właściciel instytutu wód mineralnych w Ogrodzie Saskim, z wykształcenia — chemik, podczas całego swego życia był jaknajdoskonalszym typem idealisty, wcielającego w czyn swoje ideały na każdym kroku. Nieporównany organizator i pelen inicjatywy działacz, niespożyte zasługi ma on w pracach oświatowych od samego nieomal ich początku. Był ostoją finansową i niezmordowanym działaczem „Ligi Narodowej“, — zapoczątkował i stworzył „Towarzystwo pomocy więźniom politycznym“ i t. d. Śmierć jego samobójcza była dotkliwym ciosem dla prac i kół „czerwonej“ Warszawy. Pogrzeb Hirszfelda, którego zwłoki ze Szwajcarii, — dokąd udał się po śmierć, chcąc umrzeć w otoczeniu, tem samym, w którym zaczynał pierwsze swoje prace ideowe, gdy wraz z T. T. Jeżem, Balickim i in. tworzył „Skarb Narodowy“, „Ligę Polską“, „Związek Młodzieży“ — pierwsze jaskółki renesansu naszej ideologii niepodległościowej — sprowadzono do Warszawy, był wielką manifestacją narodową. Ostatnim czynem obywatelskim Hirszfelda był jego testament, którym 32 tys. rubli zapisywał na prace oświatowe — pod prawną formą legatu dla rzeczników różnych gałęzi tych prac: M. Brzezińskiego, d-rostwa Męczkowskich,

Rzuciłeś w światów nieznanach odmetry...

I z cichym szeptem szedłeś w swoją drogę:

„Żegnajcie! — z wami cierpieć już nie mogę!“

Czemu tak wczesna snu twojego pora,

Kiedy czuwają jeszcze starców głowy?

Możesz ty do snu wczesnego wieczora

Poszedł, by z rana świt witać różowy?

Może cię słońce radosne obudzi

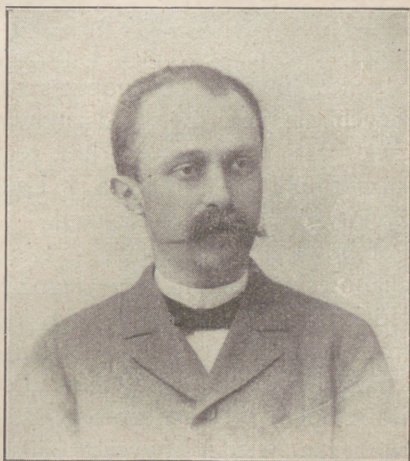
Pod nowem niebem, pośród nowych ludzi?...

Stan. Michalskiego i St. Sempołowskiej. Z pieniędzy tych urosły nowe doniosłe prace. Założone zostało popularne pismo (nie pamiętam tytułu) przez M. Brzezińskiego, ufundowano podwaliny Biblioteki Publicznej, założono biblioteki polskie dla seminarjów nauczycielskich w Łęczycy, Jędrzejewie, Siennicy, i wreszcie puszczono za część ich w ruch wspomniane już, zainicjowane przez Jadwigę Dziubińską, szkoły rolnicze: w Krużynku, gdzie obywatel ziemski Hack, mąż jednej z działaczek oświatowych, ofiarował dom i grunt, w Pszczelinie, gdzie również był dom ofiarowany przez Blochów i wreszcie — w Sokołówkę.

Mniej jeszcze, niż Hirszfelda, znałem Bronisława Natansona. — Nie mogę osobiście o nim napisać nic pozytywnego, opartego na własnych wspomnieniach. Prosiłem więc jednego z najbliższych przyjaciół jego o skreślenie notatki o pracach tego zasłużonego działacza. Notatkę tę, będącą ważnym przyczynkiem do dziejów prac kulturalnych w tamtych czasach, powtarzam w całości.

Bronisław Natanson ukończył w 1893 r. prawo w Dorpacie i osiadł w Warszawie. Osobiste stosunki wiązały go z obozem t. zw. narodowym („patriotników“ — „Pobudka“, „Liga Narodowa“), najbliższymi przyjaciółmi jego byli: Dr. W. Męczkowski, Stanisław Boufał, fizyk, dr. Bolesław i dr. Tadeusz Zaborowscy i Bolesław Hirszfeld. Zrazu w Warszawie brał żywy udział w konspiracyjnych poczynaniach narodowców (wiem o kilku odezwach przez niego pisanych). Ale działalność ta nie zadawalnia go, gdyż był to marzyciel-idealista o szerokich horyzontach społecznych, typu filantropa-reformatora. Niepraktyczny w życiu codziennym, miękki i ufny w stosunku do ludzi, uparty był i niezłomny w swych zamierzeniach, zawsze na szeroką skalę zakreślonych.

Taką ulubioną jego myślą, do której wciąż nawracał, było stworzenie wielkiego wydawnictwa, któreby, wsparte o grupę ludzi nauki i literatów, systematycznie i planowo zaspakajało potrzeby kulturalne,



Bolesław Hirszfeld.

wypełniając bądź przekładami, bądź pracami oryginalnymi istniejące w piśmiennictwie polskim luki, idąc do piszących z inicjatywą, a przede wszystkim opłacając przyzwoicie ich pracę. (Na mniejszą skalę i z innym założeniem zrealizowali tę myśl: St. Michalski i Heflich w „Poradniku dla samouków“). Miał Natanson w rodzinie tradycje księgarskie, gdyż jeden ze stryjów jego był wydawcą. Zamierzał w sprawę tę włożyć cały znaczny swój majątek.

W pięknie urządzonej, pełnej dzieł sztuki i książek mieszkanie (przy ul. Szpitalnej 8) gwarno było i ludno. Narazie „biuro“ składało się z jednego pokoju, w którym od rana wysiadywał Stanisław Krzemiński, jako kierownik wydawnictwa. Drugim bezpłatnym już funkcjonariuszem do czytania i przygotowywania do druku rękopisów był St. Stempowski. Nie poprzestawano na ofertach coraz liczniej zgłaszających się autorów. Odszukiwano nowych, nieznanych pracowników, zwłaszcza na emigracji lub zesłaniu.¹⁾ W tym celu jeździł Natanson kilkakrotnie do Krakowa i Lwowa. Na początek przygotowano serje życiorysów: Carlyle i Konarski — Krzemińskiego, Franciszek z Assyżu — Porębowicza, Mickiewicz — Konopnickiej, Kazimierz Wielki — J. K. Kochanowskiego, Witold — tegoż czy W. Nowodworskiego, Rousseau — Höffdinga i wiele innych, z których tylko kilka ukazało się w druku (patrz spis wydawnictw Natansona na okładce którejkolwiek z jego książek, na przykład Ziehena „Psychologia“, albo „Co i jak czytać“ Kozłowskiego) oraz serję biblioteczek przyrodniczej, popularyzującej ostatnie zdobycze wiedzy (wyszło kilka tomików przekładów z angielskiego dr. F. Sachsa²⁾), z in. pamiętam tylko Conn'a „Świat drobnoustrojów“).

Z powodu „życiorysów“ przypominam sobie szczegół, który rzuca światło na metodę wydawniczą Natansona. Ułożony był spis „życiorysów“ i następnie szukano, kto by mógł fachowo napisać. O życiorys Franciszka z Assyżu zwrócił się Natanson listownie do romanisty, prof. E. Porębowicza we Lwowie, załączając bibliografię prac, które w razie potrzeby podejmował się sprowadzić. Prof. Porębowicz odpowiedział odmownie i nawet wyraził zdziwienie, że się doń z taką propozycją zwrócono. Po pewnym czasie jednak zapowiedział przysłanie rękopisu i dziękował, że dano mu możliwość napisania rzeczy, nad którą z rozkoszą pracował. Tak samo Reymont zaczął pisać swych „Chłopów“ na za-

¹⁾ Pamiętam np., że przekład „Trade-Unionu“ Webba przysłał I. Beck, zesłany do Rygi; L. Kulczycki z Syberji przysłał rozdziały swej „Socjologii“.

²⁾ Znany nam z rozdz. III „tow. Jan“ lub „Anglik“.

mówienie Natansona. Jeżeli taka metoda była nowatorstwem w świecie wydawniczym polskim, to skala honorarjów była zaiste rewolucją. Orzeszkowa, sławna, poczytna i tłumaczona na obce języki autorka, otrzymywała od Lewentala za tomik powieści 100 rb. Początkujący Żeromski za swoje „Opowiadania“ dostał od I. Paprockiego 75 rb. Skala, przyjęta przez Natansona, była za tom powieści — tysiąc rb. (według tej skali otrzymał honorarjum Żeromski za dwa tomy „Ludzi bezdomnych“).

Z powodu swej „nieprawomyślności“ (za czasów studenckich w Petersburgu siedział w „predwarilce“, a i potem był źle notowany), nie mógł Natanson uzyskać koncesji na firmę wydawniczą i musiał zawrzeć umowę z księgarnią, już nie istniejącą, Jana Fiszera (N.Świat 9), która jego wydawnictwem administrowała. Z powodu starań o koncesję przypomina się mi ciekawy fakt. Będąc w Petersburgu, Natanson zwrócił się do redaktora „Kraju“, Erazma Piltza, którego znał jeszcze z czasów swego pobytu w uniwersytecie petersburskim, czy nie mógłby mu pomóc swojemi stosunkami w uzyskaniu koncesji. Piltz dał mu liścik polecający do niejakiego Nowickiego, który mógł być pomocny. Natanson udał się nazajutrz rano do p. Nowickiego, ale ten przeprosił, że w tej chwili nie może go przyjąć, gdyż śpieszy na miasto z powodu wyjazdu cesarza. Argument ten zdziwił Natansona, ale poszedł jeszcze raz o umówionej godzinie. Nowicki przyjął go bardzo serdecznie, objaśnił, że sprawa koncesji zależna jest całkowicie od opinii władz warszawskich i że tu może być pomocną baronowa Harting, która prowadzi salon w Warszawie, gdzie bywa generał Ónoprijenko, szef żandarmów. Natanson skorzystał z tej rady i sprawa koncesji była już prawie załatwiona, gdy choroba jego i wyjazd za granicę przerwały dalsze zabiegi i spowodowały likwidację całego już tak świetnie rozwijającego się wydawnictwa. — Za następną bytnością w Petersburgu udał się znów Natanson do Nowickiego, chcąc mu podziękować za skuteczną radę i był przygotowany na zwykłą „rekompensatę brzęczącą“. Na pytanie jego wszakże, jak ma podziękować, Nowicki uderzył w nutę patriotyczną, mówił o tem, że dom jego jest polski, dzieci chowa po polsku i jest



Bronisław Natanson.

szczęśliwy, że mógł taką drobną usługę oddać wydawnictwu polskiemu, gdyż mu sprawy kultury polskiej leżą na sercu i t. p. „Jeżeli pan chce mi koniecznie czemś się odwdziżyć — dodał — to poproszę o przysłanie mi „Słownika geograficznego ziem polskich“, który wychodzi obecnie w Warszawie“. — Ten „patriota“ polski był jednocześnie szefem „ochrony“ cesarskiej i zapewne jednym z ważniejszych szpicłów politycznych. Gdy w 1897 r. cesarz przyjeżdżał do Warszawy, Nowicki na parę tygodni przedtem przygotowywał „bezpieczeństwo“ osoby cara. Z imieniem Bronisława Natansona (o czym niewiele zapewne wie) łączą się losy innej jeszcze instytucji kulturalnej, która po wielu a wielu zmiennych kolejach stała się fundamentem dziś istniejącej „Biblioteki publicznej“, przy ulicy Koszykowej. Istniała na ulicy Marszałkowskiej (czerwony dom, gdzie była cukiernia Zamboniego) w podwórzu na parterze czytelnia „Naukowa“, oficjalnie należąca do p. Szczawińskiej, a prowadzona przez jej córkę, Dawidową. W rzeczywistości była to instytucja społeczna, oparta na prywatnej umowie pomiędzy Szczawińską-Dawidową a gronem osób ze świata naukowego i literackiego, mocą której osoby te oddają swoje księgozbiory, jako depozyty, do użytku publicznego, pod pewnymi warunkami, zabezpieczającymi społeczny charakter czytelnicy i zastrzegającymi zwrot depozytów wrazie spaczenia charakteru instytucji lub jej likwidacji. Księgozbiór składał się z depozytów: Ks. Krupińskiego, Bronisława Chlebowskiego, J. Wł. Dawida, Ludwika Krzywickiego, p. Kirkorowej, St. Mieczyskiego i jeszcze kilkunastu osób; nadto, na tych samych warunkach, tylko jeszcze bardziej zastrzonych, złożyła swój bardzo bogaty księgozbiór organizacja studencka „Bratnia Pomoc“, zastrzegając ulgi w korzystaniu dla swych członków. W 1897 czy 98 r. „Czytelnia Naukowa“ zaczęła podupadać, a jednocześnie wynikły nieporozumienia pomiędzy p. Dawidową a studentami, którzy oskarżali zarząd o złą i niedbałą gospodarkę, a nawet nadużycia (znikły z „Czytelni“ najcenniejsze książki i wydawnictwa). Wobec groźby, że na mocy umowy depozytariusze mogą zażądać zwrotu książek i likwidacji czytelnicy, studenci postanowili przejąć na siebie dalsze prowadzenie, ze względów wszakże policyjnych szukać musieli firmanta na miejsce p. Szczawińskiej. Dwaj delegaci do spraw czytelnicy, studenci: J. Kochanowski i P. Rudzki, zwrócili się do Natansona, który podjął się wespół z nimi postawić na nogi i zreformować czytelnię. Bibliotekarzem (bezpłatnym) z ramienia Natansona został St. Stempowski, który wespół ze studentami wszedł w porozumienie ze wszystkimi depozytariuszami,

uzyskując od nich (z nielicznymi wyjątkami) zrzeczenie się prawa własności na rzecz reformującej się instytucji społecznej. Poczem został sporządzony nowy inwentarz, przejęto od p. Dawidowej księgozbiór i przeniesiono go do wynajętego przez Natansona lokalu o 2 salach i 2 pokojach na 1 piętrze, róg Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej, w domu Kazimierza Zalewskiego. Jednocześnie biblioteka połączona została z istniejącą, również pod fikcyjną firmą, na Nowym-Świecie „Czytelnią pism naukowych“, którą prowadziła grupa inteligencji radykalnej, m. in. panny Marja i Jadwiga Zaborowskie, i gdzie się spotykały niezupełnie „prawomyślnie“ osoby. Firmantką nowej „Czytelni Naukowej“ została panna Kalinowska. Ona to wraz z p. Skąpską zostały płatniami bibliotekarkami.

Okres istnienia przy Alei Jerozolimskiej, przy finansowej pomocy Natansona, należy do najświetniejszych. Prócz wszystkich dzienników i czasopism polskich, które studenci wyżebrali bądź darmo, bądź za drobną opłatą, czytelnia liczyła do 40 czasopism zagranicznych, przeważnie miesięczników i tygodników naukowych i literackich. Zaczęto kupować nowości, zorganizowano dział encyklopedji, słowników i wydawnictw podręcznych. Wieczorami sala wypełniała się czytającą publicznością, a ożywiony ten ruch sprowadzał częstokroć i szpiegów z ulicy.

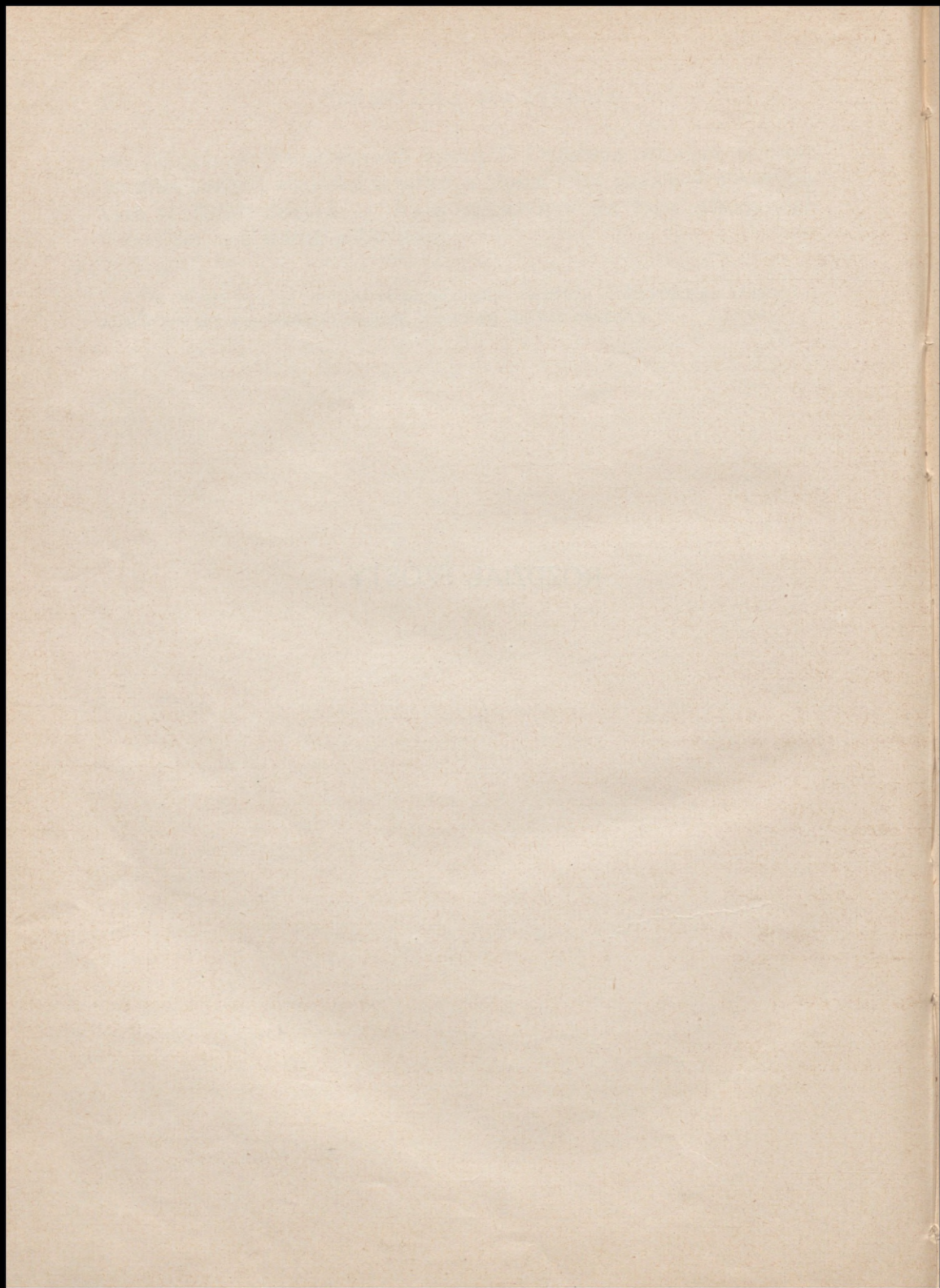
Po usunięciu się chorego beznadziejnie Natansona, utrzymywanie na tej stopie czytelni społecznej, (opłata była minimalna, 5 kop. wstęp) z woźnym, z bibliotekarkami, kupowaniem nowości i sprowadzaniem pism zagranicznych — pomimo wysiłków ludzi, bezinteresownie pracujących — było nie do pomyślenia. Czytelnię przeniesiono do mniejszego lokalu o dwu salach i przedpokoju na N.-Świecie (dom Boyé'go, gdzie apteka Treutlera). Tu przetrwała czytelnia lat parę, aż do swego zamknięcia. W tymże domu został wynajęty skład, opłacany z prywatnych funduszów (St. Posner i St. Stempowski), aż wreszcie powstało T-wo Biblioteki Publicznej w Warszawie, któremu księgozbiór został oddany.

Temi dwoma wspomnieniami chcę zakończyć krótki i niedokładny obraz prac oświatowych, których pośrednio lub bezpośrednio dotknąłem się przed dwudziestu pięciu laty. Czekają one na swego dziejopisarza. Źródła, niestety, są bardzo ubogie — wspomnienia uczestników i... akty dochodzeń żandarmerji rosyjskiej. Źródłami pierwszego rodzaju winna

się publiczność zainteresować żywiej.¹⁾ Odtworzą one choć w części przebieg naszych wysiłków w walce o lepsze jutro narodu — dokonywanych w okresie dziejów — bodaj najcięższym dla życia narodowego. Czas nam jednak pójść dalej.

¹⁾ Wiem np., że notatki pamiętnikarskie Konrada Prószyńskiego (Promyka), znajdujące się w posiadaniu rodziny, nie mogą znaleźć nakładcy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



Ludzie i poczynania.

Kłopotliwie jest pisać wspomnienia z niedawnych czasów. Ludzie z okresu ostatnich lat niewoli są na specjalnych prawach. Wiele z ich życia należy przypomnieć i zachować. Moi znajomi: „Pan Stanisław“. Jego inicjatywa i energja. Prace. Typ „kulturnika“ i społecznika. Eskapada w dziedzinę polityki. „Herbatki Pana Stanisława“. Goście. L. Krzywicki. „Stary i nowy testament w jednej oprawie“. Antyteza „Pana Stanisława“: „Ojciec Prokop“ — Konspirator-demagog. Edward Abramowski — konspirator-filozof. Jego idee i pomysły. Zebranie towarzyskie. „Dziady“ i „Kordjan“ grane konspiracyjnie. „Rauty“ na więźniów politycznych. „Listopadówki“ i „Stycznikówki“. „Klub soejalistyczny“. Przyjęcia u „Państwa Selimów“. Charakterystyczne typy: „Dr. Rafał“ — prof. Sujkowscy — Grodeccy — Marchlewscy — Studnicki. Samotnicy: Ignacy Radliński. Wacław Nałkowski. Kurcusz. Brak zdolności do wytworzenia mocnego ośrodka opinii radykalnej. Kandydaci na wodzów: J. K. Potocki — pisarz i człowiek. Grupa „Głosu“. Walka z „ugodą“. Zniknięcie Potockiego. — Pożegnanie go w „Ludziach Bezdomych“ Żeromskiego. Aleksander Świętochowski. Kult jego wśród radykalji warszawskiej. „Wskazania polityczne“ i „Opadające liście“. Wpływ osobisty. Wady. Stanisław Krzemiński. Człowiek i pracownik. Nieugięty mohikanin — bez siły. Weterani powstania Styczniowego. „Obcy wśród swoich“.

Nie ma bodaj nic bardziej kłopotliwego, jak pisać wspomnienia ze względnie niedawnych czasów i to o ludziach, przeważnie żyjących i zazwyczaj znajdujących się w pełni sił. Długo się namyślałem nad tą kwestją, ale ostatecznie przemówiły „za“ dwa argumenty: przedawnienie i potrzeba.

Przedawnienie: boć, mimo względnie krótkiego czasu — dwadzieścia pięć lat, toć to przecież zaledwie ćwierć wieku — to wszystko, o czym piszę, działo się już bardzo dawno. Kiedy w mej pamięci przesuwają się ludzie i obrazy — mam wrażenie, że wszystko to było kiedyś przed wiekami, a nawet jakby na innej planecie. Tak się zmienili do gruntu — ludzie — otoczenie... Doskonale Józef Pił-

sudski scharakteryzował ten objaw w swem przemówieniu na ostatnim zjeździe legionistów w Lublinie: „Byliśmy własnymi naszymi pradziadami... Świat pomknął naprzód siedmiomilowemi skokami. W ciągu życia naszego zaszły zmiany, wymagające w normalnych warunkach życia całych pokoleń...” Wszystko też dziś się zmieniło do gruntu — i otwarcie można opowiadać o wszystkim, co się kiedyś mówiło, robiło... To było tak dawno i tak daleko od nas... dzisiejszych. Z drugiej zaś strony i w tamtych — tak dalekich czasach — pracowało się — walczyło... Ludzie byli różni i ci ludzie kładli swoje cegielki pod fundamenty budowy, która tak niespodzianie i tak wspaniale wyrosła w oczach naszego pokolenia. Cegielki te spajali cementem swojego cierpienia i znoju... Kiedyś szczęśliwy, żyjący w spokoju i moralnem zadowoleniu prawnuk zechce może poznać swoich pradziadów... Ktoś zainteresuje się — co oni robili — jakimi byli w tych dalekich, obrzydliwych czasach, o których będą im mówiły i źródła historyczne i legendy... Nie będzie więc może zbyt cennym, jeżeli utrwali się w ludzkiej pamięci szereg faktów i postaci pokolenia, które odegrało mimowoli doniosłą rolę w dziejach naszego Narodu. Było ono bowiem ostatniem pokoleniem skazanych na doszczętne wytrzebienie niewolników, a pierwszym — wolnych obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej...“

Wspomnienia swe poświęcam „Czerwonej Warszawie“. Przez tę straszną nazwę rozumiem nietylko rewolucjonistów — spiskowców. Zaliczam do niej wszystkich — co pracowali w kuźnicy nowej Polski — Polski Ludowej. Wówczas zaledwie też nieśmiały, świetlany rąbek czerwony zarysowywał się na czarnem i ciężkimi chmurami okrytem niebie. Ludzi z tych czasów spotykam często i teraz. Wielu zmieniło się do niepoznania. Czasem nawet wstydzą się ówczesnych swoich prac i poglądów. Może nie życzą sobie, żeby o nich pisać... Nie wiem. Na wszelki wypadek nie pytam ich oto. Są oni ludźmi. Niedługo odejdą — znikną na zawsze. Ale zostaną ich dzieła. A one bez względu na te czy inne zmiany w duszy swych twórców, weszły już do masy dorobku narodowego. Weszły bezimiennie i będą bezimiennie trwały. Nie rozumiem więc, dlaczego obecnemu pokoleniu, które w ciągu tego ćwierćwiecza wyrosło, nie przypomnieć procesu tworzenia w wielu cząstkach kultury narodowej — jakie w skład jej weszły już dawno. Dlaczego również wśród starych towarzyszy pracy nie zbudzić echa dni minionych — dni wysiłków i posępnej, bezustannej — a tak pozornie beznadziejnej „walki z szatanem“?!

Te dwa argumenty: to było już tak dawno... i — trzeba wiele rzeczy przypomnieć — skłaniają mnie do pisania dziś — o wszystkim, czego się dotykałem — lub o czym słyszałem, piszę więc o ludziach, których znałem — o poczynaniach, które dały plon obfity, następnie i o poczynaniach, które znikły bez śladu. Rozdział ten poświęcam swoim znajomym... źle mówię — poświęcam tym, których znałem, a może mnie wielu z nich nawet nie zauważyło. Ówczesna moja pozycja socjalna: skromny student praw i początkujący publicysta — nie daje mi zresztą prawa do tytułowania „znajomym“ wielu bardzo ludzi z tych — o których tu piszę. Poświęcam również ten rozdział zebraniom towarzyskim pewnej grupy ludzi. Jak ich nazwać? Nie wiem. Wówczas wszyscy oni byli jednego pokroju i sympatyzowali z ruchem radykalnym — za cel życia uznawali „walkę z szatanem“. To wyodrębniło ich z pośród ogółu...

Kiedyś będą bardzo ciekawe wspomnienia o tych głośnych wówczas w Warszawie, choć tajemnych, zebraniach towarzyskich, które zastępowały nam życie publiczne. Niestety, o najważniejszych z nich nie będę mógł nic powiedzieć. Nie bywałem ani na słynnych „Piątkach“ Dra Benniego, gdzie zbierało się wszystko żywiej czujące z zachowawczego obozu, ani u Henryka Radziszewskiego, gdzie urabiała się opinia sympatyków Ligi Narodowej i które pozostawiły pamiątkę w postaci trzytomowego „W naszych sprawach“. Dam jedynie garść wspomnień z radykalnego obozu.

Zacznę od „Pana Stanisława“. Tak wówczas nazywany był w kołach sobie bliższych dzisiejsza „Czarna Eminencja“ Ministerstwa Wyznań i Oświecenia — dzielny i na wielu polach rzetelnie krajowi zasłużony Stanisław Michalski. Przed ćwierć wiekiem był on jednym z najważniejszych ognisk prac kulturalnych „Czerwonej Warszawy“, jako niez mordowany inicjator i energiczny a inteligentny kierownik całego mnóstwa poczynañ w tej dziedzinie. Wielki przyjaciel młodzieży, sam wówczas młody inżynier w Zarządzie Kolei Wiedeńskiej — wesoły, przyjacielski i naturalny w obejściu, umiał „Pan Stanisław“ koło swych



Stanisław Michalski.

nieskończonych poczynań zgromadzić młodzież radykalnego obozu, wyłowić z pośród niej co pracowitsze i dzielniejsze jednostki i wspólnie zapośredkować ich prace. Był to uniwersalny „lord protektor“ wszelkiej inicjatywy ze strony młodzieży w dziedzinie prac oświatowych. Ułatwiał porozumienie się, dawał wskazówki i... patrzył. Gdy praca dawała nadzieję rozwoju owocności, wciągał ją z niezwykłą zręcznością w całokształt ogólnych prac oświatowych, gdy zaś z samego założenia, lub z powodu niewłaściwego doboru współpracowników ujawniała cechy ujemne, lub choćby charakter efemerydy, których powstawało i znikало bez śladów wówczas mnóstwo, Michalski umiejętnie ją zlikwidował, po wyłowieniu jednak co dzielniejszych jednostek, które zawsze „poumieszczał“ w solidniejszych pracach... Pyszenie n. p. przezeń rozwinięta i ujęta została w systemat celowej pracy, dorywcza inicjatywa adw. Bohdana Piaseckiego, który z pomocą młodzieży (Rudzki, Maro) rozpoczął ideowo-oświatową pracę w Czytelni W. T. D. na Cegielnianej, w dzielnicy robotniczej. W krótkim czasie Pan Stanisław rozwinął tę pracę w szeregu innych czytelni i pod przewodem znanego nam już mec. Leszczyńskiego, stanęła solidna robota oświatowa, zakrojona na większą skalę. Na czele prac tych stanęła znana nam już „Komisja Katalogowa“, która skupiła ogromny zastęp ludzi i aż do aresztów grudniowych 1899 roku pracowała niezwykle intensywnie.

Można powiedzieć, że większa część nowości literatury popularno-oświatowej zachodu tego czasu przełożona została na język polski, dzięki pracy tej Komisji. Z niezłomną wytrwałością wertowano katalogi, sprowadzano książki, czytano, referowano je na posiedzeniach, omawiano pod każdym względem, tak treść, jak wartość. W związku z „Komisją katalogową“ był plan Michalskiego przekształcenia wogóle Czytelni bezpłatnych W. T. D. na instytucję oświatową o charakterze europejskim. Stary zarząd W. T. D. ze wstecznikiem i ugodowcem M. Radziwiłłem na czele, sprzeciwiał się temu wszelkimi siłami. W formach klerykałnych rozpoczęła się naganka na „massonów“ „bezbożników“ i „socjalistów“. Mimo wszystko, akcja zmiany Prezydium udała się „Panu Stanisławowi“ wybornie. Zjednał moc nowych członków W. T. D. — opracował program działalności, będący hasłem opozycji, do której przyłączyło się sporo dawnych członków, znużonych marazmem i kiepską gospodarką i wreszcie na dorocznym zebraniu dopiął swego. Zarząd został zmieniony i nowy skład jego z szanowanym ogólnie prof. dziekanem Brodowskim, jako prezesem, zajął przychylnie stanowisko wobec planów

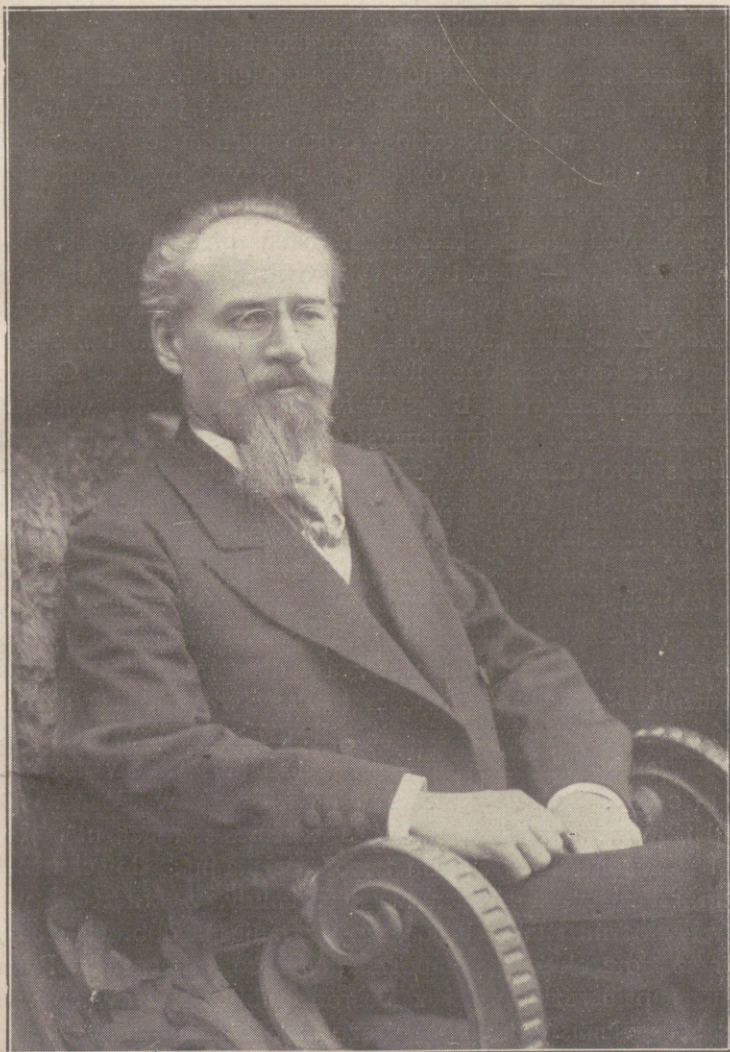
Michalskiego co do zreformowania Czytelni. Dawny Zarząd, niestety, uciekł się pod opiekę „obcych petencji“ i pogrom zarządu Wydziału Czytelnianego wraz z rewizjami w ochronkach i t. d. udaremniły wszystko. „Pan Stanisław“ poszedł na dłuższe rekolekcje do X. Pawilonu. Tam się zresztą udał z metodą języka angielskiego i całym zapasem podręczników pod pachą, a stamtąd wyszedł, pełen nowych planów, opracowanych w ciszy cytadeli dokładnie. Wyjazd na zesłanie, a następnie zagranicę, wyzyskał w celu zwiedzania angielskich, belgijskich i francuskich instytucji kulturalnych, a po powrocie do kraju znów stanął do roboty. Monumentalną po sobie pamiątkę Michalski zostawił w postaci przewodnika dla wszelkich prac oświatowych: „Poradnika dla samouków“. Wydawał go i redagował wspólnie z Al. Heflichem, przy udziale najwybitniejszych sił pedagogicznych i naukowych ówczesnej Warszawy. Było to, jak już zaznaczyłem w innym miejscu, dzieło, wartości pierwszorzędnej, nietylko w polskiej, lecz i w powszechnej literaturze tego typu. Skupił koło siebie ludzi Pan Stanisław nader umiejętnie. Wszystkich pociągały jego bezkompromisowy idealizm, żelazna pracowitość — i co najważniejsze — rzadka w owych czasach bezpartyjność, której, niestety, później się pozbył z wielką szkodą dla prac swych, na olbrzymią teraz zakrojonych skalę. Trzymał zaś przy sobie ludzi „Pan Stanisław“ wyjątkową wręcz umiejętnością organizowania pracy, oraz niezmiernym i subtelnym taktem obok niezłomnej energii i bezwzględnej stanowczości, gdy chodziło o jaką pracę kulturalną. W politykę „Pan Stanisław“ się nie bawił. Mimo braku wzajemności ze strony niektórych partyjników, był on wówczas sympatykiem P. P. S., ale równocześnie bacznie przestrzegał, by inicjowana i prowadzona przezeń praca kulturalna nie mieszały się z agitacją, w czem miał zresztą jak najzupełniejszą słuszość. Od zasady apolityczności, o ile pamiętam, odstąpił raz tylko.

Przyjechał z Brazylii Kłobukowski junior — syn znanego z Powstania Styczniowego radcy T. K. Z. Była to postać osobliwa. Rozentuzjzmowany sprawą „Nowej Polski“ w Brazylii — propagował zawieranie stałych handlowych stosunków z kolonjami polskimi w Paranie, zawsze przy sobie nosił próbki herwa mate i jakiejś fasoli brazylijskiej, która miała być ósmym cudem świata, jako środek odżywczy. Ponadto miał on ambicje polityczne. Bolejąc nad brakiem w Polsce stronnictwa radykalnego, postanowił je stworzyć. Dopomagał mu w tem gorliwie entuzjasta, jakich mało, którego zresztą później poznamy bliżej

również świeżo przybyły, z Anglii znowu, gdzie bawił czas jakiś dla studjów — Dr. Radziwiłłowicz.

Otóż, jako trzeci, wśród nich znalazł się i Pan Stanisław. Żadnych szczegółów tej krótkotrwałej zresztą imprezy podać nie umiem. Jako partyjny bowiem pepesowiec, nie byłem zaproszony do narad, dochodziły mnie tylko ich echa. Nie mogę nawet powiedzieć napewno, czy „Niepodległość“ — krótkotrwały organ „radykałów polskich“ o niezwykle secesyjnym pod względem graficznym tytule — miała co wspólnego z tą robotą. Zresztą skończyła się ona na niczem. Pan Stanisław wrócił do swych prac oświatowych i kulturalnych, w których był i jest najsympatyczniejszym.

Opowiadając o „Panu Stanisławie“, nie mogę pominąć jego „herbatek“. Mimo że czasem odczuwałem całą swoją „nikczemność“ utilitarną w tem towarzystwie — pochłonięty bowiem całkowicie robotą studencką i partyjną, w pracach oświatowych udział brałem jedynie dorywczy — z herbatek Pana Stanisława mam wspomnienia jaknajbardziej świetlane. Gospodarz sam na nich niezwykle zręcznie „wymacywał“ ludzi, jaki też z danego osobnika mieć będzie pożytek — a goście „używali“ co się zowie. Dyskutowano szczerze i bezstronnie o przeszłości i terażniejszości, robiono plany na przyszłość. Czytano referaty, artykuły, które miały iść do druku, o ile autor miał jakie ideowe wątpliwości i szukał poparcia. Poważną „naukowość“ posiedzenia urozmaicała poezja. „Pan Jakób“ — o poważnej, patrzącej zawsze w zaświaty twarzy, prezes czytelni kolejowych, inż. Winnicki wygłaszał z patosem utwory klasycznej poezji — młody Weychert — grzmiał „Farysem“ lub monologiem „Kordjana“, a wesołość powszechną budził swemi wierszykami, monologami lub zgoła bajką, młody wówczas również, krótki, gruby o jowjalnem obliczu Benedykt Hertz. Gwarno też było, swobodnie i szczerze wesoło na takiej herbatce... Częsty ich bywalec, znany nam już pepesowiec „Karol“ — Hryniewiecki np. pomstował z zapałem na „zawracanie sobie głowy kulturnictwem“, gdy chwila woła o rewolucję, bez zwycięstwa której, żadna robota kulturalna niema widoków powodzenia. To znowu, młody bardzo wówczas, sympatyczny „Kot“ — dziś poważny profesor Krzeczkowski, nieśmiało, niemniej bardzo logicznie, i z pysznym doбором argumentów, wywodził, że właśnie w miarę rozrostu kultury i oświaty, położenie robotnika stanie się tak nieznośne, że rewolucja dlań stanie się koniecznością. Tam znowu dzisiejszy senator, Posner, z miną światoburcy, urozmaiconą jednak iro-



Ludwik Krzywicki.

nicznym uśmiechem, potrząsając olbrzymią czupryną, piorunował na marazm i apatię, wróżąc katastrofę spodlenia absolutnego i uniwersalnego... Dyskusja się rozpaliała a gospodarz bardzo zręcznie czuwał, aby w samą porę rozjuszone głosy adwersarzy zostały ukojone przez jakieś, z lirycznym akcentem, lecz stentorowym głosem rozpoczęte: „Orszulo moja rzewna, gdzieś mi się podziała?” — „Pana Jakóba“, lub też, aby po nudnem znowu jakimś exposé ekonomicznem czy socjologicznem, orzeźwiły umysły „Przygody dziadka na wystawie higienicznej“, pysznie wygłaszane przez „Benka“.

Przygodnych gości przez te herbatki przewinęło się, zwłaszcza z pośród młodzieży — mnóstwo i wyjątkowo tylko który z niej nie został w ten czy inny sposób wciągnięty do roboty oświatowej przez Pana Stanisława. Z wybitniejszych osobistości spotykałem Ignacego Matuszewskiego, K. Króla, St. Krzemińskiego, Radziwiłłowicza... Czasem przychodził milczący zazwyczaj Bolesław Hirszfeld... częściej widywałem — radykalnego społecznika, kooperatystę, bardzo sympatycznego Alojzego Wierzchlejskiego, Czerwiowskiego, Kruszewskiego — przywódcę ruchu oświatowego wśród kolejarzy... z patryjotów bywali: K. Łazarowicz, Męczkowski... Stałym gościem był ówczesny „papież socjalizmu warszawskiego“ — Ludwik Krzywicki, niewzruszony autorytet w dziedzinie socjologicznych kwestji i ekonomji politycznej, człowiek ogromnych zasług, pracy, ideowiec w każdym swem postąpieniu — całe życie marzący o wielkiem dziele naukowem, a zmuszony warunkami życia do rozdrobnienia olbrzymiej swej wiedzy na prace w tygodnikach i na lekcje. Stałe również bywali dwaj nierozłączni wówczas przyjaciele — Stary i Nowy Testament w jednej oprawie, jak ich nazywał Świętochowski — ziemianie-socjały: Stanisław Stempowski i Stanisław Posner. Byli oni, jakby ilustrowanem przysłowiem: „Les extrêmes se touchent“. Łagodny, cichy i bardzo serdeczny, czasem tylko „z cicha pęk“ dowcipnem bardzo słówkiem rzucający, a przytem wysoki, chudy, z kruczemi, w tył zaczesanemi włosami i takąż brodą, z bezgraniczną dobrocią patrzący na świat przez złote okulary Stempowski, rażąco odbiegał od Posnera — sangwinika, najbardziej bodaj z pośród publicystów postępowych zadziernego polemisty, którego bardzo mało przypomina dzisiejszy spokojny, refleksyjny i tkliwy czasem — „Bezmaski“. Na dobitkę (wybaczcie mi to przypomnienie, Czcigodny Senatorze!) Posner wówczas był przeciwnikiem P. P. S., nie znosząc zwłaszcza jej zagranicznych teoretyków (nieuki i bliagery) ze szczególnem uwzględnieniem Kazimierza Krauz,

i pod wpływem Krzywickiego, oraz tradycji ruchu polskiego, sympatyzował bardziej z S. D., zastrzegając zresztą — co, o ile chodzi o związki organizacyjne, było prawdą — swoją bezpartyjność. Stempowski zaś — podolak — jak większość „kresowców“, był całą duszą pepesowcem.

Obaj posiadali piękne tradycje patriotyczne: stryj Posnera poległ w r. 1863, jako dowódca oddziału w Płockiem, gdzie Posnerowie od kilku pokoleń mieli majątek Kuchary, Stempowski zaś był stryjecznym wnukiem znanego ze sztychów Chodźki, emisariusza i męczennika za wolność i lud. Obaj też byli stałymi mecenasami wszelkich poczyniń społeczno-kulturalnych w duchu postępowym, w które wkładali masę osobistej pracy.¹⁾ — U Stempowskiego nadto, w jego Winnikowcach na Podolu, zawsze miesiącami całemi forsownie odżywiało się po warszawskiej, czy kijowskiej „bryndzy“ kilku literatów i artystów a na koszt jego stale kształcił się przynajmniej jeden stypendysta. — Wreszcie „stammgastem“ herbatek Pana Stanisława był niezmordowany społecznik, współredaktor i współwydawca „Poradnika“ i przysięgły buchalter oraz finansowy rzeczoznawca większości imprez postępowych — Aleks. Heflich.

Zupełnem przeciwieństwem Pana Stanisława, o ile chodzi o działalność oświatową, był słynny w kołach konspiracyjnych tego czasu, „Ojciec Prokop“ — Aleksander Zawadzki. O ile Michalski był oświatowcem szczerym i rozumiał całą doniosłość późniejszej pracy rewolucyjnej na gruncie przygotowanym przez prace oświatowe, o tyle dla



Stanisław Posner,
założyciel tygodnika „Ogniwo“,
zasłużony działacz oświatowy — dziś
senator Rzplitej.

¹⁾ Później — wraz z Krzywickim i St. Niemyskim założyli oni postępowy i na wysokim poziomie trzymany tygodnik „Ogniwo“.

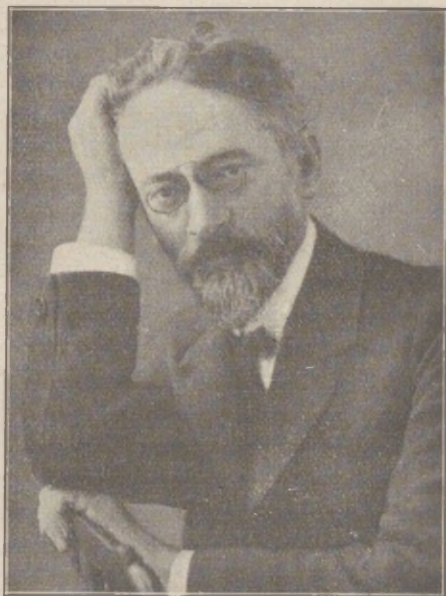
„Prokopa“ oświata była wyłącznie drogą do agitacji. Pozatem był to zacietrzewiony partyjnik, gotów „do wszystkiego“, o ile stąd partja lub „robota“ mogły z tego mieć korzyść, niewyczerpany w pomysłach, niedościgniony wzór konspiratora, a przytem intrygant pierwszej wody, niebezpieczny w walce a bardzo niepewny w przymierzu... Nie znałem go wówczas osobiście, miałem go jednak w stałej, że tak powiem „inwigilacji“, jako najzawziętszego wroga P. P. S., po którym „wszystkiego można się spodziewać“.

Tysiączne anegdoty i prawdziwe historie opowiadano o jego „kawałach“ w życiu konspiracyjnym, w którym był rzeczywiście wybitną osobistością, zarówno dla swych talentów spiskowych, jak i dla szalonej energii. Mam wrażenie, że w owym czasie olbrzymia część organizacji i roboty narodowo-demokratycznej stała właśnie na „Ojcu Prokopie“. On przede wszystkim wydostawał mnóstwo pieniędzy i to sporo na wszelkie imprezy. Dzięki też przede wszystkim jemu mogły istnieć we Lwowie ośrodki kierownicze N. D. (Popławski, Dmowski) i „Przegląd Wszehpolski“. On zorganizował „granicę“ i kolportaż „Przeglądu“ i „Polaka“, on wreszcie był niestrudzonym przy zakładaniu ciągle nowych kół, organizacji, którym nadawał postać ściśle spiskową z przysięgami, on wyląwiał ludzi, a związanych ze sobą organizacyjnie wyzyskiwał już bez żadnej litości, zaprzęgając do „robót“, które organizował wspaniale. Niezastąpiony był jako agitator chłopski. Wybornych swych warunków zewnętrznych: duża postać z olbrzymią ciemno-rudą, więcej nawet kasztanową brodą, gęstymi brwiami i tubalnym głosem, używał wtedy genialnie. Opowiadano, że czasami przebierał się za zakonnika lub pustelnika i z pomocą takiej maskarady wytwarzał nastroje u tłumu... Wśród młodzieży chłopskiej miał wychowawców, co go ubóstwiali i za „Ojca“ gotowi byliby w ogień skoczyć. Z niezwykłym talentem umiał „Prokop“ wciągać do swych robót np. księży, którym wystawiał ogrom nieszczęść, jakie niosą socjalizm i masonerja, umiejętnie rozpałał w nich fanatyzm i ambicję kierowania ludem, „boć za kimż ten lud ma pójść?“ Pograniczną szlachtę zaraz zaprzęgał do szwarcowania bibuły, a ogół jej straszył znowu rzezią i rewolucją, którą gotują socjaliści! „Tym pieniądże żydowskie znoszą workami — A my, co? ... g... o“. W robocie swej wciągał ludzi do „Oświaty“. Kto jednak raz dostał się w pazury „Prokopa“, już był zgubiony. Za „Oświatą“ poszła przysięga, przyjmowana uroczyście — w romantycznym milieu w wypadkach ważniejszych — przez księdza, później — bibuła, rozkazy i t. d. Opowiadano, że „Prokop“

ma w swem rozporządzeniu przeszło 20 tysięcy zaprzysiężonych. Sam on gorliwie legendę tę rozpowszechniał. Sądzę, że liczbę tę dziesięciokrotnie można zmniejszyć, co i tak było na stosunki konspiracyjne potęgą w kraju i potęgę tę wykazał rok 1905 i 1906.

Organizacyjnie „Prokop“ był filarem „Ligi Narodowej“, stojącej wówczas na czele ruchu patriotycznego i uważającej się za Rząd Narodowy. Ilu członków „Liga“ liczyła, trudno mi powiedzieć. Wówczas obliczaliśmy, że jednak w zaborze rosyjskim było ich do 50. Organizacji tej podporządkowane było całe mnóstwo kół i organizacji młodzieży (np. „Bratnia Pomoc“ warszawska, największa z nich bodaj), nauczycieli ludowych, różnych kół inteligentkich i t. d., a po zjeździe mickiewiczowskim i chłopskich.

Poważny odłam organizacyjny tworzyła grupa „Kiliński“, stowarzyszenie rzemieślników i robotników, zostających pod wpływem Dem. Narod. Wydawał „Kiliński“ organ swój potajemny pod tym tytułem. Na tem poprzestaję. Nie miałem z „narodowcami“ bezpośredniego kontaktu. Zamieniałem się z niektórymi — jak np. Łazarowiczem — na bibułę, z poszczególnymi grupkami młodzieży utrzymywaliśmy kontakt, ale o sprawach organizacyjnych nigdy mowy nie było. A czas to w rozwoju Nar. Dem. naszej bardzo ciekawy. Toć była to w tym czasie grupa — wybitnie i bezwzględnie antyrosyjska, propagująca na wypadek wojny sojusz z Austrią i Prusami¹⁾ a nawet — trzymajcie się



Stanisław Stempowski,
założyciel tygodnika „Ogniwo“, zasłużony
działacz oświatowy i społeczny, od r. 1919
do 1920 minister do spraw polskich w rzą-
dzie Ukraińskiej Republiki Ludowej.

¹⁾ Stosunek nasz do Prusaków jest to stosunek do nieubłaganego wroga, stwierdza „Przegląd Wszechpolski“ w nr. 4, 1901 r. a dalej pisze: „Ale mrzonki słowiańskie

stołków czytelnicy! — marząca o państwie buforowym lub odłączeniu choćby części Królestwa do Austrii.²⁾

Wracając do „Ojca Prokopa“, muszę zaznaczyć jeszcze jedno. Renegat socjalizmu — przypisywano mu, i zdaje się słusznie, nawet autorstwo jednej z najbardziej demagogicznych broszur agitacyjnych: „Ojciec Szymon“ — nienawidził on tego kierunku całą istotą. Namiętny zaś w sądach i bezwzględny w postępowaniu w walce z P. P. S. nie przebierał w środkach. On też w dużej części rozognił wzajemne stosunki między różnymi odłamami „Czerwonej Warszawy“ i przeważnie przyczynił się do uniemożliwienia wszelkiego zbliżenia się między patrijotyczno-radykalnym i narodowo-socjalistycznym obozami w kraju. Miało to dla obu skutki niepożądane zupełnie.

Różnym znowu od dwu poprzednich całkowicie typem był Edward Abramowski, również skupiający koło siebie ludzi i koła w tym czasie.

Dziwny był to człowiek ze wszechmiar — właściciel ładnego majątku, Stefanina, na Ukrainie, w bardzo wczesnym wieku ruszył w świat szukać wiedzy. Objechał większość wszechnic i bibliotek europejskich, znał kilkanaście języków, obcował z najwybitniejszymi umysłami Zachodu. Filozof, oryginalny i samodzielny myśliciel, wywierał zawsze duży wpływ na otoczenie. W końcu lat osmdziesiątych w Warszawie brał udział czynny w ruchu robotniczym. Ożeniony z dzielną agitatorką-robotnicą, Motzówną, ten pierwszorzędnym myśliciel i znawca najsztubtelniejszych odcieni metafizyki, biegał na wykłady, agitował za strejkami mularskim, szewskim i t. d.

Odgrywając wybitną rolę w ruchu, Abramowski nie mało przyczynił się do połączenia „Proletariatu“, „Związku“ i „Zjednoczenia“ (rok 1892), z którego następnie — Grabowski, Klimowicz, Falski Leon, Pietkiewicz i Stróżecki wraz z przybyłym „na nielegalnego“ dzisiejszym Prezydentem R-plitej, St. Wojciechowskim, budowali zaczątki P. P. S.

i inne pobudki nie powinny kierować nas z deszczu pod rynnę i rzucać w objęcia drugiego wroga, bodaj gorszego, a w każdym razie nie mniej niebezpiecznego“.

²⁾ „Polityka pruska jest dla nas równie pod pewnym względem może nawet więcej niebezpieczną, niż polityka rosyjska... Wojna zwycięska dla Niemiec w starciu się ich z Rosją przy współudziale Austrii daje nam nadzieję utworzenia przynajmniej jakiegoś polskiego Zwischenstaatu lub w najgorszym razie przyłączenia jeżeli nie całego, to znacznej części Królestwa do Austrii, co dałoby nam w tej monarchji poważne stanowisko i dało naszej polityce narodowej silną podstawę“. („Przegląd Wszechp.“ nr. 6 z 1901 r.)

w kraju. Śmierć żony oddziaływała na Abramowskiego wstrząsająco. Przyplącił ją ciężką chorobą, po której opuścił kraj na lat parę.

Powrócił w r. 1898. Do bezpośredniego ruchu politycznego nie wrócił, pozostając jednak zawsze jednym z najbliższych sympatyków P. P. S. Równocześnie zaś zaczął propagować nową postać socjalizmu, graniczącą z anarchizmem. Ideą przewodnią tego zwrotu była teza, iż rewolucja socjalna nastąpi jedynie drogą przerodzenia się wewnętrznego ludzkości. Każdy więc socjalista obowiązany jest na każdym kroku wcielać w życie swe przekonania i w ten sposób oddziaływać na otoczenie. Wydrukował w tym duchu kilka artykułów, później nieco wydał książkę, zawierającą całokształt tej ideologii, przedewszystkiem zaś propagował swe zasady ustnie. Wśród młodzieży naszej propaganda „Edka” znalazła dość sympatji.

Pociągała młodzież zwłaszcza metoda dochodzenia do postulatów socjalizmu drogą przesłanek czysto filozoficznej i etycznej natury bez utrapionego: „20 łokci płótna = jednemu surdutowi = parze butów = y godzinom społecznie niezbędnej pracy + \times godzin nadwartości“ ... i t. p. To też zaczęto metodę „Edka” stosować na wykładach robotniczych ... Pozatem koło „Edka” skupiła się również garść inteligencji i pisarzy, przejęta drugą jego ideą: przekształcania duszy ludzkiej przez pierwiastek sztuki. Z wybitniejszych przedstawicieli tego kółka pamiętam: Zofję Bassakównę, Berenta J. — brata powieściopisarza, Bukowińską i in. Po zaznajomieniu się z szeregiem utworów literatury powszechnej, mogących wytworzyć pewien nastrój i skierować myśl w pewnym określonym kierunku — chodziło oczywiście o „pokojowy anarchizm”,¹⁾ jak ironicznie nazywaliśmy ideologię „Edka” — odpowiednie utwory miały być wydawane w przekładzie polskim w wytwornej szacie i kolportowane wśród ludu ... Zdaje mi się, że kółku temu udało się wydać jedną czy dwie książeczki w tym duchu ... Natomiast niezmiernie były ciekawe i pouczające dyskusje na jego posiedzeniach ...

Od „ludzi” chciałbym przejść do „życia zbiorowego” w podziemiach inteligenckiej ówczesnej czerwonej Warszawy ...

Duszę jego, pracę w kuźnicy nowej Polski, działalność oświatową, odmalowałem już wyżej. Teraz poprzestanę na kilku obrazkach. Zacznę od bardziej umiarkowanego obozu.

Oto np. w obszernem mieszkaniu burżuazyjnym²⁾ — teatr robotniczy. Grają „Kordjana” lub „Trzecią część Dziadów”. Aktorami są wyłącznie

¹⁾ Taki tytuł nosiła krytyka jednej z jego książek, napisana przez Kulczyckiego.

²⁾ Było to, jak mi się zdaje, mieszkanie Dr. Ciszewiczowej.

cytelor zardecki prof

robotnicy i to często bez różnicy obozów, z przewagą jednak członków „Kilińskiego”. Pamiętam np. w „Kordjanie” jednego z najgorliwszych pepesowców, szczotkarza Wąsowskiego, jak z przejęciem deklamował tyrady „patriotyczne”... Publiczności moc... Salon, którego część zajęta na scenę, przyległy pokój stołowy, przedpokój — nabite. Dosłownie głowa przy głowie. Zaduch nie do opisania. Gorąco. Panie wachlują się nerwowo chusteczkami... panowie ocierają pot z czoła i twarzy... Ale cisza... cisza zupełna, w którą wpadają z przesadą wygłoszone, często z charakterystycznym „szadzeniem” warszawskim lub końcówką „amy” zam. „ami” potężne słowa wieszczą:

„Cóż to? Jaki ptak powstał i roztacza pióra?
Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa?
Skrzydła ma czarne, jak burzliwa chmura,
A szerokie i długie nakształ tęczy łuku,
I niebo całe zakrywa?
... To kruk olbrzymi!... Ktoś ty, ktoś ty, kruku?
Ktoś ty? jam orzeł... Patrzy kruk, myśl moją płące...

.....

Dodam, że takie rzeczy, jak „Improwizacja” Konrada — lub przemówienie Podchorążego w scenie w podziemiach śto-jańskich z „Kordjana” — rzeczy bardzo trudne nawet dla zawodowego deklamatora, wygłaszane były przez amatorów robociarzy zupełnie poprawnie...

A teraz obrazek z innej dziedziny życia zbiorowego Czerwonej Warszawy — raut wzgl. journal parlé — „na więźniów politycznych”.

Ta strona życia konspiracyjnego — bezpartyjna całkowicie — skupiała w tym czasie „czerwonych” Warszawy ówczesnej od „endeków” do „esdeków”. Firmą tej działalności była „pieczętka” z tytułem „Towarzystwo Pomocy Więźniom Politycznym”, ciesząca się zupełnym zaufaniem ogółu.

Założycielem tej roboty był Bolesław Hirszfelf, który następnie przekazał ją częściowo Marji Paszkowskiej, znanej nam już „Gintrze” lub „Marji” z P. P. S. Stała zaś jeszcze od czasów Hirszfelda współpracowniczką „Towarzystwa” — czynną na tem polu po dziś dzień — była St. Sempołowska. Z biegiem czasu „Towarzystwo” przybrało szersze rozmiary i na jego czele stanął dzisiejszy przedstawiciel Rzplitej w Japonji — wówczas wzięty adwokat — Stanisław Patek. Przed ćwierćwiekiem — jednak dyktaturę w sprawach „więźniów” sprawowała „Marja”. Ona

też przedewszystkiem urządziła owe rauty. A jak to było — opowiem.

Jakiś bogatszy i posiadający duże mieszkanie, burżuj-sympatyk, lub też zgoła jakiś burżuj, któremu, bądź uśmiechało się mieć u siebie w salonie choć przez jeden wieczór wybitnych literatów, bądź też któremu „skotłowały“ dostatecznie głowę nastawione przez „Marję“: żona, krewne, córki, znajomi i t. d., dawał lokal. Gdy lokal był duży i udało się zjednać „firmowego jenusza“, „jakiegoś“ Żeromskiego np., bilety były drogie — „aż po dwa ruble“. „Dromaderki“, studenci, znajomi i uczennice Marji, rodziny ich, słowem wszystko dostępne, było zmobilizowane dla rozsprzedaży biletów, co zazwyczaj szło bardzo pomyslnie... Gdy zaś przychodził dzień — a raczej wieczór wyznaczony, gorzkim stawał się los nieszczęsnego burżuja-lokalodawcy. Na godzinę przed terminem mieszkanie okupowała „Marja“ z „dromaderkami“ i gospodarowała jak u siebie. Rządy przechodziły w jej ręce, a pan domu wraz z rodziną byli „na posyłkach“... Szkło i porcelana szły na herbatę i drobne ciasteczka, przetkane gdzieniegdzie suchym pączkiem, co miało imitować przyjęcie. O wyznaczonej godzinie salon z przyległościami wypełniał się ciżbą gości, bez żadnego względu na pojemność. Często do kilkuset osób przybywało... Spotykali się znajomi, zaczynały się rozmowy. Państwo niknęli gdzieś bez śladu, pędzani przez „Marję“ tak, że często nie byli w możności, nie tylko poznać występujących w ich własnym domu znakomitości, ale i usłyszeć najważniejszych atrakcji wieczoru. Wreszcie... z jakimś półgodzinnem opóźnieniem ktoś uproszony — zazwyczaj Bukowiński lub Daniłowski prosił o ciszę i rozpoczynały się produkcje. Odczytywali — względnie wygłaszali swoje własne utwory: Krzywicki, Posner, Sieroszewski, Żeromski, Daniłowski Gustaw, Selim (Bukowiński), A. Niemojewski, Przybyszewski, Lasota (Jahołkowska), Marjan Zborowski i t. d. To znowu zaśpiewała lub zagrała któraś z koncertantek, pianista modny czy jakiś skrzypek... Deklamowała najczęściej Federowiczowa, ówczesna ulubienica publiczności w „Rozmaitościach“ oraz przedmiot beznadziejnej miłości znanego już czytelnikowi ze stosunków naszych studenckich — Czesia Stefanowicza... Można też było sobie wyobrazić, jak po takim raucie czy „journal parlé“ wyglądało mieszkanie, zwłaszcza, jeżeli to było przygodne, bez nadziei wyzyskania go poraz wtóry i gdy rozsprzedano biletów moc niestychaną...

Innym nieco charakterem odznaczały się znowu „Styczniówki“, „Listopadówki“, „Wieczory Mickiewiczowskie“ lub „Marxówki“, urządzone przez nas — młodzież. Publiczności było mniej, przeważała młodzież i sfery bardziej ideowe. Wejście było bez porównania tańsze, no i treść wieczoru odpowiadała danej rocznicy. A więc: odpowiedni referat, śpiewy i deklamacje, zastosowane do Powstania Styczniowego, czy Listopadowego, muzyka podobnie. Po wyczerpaniu programu, szły swobodne głosy i występy. Porywał na tych wieczorach zwłaszcza Niemojewski Andrzej wspinał deklamacją. Utkwił mi w pamięci na jednej z „Listopadówek“ referat Stanisława Krzemińskiego, członka Rządu Narodowego z 1863 roku. Mówił rzeczy, które wydrukowane, byłyby w tamtych czasach przełomem w myśleniu politycznym pokolenia. Dowodził, że jedyną przyczyną klęski listopadowej była niewiara narodu w zwycięstwo i brak woli pobicia wroga. Gdyby tę wolę naród w walce przejawiał, to przy ówczesnym układzie warunków zwycięstwo nasze byłoby pewnym. Uzasadniał to szczegółowo i wybornie. I nadal — dowodził Krzemiński — obce panowanie dopóty jedynie trwać może, dopóki w narodzie nie ujawni się mocna wola — wolności. Wola ta dopomoże intelektowi narodowemu wybrać dogodną chwilę i wskazać sposoby skutecznej walki. Stworzenie tej woli — to klucz polskiej polityki narodowej.

W owych czasach nie myślał w ten sposób nikt. I wielkie, a mocne słowa Krzemińskiego, wygłoszone słabym, starczym, monotonnym głosem dziwnie zaginęły bez echa wśród zebranych...

Czas jakiś próbowano ożywić wymianę zdań i ułatwić zbliżenie się radykalji warszawskiej przez utworzenie „Klubu“. Były to dyskusyjne wieczory, urządzone perjodycznie w większych mieszkaniach. „Klub“ ten od razu wypełnił się dyskusją sympatyków „P. P. S.“: „S. D. K. P. i L.“, dwu ówczesnych prądów naszego socjalizmu. Tu zwolennicy „S. D.“ święcili dyskusyjne tryumfy. My partyjnicy, ze względów konspiracyjnych, nie mogliśmy, uczęszczając tam, zabierać głosu. Stanowiska też naszego bronili, przeważnie bardzo słabo, sympatycy, których przeciwnicy z Krzywickim, Koszutkim, Stanisławem Posnerem, Łypacewiczem na czele, gnębili argumentami „naukowego socjalizmu“ okrutnie. Dochodzili też oni do absurdów. Raz np. Stanisław Koszutski, przy oklaskach znacznej części audytorjum wygłosił zdanie — „Dziś dążenie do niepodległości Polski — to zawracanie Wisły kijem“... Klub ten jednak nie utrzymał się długo.

Z prywatnych domów „radykalnych“ bywałem często u „Selimów“ — Władków Bukowińskich, znajomych moich jeszcze z Radomia.

W niedzielę można tam było spotkać wybór intelektualnego pierwiastka „czerwonej“ Warszawy. Bywali tam Berentowie: Wacław i Jan, pp. Żeromscy, Sieroszewski, Niemojewski, pp. Pieńkowscy, Ignacy Matuszewski, Świętochowski, później Przybyszewski. Sieroszewski i Przybyszewski przeistaczali się w tym właśnie czasie po zdobyciu sławy u obcych, w pisarzy polskich. Piękną niezwykle postacią była pani domu, radomianka, córka „profesora obojga kaligrafii“ Pinki, jako uczennica gimnazjum, przyjmowała żywy udział w ruchu kółkowym, oddziaływując na mocno wówczas kosmopolityzmem zatracających kolegów w duchu patriotycznym. Jedną też z pierwszych radomianek udała się na uniwersytet do Genewy. W czasach, o których piszę, pani Selimowa — jeszcze bardzo piękna kobieta, o dużych wymownych oczach, brała wszystkich gości serdecznością obejścia, inteligencją, wesołością. Wiele też można było nauczyć się i dowiedzieć na tych niedzielach, a spędzało się czas swobodnie i wesoło.

Z osób, mniej lub więcej blisko związanych z ruchem rewolucyjnym wówczas, muszę jeszcze wymienić tu charakterystyczną postać D-ra Rafała Radziwiłłowicza. Któż go wówczas nie znał w Warszawie? Wielka inteligencja, gruntowne wykształcenie, a przede wszystkim — swoisty wytworny dowcip, połączony z niezwykłym darem *savoir-vivre*'u czyniły go pożądanym w stosunkach towarzyskich. Takt życiowy, spokój, nobliwość w każdym calu, tradycje starego bursza z arystokratycznych korporacji studenckich w Dorpacie, pasowały „Dra Rafała“ nieodzownym superarbitrem, sędzią, lub sekundantem, stosownie do stanowiska społecznego, czy też znaczenia w opinii szermierzy — wszystkich nieomal głośniejszych ówczesnych spraw honorowych... Złote zaś serce, prawość bezkompromisowa, „porządność“ bez skazy, a przede wszystkim idealizm wzniosły i niezachwiana wiara w lepszą przyszłość, której mimowoli udzielał otoczeniu — kazały go kochać każdemu — co się doń zbliżył. Z przekonań był „Dr. Rafał“ dziwaczną mieszaniną zachowawczych zasad, dochodzących do zdeklarowanego monarchizmu, z demokracją szlachecką starej daty. Nowoczesne jednak życie i prądy rozumiał i odczuwał doskonale. Że zaś w dodatku temperament i będąca właściwością jego charakteru jakaś ambicja ciekawości i udziału we wszystkim, co się dzieje — ciągnęły go do partji czynu, więc jakoś przylgnął do P. P. S.

Wraz z matką, starą działaczką jeszcze czasów Powstania Styczniowego i siostrą — Stefanową Żeromską, „Dr. Rafał“ duże usługi oddawał, jako jeden z najbliższych i najczynniejszych sympatyków partji. Tu podkreślić należy, że swemi wskazówkami i oddziaływaniem na opinię sfer psychiatrycznych — zajmował wówczas stanowisko naczelnego lekarza szpitala dla obłąkanych w Tworkach — „Dr. Rafał“ wiele dopomógł do wykradzenia dzisiejszego marszałka Piłsudskiego z więzienia.

Z bliższych sympatyków P. P. S., poza wymienionemi dawniej, muszę jeszcze podkreślić tu profesorostwo Sujkowskich, Grodeckich, „Małżonków“ — Gulińskich — i Zofję Bassakównę, bardzo ładną filozofkę, ku podziwowi towarzyszy — „studującą Kanta“, a przytem czynną w pracach pomocniczych techniki partyjnej i rodzinę ekonomisty Zygmunta Herynga... Oczywiście, musiało być ich o wiele więcej. Piszę jednak wyłącznie o tych, których znałem osobiście.

Oryginalnym typem był prof. Sujkowski. Żywy, z temperamentem i swoistym dowcipem, gadatliwy szlachcic mazowiecki, jakby żywcem ze starych powieści wycięty. Temperament jego oraz pewna nierówność charakteru, narażały go czasem na zajścia. Jako specjalista geograf — zdolny i obdarzony fenomenalną pamięcią a przytem darem słowa i talentem pedagogicznym, był poszukiwanym we wszystkich szkołach i kompletach mimo szczere i często jaskrawe podkreślanie swego radykalizmu i zwyczaju „mówienia prawdy w oczy.“ Żona jego, siostra towarzyszki „Klary“, pełna kultu dla tradycji powstańczych, całkowicie oddana była idei niepodległości. Oboje zaś Sujkowscy, jak zresztą wszyscy sympatycy, ze stoicyzmem i pogodą znosili konsekwencje swych stosunków z partją: ciągle rewizje, znaczne nieraz ofiary pieniężne, zabierania mieszkania na „składy“, „randki“, „zajazdy“ i t. d. Przeciwnieństwem — o ile chodzi o usposobienie — Sujkowskiego był drugi „kijowiak“ przyrodnik — J. Grodecki — zawołany pedagog, sumienny pracownik, lecz zgryźliwy sceptyk. Pani Grodecka ładnie bardzo grała na fortepianie i stąd bardzo przez „Marję“ oszczędzana w technice, „bo nuż trzeba będzie zużytkować na jakimś raucie monstre“, a może da recital na więźniów...

Natomiast trzeci z wybitniejszych „kijowiaków“ ówczesnych — również przyrodnik — zdolny fizyk, późniejszy rektor Wolnej Wszechnicy — St. Kalinowski, ku zmartwieniu naszemu — wciąż trzymał się przywiezionych z Kijowa sympatji „esdeckich“. Z „S. D.“ warszawską zresztą nie utrzymywał stosunków. Ostoją „esdeckiej“ opinji — poza Krzy-

wickimi, którzy zresztą, a przynajmniej sam Krzywicki — z wolna zbliżali się do P. P. S., był bardzo sympatyczny poza tem dom pań Marchlewskich, nieprzejednanych w swym krytycznym stosunku do P. P. S.

Luźniej trochę z „techniką“ partji związane były panie Gizbert-Studnickie. — Matka i siostry tow. „Veto“. W mieszkaniu ich był zawsze „skład zapasowy“ — na wypadek zaszpiclowania główniejszych składów.

Do radykalnej inteligencji zbliżali się również i „samotnicy“. Takim np. był prof. Ignacy Radliński, odrazu ujmujący każdego swoją serdeczną prostotą, następnie jednak onieśmielający wręcz ogromem wiedzy i oryginalnością myśli. Był również takim prof. Nałkowski Wacław, geograf, człowiek wielkiej wiedzy, myśliciel samodzielny, lecz typ „człowieko nienawistnika“ rosyjskiego w każdym calu. Zdaniem jego, typ „człowieka-krypto-świni“ zapanował w obecnym społeczeństwie wszechwładnie po zgnębieniu człowieka prawdziwego i powoli asymilował ze sobą rozpowszechnione typy ludzi — „świnio-byków“, „ludzi-płazów“ „ludzi-świnio-płazów“ i t. d. Do tych „samotników-radykałów — zaliczam również wroga wszelkich kompromisów i stąd przez całe życie nędzarza, przyrodnika o wybitnie samodzielnem myśleniu — Kurcjusza. Wspomnę jeszcze Cezarego Jellentę — człowieka o wysokiej kulturze artystyczno-literackiej a dziwacznie cygańskiem usposobieniu... a było jeszcze wielu, bardzo wielu innych, których spotykałem dorywczo, bądź na zebraniach „ideowych“, bądź też w towarzystwie...

Jest rzeczą charakterystyczną, że ówczesne koła inteligentkie, patryjotyczno-radykalne, mimo posiadania w swoim środowisku wielu wybitnych jednostek, nie potrafiły wytworzyć jakiegoś zwartego zespołu, któryby zaważył, jeżeli nie na partyjnych ugrupowaniach, to przynajmniej na ówczesnej polskiej myśli politycznej. Zespół taki miałby gotowy ciąg dalszy i rezerwoar sił w postaci patryjotyczno-radykalnych korporacji studenckich, jak „Spójnia“ uniwersytecka, „Zjednoczenie“ politechniczne, w jego początkach, lub też emigracyjny „Związek towarzystw młodzieży“, powstały wskutek rozłamu w opanowaniu przez N. D. „Zjednoczeniu towarzystw“. Prace, nieraz wydatne, szeregu dzielnych i ofiarnych jednostek, częścią poszły na partyjne potrzeby endecji, częścią rozproszkowały się i znikły bez śladu.

Z ówczesnego prądu, jakim w zatęchłe stosunki nasze w połowie lat ośmdziesiątych XIX w. wionęła „Liga Polska“ — po latach, mniej więcej dwunastu, pozostały tylko dwa skrajne kierunki: socjalistyczna

powstańczość P. P. S. i ugodowy nacjonalizm, ku któremu wyraźnie szła już wówczas Nar. Dem. Środka, któryby łączył w sobie ideologię czysto niepodległościową z taktyką polityki realnej, brakło. Nieraz zastanawiałem się nad przyczyną tego zjawiska. Przychodziło mi na myśl, że może w masie inteligenckiej, mogącej stworzyć ten kierunek, brakło w decydującym okresie człowieka, coby mógł rolę taką odegrać w centrum, jak Piłsudski na lewicy a Dmowski — na prawicy żywiołów niepodległościowych.

Człowiekiem, który to doskonale rozumiał i którego przekonania i cała działalność kwalifikowały na takiego wodza, był założyciel „Głosu” i jeden z ideowych twórców nowoczesnej demokracji polskiej — J. K. Potocki.

W czasach, które tu wspominam, była to jedna z najwybitniejszych postaci radykalnej Warszawy, mimo że siły i energja „Bohusza”, jak go nazywaliśmy powszechnie, były już wyczerpane zupełnie.

Przybył on z Kresów w końcu lat siedmdziesiątych i po ukończeniu nauk matematyczno-fizycznych na tutejszej wszechnicy, zaaklimatyzował się w Warszawie, zarabiając na życie publicystyką, w której, jako samodzielny umysł i bojowy temperament, od razu pokazał lwi pazur w „Przeglądzie Tygodniowym” i „Prawdzie”, oraz lekcjami na pensjach żeńskich i po szkołach prywatnych. Na młodzież wywierał wpływ ogromny i, mimo wybitnie brzydkiej powierzchowności, sarkazmu i niezliczonych dziwactw, był przez uczniów i uczennice niezmiernie lubiany. Lekcje całe, z uszczerbkiem zresztą dla matematyki i fizyki, które wykladał, poświęcał pogadankom i dyskusjom, rozwijającym umysły i serca. Matematyk z wykształcenia, żyjący wśród wszechwładzy pozytywizmu — Potocki był idealistą krańcowym, równocześnie zaś bezlitosnym krytykiem wszelkiej obłudy, fałszu i „mazgajstwa”. Demokrata i postępowiec — był on równocześnie patriotą czynu; jako taki, gorąco przeciwstawił się hasłu: „głową muru nie przebije” w stosunku do niewoli politycznej. Poza artykułami, idee swoje propagował wierszami, których pod różnemi pseudonimami drukował mnóstwo — a których znacznie więcej krążyło w odpisach. Alegoryczno-patriotyczne wiersze: „Któż zbudzi cię kiedyś, królowo zaklęta”? „Świt”, „Sen Grzeli” — były niezwykle wśród młodzieży popularne, a dziś — po trzydziestu latach — jedna z wybitniejszych zresztą uczennic „Bohusza” — deklamowała mi ulubiony wówczas — przez młodzież — przemily protest poetyczny przeciw pozytywistycznej wyłączności kultu t. zw. „rozsądku” w życiu:

O, nie mówcie sami sobie,
 Że, prócz wiedzy, wszystko czcze,
 W ludzkim łonie serce bije
 I o prawa walczy swe...
 Cóż po wiosnie, skoro minie
 Bez tęczyowych barw i woni?...
 Cóż z młodości, gdy w dniach swoich
 Tą gorączką się nie spłoni?...

Sarkazmem — zwalczał „Bohusz“ pracę organiczną:

Gdy darmozjadów sytych garść nieliczna
 Pracą milionów ludzi się zbogaca,
 Oto jest, bracie, praca organiczna,
 Oto jest, bracie, organiczna praca.

Lecz nie znosił również i skarg pa-
 trjotycznych. Dostało się też i zacnemu
 Stanisławowi Krzezińskiemu, którego
 książce: „Dwadzieścia pięć lat Rosji w
 Polsce“, jak się wyraził „Bohusz“ — bra-
 kuje tylko stryczka przy każdym egzem-
 plarzu, ażeby czytelnik po przeczytaniu
 powiesił się — tak jest beznadziejną...

Sam „Bohusz“ widział zbawienie Pol-
 ski w demokratyzacji jej kultury. Przyszłość
 narodu leżała, jego zdaniem, w chłopie.
 Ludowcem był szczerym i bezwzględny,
 przyczem nie było w nim śladu wpływów
 „narodniczystwa“, którem mocno zarażał np. J. L. Popławski, najbliższy
 jego współpracownik. Ironizował również „Bohusz“ — wiarę w monopol
 konspiracji w naszym życiu politycznym. Zdaniem jego demokratyzacja
 mas ludowych musi być automatycznie połączoną z polityczną walką
 codzienną a stałą. Ta różnica poglądów na konspirację a nadto mocny
 pierwiastek patriotyzmu w poglądach Potockiego rozdzieliły go z dzia-
 łaczką socjalistycznego „Proletariatu“, Marją Bohuszewiczówną,¹⁾ którą
 ukochał gorąco.



J. K. Potocki. (Marjan Bohusz).

¹⁾ Aresztowana w r. 1886 — została deportowana do Rosji i młodo umarła na wygnaniu. Na jej pamiątkę Potocki przybrał sobie literacki pseudonim „Marjan Bohusz“.

„Głos“ — założony przez „Bohusza“ — był przełomowym momentem polskiej myśli demokratycznej w zaborze rosyjskim. Sprawy stawiał na ostrzu noża — nie obawiając się razić własnych rodaków. Hałas powstał niestychany po śmiałym np. artykule Bohusza: „Klerykalizm pański a wiara ludowa“, lub po ostrej krytyce Warsz. Tow. Dobroczynności. „Bohusz“ był duszą pisma i zgrupowanej koło niego garści nowatorów. Sam pracował nad siły: wypełniał „Głos“ artykułami naukowymi i politycznymi, w feljetonach „Bez obłudy“ chłostał wszelką miernotę i zło w społeczeństwie, a nadto tłumaczył dla dodatków miesięcznych dzieła naukowe. Zdzierał się też powoli ten niepospolity umysł, rozmienny na drobiazg, z trudnością, choć stale, opracowując oryginalne dzieła treści społecznej...

Przyszły lata 1891—4. Warszawa stała się wtedy widownią słabych, niemniej pierwszych od powstania — manifestacji patriotycznych. Po „Kilińszczyźnie“ nastąpiły represje. Grupa „Głosu“ została aresztowana nieomal w całości. „Bohusz“ znalazł się w X. pawilonie, gdzie poważnie zapadł na zdrowiu. Chorego zesłano do Odessy, skąd właśnie w 1897 r. powrócił, złamany zupełnie. Siwy, mimo 44 lat wieku, nieomal zupełnie, zgarbiony, tracił wzrok, twarz cała poorana zmarszczkami i z wyrazem przygniębienia. Przedewszystkiem zaś podupadł na duchu, zneurastenizowany trapiącą go chorobą, którą się aż do zwactwa przejmował... Do głębi wstrząsnęło nim zwycięstwo ugody w opinii kraju i entuzjazm Warszawy podczas pobytu carskiej pary w r. 1897... Sam też jeden rozpoczął energiczną walkę z prądem ugodowym. Wydaje kilka broszur, pisanych z wielkim talentem polemicznym. W niezmiernie dowcipnych „Listach otwartych do Ks. Uchtomskiego“ — protektora ugody z strony rosyjskiej, nicuje całą fantastyczność pogodzenia Polski z Rosją. W „Programie Ugodowym“ wykazuje znowu nieszczerłość ugodowców względem własnego społeczeństwa. Jako „Kresowiec“, „Bohusz“ zyskuje też wtedy nowy rodzaj sławy — „pisarza nielegalnego“.

Następnie, w roku 1898 zaczyna wydawać nielegalne piśmiśko „Walka“ o kierunku patriotyczno-radykalnym. To mu się mniej udało. Nie mógł on wytknąć sobie wyraźnej dyrektywy w kwestjach społecznych, co zmuszało go do ciągłego błędzenia od N. D. do P. P. S. i narażało na napaści z obu stron... Ludzi koło siebie skupić już nie miał siły. Na dawnych swoich towarzyszy i uczniów, którzy szli coraz bardziej na prawo, stracił wpływ. Gryzło go to — coraz częściej opu-

szczał go zwykły swoisty, choć później już nieco zgryźliwy humor i dowcip. Natomiast, zjawily się nieznanne dawniej pesymizm i narzekania. Zawsze jednak zachował Bohusz trzeźwy sąd i oryginalność poglądów, oparte na gruntownej wiedzy i głębokiem przemyśleniu wszelkich zjawisk życiowych. Nie opuszczała go też dobroć. Obcowanie z nim, zwłaszcza dla młodzieży, było niezwykle pouczające i miłe.

Jakoś w jesieni 1898 r. Bohusz zeszedł z widowni bardzo pięknie i w sposób oryginalny... Zmęczony życiem i coraz bardziej słabnący fizycznie, wyszedł wczesnym rankiem z domu i nie powrócił więcej... W jakimś nieznanym miejscu w tajemniczy sposób odebrał sobie życie, nie pozostawiając żadnych śladów. Poszukiwania, przedsięwzięte energicznie, nie dały żadnych rezultatów. Bez nekrologów, wspomnień i mów pogrzebowych zniknęła ze świata jedna z wybitniejszych postaci ostatniego okresu naszej niewoli. Utkwiło mi w pamięci rzewne pożegnanie Bohusza przez Żeromskiego w dzienniczku Joasi z „Ludzi Bezdomych“...

„Mgła coraz gęstsza już nie spada, lecz wali się zewsząd, lgnie do murów, pełza, rozciąga się, kurczy i pływa w przestrzeni, jak lotne błoto... Czyż to mgła? Serce stęka z duszącej bojaźni. Zda mi się, że to coś obłudne wzięło na się postać mgły, że to coś bada ziemię, siedliska ludzkie, zagląda do okien i patrzy w nie, usiłując zobaczyć struchlałe serca. To śmierć.

...I oto tam, w tych mokrych falach przesuwają się i znikają mała, obdarta postać mojego starego, mojego kochanego nauczyciela, Marjana Bohusza. Szarpie ją wichry, osacza przebiegłe zimno, ostatni goniec ziemi, siedliska zbójców. Biegnę za nim myślami po jakichś bezdrożach, po miejscach samotnych, opustoszałych, gdzie na nieszczęśliwych ludzi śmierć cierpliwa wyczekuje; szukam go i ścigam nad brzegami rzek, w nurtach i w głębiach iltu wodnego, między trzcina zeschniętą, w szuwarach i szkarpach wodnych. Gdzież jest ten dół śmierci, w którym zgasiło się to serce najbardziej czułe, serce na miarę niewidzianą i niesłychaną, spalone od uczuć wiecznych.

Cieniu bolesny!“...

Dziś o „Bohuszu“ zapomniano zupełnie. A zapomnieli przede wszystkim o nim jego uczniowie i epigoni, co z wyżyn stworzonej przezeń przedewszystkiem narodowo-demokratycznej ideologii polskiej, zeszedli w ciasnotę przejętego od obcych nacjonalizmu.

Jeżeli Bohusz, mimo swą twórczość ideologiczną, nie miał wówczas sił, ani danych na wodza, to wszelkie dane — prócz, niestety, tej właśnie twórczości ideologicznej — posiadał ówczesny największy bez kwestji autorytet inteligencji radykalnej — Aleksander Świętochowski.

Dziś, gdy ze wzruszeniem ramion, przerzuca się niedzielne „Liberum veto“ w „Gazecie Warszawskiej“ i odczuwa żal szczery, iż w tej wspaniałej oprawie mistrz słowa polskiego rzuca bezsilnie błoto, jad i ślinę jakiejś pokracznej, niewytłomaczonej nienawiści, trudno jest wyobrazić sobie kult, z jakim przed ćwierć wiekiem czytano każde „Liberum veto“ „Posła Prawdy“ — tak się podpisywał Świętochowski.

Miał on wówczas wielbicieli bezgranicznych. Do takich np. należeli oboje Bukowińscy, Wacław Sieroszewski — a zwłaszcza siostra jego — Paulina, kończąca wszelką krytykę Świętochowskiego awanturą. Przedewszystkiem zaś St. Michalski. Z właściwym sobie w tym czasie entuzjazmem, Michalski słów nie znajdował na określenie wartości moralnych Świętochowskiego i jego potencjalnej potęgi, jako wodza narodu. „Boże! gdyby ten człowiek chciał tylko!“ W okrzyku tym streszczał „Pan Stanisław“ swoje uwielbienie. Jak sam oświadczał, w największem zwątpieniu, w najcięższej depresji czuł się po rozmowie z Świętochowskim — jakby odrodzonym i pełnym wiary.

Kult też Świętochowskiego niepodzielnie panował w kołach inteligentnych, zostających pod wpływem Michalskiego. Przy Świętochowskim też jako wodzu, w walce o wolność myśli i prawa człowieka w Polsce — stała „czerwona“ młodzież.

Z drugiej strony trudno dziś wyobrazić sobie, jak strasznie nienawidzili „Pana Świntuchowskiego“ koła reakcyjne. Był to „mason“, „parobek żydowski“, „szatan“, „rewolucjonista“, „komunista“, „nihilista“ i „bardzo wątpliwy patriota, jeżeli nie wprost narzędzie moskali“ — w jednej osobie.

W każdym jednak razie, tak krańcowe sądy i uczucia, jakie wzbudzał, świadczyły o jednym, że był niewątpliwie jednostką, wyrastającą nad współczesnych. I tak było w istocie.

Miał on za sobą przedewszystkiem koło trzydziestu lat walki o wolną myśl polską, o zeuropeizowanie polskiego intelektu i o rozsądzenie rodzimego „czerepa rubasznego“, co wespół z niewolą polityczną unieruchomił na długo rozwój społeczny i kulturalny narodu. Miał tradycję odwagi cywilnej, którą nie grzeszyliśmy zbyt nigdy, a przedewszystkiem — był najwybitniejszym z wodzów postępu war-

szawskiego, któremu zarzucić można wiele, ale który też i wiele uczynił. Do tych dawnych wartości przybywały nowe. Temi nowymi wartościami były jego wystąpienia, związane ze zwrotem w poglądach politycznych. Entuzjazm kół radykalnych wywołało np. bardzo piękne „liberum veto” — zatytułowane: „Opadające liście”. Cenzura puściła je niebacznie w trakcie największego upojenia ogółu tryumfem hasel ugodowych po odjeździe cara z Warszawy i udzieleniu pozwoleń na pomnik Mickiewicza i Politechnikę. „Opadające liście”, oddające wybornie, acz w symbolicznej formie — Świętochowski zawsze w tem celował — ból obywatela-człowieka nad upadkiem bezmyślnego stada ludzkiego — zatarły całkowicie fatalne „Wskazania polityczne”¹⁾, „Błędne koła” i t. p. enuncjacje polityczne, które, mimo kilkunastoletniego przedawnienia, pamiętano i wypominano Świętochowskiemu. Reszty dokonało zbliżenie się jego do kół konspiracyjnych w pracy oświatowej... Zaczęto tam naprawdę widzieć w nim przyszłego wodza. Dopomagały temu sama powierzchowność i wzięcie „mistrza Aleksandra”. Wspaniała postać, piękna dumna twarz, okolona wieńcem siwych długich włosów i brody, wyniosłe spojrzenie, a nadto niezwykle dar słowa, oddziaływały fascynująco. Nigdy nie zapomnę mocnego wrażenia, jakie Świętochowski wywarł na mnie swoją powierzchownością, gdy przemawiałem, jako przedstawiciel młodzieży, przy wręczeniu mu jubileuszowej książki „Prawda”. Widziałem go wówczas pierwszy raz w życiu i pomimo dość wesołego usposobienia, które pomagało mi w wielu kłopotliwych sytuacjach, ledwie siebie opanowałem. Zebrał się kwiat ówczesnej inteligencji warszawskiej... Przemawiali przedemną: Adam Pług, Stanisław Krzemiński, Stanisław Posner, Andrzej Niemojewski, Sieroszewski... Miałem więc czas i przygotować się i opanować tremę. Gdy jednak z kolei zacząłem krótką improwizowaną przemowę,



Aleksander Świętochowski.

¹⁾ „Ognisko” — Zbiorowa książka na jubileusz T. T. Jeża w r. 1883.

zatraciłem się całkowicie... Wirowało mi wszystko przed oczami... wspaniała broda „mistrza Aleksandra“ kołysała się przed oczami, ujęta w jakieś impresjonistyczne kreski — wyniosłe na mnie, marnego robaka, z zaświatów spoglądały jego oczy... Odczuwałem coś niepojętego i nieodczuwanego nigdy więcej w życiu... Dodam zresztą, że, jak mówiono, mowę swoją wyrecytowałem całkiem niezłe i w treści i w formie... Otóż to wrażenie nieskończonej wyższości swojej, jak się później zorientowałem, Świętochowski wywierał na bardzo wielu. Tchnął on potęgą.

I u bardzo niewielu ten urok pryskał... Nie łatwo było dojrzeć skazy na tym posągu. A przecież były, i to takie, które stopniowo doprowadziły tego niezłomnego arystokratę ducha i tytana myśli — do dzisiejszego stanu — zgryźliwego rzecznika nienawiści, właściwej motłochowi i chamstwu. Mnie np. dość szybko uderzyła jedna cecha umysłowości Świętochowskiego: absolutny zanik zdolności myślenia kategorjami politycznymi i zanik nawet — zmysłu politycznego. Ten wspaniały — górujący nad pokoleniem swoim intelekt zawsze był zupełnym analfabetą politycznym. Było też coś dla mnie niespodzianego, jako objaw ciemnoty ogólnej, gdy w roku 1906 Świętochowski został postawiony jako kandydat na posła do Petersburskiej Dumy z Warszawy przez całą „radykalję“ stolicy. Co gorsza, sam on nigdy tej swojej wady organicznej nie wyczuwał i nie rozumiał. Działalność też polityczna „mistrza Aleksandra“ a zwłaszcza jego enuncjacje polityczne, poczawszy od „Wskazań politycznych“, a kończąc na wystęпах o treści „Choćby pod jednym knutem“, zawsze będą pokrzywami, rozproszonymi w wieńcu sławy, tego, bądź co bądź, wielkiego człowieka i wybitnego umysłu.

Drugą jego cechą był — brak serca. „Wielki umysł lecz człowiek bez serca“ — tak określało go już wówczas wielu, a Gustaw Daniłowski ośmielił się wypowiedzieć to nawet w sonecie „Dzwon“, ogłoszonym w czasie jubileuszu Świętochowskiego. I wogóle pepesowcy nie wierzyli Świętochowskiemu. „To bankrut“ — zakonkludował „Władek“, gdy przekonywałem go o potrzebie wejścia w ściślejsze stosunki ze Świętochowskim jako, bądź co bądź, wodzem żywiołów postępowych i zaznaczałem zwrot w jego poglądach na konspirację. — „Świętochowski zbankrutował na swojej ideologii zupełnie. Teraz skłania się do tego, co było dla niego głupotą, a kto wie, czy jeszcze nie przerzuci się do tego, co było dla niego wrogiem? Po bankructwie zanadto często idzie nawrócenie“ — mówił, jakby w przeczuciu „Władek“.

Stosunki jednak Świętochowskiego z P. P. S. — znacznie zresztą później, w r. bodaj 1902—3 — nawiązały się. I, jak dla ironji, tego samego „Władka“ — gdy zbiegł w czasie drogi na Sybir, Świętochowski czas jakiś przechował w swoim majątku — Brzezinach. Przyjaźń jednak nie trwała długo. Nadeszła rewolucja. Stanowisko, jakie Świętochowski zajął wobec strejku szkolnego, oburzyło sfery rewolucyjne. Z drugiej strony Świętochowski, o ile pamiętam, został dotknięty artykułem Kaz. Krauza: „Wodzowie“, który puściliśmy w redakcji „Kurjera Codziennego“, utrzymującej — kontakt z partją. Stosunki ochłodyły, a następnie — Świętochowski stanął wobec P. P. S. wrogo.

Nie mógł zresztą stać się on wodzem radykalji niepodległościowej i dlatego również, że wogóle zawsze niepodległościowa polityka była dlań przeżytkiem romantyzmu, a realne w jej duchu prace — głupstwem i donkiszoterją. Od pierwszych swych występów publicystycznych w okresie reakcji popowstaniowej — Świętochowski głosił beznadziejność separatyzmu i konieczność łączności z Rosją. W czasie też rewolucji 1905 roku — stał się sztandarowym człowiekiem demokracji postępowej, stronnictwa, ugodowego pod względem państwowym — a widzącego przyszłość Polski w porozumieniu z liberalizmem i radykalizmem rosyjskim. Skończył wreszcie jako pisarz urzędowy Endecji, której istotę przez całe życie zwalczał.

Dla mnie Świętochowski istnieje zawsze jedynie w swej postaci z przed ćwierćwiecza. Mocny — śmiały — bojownik prawdy — i niezłomny arystokrata ducha.

I z wieku i z urzędu za kandydata na wodza ówczesnej czerwonej Warszawy powinien być być uważany również i

„jeden z ostatnich, a może ostatni
z tych, co marzyli, widzieli i chcieli“...

Mówię, jak można się domyślać z epitafium, na jego pomniku powązkowskim zamieszczonego, o Stanisławie Krzemińskim, jednym z założycieli spisków przedpowstaniowych, a następnie — członków Rządu Narodowego z Powstania Styczniowego.

Była to najbardziej może świetlana postać z ludzi, których wśród swego — dość w każdym razie urozmaiconego — życia spotkałem. Niby mucha w bursztynie — według obrazowego określenia Świętochowskiego — Krzemiński w całości przechował się, jako typ epoki romantyzmu ze wszystkimi jej cechami dodatnimi — a wstrzymanymi

w promieniowaniu na innych przez mroźne stosunki czasów późniejszych. Był to człowiek o najgłębszej chyba wiedzy humanistycznej z całego ówczesnego literackiego świata Warszawy, a jednocześnie — nikt mniej od niego tego ogromu wiedzy nie potrafił wyzyskać. Jedyne np. w tych czasach w Polsce gruntowny znawca dziejów i prac Stanisława Konarskiego oraz Komisji Edukacyjnej, mający co do spraw tych mnóstwo materiałów i w pamięci, którą miał fenomenalną, i u siebie w bibliotece, napisał dwie małe broszurki popularne. Niepospolity i gruntowny znawca dziejów myśli polskiej, cytujący z pamięci wszelkich pisarzy i publicystów, rozdrobnił się na tysiące artykułów, recenzji lub wreszcie notat w Encyklopedji. Niepośledni wreszcie znawca spraw politycznych, samodzielny myśliciel, w rozmowach zapładniający umysły mnóstwem spostrzeżeń i wniosków — nie zostawił po sobie żadnego, choćby naszkicowanego dzieła z tej dziedziny, którego pokolenie ówczesne bardzo a bardzo potrzebowało.

Pamiętam, że mimo głęboki kult, jaki dla niego miałem, mimo wdzięczność za tysiączne korzyści, jakie odnosiłem z obcowania z nim — dość powiedzieć, że on mnie skłonił do studjów nad rokiem sześćdziesiątym trzecim, i obraz epoki oraz ówczesnego świata ideowego z rozmów z nim wyniosłem wyraźniejszy, niż ze wszystkich przeczytanych w tej dziedzinie dzieł — irytował mnie Krzemiński. Tak były nieproporcjonalne jego zawiędła postać przedwcześnie postarzałego, nieśmiałego i nie umiającego sobie radzić typowego „niedołęgi życiowego“ i ogrom jego wiedzy oraz charakteru i przeszłość. Patrząc np. jak nieudolnie przewodniczył na jakimś posiedzeniu większem, lub jak nieśmiało zabierał głos, z którego korzystano więcej, niż ze wszystkich innych, wygłaszanych z emfazą i pewnością siebie, djabli człowieka brali na myśl, że oto ten sam Krzemiński, trzydzieści lat temu od początków ruchu narodowego aż do chwil jego ostatnich, stał w pierwszych szereгах, że przez lat parę pozostawał pod grozą szubienicy, że jedyny bodaj z wodzów powstania pozostał w kraju, przeczekał burzę i oto lat już trzydzieści przeszło trwa mimo klęski i niepopularność jego niezmiennie na stanowisku, zajętem w zaraniu ruchu, którego Powstanie Styczniowe było punktem kulminacyjnym.

Jeżeli można znaleźć symbol największej tragedji Polski Porozbiorowej — tej samotności patryjotyzmu czynu, tego rozdrobnienia myśli i ducha narodowego, jakie cechowało zwłaszcza pokolenia ostatnich lat XIX wieku, to symbolem tym był przedewszystkiem Stanisław Krze-

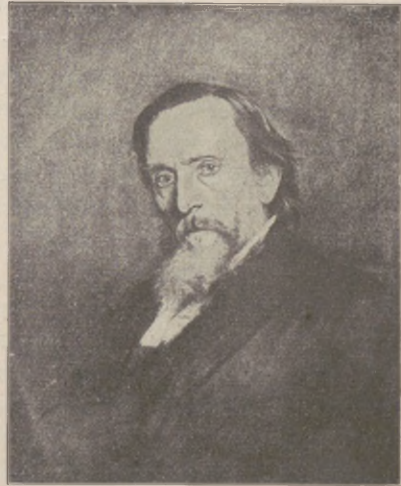
miński. Krążył on wówczas samotnie wśród pokolenia, w którym już działali, zarówno Dmowski, jak Piłsudski, nierozumiany przez tych i niezdolny do wpływów na odradzającą się polityczną myśl polską, której tyle swoistych i najpiękniejszych pierwiastków dać był w możności.

Nowych kierunków Krzemiński nie rozumiał, a może raczej — obawiał się ich. Rozwój demokracji polskiej kończył się dlań na Towarzystwie Demokratycznym z r. 1836, „które zawiera w sobie i wszystkie racjonalne postulaty socjalizmu, bez jego nienawiści i anarchji“. P. P. S. nie ufał i widział w niej — pod wpływem, jak mi się zdaje Tadeusza Korzона, kompletnego na tym punkcie manjaka — nihilizm. Narodową Demokrację uważał za odstępstwo od ideałów narodowych wobec stanowiska „Przeglądu Wszehpolskiego“ względem powstań naszych, oraz z powodu antysemityzmu, do którego czuł wstręt.

Jeszcze jedno cechowało tego pogrobowca „tych ostatnich w bieli“: wielka odwaga. Nie usuwał się on od żadnej poważnej akcji — występował z ochotą na „Listopadówkach“ i „Styczniówkach“ młodzieży — wypowiadał zdania śmiało i podkreślał swoje bezkompromisowe stanowisko względem najazdu na każdym kroku. Jeden wreszcie z bardzo niewielkich literatów, ośmielał się on dru-

kować artykuły polityczne w prasie zakordonowej. Jako zaś „Narrans“, od bardzo dawna był stałym korespondentem „Nowej Reformy“ krakowskiej. Artykuły te i korespondencje cieszyły się wielką wziętością — styl zaś ich i treść, pełne wiadomości, gruntowne a mimo to proste, przed każdym, znającym Krzemińskiego — demaskowały autora.

Stanisław Krzemiński był poniekąd łącznikiem między pokoleniem ówczesnym a powstańcami 1863 roku, którzy samotnie snuli się wśród nas, obcy nam zupełnie. I trzeba przyznać, że nie myśmy byli winni. Szukaliśmy kontaktu z nimi często. Śmierć zasłużonych w powstaniu osobistości była hasłem do manifestowania sympatji ku tej epoce ze



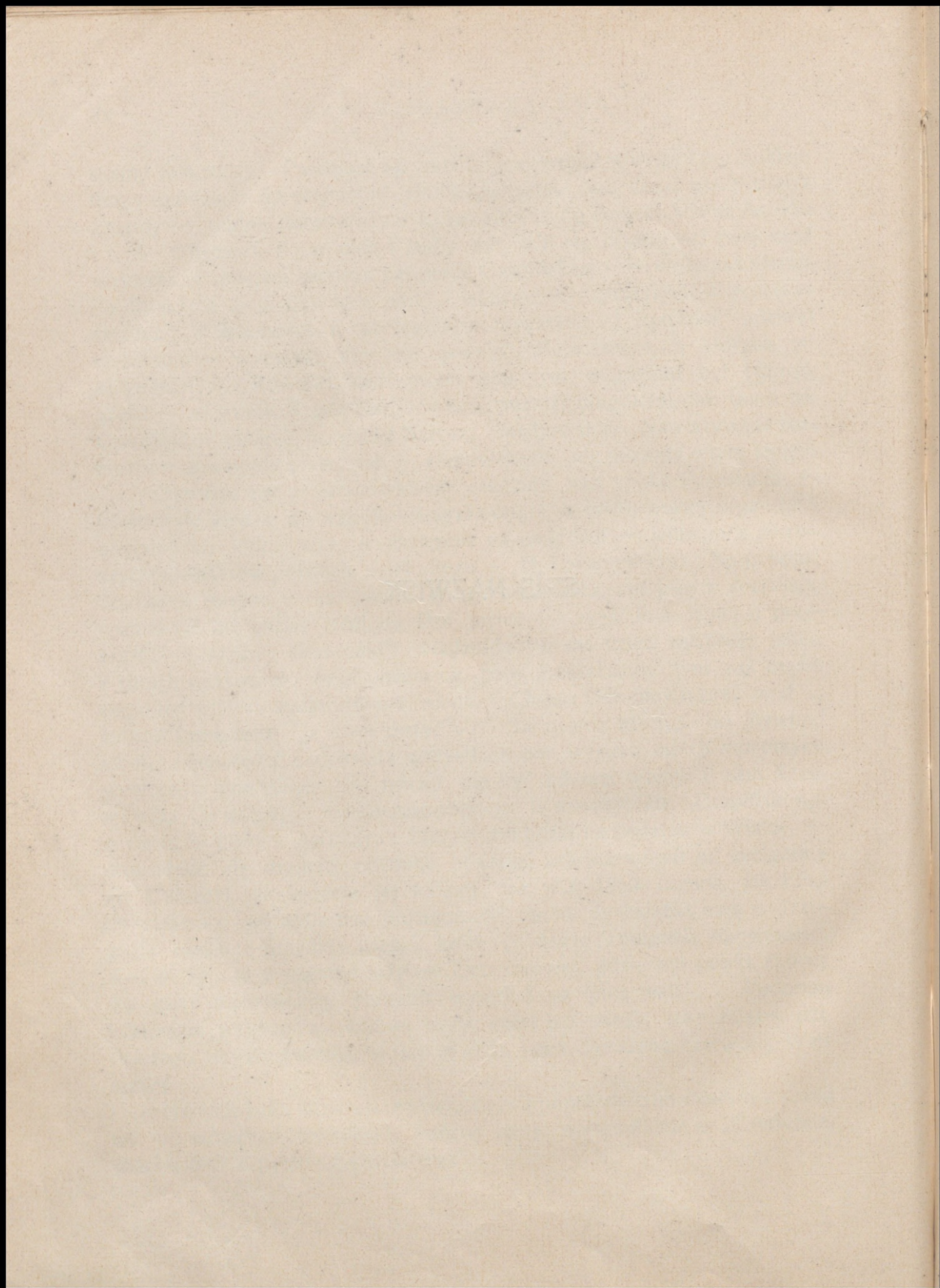
Stanisław Krzemiński.

strony młodzieży. Pamiętam np. imponujące wręcz powagą i porządkiem tłumy młodzieży na pogrzebie Jakóba Gieyszтора, lub cześć dla Stosława Łaguny — tłumne nabożeństwo u św. Krzyża po śmierci Adama Asnyka i t. d. Odsuwali się w cień i jakby wstydzieli się przeszłości swej sami weterani. Pamiętam zycznego Leopolda Czapińskiego — wówczas literata i sybiraka, a ongi dowódcę partji i jednego z najbliższych Mierosławskiemu. Wiadomości o szczegółach powstania i spisków udzielał niechętnie — wymagał, aby nie ujawniać wielu rzeczy, o których mi opowiadał... Również niechętnym pod tym względem był Henryk Wohl — skarbnik Rządu Narodowego, później długoletni, tak samo jak Czapiński — sybirak, przyjaciel Narcyzy Żmichowskiej. Nawiazywane rozmowy o powstaniu przerywał — stanowczem: „nie mówmy o tem lepiej“.

Zajmując się z zamiłowaniem studjami nad epoką Powstania — udałem się kiedyś, do współtowarzysza ongiś w białostockiej organizacji powstańczej mego ojca, a następnie na emigracji — jednego z pierwszych socjalistów polskich — Hodiego — (J. Tokarzewicza). Na próżno! Staruszek ze mną — ani jako z synem powstańca, ani jako z socjalistą, rozmawiać nie chciał. „Młody Pan jesteś — myśl Pan lepiej o przyszłości — Myśmy skończeni!“ Najlapidarniej zaś urwał dyskusję jeden z moich znajomych, ongi porucznik partji Bossaka, w tym zaś czasie obywatel wiejski, kuzyn Bukowińskich. „Chcesz Pan znowu brać w d... to pan bierz sam. Ja mam dosyć“... Ta pewna niechęć do świetnej swojej przeszłości cechowała wszystkich bez wyjątku moich znajomych weteranów powstania. Po trochu nie był od niej wolny i sam Krzemieński. Co więcej — nie interesowano się tą przeszłością. Czapiński np. o zdradzie Oskara Aweydy, z którym żył bliżej na zesłaniu w Wiatce, — dowiedział się dopiero odemnie. Później zaś już mówił mi czcigodny M. Dubiecki, że kobieta tej kultury, tak w r. 1863 czynna, jak Eliza Orzeszkowa, wyrażała mu wdzięczność za to, że książką swą o Traugucie obalił te brzydkie wieści, które „u nas o Traugucie opowiadali“. A dodajmy, że z majątku właśnie Orzeszkowej, gdzie był punkt zborny dla partji Kobryńskiej, Traugutt wyjechał na pole walki... Podobno kilkunastu weteranów zbliżało się ze sobą już wtedy, jako załążek dzisiejszego Stowarzyszenia — ale to było poza ówczesną czerwoną Warszawą...

Na tych kilku słowach, poświęconych poprzednikom naszym z przed lat — wówczas trzydziestu, kończę swoje wspomnienia o „Czerwonej Warszawie“ z przed „ćwierćwiecza“.

SPIS NAZWISK



- A**bramowski Edward („Edek“, „Walczewski“, „Czajkowski“) 43, 48, 66, 74, 95, 101, 154, 171, 182, 183.
„Adam“ (Wł. Młocki) 101, 106, 121.
Adolph Wład. („Andrzej“) 83.
Andrejewna Marja 142.
„Andrzej“ (Adolph Wład.) 48, 71, 83, 92, 110, 111, 116.
Andrzejowie 92.
„Anglik“ („tow. Jan“, Dr. Feliks Zaks) 84, 85, 101, 106, 111, 116, 120, 121, 122.
„Aniela“ (A. Malinowska) 71, 83, 111.
„Aniuta“ (Mielnikowa) 87.
„Anna“ („Prosta“, Zofja Wortmanówna) 122, 123, 124, 126, 127, 129, 130.
„Anioł“ 126, 127.
„Antek“ 105.
Apuchtin 142.
Arctówna M. 152.
Asnyk Adam 67, 200.
„Astronom“ (Trusewicz) 130.
Aweyda Oskar 200.
Azarewicz prof. 24.
Azew 94, 95.
Bagiński 39.
„Baj“ („Kaniowski“ Bol. A. Jędrzejowski) 82.
Bakaj 32.
Balicki Zygmunt („Ostoja“) 82, 162.
Bardowski 107.
„Barnaba“, (Wł. Rożen) 124.
Bassakówna Zofja 183.
Bebel 8, 110.
Beck J. 164.
Belke 46, 50.
Benni Dr. 16, 173.
Benzel 151.
Berent Wacław 43, 187.
Berent J. 183, 187.
Bernstein 110.
Białostoccy 96.
Bloch 163.
Bobrzyński 158.
Bohusz Marjan (J. K. Potocki) 190, 191, 192, 193, 194.
Bohuszewiczówna Marja 78, 191.
„Bolek“ 126.
„Bonifacy“ (Wład. Malinowski) 100.
Borowiec 120.
Bossak 200.
Bouffał Stanisław 163.
Boyé 167.
Bracki 112.
Brodowski prof. 174.
Brodzki Zbigniew 59.
Brock 142.
Brzezińscy bracia 14.
Brzezińscy Mieczysławostwo 146, 159.
Brzezińska Mieczysławowa 148, 151, 159, 160.
Brzeziński Mieczysław 26, 135, 150, 151, 162, 163.

- Brzeziński St. („Kuba“) 157.
 Brzozowski Karol 82.
 „ Stanisław („Brzoza“ „Leopold“ 12, 19, 20, 24, 25, 28, 29, 30, 31, 32, 33.
 Buhardt L. 91.
 Bujalski („Dyzio“) 12, 14, 41, 47, 52.
 Bucke 112.
 Bujno A. („Jerzy“) 126.
 Bukowiński („Selimowie“) 90, 188, 194, 200.
 Bukowińska Marja z Pinków 91, 183.
 Bukowiński („Selim“) 185.
 Bukowiecka Zofja 146, 159.
 Bukowiecki Stanisław 153.
 Burcew 82.
 Burns 110.
 Bystram 62, 64.
 Carlyle 164.
 Caspari 83.
 „Cąber“ 4, 6.
 „Cecylja“ (późn. Władysława Gumpłowiczowa) 90, 92, 95.
 Cederbaum 151, 153.
 Centnerszwer 151.
 Ceysingerówna Hel. 152.
 Chałturin 8.
 Charewicz 96.
 Chelstowski 29.
 Chlebowski Bron. 144, 166.
 Chmieleńska M. („Klara“) 86, 87.
 Chmieleński Ignacy 86.
 „ Zygmunt 86.
 Chmielewski Zygmunt 85.
 Chmielowski Piotr 144.
 Chodźko 179.
 Chomicz 14.
 Chrzanowski Ignacy 144, 166.
 „ Wład. 91.
 Chwałewik Edward 11, 12, 18, 20, 21, 27, 28, 120, 130.
 Ciągliński 14.
 Ciszewiczowa Dr. 152, 183.
 Conn 164.
 Cwierciakiewicz 15.
 „Cygan“ (Nowicki) 118.
 „Czajkowski“, („Walczewski“, E. Abramowski) 101.
 Czapiński 200.
 Czarkowski „Leon“ 101, 122, 123.
 Czarniawski 123.
 Czarnocka Genowefa 152, 157.
 Czarnocki Napoleon 38, 102.
 „Czarny“ 48, 111, 115, 116, 118.
 Czeczot 102.
 Czerniawski 154.
 Czernyszewski 93.
 Czerwiński 119.
 Dąbrowski 63.
 „ J. („Tomaszewski“, „K-icz“, „Koroniarz“, „K. Este“) 40, 101.
 Dąbrowski Stefan 59, 63.
 „ Waclaw 43, 65, 111.
 Daniel“ (Wł. Danecki) 64, 111, 118.
 Daniłowscy Gustawostwo 91, 93, 101.
 Daniłowski Gustaw 50, 78, 81, 86, 93, 95, 96, 97, 101, 185, 196.
 Durzyński 108.
 Daum Dr. 118.
 Dawid Wł. J. 144, 151, 166.
 Dawidowa 166.
 Dawidowstwo 159.
 Dębscy 157.
 Dębski Mieczysław 157.
 Długi (v. Młocki) 121.
 Dłużewski 92.
 Dmochowski 29.
 Dmowski Roman 38, 39, 136, 141, 180, 190.
 Downarowicz St. 9, 10, 120.
 Drosio 116.
 Drozdowicz 43.
 Dubiecki M. 200.
 Duczmińscy bracia 14.
 Dutkiewicz 14.
 „Dyzio“ (Bujalski) 17, 41, 47, 52, 53, 58, 59, 65.
 Dzierżyński Feliks 97, 99, 109, 129, 130.
 Dzierżanowska 159.
 Dziewulski Stefan 51, 56, 160.
 Dziubińska Jadwiga 149, 150, 157, 163.

- „Dzwon Stanisław“ (Goździkowski Wład.) 82.
 „Edek“ (Edward Abramowski, „Walczewski“, „Czajkowski“) 43, 95, 183.
 „Edmund“ (Stanisław Wojciechowski) 71, 72, 73, 79, 80, 82, 100, 119.
 Egerszdorf 29.
 Einstein prof. 5.
 Engels 112.
 Esse Elehard, (Kelles Krauz Kazimierz, Michalak, Michał Luśnia, Radosławski) 81.
 „Este“ („Koroniarz“, K-icz, „Tomaszewski“, J. Dąbrowski) 101.
 „Etką“ (Dr. med. E. Golde, późn. Janowa Stróżecka) 71, 83, 89.
 Ettinger 120, 130.
 Ezołowicz Meir 44.
 „Fakir“ (Kazimierz Pietkiewicz) 73, 75, 79, 111, 120.
 Falski Leon 182.
 Fedorowiczowa 185.
 Feldman Wilhelm 66.
 Filewicz 19, 20, 21.
 Filipek 14.
 Filipowicz („Filip“) 12.
 „ „ Tytus („Karski“) 14, 81.
 Fiszer Jan 165.
 Fliski 20, 62, 63, 64.
 „Fonar“ (J. K. Kochanowski) 10.
 Forelle 43.
 Franciszek z Assyżu 164.
 Funk 118, 119.
 Fusiecki 29.
 Fusiecka Aniela („Janina“) 87.
 Galecki („Kudłaty“, Andrzej Strug) 14.
 Garlicki St. inż. („Konrad“) 118.
 „Gaudenty“ (Dr. Henryk Sarcewicz) 89.
 Gąsiorowscy bracia 11.
 Gąsiorowski Wł. 27, 111, 131.
 „ „ Zygmunt 11, 20, 25, 27.
 Gebethner i Wolff 139.
 „Genia“ 126.
 Gerlach 127.
 Gerson-Dąbrowska 152.
 „Giedroyć“ („Książę“, Tatarow) 97.
 Giejsztor 43, 200.
 Gierszuni 94.
 „Gintra“ („Marja“, M. G. Paszkowska) 71, 76, 85, 86, 87.
 Gizbert-Studnickie 189.
 Glass 151.
 Głębocki 64.
 Golde E. Dr. med. („Etką“, późn. Stróżecka) 83.
 Gomólińska 11, 139, 153, 154, 160.
 Gordziałkowski 62, 63, 64.
 Górski 146.
 Goździkowski Wład. („Stan. Dzwon“) 82, 113.
 Grabowski 29, 182.
 Grabski Stanisław („Zborowicz“, „Mazur“) 74, 82, 101, 108.
 Grodecy 91, 171.
 Grodecka 188.
 Grodecki 39, 188.
 Grot 114.
 Grzegorzewski 29.
 Gulińscy („Małżonkowie“) 90, 188.
 Gumplowicz 90, 109.
 Gumplowiczowa („Cecylja“) 90.
 Gutwiński („Pigula“) 15, 39, 73.
 „Guzik“ (Hornowski) 12, 60, 61, 110.
 Haberbusz 142.
 Hack 163.
 Hagmajer 29.
 „Hakatystka“ („Pola“) 88.
 Hapon 101.
 Harabaszewski 120.
 Harasymowicz („Harasim“) 4, 14, 16, 17, 20, 25, 39, 41, 43.
 Harting baronowa 165.
 Heflich Alex. 16, 48, 62, 154, 164, 175, 179.
 Heilpern 150.
 „Helena“ (Prausówna) 87, 88, 89.
 Hempel 14.
 „Henia“ (Rodkiewiczówna) 88.
 Hercman 62, 63, 64, 106.
 Hertz Benedykt 101, 154.
 Heryng 95, 188.
 Hirszel 29.

- Hirsfeld Bolesław 48, 66, 116, 130, 135,
150, 152, 161, 162, 163, 178, 184.
- Hirszowski 29.
- Hiszpańscy 90, 91.
- Hodi (J. Tokarzewicz) 200.
- Höfding 164.
- Hoflman K. 146.
- Hornowski J. („Guzik“) 12, 14, 16, 27, 39,
53, 54, 55, 60, 61, 110.
- Horwitz Maks. („Piotr“) 43, 53, 60, 76, 83,
84, 85, 139.
- Hryniewiecki Ludwik („Karol“) 14, 84, 139,
176.
- Hummel 14.
- Hurko 42.
- „Ignacy“ (inż. Piotrowski) 85.
- „Inocenty“ (Czarniawski) 123, 124, 125, 126
- Imeretyński książ 22, 113.
- Jaholkowska Jadwiga (Lasota) 139, 152, 157
185.
- „v. Jan“ („Anglik“, Dr. F. Zaks) 106, 120
164.
- Jandziński („Tadeusz“) 67, 126.
- „Janina“ (Aniela Fusiecka) 87, 88.
- Janiszowski 119.
- Jankowski 63.
- Jaroszewski („Ekstra“) 118.
- Jasiński („Czarny“) 115.
- Jastrzębski Z. 11, 29.
- Jawitzówna (Dr. J. Pannenkowa) 120.
- Jaźwiński 10, 11, 29.
- Jędrzejewski 113.
- Jędrzejewski Bol. A. („Baj“, „Kaniowski“) 82.
- Jeleński 138.
- Jellenta Cezary 189.
- „Jerzy“ (A. Bujno) 124.
- Jeziorańska (Wernerówna) 148
- Jeziorowski Konrad 119.
- „ „ „Trąba“ 119, 120.
- Jeż T. T. 162, 195.
- Jodko Witold Dr. („Wroński“, „Jowisz“) 81, 113.
- „Jowisz“ („Wroński“, Dr. W. Jodko) 81.
- „Juljusz“ („Res“, Dr. Feliks Perl) 82, 125.
- Jung 142.
- Jurand 65.
- Juszkiewicz 78.
- „Kalasanty“ (Kolecki) 121, 123, 124, 129.
- Kalinowska 167.
- Kalinowski St. 188.
- „Kalinowski“ („Ojciec Prokop“, A. Bol. Zawadzki) 152.
- Kamiński Ant. 39, 41.
- „ „ 14, 16, 17, 25, 51, 116.
- Kamulinder 4.
- „Kaniowski“ („Baj“ Bol. Al. Jędrzejewski) 82.
- „Kapral“ (Wernyhora) 124.
- Karcz 119.
- Karłowicz 154.
- Karpiński J. 91.
- „Karol“, (Hryniewiecki Ludwik) 48, 71, 83,
84, 85, 95, 101, 111, 118, 121, 139, 176.
- Karskij 19.
- „Karusia“ (K. Pobojevska, późn. Rogowa) 87, 92.
- Karwacka 151.
- „Kaskada“ 126.
- Kasperski K. 11, 25, 27, 31.
- Kasznica Stanisław 11, 26, 29.
- Kautsky 112.
- Kawecki 47.
- Kazimierz Wielki 164.
- „Kaziutka“ (K. Żywanowski) 116.
- Kelles Krauz („Tomaszewski“ Michalak, Michał Luśnia, Radosławski) 81, 113,
178, 197.
- Kempnerowie bracia 11.
- Kiliński 149.
- Kindler 142.
- Kirchner 119.
- Kirkorowa 166.
- „Klara“ (Chmieleńska M.) 86, 111, 118, 183
- Klimowicz 182.
- Kłott J. 12, 27, 57, 59.
- Kłobukowski junior 175.
- Kochanowski J. K. („Fonar“) 11, 17, 18, 27,
40, 164, 166.
- Kohn 53, 60.
- Kólkowicz 42.
- Kolecki („Kalasanty“) 211.

- Konarski St. 164, 198.
 Konopnicka 164.
 „Konrad“ (Stan. Garlicki) 85, 118.
 „Kopei“ 115.
 Kopernik 43.
 Koperski 116.
 Koplewska Marja (Piłsudska, „Piękna Pani“) 78, 79.
 Korolec 111.
 „Koroniarz“ (K-icz, K. Este, „Tomaszewski“, J. Dąbrowski) 101.
 Kornilowicz Dr. 150.
 Korzon Tadeusz 23, 144, 199.
 Kościuszko Tadeusz 151.
 Kostro 64.
 Koszutski St. 17, 18, 27, 186.
 „Kot“ (Krzczkowski) 176.
 Kowalski 29.
 „Kozak“ (Walery Sławek) 122, 123, 124.
 Kozłowski 26, 46, 102, 164.
 Krąkowski Fr. 39, 41, 43, 63.
 Krapotkin 66.
 Kraszewski 29, 134.
 Krawczyk 119.
 Król K. 178.
 Krukowski 64.
 Krupiński Ks. 166.
 Kruszewscy Stan. i Zofja 154.
 Kruszewski 178.
 Krysiński 13, 29, 176.
 Krzczkowski („Kot“) 43, 111.
 Krzemiński St. 55, 154, 164, 171, 178, 191, 197, 198, 199.
 Krzywicki Ludwik 18, 115, 138, 144, 166, 171, 177, 178, 179, 185, 186, 188, 189, 195.
 Kucharzewski Jan 11.
 Kuć 10, 46.
 „Kudłaty“ (Gałęcki, Andrzej Strug) 122, 123.
 Kułakowskij 19.
 Kulczycki Ludwik („Lolek“) 72, 119, 120, 164, 184.
 Kulikowska Kasylda 152.
 Kunicki 107.
 Kunigowska 151.
 Kurcusz 171, 189.
 Kurczak 157.
 Kuśnierczyk 18, 29.
 „Książę“ („Giedroyć“, Tatarow) 71, 92, 93, 94, 95.
 Książę Józef 150.
 Kwaśniewski („Kwas“) 126, 130.
 Kwiatek 131.
 Lafargue 112.
 Landy 92, 107.
 „Langsam“ (Marjan Węgleński) 9.
 Lasota (Jahołkowska) 185.
 Lassale Ferdynand 83, 112.
 Lenin 136.
 „Leon“ (Czarkowski) 100, 105, 120, 122, 123, 125.
 „Leopold“ („Brzoza“, Stan. Brzozowski) 32.
 Leszczyński Dr. 138, 153, 154, 155, 174.
 Lewental 165.
 Lewinson Paweł 20, 24, 84.
 Libicki 22, 55, 58.
 Liebknecht 112.
 Limanowski Bolesław 74, 81.
 Linowski 81.
 Lloyd George 136.
 „Lolek“ (Ludwik Kulczycki) 72, 119.
 Lubomirski ks. J. T. 133.
 „Luc“ (Orłowski) 14.
 Luśnia Michał (Kelles Krauz Kazimierz) 84, 109, 112, 113.
 Łada Zygmunt 39, 41, 43, 64.
 Łaguna Stosław 200.
 Łaski 51.
 Łazarowicz Kazimierz 26, 157, 160, 178, 181.
 Łażniewski Józef (Władek“) 125.
 Łypacewicz 186.
 Mac Donald 136.
 Mączyński 14.
 Mahrburg 18, 139, 144, 154.
 Majchrowski 151.
 Majewski 13, 29.
 Makowski Wacław 39, 58, 63.
 „ (medyk) 58.
 Maliniakówna Marja 43, 111.
 Malinowska A. („Aniela“) 83, 111.

- Malinowski Alex („Władek“) 15, 80, 81.
 „ 150.
 „ Maksymiljan 151, 152.
 „ Wł. 100.
 „Mały“ („Robert“, „Michał“, Al. Sulki-
 wicz) 71, 82, 83, 120, 124.
 „Małżonkowie“ (Gulińscy) 90, 188.
 Marchlewscy 171.
 Marchlewski 130.
 „Marek“ (Zajączkowski) 118.
 „Marja“ („Gintra“, Marja Gertruda Pasz-
 kowska) 48, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 92,
 97, 109, 120, 124, 184, 185, 188.
 „Marjan“ 92.
 Maro J. („Siara“) 12, 14, 15, 25, 27, 41,
 43, 53, 54, 55, 60, 61, 62, 174.
 Marx 106, 110, 112.
 Masaryk 136.
 „Marta“ 126.
 Matraszek 29, 30.
 Matuszewski Ignacy 18, 154, 178.
 „Mazur“ („Zborowicz“, Stanisław Grabski)
 82.
 Meyet Leopold 62.
 Męczkowsy D-rostwo 60, 144, 162.
 Męczkowski Dr. 26, 178.
 Mendelson 79, 108.
 Metternich 135.
 Meyer J. 27.
 „Michał“ (Dr. Daum) 118.
 Michalski Wład. 111.
 „ inż. 139.
 „ Stanisław („Pan Stanisław“) 16, 20,
 48, 55, 138, 152, 153, 154, 155, 163,
 164, 173, 174, 194.
 Michałowicz 46.
 Mickiewicz Adam 9, 14, 37, 38, 45, 46, 48,
 50, 114, 115, 136, 147, 155.
 Mieczynski St. 29, 30, 144, 166.
 „Mieczysław“ („Wiktor“, „Ziuk“, „Ziu-
 czek“, J. Piłsudski) 120.
 Mielnikow 84.
 Mielnikowa („Aniuta“) 87.
 Mierosławski 200.
 Mierzejewski 102.
 Miklaszewski („Zagłoba“) 125.
 Mikołaj 136, 142.
 Mikulski 152.
 Miłkowska (Samotychowa) 152.
 Millerand 108, 136.
 Mitte 12, 26, 29, 39.
 Młocki Wład. 101, 121.
 Mogilnicki 63, 64.
 Monsiorski Dr. 139.
 Morawska Z. 144, 146, 153, 154.
 Mortkowicz J. 91.
 Morzycka F. 148, 149.
 Motzówna 182.
 Mrozik 119.
 Murawiew-Wieszatiel 19, 24.
 Muszkat 43.
 Natanson Bronisław 60, 61, 62, 135, 161,
 164, 165, 166, 167.
 Nałkowski Wacław 171, 189.
 Nelken 20, 28, 51, 54, 55.
 Niedzielski 153, 155.
 Niemojewski Andrzej 95, 101, 139, 154,
 185, 187, 195.
 Niemyski St. 179.
 Niewiadomska Cecylja 152, 160.
 Niewiadomski Eligjusz 160.
 Nocznicki 157.
 Nowicki („Cygan“) 118.
 Nowicki 165, 166.
 Nowierski Ludwik 62, 64.
 Nowodworski 23, 53, 164.
 ●drzywolski 120.
 „Ojciec Prokop“ („Baj“, Al. Zawadzki,
 „Kalinowski“) 152, 171, 179, 180.
 Okoniewski St. („Kiel“) 12.
 Okołowicz Józef 9.
 „ Mieczysław 9.
 Okuszek 12, 25.
 „Olek“ 47, 48, 119.
 Olszański Romuald 80.
 „Olszewski Wiktor“ (M. Brzeziński).
 Onoprijenko gen. 165.
 Orłowski (Luc) 39, 41, 43, 111, 146.
 Orzeszkowa Eliza 200.
 Ossowski 29, 107.
 Ossuchowski 151.
 Ostaszewska Emilja 152.

- „Ostoja“ (Zygm. Balicki) 82.
 „Otton“ (Rudzki) 82.
 „Paderewski“ 85, 118.
 „Pani Pułkownica“ (Zajączkowska) 90, 92,
 93, 118.
 Panenkowa Dr. Irena (Jawitówna).
 „Panna Stefanja“ (Sempołowska) 149.
 „Pan Jakób“ (inż. Winnicki) 176, 178.
 „Pan Stanisław“ (Stanisław Michalski) 171,
 173, 174, 175, 176, 194.
 Paprocki J. 165.
 Paskiewicz 136.
 Paskowska Marja Gertruda („Gint'a“,
 „Marja“) 85, 87, 184.
 Patek Stanisław 91, 151, 184.
 „Paulina“ 92.
 Pękostawski Paweł 71, 83, 88.
 Penelopa 71.
 Perl Feliks Dr. („Res“, „Juliusz“) 45, 82,
 113, 125.
 Piasecki 153, 154.
 Pieczynis 29.
 „Piękna Pani“ (Marja Piłsudska) 71, 78,
 94, 95, 96, 119.
 Pięnkowscy 187.
 Pięnkowski 9.
 Pietkiewicz Kazimierz („Fakir“) 70, 75,
 182.
 Pietrasiewicz 10.
 Pietrusiński 107.
 „Pigula“ (Gutwiński) 15.
 Pilecki Antoni 124, 151, 153, 161.
 Piltz Erazm 165.
 Piłsudscy 97.
 Piłsudska Marja („Piękna Pani“) 78.
 Piłsudski Józef („Wiktor“, „Ziuk“, „Ziu-
 czek“, „Mieczysław“) 78, 136, 172, 188,
 190, 199.
 Pinek 187.
 „Piotr“ (Maks Horwitz) 43, 71, 76, 83, 84,
 93, 95, 101, 111, 116, 118, 121, 139.
 Piotrowska I 9.
 Piotrowski 47.
 „ „ Ignacy inż. 85.
 Pisarew 30.
 Płaskowicka 107.
 Pławińscy 107, 150.
 Płochocki Leon („St. Os. .arz“) 82.
 Pług Adam 195.
 Pobojevska K. (Rogowa) 87.
 „Pociej“ 17, 47.
 Podczaski Wł. 29.
 Podymowski 57.
 Poe Edgar 92.
 „Pola“ (Hakatyстка) 88.
 Pomper 29, 30.
 Poniatowski 14.
 Ponikowski 26, 160.
 Popławski J. L. 78, 156, 157, 180, 191.
 Porębowicz E. prof. 164.
 Porowski 62, 63, 64.
 Posner Stanisław 16, 144, 167, 176, 178,
 185, 186, 195.
 Posnerowa 123.
 Potocki J. K. (Marjan Bohusz) 78, 112, 136,
 171, 190.
 „Poważny“ 118.
 Praus Ksawery („Górnik“) 124.
 Prausówna („Helena“) 87.
 „Promyk“ (K. Prószyński) 135, 149, 151,
 152, 168.
 „Prosta“ („Anna“, Wortmanówna) 126.
 Prus Bolesław 48, 127.
 Pruszkowski 120.
 Pruszyński 14.
 Przybyszewski 185, 187.
 Przybytniewski 139.
 Psarski 29.
 Pulst 127.
 Puławski Dr. 150.
 „Puszkina“ (Horczyk) 126.
 Pytłasiński 116.
Radliński Ignacy 171, 189.
 Radziszewski Henryk 173.
 Radziwiłł M. 174.
 Radziwiłłowicz Dr. („Dr. Rafał“) 48, 91,
 176, 178, 187.
 Radziwiłłowiczowa 159.
 „Dr. Rafał“ (Dr. Radziwiłłowicz) 187, 188.
 Rajchman 43.
 Rechniewski 78.
 Rejbekiel 40, 53, 54, 56, 57, 58, 109

- Rejmak 14.
 Rembertowicz W. 40, 63.
 Renan 66.
 „Res“ („Juliusz“, Dr. Feliks Peł) 82.
 Reymont St. Wł. 164.
 „Robert“ („Michał“, „Mały“, Al. Sulkiewicz)
 124, 125.
 Rodkiewiczówna Henia 88.
 Rodziewiczówna („Wanda“) 124.
 Rogowsy Bronisław i Katarzyna 154.
 Róg A. 92.
 Rokita 9, 10.
 Rosołowa 108, 109.
 Rosół 108, 109, 115.
 Rotwand 12. 14.
 Rousseau 164.
 Rozeń J. 12, 14, 16, 41.
 Rożanowicz 55.
 Rozeń Wład. („Barnaba“) 124.
 „Różycki“ 118.
 Rudnicki 29, 154.
 Rudzki P. 18, 21, 28, 106, 166, 174.
 Rutkiewicz Jan 14, 15.
 Rutkowski 119, 154
 Sądzewicz 11, 18, 29.
 Sarcewicz Henryk Dr. 88.
 Samotychowa (Miłkowska) 152.
 „Saul“ 131.
 Sawinkow 94.
 Ściegienny Ks. 112.
 „Selim“ (Bukowiński) 185.
 „Selimowa“ (Bukowińska) 188.
 „Selimowie“ (Bukowińscy) 90, 171, 187.
 Sempołowska St. („Panna Stefanja“) 26,
 48, 139, 144, 149, 150, 151, 153, 157,
 158, 160, 163, 184.
 „Siara“ (Jan Maro) 21.
 Sidielnikow 90.
 Sieczenow 30
 „Sienio“ (Sienkiewicz) 4.
 Sienkiewicz („Sienio“) 4, 24, 51, 54, 55.
 Sierakowski Zygmunt 77.
 Sieroszewska Paulina 148, 152.
 Sieroszewski Wacław 93, 95, 96, 107, 113,
 156, 185, 187, 194, 195.
 „S.erota“ 111.
 Sietnicki 114.
 Sikorska Julja 152.
 Silberstein 10.
 Simonienko 58.
 Skąpska 167.
 Skowronek 14.
 Skrzycki 141.
 Śląski 15.
 Sławek Walery („Kozak“) 122.
 Słonimski Dr. 91.
 Słoński Bolesław 11, 25, 37, 50.
 Słowacki Juliusz 80, 93.
 Śmiarowski E. 11, 59.
 Śmiechowski 14.
 Smirnow 19.
 Smiskowa 151.
 Smoleńcówna 153, 154.
 Smoleńska (Marja Maliniakówna, „Zofja“)
 43, 111.
 Smoleński Wład. 144, 146.
 Smużyński 43, 53.
 Śniegocka 145, 146, 152.
 „Snopek“ 126.
 Sochaczewski 11, 18, 29, 40.
 Sokołowski 29.
 Schramm 112.
 Sołowjew 30.
 Sosiński 39.
 Spassowski 64.
 Stankiewiczówna Zofja 151.
 „Starosta“ 118.
 „Stefan“ (Jan Stróżecki) 72, 73, 75.
 Stefanowicz Cz. 40, 41, 44, 53, 185.
 Stempowski Stanisław 16, 61, 62, 63, 91,
 164, 166, 167, 178, 179, 181.
 Stołypin 95.
 Stróżecka („Etką“, Dr. med. E. Golde) 83.
 Stróżecki („Stefan“) 182.
 Strug Andrzej („Kudłaty“) 78, 96, 122, 126.
 Struve 20.
 Studnicki Władysław („Wróbel“, „Veto“)
 9, 82, 171.
 Sue Eugenjusz 92.
 Sujkowsy 90, 188.
 Sujkowski 188.
 Suligowski 150, 153.

- Wójcikowie Stefan i Filip 14.
 Wojnar Kasper 156.
 „Wojtek“ (M. Malinowski) 100.
 Wolfowie Gustaw i Cecylja 154.
 Wolffówna (późn. Kozłowska) 139, 160.
 Wolska Jadwiga 148.
 Wolter 120.
 Wortmanówna Zofja („Anna“) 122.
 Wościszakowska 152.
 Woszczyński „Zbigniew“ 100.
 Woźniak 119.
 „Wróbel“ 20, 66.
 Wróblewska („Wela“) 85, 92.
 „Wroński“ („Jowisz“, Dr. Witold Jodko) 81.
 Wścieklica W. 151.
 Wysłouchowa M. 151.
 Wyrostek pułk. 48.
 Wypiański Stanisław 113.
 Wysocki inż. („Zośka“) 85, 118.
Zaborowscy Dr. Bolesław i Dr. Tadeusz 163.
 Zborowskie Marja i Jadwiga 167.
 „Zagłoba“ (Miklaszewski) 124.
 Zajączkowska („Pani Pułkownica“) 90.
 Zajączkowski Dr. („Marek“) 118, 156.
 Zajewski 29.
 Zaks Feliks Dr. („tow. Jan“, „Anglik“) 85, 164.
 Zalewski Kaz. 167.
 Załuska Jan 10, 11, 16, 17, 26, 29, 50.
 Zamboni 166.
 Zand 43, 111, 127, 154.
 Zapasiewicz 26, 29.
 Zasada 26, 29, 30.
 Zawadzka 146, 159.
 Zawadzki Aleks. („Ojciec Prokop“, „Kalinowski“, 152, 155, 156, 179.
 „Zbigniew“ (Woszczyński) 100.
 Zborowicz 74.
 „Zborowicz“ („Mazur“, Dr. Stanisław Grabski) 83.
 Zbrowski Marjan 185.
 Zenger rektor 22, 51, 52, 57.
 Ziegel 29.
 Ziehen 164.
 Zieliński St. 93, 94.
 Ziłow 19, 21.
 „Ziuk“ („Ziuczek“, „Wiktor“, „Mieczysław“, „J. Piłsudski“) 74, 78, 79, 80.
 „Zofja“ 89.
 „Zośka“ (Wysocki inż.) 85, 118.
 „Zorza“ 111.
 Zubatow pułk. 101.
 „Zygmunt“ (St. Żmigrodzki) 71, 83.
 „Żedzio“ (Wład. Zasada) 4, 6, 26, 30.
 Żeromscy 90, 187.
 Żeromska 188.
 Żeromski Stefan 88, 93, 94, 95, 96, 97, 140, 143, 147, 159, 165, 171, 185, 193
 Żmichowska Narcyza 200.
 Żmigrodzki St. („Zygmunt“) 83.
 Żywanowski 43, 54, 66, 116.

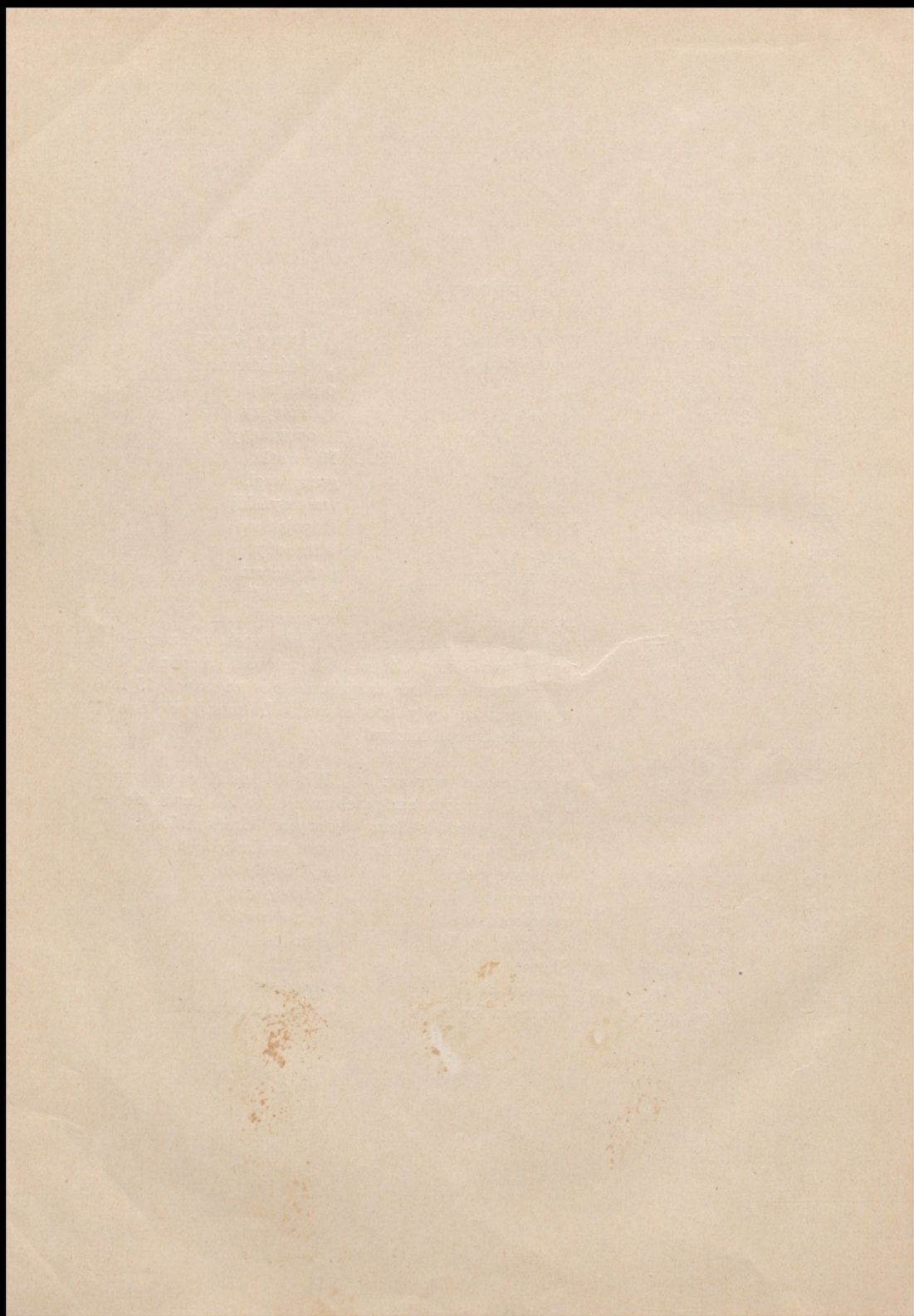
Nr. inw. 3510

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt.-Wych.

ERRATA:

Str.	Wiersz:	Wydrukowano:	Winno być:
3	10 z dołu	„Nadświerzance“	„Nadświdrzance“
9	15 od góry	ogанизacji	organizacji
9	2 z dołu	i późniejszy działacz emigracyjny,	(późniejszy działacz emigracyjny)
11	6 od góry	Niemiała	Nie miała
13	14 od góry	grup wzgl.	grup, wzgl.
22	7 od dołu	Imerietiński	Imeretyński
54	4 z góry	Rossijstawo	Rossijskawo
55	6 od dołu	strapiony	stropiony
61	11 od góry	policja w tem	policjantem
77	18 od dołu	„endeków“	„esdeków“
82	12 z góry	„rządziej	rządziej
82	10 od dołu	Tatarów, tych bohaterów	Tatarów tych, bohaterów
85	11 z góry	przed wyrazami: „Zygm. Chmielewski“ powinny być wydrukowane mylnie zamieszczone w wierszach 15 i 16 wyrazy: „późniejszy kooperatysta, burmistrz Warszawy i wiceminister rolnictwa“.	
124	17 od dołu	uciekli	wyjechali
„	17 z dołu	wypuszczone wyrazy:	„Witold został aresztowany i po półtorarocznem przebywaniu w X. pawilonie — stawiony przed sądem wojennym. Uniewinniony, wy- dalony został zagranicę i osiadł w Krakowie“.
136	19 z góry	wykłuwały się	wykłuwały się
163	5 od góry	Jędrzejewie	Jędrzejowie
174	3 „	zapośrodkować	ześrodkować
„	9 z dołu	formach	pismach
175	16 od góry	Skupił	Skupiał
185	9 z dołu	Zborowski	Zbrowski
187	9 od góry	domu, radomianka	domu. Radomianka



SPIS ILUSTRACJI:

	Str.
Jan Kucharzewski	11
„Władek“, inż. Al. Mulinowski	15
Grupa wybitniejszych działaczy „Koła“ w r. 1897	27
Roman Dmowski w wieku młodzięcym	39
Kółko centralne organizacji pepesowskiej wśród młodzieży warszawskiej w r. 1899	41
Bolesław Stoński	51
Tymczasowa Rada „Spójni“	63
Jednodniówka wydana na 3. maja 1900	67
Jan Stróżecki: „Stefan“	75
Kazimierz Pietkiewicz: „Fakii“	75
Marja z Koplewskich Piłsudska	79
Marja Gertruda Paszkowska	87
ś. p. Marja z Pinków Bukowińska	91
Feliks Dzierżyński w r. 1897	99
„Leon“, Bolesław Czarkowski	123
Inż. Stanisław Kruszewski	139
Faustyna Morzycka	149
K. Prószyński (Promyk)	151
Wydział Czytelni bezpłatnych W. T. D. w r. 1899	155
J. Ł. Popławski	157
Mieczysław Brzeziński	159
Bolesław Hirszfild	163
Bronisław Natanson	165
Stanisław Michalski	173
Ludwik Krzywicki	177
Stanisław Posner	179
Stanisław Stempowski	181
J. K. Potocki (Marjan Bohusz)	191
Aleksander Świętochowski	195
Stanisław Krzeziński	199

NOWOŚCI POLITYCZNE I NAUKOWE:

- Bernhard Ludwik*, Prof. Nauk. Polit. Un. Berlińskiego: „System Mussoliniego“ — Polityczny, Administracyjny, Gospodarczy, Metoda Rewolucji. Opracował Prof. Dr. A. Peretiatkowicz. Z portretem Mussoliniego 4,—
- Dąbrowski Stefan* Dr. Prof. Uniw. Pozn., Poseł na Sejm: „Zagadnienie Obrony Narodowej w wojnie nowoczesnej. Organizacja Rządu i Naczelnego dowództwa“ 2,50

POZATEM:

- Grabski Stanisław*, Prof. Dr., Poseł na Sejm: „Z codziennych walk i rozważań“ . . . 1,20
- Knapowska Wisława* Dr.: „Wielkie Księstwo Poznańskie przed wojną krymską“ . . . 0,80
- Leitgeber Roman*: „Listy z Helu“ z 8 ilustracjami i mapą wybrzeża 1,—
- Niewiadomski Eligiusz*: „Kartki z więzienia“ . 0,40
- Rzepeccy Tadeusz i Witold*: „Sejm i Senat Rz. P. 1922—27“ z fotogr. posłów i senatorów w oprawie 6,—

Ukażą się w najbliższym czasie:

- Białkowski Leon* prof. Dr.: „Szkice z życia Wielkopolski w siedemnastym wieku“ . . cca 2,—
- Rudnicki Kazimierz*, kapitan: „Zarys dziejów ojczystych i wojskowości polskiej“ . . . cca 2,50



NOWOŚCI BELETRYSTYCZNE:

	zł
<i>Bordeaux Henryk</i> , z Akademji Franc.: „A ślad przyprószył śnieg“. Powieść współczesna	3,60
<i>Bordeaux H.</i> z Akademji Franc.: „Rodzina Roquevillardów“. Powieść współczesna.	3,60
<i>Breszko-Breszkowski M.</i> : „Na złotym tronie“. Powieść współczesna na tle politycznym	5,—
<i>Deotyma (Jadw. Łuszczewska)</i> : „Panienska z okienka“. Niezwykle piękna powieść na tle życia Gdańszczan	3,60
<i>Gzowski Junosza A</i> : „Przez tajgi i stepy“. Powieść podróżniczo-myśliwska	3,80
<i>Ligocki Edward</i> : „Derwisz tańczący“.	3,—
<i>Marynowski Niezgoda Zdz.</i> : „Most nad otchłanią“. Powieść współczesna	1,20
<i>Mniszek Helena</i> : „Królowa Gizella“. Powieść. (Najnowszy jej utwór. stron 480 in 8°)	8,—
<i>Ossendowski A. F.</i> prof. Dr.: „Cud Bogini Kwan-Non“. Piękne opowieści japońskie, ozdobione licznymi ilustracjami	3,60
<i>Ossendowski A. F.</i> prof. Dr.: „Nieznany szlakiem“. Nowelki	1,20
<i>Pałucki Jan</i> : „Dolarowicze“. Powieść współczesna	3,80



Prosimy żądać w każdej księgarni!



HIX

24448/

2.